

Carlyle Liz

Rodzina Rutledge'ów 04

Panna młoda w szkarłacie

Anais de Rohan decyduje się stawić czoło niebezpieczeństwu i udawać nowo poślubioną żonę jednego z najbardziej pociągających i bezwzględnych przywódców Towarzystwa Świętego Jakuba. W ten sposób będzie mogła udowodnić, że zasługuje na przyjęcie do tajnego stowarzyszenia, którego członkami są wyłącznie mężczyźni. Anais zgadza się zatem wyruszyć z arystokratą w tajną misję, by uratować dziewczynkę posiadającą budzący lęk dar. Wkrótce intryga zagęszcza się, zbliżając bohaterów jeszcze bardziej ku sobie. Anais szybko się przekonuje, że dzielenie z lordem sypialni budzi w niej pokusę nie do odparcia. Co zaś się tyczy samego Bessetta - cóż, może i jest żołnierzem lojalnym wobec Towarzystwa, ale z pewnością nie świętym...

Prolog

*Traktuj żołnierzy jak własne dzieci, a pójdą za tobą
w najgłębszą dolinę; spoglądaj na nich jak na ukochanych synów, a
pozostaną przy tobie nawet w obliczu śmierci.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Londyn, rok 1837

Przyćmiony blask lamp nie rozświetla! w pełni mroku starego domostwa przy Wellclose Square. Służący przemykali niczym duchy, mijając ze spuszczoneymi oczami korytarze przesycone wonią leczniczych mazideł oraz kamfory, a także - jak powszechnie sądzono - zbliżającej się śmierci.

Wyżej, w sypialni pani domu, ogień płonący w kominku od września do czerwca podsycano z racji zbliżającego się wieczoru, a gromadkę uciążliwych gości - płaczących krewnych, posępnych księży oraz gderliwych medyków

- odprawiono wypowiedzianym ostrym tonem, chociaż i tak złagodzone z powodu okoliczności, poleceniem.

Leżała teraz niczym figurka w ozdobnym, wyłożonym bawełnianą watą puzderku, prawie niewidoczna w wielkim średniowiecznym łóżu, gdzie siedem generacji jej przodków pożegnało się z tym światem. Orzechowe drewno ściemniało z wiekiem i było teraz niemal czarne

- tak czarne, jak niegdyś jej włosy. Wiek nie zmienił jednak kształtu jej haczykowatego nosa, nie zgasił ognia w spojrzeniu i nie osłabił nieugiętej woli - ku niemałej konsternacji rodziny.

- Jeśli nam wybaczysz... - powtórzyła stara dama z mocą stojącą w jaskrawej sprzeczności z jej kruchym wyglądem.

- Tak, proszę pani. - Drzwi zamknęły się z cichym stukotem.

Maria podeszła do bocznego stolika i zaczęła porządkować ustawione tam naczynia - pozostałości niezjedzonego posiłku, złożonego z bulionu oraz kremu z mleka i jaj. Dziewczynka wsparła się tymczasem na łokciach i pochyliła ku prababce, spoglądając poważnie ciemnymi oczami.

- Podsuń się wyżej, *cara mia*. - *Signora* przesunęła palcami po masie splątanych kędziorów. - Jak wtedy, gdy byłaś mała, si?

Dziewczynka skrzywiła pełną zapału buzię.

- Lecz tatuś mówi, że nie powinnam cię niepokoić - powiedziała. - I że nie czujesz się dobrze.

Stara kobieta parsknęła ochryłym śmiechem, z trudem wciągając do płuc powietrze.

- No, dalej, *cara*, nie zrobisz mi krzywdy - powiedziała. - To właśnie ci rzekli? Przytul się do mnie. Sprawdzimy, co mówią karty. Maria znalazła dla nas tacę, byśmy mogły je rozłożyć, widzisz?

Wkrótce spoczywały oparte o poduszki. Stara kobieta zdołała podciągnąć się nieco wyżej dzięki pomocy Marii. Tylko lewa dłoń, zaciśnięta z bólu, zdradzała, ile kosztował ją ten wysiłek.

Dziewczynka, przycupnięta na skraju materaca, podkurczyła szczupłeniczym u źrebaka nogi, wzięła do rąk talię i zaczęła ją tasować z wprawą doświadczonego szulera.

Stara kobieta zaśmiała się chrapliwie.

-*Basta, basta, Anais* - powiedziała. - Nie zniszcz kart, bo pewnego dnia będziesz ich potrzebowała. A teraz, *a sinistra*. Trzy stosiki, jak zawsze.

Dziewczynka podzieliła karty na trzy kupki, rozkładając je od prawej ku lewej.

- Proszę, babciu Sofio. Przepowiesz mi przyszłość?

- Twoja przyszłość zapowiada się znakomicie - stwierdziła stara dama z przekonaniem, ująwszy brodę dziewczynki pomiędzy kciuk i palec wskazujący. - *Si*, powrózę ci, dziecko. A karty powiedzą to co zawsze.

- Ale ty nigdy nie mówisz, co to takiego - zaprotestowała dziewczynka, wydymając z lekka dolną wargę.

- Mamrociesz tylko do siebie. A ja nic nie pojmuję.

- To też da się naprawić - odparła stara dama. - Kuzynka Maria zacznie pracować z tobą jutro nad językiem. Tylko czysty dialekt toskański, nie to ohydztwo, które słyszy się w dokach.

- Jak sobie życzysz, *signora*. - Maria pochyliła głowę.

- Oczywiście.

- Lecz panna Adams mówi, że młodej damie wystarczy znajomość francuskiego - zaprotestowała Anais, przekładając karty, choć nikt jej tego nie polecił.

- A co takie płocze i słabe stworzenie wie o świecie, Anais? - wymamrotała prababka, przyglądając się, jak małe dłonie dziewczynki tasują karty. - Założę się, że nic, zwłaszcza o naszym świecie. To, co cię czeka, *cara mia*, przekracza jej zdolności pojmowania.

- Co to są zdolności pojmowania? - Dziecko zmarszczyło brwi.

Staruszka wyciągnęła drżącą dłoń, ujęła pukiel włosów dziewczynki i wsunęła jej za ucho.

- *Non importa* - powiedziała. - Chodź, *cara*, rozłóż dla mnie karty. Wiesz, jak to się robi, *sil*

Dziewczynka z powagą skinęła głową i zaczęła rozkładać talię na srebrnej tacy, tworząc wielki krąg i przecinając go przez środek siedmioma pionowo ułożonymi kartami.

- Przysuń sobie krzesło, Mario - poleciła stara kobieta. - Będziesz świadkiem.

Kiedy nogi krzesła zaszurały na deskach podłogi, odwróciła pierwszą z siedmiu kart.

Maria opadła z jękiem na krzesło i zamknęła oczy.

- To powinien być Armand - szepnęła, żegnając się.
- Są bliźniakami, *signoral* To powinno być jego przeznaczenie.

Stara dama zerknęła na towarzyszkę z ukosa.

- Owszem, powinno, *si* - powtórzyła. - Ale nie jest. Widzisz to równie dobrze jak ja. I widziałaś wcześniej. Po wielokroć. Za każdym razem karty wskazują to samo. *La Regina di Spade*. Zawsze jedna z siódemki.

- Królowa mieczy - przetłumaczyła dziewczynka, wyciągając rękę, by dotknąć karty wyobrażającej kobietę w szkarłatnej sukni i złotej koronie, dzierżącą w prawej dłoni miecz o złoconej rękojeści. - To ja jestem tą królową, babciu?

- *Si, cara mia*. - Staruszka uśmiechnęła się z przymusem. - Uosobienie prawości i honoru.

- Ale ona jest dziewczynką - zaprotestowała Maria, mnąc w dłoniach koronkową chusteczkę.

- Królowa zwykle nią jest - odparła stara dama sucho.

- Co się zaś tyczy Armanda, jego przeznaczeniem jest być pięknym i przysporzyć nam bogactw.

- Już jesteśmy bogaci - stwierdziła Maria kwaśno.

- Zatem będziemy jeszcze bogatsi.

- A ja nie jestem piękna, babciu? - spytała dziewczynka z nutką żalu w głosie.

Staruszka potrząsnęła głową. Siwe włosy przesunęły się z szelestem po jedwabnej powłoczce.

- Nie, *cara*, nie jesteś. Masz jednak inne zalety. Dziewczynka wyduła nieco dolną wargę.

- Czy ktoś zechce mnie poślubić, babciu? - spytała.

- Słyszałam, jak Nellie szeptała do Nate'a, że ty z pewnością to wiesz.

- Cóż, Nellie to głupiutka pomywaczka. - Maria machnęła lekceważąco dłonią.

- *Si*, Nellie jest *un imbecille* - przytaknęła stanowczo staruszka. - Zaś Nathaniel powinien zaprzestać flirtowania. Ale tak, dziecko, wyjdiesz kiedyś za mąż. Poślubisz porządnego, silnego, tokańskiego chłopca. Widziałam to wiele razy w kartach.

- Nie znam żadnych chłopców z Toskanii.

- Och, ale poznasz - powiedziała stara kobieta, wymachując kartą. - Widzisz, on tu na ciebie czeka. Na ciebie, Anais, i na żadną inną. Książę pokoju w szkarłatnym płaszczu, *le Re di Dischi*.

- Król pentakli - podpowiedziała Maria cicho.

- *Si*, mężczyzna o wielkiej sile wewnętrznej, dzierżący w dłoni przyszłość. - Staruszka zwróciła na dziewczynkę spojrzenie czarnych oczu. - Tutaj, widzisz? Twój książę przekroczył granice tego, co mistyczne, i jest teraz silny i spokojny. Twoim przeznaczeniem jest być mu partnerką. Towarzystwą.

Dziewczynka skrzywiła się.

- Nie rozumiem, babciu.

- Oczywiście, że nie - wymamrotała stara kobieta.

- Okaż cierpliwość, dziecko. Kiedyś zrozumiesz. - Nie wdając się już w wyjaśnienia, odwróciła ostatnią kartę i zaczęła przemawiać głosem z lekka nieobecnym. - Ach, Catulo. - Ciepło zniknęło z jej tonu. - Karta uosabiająca zwycięstwo, które nie przyszło łatwo. Będziesz wybierać ostrożnie swoje bitwy i nosić dumnie blizny.

Maria odwróciła wzrok.

- *Dio mio!* - wyszeptała.

Stara zignorowała ją i odwróciła kolejną kartę.

- *Dischi* - powiedziała. - Szóstka pentakli. Czeka cię sporo pracy, *cara mia*. Będziesz musiała dużo się nauczyć. Przejść wiele przeobrażeń. Musisz zostać ukształtowana, nim będziesz mogła przekroczyć białe wrota prowadzące do następnego życia.

- Ale ten mężczyzna to kowal - zauważyła Anais.

- Widzisz? Uderza w kowadło.

- *Si*, przekuwa lemiesz w miecz - stwierdziła Maria gorzko. - Zastanów się, co robisz, Sofio! To nie jest życie dla damy, angielskiej damy.

Stara kobieta zwróciła na kuzynkę spojrzenie czarnych jak paciorki oczu.

- A czy mam jakiś wybór, Mario? - spytała ostro.

- Widziałaś nie raz, co pokazują karty. Bóg przydzielił temu dziecku ważne zadanie. Coś, do czego została przeznaczona. Odwróć następną kartę, Anais.

Dziewczynka posłuchała. Nowa karta ukazywała anioła chowającego do wielkiego kufra złote krążki.

- *Dischi* - wymamrotała staruszka. - A następna? Anais odwróciła kolejną. Maria westchnęła i zwinęła chusteczkę w ciasny węzeł.

- Wojownik Venturio - stwierdziła stara kobieta z nutką nieuchronności w głosie. - Ach, Anais, zaczynasz długą podróż.

- Ale dokąd, babciu? - spytała dziewczynka, zerkając podejrzliwie na karty. - Pojedziesz tam ze mną?

Stara kobieta milczała przez chwilę. Wyrzuty sumienia rozrywały jej serce.

- Nie, pojedzie Maria - odparła w końcu, opadając na puchate poduszki. - Ja nie mogę. Niech Bóg mi wybaczy.

Maria wbiła w nią gniewny wzrok.

- Babciu - wyszeptowała dziewczynka. - Czy ty umierasz?

- Nie, nie, *bella* - uspokoiła ją staruszka. - Nie umrę jeszcze przez kilka lat, chyba że Bóg zmieni w tej kwestii zdanie. - Z jej piersi dobyło się drżące westchnienie.

- Powinnyśmy odwrócić resztę kart.

- Nie ma takiej potrzeby - wtrąciła Maria. - Podjęłaś już decyzję, *signora*.

- Nie ja, kuzynko. To los zdecydował. - Staruszka zamknęła oczy. Dłonie opadły jej bezwładnie na koldrę.

- Jutro napiszesz do Giovanniego Vittoria, Mario. Jako mój krewny jest mi to winien. Powiadomisz go o tym, co postanowiono. Które dziecko zostanie oddane. Obiecuj, że to zrobisz.

W pokoju zapadła nabrzmiała znaczeniem cisza.

- Dobrze - powiedziała w końcu Maria. - Napiszę. Ale obciąży to twoje sumienie.

- *Si* - przytaknęła stara kobieta ze smutkiem. - Niech i tak będzie.

Rozdział 1

*Tylko oświecony władca i mądry generał
wykorzystają najtęższe umysły
w armii do celów szpiegowskich.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Nad Wapping zapadła noc, otulając je ciszą, i tylko pasma mgły snuły się niczym leniwe koty wokół masztów statków przycumowanych w londyńskim porcie. Pomimo późnej pory rytmiczny chlupot przesuwających się ponad mułem i żwirem fal zaświadczał o odpływie, pozwalając domyślać się ukrytego pod wodą skrawka łądu.

Na nabrzeżu lord Bessett przydeptał ogarek cygara, a potem podniósł kołnierz płaszcza, aby ochronić twarz przed ostrym, cuchnącym powiewem nadpływającym znad Tamizy. Chociaż zrobiło mu się cieplej, smród zgnilizny pozostał.

Dzięki Bogu, noc była chłodna. Woda uderzyła mocniej o brzeg, odsłaniając na chwilę śliski od alg, pozieleniały stopień. I właśnie wtedy czujnych uszu Bessetta dobiegł jakiś dźwięk. Lord poderwał głowę i się rozejrzał, niczego jednak nie zauważył. Niczego, poza pobłyskującymi w oddali latarniami na burtach statków: przymglonymi żółtymi smugami podskakującymi na wodzie w rytm ruchu fal oraz niesionymi wiatrem wybuchami ochryplego śmiechu.

A potem z mroku wynurzył się niespodziewanie milczący niczym grób wioślarz. Prowadził łódź skrajem rzeki, póki dno nie zaszurało o brzeg. Kościsty, drżący palec wskazał stopnie. Pasażer łodzi - wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w długim, ciemnym płaszczu - wyprostował się, rzucił w powietrze kilka połyskujących monet i wskoczył ciężko na najniższy stopień.

Przewoźnik zniknął we mgle równie cicho, jak się pojawił, ewidentnie zadowolony, że zdołał ująć z tej przygody cało.

Bessett pochylił się ku schodom i zachowując czujność, wyciągnął do nieznajomego dłoń. Mężczyzna, spowity mdłym blaskiem lampy, przyjął zaoferowaną pomoc. Wspinał się z trudem po stopniach i wyszedł na chodnik, postępując ze zmęczenia.

Nie jest więc młody, pomyślał Bessett.

Mężczyzna odwrócił się i na jego twarz padło światło zawieszanej na balkonie pubu lampy. Był znużony i sterany, z małymi oczami o twardym spojrzeniu i nosem sterczącym z twarzy niczym pękata kiełbaska. Niezbyt zachęcający obraz uzupełniała paskudna blizna, ciągnąca się od szczęki przez usta i zniekształcająca dolną wargę.

Nic dziwnego, że przewoźnik się wystraszył.

- Ładną mamy dzisiaj pogodę, czyż nie? - zagaił Bessett.

- *Oui*, słyszałem jednak, że w Marsylii wciąż pada.

- Głos był szorstki, z mocnym akcentem, niewątpliwie francuskim.

Bessett odprężył się, choć tylko odrobinę. Hasło było prawidłowe, lecz nadal mogły pojawić się kłopoty - a on nie ufał do końca Francuzom. Nigdy.

- Jestem Bessett - powiedział po prostu. - Witamy w Londynie.

Mężczyzna położył ciężką dłoń na prawym ramieniu Bessetta.

- Niech twoje ramię, bracie, będzie niczym prawa ręka Boga - rzekł nieskazitelną łaciną. - A twoje dni poświęcone Bractwu i służbie Panu.

- I twoje także - zrewanżował się Bessett. - Nie wyczuwając zagrożenia, puścił rękojeść sztyletu, ścisną dotąd w kieszeni. - Zatem, DuPont - kontynuował

- pańska reputacja pana wyprzedza.

- Na tę reputację zasłużyłem dawno temu - odparł Francuz. - Gdy byłem młodszy.

- Ufam, że podróż przebiegła spokojnie?

- *Oui*, to była łatwa, szybka przeprawa. - Pochylił się ku Bessettowi. - Dużo słyszałem o nowym bezpiecznym domu, który tu utrzymujecie. Nawet we Francji doceniają wasze starania.

- To nie tylko bezpieczny dom, ale coś o wiele większego. - Wskazał wąskie przejście prowadzące z Pelican Stairs na Wapping High Street. - Postanowiliśmy odbudować zakon. Działamy praktycznie na widoku, jako swego rodzaju stowarzyszenie intelektualne.

Gość prychnął z typowo galijską pogardą.

- *Bonne chance, mon frere* - powiedział, wstępując w krąg światła gazowej lampy. - Jak wiesz, we Francji nie jesteśmy aż tak odważni, lecz mamy po temu dobry powód.

Bessett uśmiechnął się słabo.

- Wiem, o czym mówisz, DuPont. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy polityczne niepokoje we Francji kiedykolwiek ucichną.

Francuz uniósł potężne ramię.

- Nie za mojego życia - odparł z przekonaniem. - I wasze wysiłki tutaj, w Londynie, tego nie zmienią.

- To smutne, lecz ma pan zapewne rację - zgodził się z nim Bessett. - Co zaś się tyczy domu, siedziby Towarzystwa Świętego Jakuba, każdy brat z *Fraternitas Aureae Crucis*, podróżujący po Anglii, będzie tam mile widziany. Nawet ci, którzy nie są zwolennikami zjednoczenia.

- *Merci*, ale nie wolno mi zwlekać. - Francuz wzruszył niepewnie ramionami. - Zatem, mój nowy bracie, czy się przejdziemy? A może masz tu gdzieś powóz?

Bessett skinął głową w kierunku pobliskiego budynku.

- Stowarzyszenie przybyło do pana, DuPont. Czekają w środku.

Jakby na dany znak, drzwi pubu otwały się, ukazując parę krzykliwie ubranych nocnych ciem i podtrzymującego je młodego porucznika marynarki. Wydawał się bogaty, zawiany i więcej niż chętny - marzenie każdej prostytutki.

Francuz przyglądał im się przez chwilę szacująco, a potem prychnął z pogardą.

-Ach, *mon frere*, życie jest wszędzie takie samo, czyż nie?

- Tak, a ten młodzieniec jeszcze przed dniem Wszystkich Świętych będzie piszczał z bólu przy sikaniu, tak go te damy urządzają. Chodźmy, DuPont. Brandy jest tutaj całkiem znośna.

W głównej sali pubu panował ścisk. Wokół zniszczonych stołów o porżniętych nożami blatach kłębił się tłum mężczyzn pracujących w dokach. Młode kobiety lawirowały pomiędzy ławami, nosząc z wprawą ciężkie tace i kufle. Latarnicy, cieśle okrętowi, marynarze wszelkich narodowości - a nawet paru okrętowych krezusów - wszyscy ci ludzie lądowali wcześniej czy później w pubie, oferującym gorący posiłek, uczciwy kufel piwa oraz wesołe towarzystwo.

Bessett przedzierał się przez ciżbę, prowadząc za sobą mężczyznę, który przedstawił się jako DuPont. Okrążyli bar i weszli do spokojniejszego pomieszczenia, gdzie stoły ustawiono wzdłuż okien wychodzących na port.

Trzej koledzy Bessetta wstali i uścisnęli przybyszowi dłoń. Lecz Bessett znał ich dobrze, dlatego dostrzegł ukryte pod pozorem serdeczności napięcie, odwieczną czujność, widoczną w ruchach i spojrzeniach. Choć DuPont był członkiem Bractwa, przybywał jako wysłannik Konfederacji Galijskiej, wielce utajnionej i trzymającej się swoich zasad.

- Witamy w Anglii, *monsieur*. - Przywódca i kapłan Bractwa, wielebny Sutherland, wskazał DuPontowi wolne krzesło. - Miło mi poznać brata zza wody. A oto moi towarzysze: Ruthweyn i Lazonby. - Wymieniono uściski dłoni, po czym Ruthveyn przywołał jedną z dziewcząt i kazał podać butelkę brandy.

- Zatem, DuPont, katoliccy ziomkowie z Paryża donieśli mi, że szykują się kłopoty - zaczął Sutherland, gdy przyniesiono brandy oraz szklaneczki. - Czy właśnie to cię sprowadza?

DuPont upił łyk trunku i skrzywił usta. Odstawił szklanę.

- *Oui*, dziecko dostało się w niepowołane ręce - powiedział. - Potrzebujemy waszej pomocy.

- Dziecko? - Mroczne spojrzenie Ruthveyna stwardniało. - To znaczy Dar?

Francuz potarł brodę szorstką od jednodniowego zarostu.

- Na to wygląda - przyznał. - Choć dziecko nie skończyło jeszcze dziewięciu lat, okoliczności są... niepokojące.

- W jakim sensie? - Lord Lazonby, mężczyzna barczysty i odziany w mało wykwintny strój, oparł się wygodnie na krześle, rozstawił szeroko nogi w wysokich butach i ją! obracać w palcach szklaneczkę. - Czy Strażnicy z Paryża nie są już w stanie zająć się swoimi podopiecznymi?

DuPont się zjeżył!

- Jak wam zapewne wiadomo, w kraju panuje chaos - prychnął. - Nasz król przebywa tutaj na wygnaniu i nawet w tych oświeconych czasach z trudem udaje się powstrzymać motłoch, by nie uruchomił znowu *madame le Guillotine*. Nie, drogi lordzie. Nie zawsze udaje nam się zapewnić bezpieczeństwo naszym podopiecznym. W rzeczy samej często boimy się o własne życie.

Ruthveyn rozpostarł na stole ciemne dłonie o długich palcach.

- Wystarczy - rozkazał. - Bądźmy wobec siebie uprzejmi. Powiedz nam, DuPont, co się wydarzyło. Tylko szybko. Nie mam zbyt wiele czasu.

- Tak, za kilka dni się żenisz, staruszkule - wtrącił Lazonby, nie przejmując się przyganą. - A potem wyruszysz do domu, do Kalkuty. Chyba wiem, komu przypadnie to zadanie.

- Rzeczywiście - odparł Rutlweyn sztywno. - Jak nazywa się dziecko i jak oceniacie jego dar?

- To dziewczynka. Nazywa się Giselle Moreau. Co zaś się tyczy drugiego pytania, jej dar jest wystarczająco mocny, by należało się o nią obawiać. Prawdę mówiąc, występuje on często w rodzinie jej ojca. Matka, Charlotte, jest Angielką.

- Angielką? - zapyta! Ruthveyn ostro. - Z jakiej rodziny?

- To zbiedniała szlachta z okolic Colchester - wyjaśnił Francuz. - Zebrali dość pieniędzy, by wysłać córkę do szkoły w Paryżu, a ona odwdzięczyła się im, poślubiając urzędnika niższego sortu, zatrudnionego na dworze. To nieprawdy syn wicehrabiego de Lezennes. Od tego czasu Charlotte nie utrzymuje bliskich kontaktów z rodziną.

- Wydziedziczyli ją?

- Na to wygląda.

- Lezennes? - Lord Bessett wymienił z Sutherlandem pełne zakłopotania spojrzenie. - Słyszałem już to nazwisko. Często znajduje się w centrum dworskich intryg, prawda?

DuPont przytaknął.

- Zawsze w pobliżu, lecz nie na tyle blisko, by można go było o cokolwiek oskarżyć. Przetrwiał upadek Ludwika Filipa, a teraz wdzięczy się do bonapartystów, choć mówi się po cichu, że pozostał tak naprawdę legitymistą i teraz knuje, jak by przywrócić *Ancien Regime*, stary porządek.

- A pańskim zdaniem? - zapytał władczo Bessett. Francuz wzruszył ramionami.

- Myślę, że to karaluch, a karaluchy przetrwają wszystko. Jego polityczne machlojki mało mnie obchodzą. Wziął jednak pod swoje skrzydła tę Angielkę po to, by móc posłużyć się jej dzieckiem, a to już inna sprawa. Teraz wywiózł obie do Brukseli, gdzie przebywa jako wysłannik na dworze króla Leopolda.

Bessett zacisnął bezwiednie dłonie.

- Z jednej politycznej zawieruchy w drugą - wymamrotał. - Nie podoba mi się to. Właśnie czegoś takiego chcielibyśmy w przyszłości uniknąć, dlatego zamierzamy zjednoczyć Bractwo.

- Rozumiem, ale mówimy tu o Francji - odparł DuPont spokojnie. - Tam nikt nikomu nie ufa. Bractwo w Paryżu

- takie, jakim jest teraz - przeżywa trudny okres. A Lezen-nes raczej nie słynie z dobroci serca. Jeśli przyjął pod swój dach dziecko, nie uczynił tego bezinteresownie, lecz dla własnych celów, a nie są one z pewnością dobre. Właśnie dlatego mnie przysłano. Musicie odzyskać dziecko.

- Oczywiście, będziemy chcieli pomóc - zapewnił Sutherland. - Ale dlaczego akurat my?

- Jak powiedziałem, matka dziewczynki jest Angielką

- odparł DuPont. - Wasza królowa życzy sobie, by jej poddani byli chronieni także za granicą. Ustanowiono w tej kwestii pewne prawa.

- Cóż... nie bardzo się na tym znam - odparł Ru-thveyn ostrożnie.

Francuz uniósł aroganckim gestem brwi.

- Nie jest pan dla nas kimś nieznanym, lordzie Ru-thveyn - powiedział.

- Podobnie jak pańskie działania w Hindustanie. Cieszy się pan łaską królowej i znajduje u niej posłuch. Leopold to jej ukochany wuj. Czy naprawdę chcecie ukarać Konfederację Galijską za to, że trzyma się z dala, kiedy prosimy jedynie, byście wykorzystali swoje wpływy i ocalili obdarzone Darem dziecko przed tym, by wychowywał je diabeł? I wykorzystał do niecznych celów?

- Oczywiście, że nie. - Głos Rutłweyna brzmiał surowo. - Nikt z nas tego nie chce.

- Ale co z mężem tej kobiety? - zapytał władczo Bessett. DuPont zacisnął zniekształcone wargi.

- Moreau nie żyje - odparł po chwili. - Zginął dwa tygodnie po abdykacji króla. Został wezwany nocą do biura w pobliżu pałacu - nie wiadomo, przez kogo - i dra-

perie w pokoju zajęły się ogniem. Okropna tragedia. Nikt nie wierzy, że był to wypadek. Lord Ruthveyn zeszywniał.

- Ten zmarły... był Strażnikiem?

- *Oui*. - Głos Francuza brzmiał teraz jak szept. - Mężczyzna obdarzony niewielkim Darem, ale serdeczny i dzielny. Bardzo go nam brakuje.

- Był blisko z wujem?

Gorzki uśmiech DuPonta nabrał jeszcze większej goryczy.

- Ledwie się znali - powiedział - póki na dworze nie zaczęły krążyć plotki o niebywałym talencie małej Giselle.

- Boże, została odkryta? - zapytał Bessett. Francuz westchnął głęboko.

- Jak to mawiacie? - wymamrotał. - Z ust maluczkich...? Mała Giselle, nie wiedząc, co robi, przepowiedziała abdykację Ludwika Filipa, i to publicznie, w obecności połowy dworu.

- O Boże. - Pan Sutherland ukrył twarz w dłoniach. - Jak coś takiego mogło się wydarzyć?

- Doszło do tego podczas pikniku w królewskich ogrodach - wyjaśnił Francuz. - Zaproszono osoby pracujące na dworze i ich rodziny, a właściwie, polecono im przyjść. Król postanowił skorzystać z okazji i ukazać się poddanym. Niestety, podszedł wprost do madame Moreau i ujął dziewczynkę pod brodę. Spojrzał jej w oczy i nie odwrócił wzroku.

Bessett i Ruthweyn jęknęli jednym głosem.

- Potem było jeszcze gorzej - wyrzucił z siebie DuPont. - Zapytał małą, dlaczego spogląda ze smutkiem w tak piękny dzień. A kiedy nie zareagowała, jął droczyć się z nią, mówiąc, że jako król nakazuje jej odpowiedzieć. Mała Giselle wzięła to dosłownie i przepowiedziała nie tylko upadek monarchii lipcowej. Powiedziała również, że król poniesie też drugą bolesną stratę, gdyż jego córka, Ludwika Maria, wkrótce umrze.

- Wielki Boże, królowa Belgii?
- Tak, ponoć to też sprawka Ludwika Filipa - kontynuował DuPont. - Zażyczył sobie, by jego córka została żoną Leopolda, jeśli Francja ma uznać niepodległość Belgii.
- Sądziłem, że to jedynie plotki - zauważył Rutłweyn.
- Cóż, być może. - Francuz rozłożył z emfazą dłonie.
- Jednak francuska armia się wycofała, morganatyczną żonę Leopolda odsunięto, a Ludwika Maria zasiadła na belgijskim tronie. Teraz mówi się, że z każdym dniem słabnie.
- Zatem kolejna przepowiednia dziecka się sprawdza
- szepnął Bessett.
- Podobno to suchoty - powiedział DuPont. - Królowa nie dożyje zapewne końca roku, a kochanka Leopolda już powiększyła swoje wpływy.

Lodowaty chłód zmroził serce Bessetta. Tego Strażnicy obawiali się najbardziej: wykorzystania najsłabszych spośród *vateis* - starożytnej sekty wieszczów i jasnowidzów, której większość stanowiły kobiety i dzieci.

Zli ludzie od zawsze próbowali kontrolować Dar, zawładnąć nim dla samolubnych celów. Właśnie dlatego organizacja nie mogła zaprzestać działalności. Czymkolwiek było Bractwo Złotego Krzyża w mrocznych, celtyckich czasach, na przestrzeni wieków wyewoluowało, stając się swego rodzaju zakonną milicją, powołaną, by bronić swoich. Jednak współczesność osłabiła mocno strukturę Bractwa oraz determinację jego członków. Dlatego to dziecko - ten Dar - znalazło się w niebezpieczeństwie. Coś takiego nie powinno było w ogóle się wydarzyć.

DuPont kontynuował, jakby potrafił odczytać myśli Bessetta.

- Lezennes może zrobić tysiąc niebezpiecznych rzeczy, *mon freres*, aby wzmocnić swą władzę i wpływy - powiedział półgłosem. - Spiskować ze starymi Burbonami, rozniecić na kontynencie płomień rewolucji, a może nawet skłócić Anglię z Leopoldem... Na samą myśl kręci

mi się w głowie! A będzie to jeszcze łatwiejsze, jeśli zdoła przewidzieć przyszłość, na przykład za pośrednictwem jakiejś niewinnej duszyczki.

- Sądysz, że zabił bratanka... - Lodowata pięść strachu ścisnęła trzewia Bessetta, póki lęk nie zmienił się w zimny gniew.

- Wiem, że to zrobił - stwierdził Francuz ponuro.

- Chciał dopaść Giselle. Teraz mieszka pod jego dachem, zależna od samozwańczego opiekuna. Nasz człowiek w Rotterdamie wysłał tam szpiegów, ale żadnemu nie udało się dostać do środka. Jednak Lezennes przygotowuje już dziecko, to rzecz pewna.

- Pracuje pan z van de Veldem? - zapytał Sutherland.

- On potrafi załatwiać takie sprawy.

- Rzeczywiście, można na nim polegać - zgodził się Francuz. - Jego szpiegzy donieśli ostatnio, że Lezennes zaleca się do żony bratanka.

- Boże, zamierza poślubić angielską wdowę? - spytał Ruthweyn, zaszokowany. - Ale... co z powinowactwem i prawem kanonicznym? Co na to Kościół?

Znów to galijskie wzruszenie ramionami.

- Lezennes nie przejmuje się opinią Kościoła - odparł DuPont. - Poza tym, Moreau był dzieckiem nieślubnym. Czy istnieją w ogóle jakieś dokumenty zaświadczające, kto był jego ojcem, których nie można byłoby spalić albo sfalszować? Kto zna prawdę o jego pochodzeniu? Zapewne nikt, żony nie wyłączając.

- Sprawa wygląda coraz gorzej - zauważył Sutherland. Westchnął głęboko i przesunął spojrzeniem wokół stołu.

- Panowie? Co proponujecie?

- Porwać małą i będzie po wszystkim - zasugerował lord Lazonby, podążając spojrzeniem za przechodzącą dziewczką. - Przywieźć ją do Anglii, za pozwoleniem królowej oczywiście.

- Praktyczne, lecz bardzo niemądre - ocenił Ruthveyn. - Co więcej, królowa nie mogłaby usankcjono-

wać tak rażącego pogwałcenia zasad dyplomacji. Nawet dla jednej z *vateis*.

- Nie będzie to miało znaczenia, jeśli nie zostaniemy przyłapani, prawda, staruszkę? - zareplikował Lazonby podejrzenie nieobecny tonem. Wzrok miał utkwiony w drzwiach. Nagle odsunął krzesło. - Wybaczcie, panowie. Obawiam się, że muszę was opuścić.

- Boże, człowieku - Bessett obrzucił przyjaciela mrocznym spojrzeniem. - To dziecko znaczy chyba więcej niż rozkołysany tyłeczek jakiejś dziewczki, trzeba przyznać, całkiem zgrabny.

Lazonby, który zajmował miejsce przy końcu stołu, położył dłoń na ramieniu Bessetta i pochylił się ku niemu.

- Wygląda na to, że byłem śledzony - powiedział cicho. -1 to nie przez napaloną dziewczkę. Zdecyduj w moim imieniu, a ja wyjdę i postaram się, by psy straciły trop.

Co powiedziawszy, wymknął się z sali i wtopił w tłum w większym pomieszczeniu.

- Co, u licha? - Bessett spojrział przez stół na Ruthveyna.

- Do diabła - zaklął ten ostatni, obserwując salę kątem oka. - Nie odwracaj się. To ten dziennikarz z piekła rodem.

Nawet Sutherland wymamrotał pod nosem przekleństwo.

- Ten z „Chronicie”? - zapytał Bessett z niedowierzaniem. - Jak dowiedział się o DuPoncie?

- Nie sądzę, by się dowiedział. - Rutłweyn z błyskiem poirytowania w oczach odwrócił głowę. - Ale jak dla mnie zbyt gorliwie interesuje się Towarzystwem.

- A zwłaszcza Rance'em - poskarżył się Bessett. - Co do tego ostatniego, zaczynam się zastanawiać, czy ta gra me przypadła mu aby do gustu. Co powinniśmy zrobić?

- Na razie nic. Rance przyłączył się do grających przy kominku w kości i posadził sobie na kolanach jedną z dziewczek. Coldwater nadal przepytuje barmana. Nie widział żadnego z nas.

- Niech Rance dostarczy mu zajęcia i dopilnuje, by tak pozostało - zasugerował Sutherland. - Wracając do sprawy, proszę nam powiedzieć, czego dokładnie się po nas spodziewacie.

Francuz zmrużył oczy.

- Wyślijcie do Brukseli Strażnika, by przejął dziewczynkę - powiedział. - Lezennes nie zna żadnego z was. Pozwoliliśmy sobie wynająć dom niedaleko pałacu królewskiego, bardzo blisko siedziby Lezennesa, i rozpowie-dzieć, że wkrótce zamieszka w nim angielska rodzina. Służący już go przygotowują, zaufani z naszych domów w Rotterdamie i Paryżu.

- A co potem? - zapytał Bessett. - Nie możemy, jak proponował Lazonby, zabrać dziecka od matki. Nawet my nie jesteśmy aż tak okrutni.

-*Non, non*, musicie przekonać matkę. - Głos Francuza był teraz miękki niczym jedwab. - Zaprzyjaźnić się z nią. Przypomnieć jej Anglię i to, jak szczęśliwe życie mogłaby tam wieść. Zasugerować, że pojednanie z rodziną jest możliwe. A jeśli wszystko zawiedzie i okaże się, że Lezennes zdołał ją sobie w pełni podporządkować, porwicie obie.

- Porwicie? - powtórzył Sutherland. DuPont pochylił się nad stołem.

- Mój prywatny klipper zmierza już do Ramsgate. Załoga to oddani, silni mężczyźni. Statek zabierze was po cichu do Ostendy i będzie tam na was czekał.

- To jakieś szaleństwo - skomentował Bessett. - Poza tym, jeśli Lezennes zamierza poślubić kobietę - i jeśli jest tak sprytny, jakim go przedstawiacie - nie dopuści, by ktokolwiek się z nią zaprzyjaźnił.

- Na pewno żaden z was - przytaknął DuPont, znużony. - Może pańska żona? Ktoś, kto będzie w stanie...

- Żaden z nas nie jest żonaty - oznajmił Bessett - To znaczy, Rutłweyn wkrótce będzie, lecz zaraz potem wyjeżdża.

- Więc może siostra. Lub matka. - DuPont zamachał niecierpliwie dłonią. - *Mon Dieu*, co to ma za znaczenie? Potrzebujemy kobiety, która zdoła pozyskać jej zaufanie

i tyle. '

- To także nie wchodzi w grę - powiedział Ruthveyn

- Siostra Bessetta to niemal dziecko. Mojej trudno byłoby uchodzić za Angielkę, poza tym ma dwójkę małych dzieci Lazonby to żołnierz i brakuje mu subtelności. Posługujemy się nim tylko, gdy trzeba siłą zmusić kogoś do uległości

- A może wynająć aktorkę? - wtrącił pan Sutherland

- Lub Maggie Sloane? Czy ona nie jest... hmm, kobietą interesu?

Bessett i Rutłweyn wymienili spojrzenia.

- Można zaufać ojczulkowi, że zasugeruje wynajęcie luksusowej, prostytutki - stwierdził sucho Bessett

- Choć z drugiej strony, Maggie czasami trochę gra.

- Na pewno za każdym razem, gdy Quartermaine idzie z nią do łóżka - zauważył złośliwie Ruthveyn.

- Do licha, Adrianie, to było naprawdę wredne. - Bessett uśmiechnął się do przyjaciela. - Nawet Ouartermaine nie zasługuje na tak złośliwą uwagę, chociaż prowadzi tuz pod naszym nosem jaskinię hazardu. Poza tym me użyczyłby nam Maggie. Ale tak, ktoś taki jak ona . Jak trudne mogłoby się to okazać?

- Ach, *tant mieux!* - DuPont, któremu wyraźnie ulżyło, wsunął wielką łapę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął gruby plik papierów. - Tu są wszystkie informacje, jakich moglibyście potrzebować, *mon freres* Adres domu. Lista służących. Szczegóły historyjki, jaką rozposzechniliśmy. Kompletne dossier Lezennesa i madame Moreau. Nawet szkice.

Bessett wziął plik i jął przeglądać papiery. Rutłweyn i Sutherland zaglądali mu przez ramię. Trzeba przyznać

Strażnikom z Paryża, że się postarali, pomyślał Bessett. Robota została wykonana nader dokładnie.

- *Sztuka i architektura Belgii* - wymamrotał. - Taki miałby być cel wyprawy waszego Anglika?

Francuz wzruszył ramionami.

- Czyż wielu Anglików nie jest dyletantami? - zauważył. - Polityka byłaby zbyt skomplikowana, i zbyt niebezpieczna. Człowiek interesu nazbyt burżuazyjny, aby Le-zennes zechciał się z nim zadawać. *Alors, c'ôz* bardziej nieszkodliwego niż bogaty, znudzony arystokrata, który przyjechał się rozejrzeć i wykonać kilka szkiców?

- Wygląda mi na to, że to zadanie dla ciebie, stary.

- Rutłweyn spojrzał na Bessetta, uśmiechając się ledwie dostrzegalnie.

- Ten tu oto Bessett jest naszym architektem, DuPont. Zjeździł całe Włochy, Francję oraz północną Afrykę, wykonując piękne szkice, a potem wykorzystując je przy projektowaniu.

Sutherland potarł szczękę.

- Rzeczywiście, wydaje się, że padnie na ciebie, Geoff

- rzekł. - Kiedy przedrzemy się już przez te notatki, będziemy głośować.

- Ty musisz przygotować ceremonię inicjacji - przypomniał mu Rutłweyn. - Daj mi papiery, przejrzę je dziś wieczorem.

Bessett wstał i odsunął krzesło, miotany sprzecznymi emocjami. Choć nie znał prawie Brukseli, podejrzewał, że pobyt z dala od Londynu dobrze mu zrobi. Ostatnio prześladowało go uczucie ciągłego niepokoju, a od czasu do czasu także tęsknota za dawnym życiem.

Przed kilkoma zaledwie laty - nim śmierć brata przewróciła wszystko do góry nogami - musiał zarabiać na utrzymanie. Teraz żył głównie z pracy innych, konsumując gorzkie nieraz owoce ich trudu. Choć wiedział o istnieniu Bractwa niemal od dziecka - poznał jego cele i reguły dosłownie na kolanach babki - nie poświęcił im się w pełni aż do tragicznej śmierci Alvina.

Może sam stał się bogatym, znudzonym arystokratą? Boże Świąty! Zbyt niesmaczne, by się nad rym zastanawiać.

Cokolwiek go dręczyło, nadarzała się okazja by przed tym uciec. Misja w Brukseli, podjęta ze szlachetnych pobudek dla dobra Bractwa, zapewniała możliwość ucieczki od ograniczającej roli lorda Bessetta. Szansę by pobyć znowu, choćby i przez krótki czas, zwyczajnym starym Geoffem Archardem.

Ruthveyn wyjął z kieszonki złoty zegarek.

- Obawiam się, panowie, że ja też muszę już was opuścić - powiedział.
- Lady Anisha spodziewa się mnie na kolacji.
- Nie możemy pozwolić, by twoja siostra czekała
- Bessett wsparł dłonie na stole, podkreślając tym gestem, że decyzja została podjęta. - Doskonale, DuPont mamy pańskie wskazówki. Jeśli jeszcze nasuną się jakieś pytania, wyślemy kogoś do Paryża. Hasło to samo co dziś.

- Bardzo was proszę, nie zwlekajcie - doradził DuPont.

- „Jolie Marie” będzie cumowała w Ramsgate jeszcze przez tydzień. Zachęcam, byście szybko z niej skorzystali

- W rzeczy samej! - Sutherland uśmiechnął się dobrodusznie. - Cóż, panowie, ja też powinienem już iść. Przyjmujemy dzisiaj nowego akolitę, panie DuPont. Jeśli chciałby pan zostać, mogę pożyczyć panu szatę.

Lecz Francuz potrząsnął jedynie głową i wstał.

- *Merci*, lecz muszę jeszcze spotkać się z przyjacielem w St. Katherine, a potem ruszam natychmiast do Hawru

- Odwrócił się i podał wielką łapę Bessettowi. - *Bon voyage*, lordzie Bessett *et bonne chance*.

- Dziękuję - odparł Geoff spokojnie. A potem pod wpływem impulsu, położył dłoń pomiędzy szerokimi łopatkami Francuza. - Chodźmy, DuPont. Okolica nie jest zbyt bezpieczna. Odprowadzę pana do doków.

Francuz rozciągnął wargi w krzywym uśmiechu.

- *Tres bien, mon frere* - powiedział - skoro sądzisz, że mój wygląd to za mało, by odstraszyć angielskich rzezimieszków...

* * *

Maria Vittorio przybyła do dzielnicy doków sporo po zmroku, tłukąc się w olbrzymim miejskim powozie, który wyglądał, jakby mógł pomieścić pół batalionu. Niestety, nie miała takiej osłony i musiała zanurzyć się w podziemny światek Londynu ochraniana jedynie przez woźnicę oraz lokaja - niemal równie wiekowych jak ona. Jednak przez lata wszyscy oni przywykli do siebie i dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Signora Vittorio znana była z niechęci do zmian.

U wylotu Nightingale Lane powóz zatrzymał się gwałtownie. Zabrzęczała uprząż. Dało się słyszeć kilka okrzyków, a potem Putnam, lokaj, podszedł z wolna do drzwiczek i je otworzył.

- Powiadają, że „Sarah Jane” rozładowywana jest od strony Burr Street, *madame* - powiedział skrzeczącym głosem. - Dotarliśmy już niemal do King George, tyle że zakręt blokuje wozy przewożące beczki z piwem i Bóg wie, co jeszcze.

Signora Vittorio podniosła się ciężko z ławeczki.

- Zawróćcie u szczytu alejki i zaczekajcie. Przyślę tragarza z bagażami.

- Tak, *madame*. - Lokaj pociągnął za pukiel włosów nad czołem. - Jest pani pewna? Wieczór mamy chłodny, no i podnosi się mgła.

- Tak, tak, idź już - odparła, machając dłonią w skórzanej rękawiczce.
- Moje kolana i tak są w lepszym stanie niż twoje.

Wygramoliła się z powozu i stanęła na krótkich, mocnych nogach. Putnam pomógł jej, podtrzymując za łokieć. Kiedy powóz toczył się ku wylotowi alejki, stała

przez chwilę na chodniku, o kilka zaledwie metrów od pubu King George, chłonąc gwar i przyglądając się rozgardiaszowi panującemu na dobrze oświetlonym dziedzińcu.

Kiedy mijała wejście do pubu, niewysoki, żyłasty mężczyzna w podniszczonym zielonym płaszczu wypadł nagle z wnętrza i niemal ją przewrócił. Odzyskawszy równowagę, wyjąkał kpiące przeprosiny, zionąc jej w twarz oddechem przesyconym wonią ginu.

Signora Vittorio zadarła nieco wyżej nos, sięgając instynktownie ręką do naszyjnika z pereł. Minęła pośpiesznie mężczyznę i ruszyła przed siebie, czując na plecach jego wzrok.

- No co, ty tłusta, czarnooka suko! - wrzasnął za nią.

Signora Vittorio się nie odwróciła.

Torowała sobie drogę przez ludzką ciżbę, mijając wozy i konie, a potem skręciła w St. Catherine. Rzeczywiście, „Sarah Jane” stała przycumowana we wschodnim basenie. Na pokładzie znajdował się towar, który należało pilnie dostarczyć. Pomimo późnej pory wyładunek szedł więc pełną parą. Znoszone ze statku paki, skrzynie, worki i baryłki ustawiano na nabrzeżu, zabezpieczając linami i hakami, a potem przenoszono do pobliskich magazynów.

Widząc to, *signora* zadarła jeszcze wyżej nos. Dorastała pośród zielonych winnic i bujnej przyrody Toskanii i nie przywykła nigdy do ponurych, rojnych doków z tawernami, magazynami i tłumem robotników portowych. Prawdę mówiąc, nawet zapach Tamizy sprawiał, że wywracał się jej żołądek.

Czasami wydawało jej się czymś przewrotnym, iż przez małżeństwo weszła do rodziny, która żyła zarówno z wody, jak i z ziemi, ponieważ kilka skrzyń - a tak naprawdę, większość - oznaczona była symbolem Castellich: wielkim, ozdobnym C wypalonym głęboko w drewnie z wieńczącą je koroną z liści winorośli. Jedno spojrzenie na skrzynie i signora Vittorio wiedziała już, że ten ładunek jest szczególnie.

Była to bowiem ostatnia tego roku dostawa *Vino No-bile de Montepulciano*, na którym zbudowano potęgę imperium Castellich. I choć w ciągu ostatnich czterdziestu lat kompania znacznie zróżnicowała swoją ofertę, stare wino, opiewane przez bogów i poetów, nadal trafiało do składów Castellich prosto z doków Livorno, transportowane w

specjalnych klatkach, na statkach wynajmowanych jedynie przez tę rodzinę.

Właśnie wtedy młoda kuzynka zawołała ją, przekrzykując harmider:

- Mario! Mario, tutaj!

Anais stała na przednim pokładzie, machając szaleńczo.

Signora Vittorio uniosła spódnice i ruszyła przez tłum, mijając energicznie paki, dźwigi i brudnych uliczników, czekających tylko, by pobiec z poleceniem albo opróżnić komuś kieszenie, gdyż doki znane były z tego, że raczej nie panuje tam atmosfera zaufania i uczciwości.

Zanim dotarła do kuzynki, Anais stała już na nabrzeżu obok rosnącej góry bagażu, dzierżąc pod pachą skórzaną aktówkę.

- Mario! - zawołała, obejmując kuzynkę za szyję. Signora Vittorio ucałowała ją w oba policzki.

- Witaj w domu, *cara!*

- Dziękuję, że po mnie wyjechałaś - powiedziała Anais. - Wolałabym nie brać tak późno dorożki, a mam zbyt dużo bagażu, by iść piechotą.

- To nie wchodzi w grę! - zawołała signora Vittorio. - Ale „Sarah Jane”? Z pewnością nie przebyłaś całej drogi statkiem, *cara?* Nie jesteś wystarczająco zielona na twarzy.

- Nie? - Anais roześmiała się i ucałowała Marię ponownie. - A jak zielona jestem?

Signora odsunęła się i przyjrzała kuzynce.

- Głównie szarozielona, jak ta pleśń, która rośnie na drzewach.

Anais zaśmiała się znowu.

- To porost, Mario - odparła, przykładając dłoń do brzucha. - Cóż, prawdę mówiąc, jechałam przez Francję, z czego ostatni kawałek pociągiem. W Hawrze spotkałam się jednak z kapitanem Clarkiem, ponieważ przyrzekłam Turnbullowi, że dopilnuję wyładunku. Towar jest cenny, i już sprzedany.

- To Armand powinien się tym zająć - wtrąciła *signora* cierpko. - Zamiast tego twój brat ugania się za nową kochanką po czyjejsz wiejskiej rezydencji.

Anais wzruszyła ramionami.

- Cóż, rzeka była spokojna, a i tak musiałam pokonać kanał - powiedziała, wykręcając szyję, by się rozejrzeć.

- Poza tym, nie wymiotowałam od Gravesend.

- Nie mów tak otwarcie, *cara* - złajęła ją delikatnie *signora*. - Co powiedziałyby na to twoja matka? Catherine to dama. I co tam masz pod pachą?

Anais wyjęła teczkę.

- Papiery dla Turnbulla z biura w Livorno - wyjaśniła.

- Listy, rachunki za fracht, przeterminowane płatności od zbankrutowanego winiarza z Paryża. Clarke właśnie mi je dał. - Zamilkła, by się rozejrzeć. - Gdzie powóz? Masz klucze do biura? Chciałabym zostawić teczkę.

- Mam klucze, *si* - odparła *signora* z wahaniem. - Ale Burr Street była zablokowana. Odesłałam powóz, by objechali przeszkodę i załadowali twoje bagaże.

- Cóż, w takim razie pójdę piechotą. - Anais zdjęła ze szczytu bagaży niewielką skórzaną walizeczkę i wepchnęła do niej teczkę z dokumentami.

- Nie pójdziesz sama - zaprotestowała *signora* Vittorio.

- Mówisz jak głupia gęś. - uśmiechnęła się Anais.

- Wobec tego dotrzyмай mi towarzystwa. Clarke odeśle jutro kufry na Wellclose Square. Gdyby Putnam mógł wziąć trzy mniejsze torby...

Signora wydała kilka zwięzłych poleceń i wkrótce bagaże zostały przeniesione do czekającego z tyłu powozu. Anais nadal ścisnęła w dłoniach torbę, kiedy dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn przepchnęło się koło nich, rozmawiając. Zmierzali ku „Sarah Jane”.

Anais spojrzała w ślad za nimi i powiedziała:

- Boże, to najbrzydszy Francuz, jakiego widziałam.

- Owszem - przytaknęła *signora* - za to ten drugi, ten wysoki - ach, *che bell'uomo*!

- Doprawdy? - Dziewczyna odwróciła się, lecz teraz widoczne już były tylko plecy mężczyzn. - Nie przyjrzałam mu się.

- To żałuj - odparła *signora* cicho, lecz z aprobatą. - Ja to zrobiłam. Jestem co prawda stara, ale jeszcze nie martwa.

Anais się roześmiała.

- Cóż, dostałam swego czasu nauczkę i wyciągnęłam z niej wnioski, prawda, Mario? Taką nauczkę, jaką dostają dziewczęta, zadając się z przystojnymi, uroczymi mężczyznami. Już się im nie przyglądam.

Marii zrzęda mina. Wszelki ślad humoru zniknął z jej oczu, jakby go wiatr zdmuchnął. Anais roześmiała się znowu.

- Och, Mario, przestań - poprosiła. - Gdyby Giovanni żył, zmartwiłby się, widząc te ponure miny. Lepiej się pośpieszmy. Chciałabym już znaleźć się w domu.

Na twarz Marii powrócił uśmiech. Ujęły się pod ramię, po czym, paplając jak sroki, ruszyły zaskakująco zwawym krokiem, mijając paki i beczułki. Opuściły grząski grunt St. Catherine i wyszły na ulice wschodniego Londynu.

Znały dobrze okolice, choć rzadko bywały tutaj po zmroku. Mimo to, kiedy gwar doków ucichł w oddali i otoczyła je ciemność, żadna z kobiet specjalnie się nie przejęła. Mgła nie zdołała stłumić całkowicie blasku księżyca, a Maria wiedziała, że Anais nie wybiera się

do wschodniego Londynu nieprzygotowana - zresztą podobnie miała się sprawa z zachodnimi dzielnicami.

Wkrótce skręciły w wąską, stromą uliczkę, przy której znajdowało się boczne wejście do biur Castellich. Zdołały jednak przejść zaledwie kilka metrów, kiedy z tyłu dobiegł je odgłos zbliżających się kroków. Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Maria zdołała jedynie krzyknąć „och!”, gdy jakaś postać pchnęła ją na drzwi sąsiedniego domu. Uderzyła o nie tak mocno, że aż odezwał się przymocowany do framugi dzwonek.

- A masz, wyniosła suko! - Napastnik sięgnął błyskawicznie ku szyi starszej kobiety.

- O, nie, nic z tego! - Anais chwyciła walizeczkę i zdzieliła nią napastnika w skroń.

Ten zaklął, zatoczył się i umknął, znikając w ciemnym przejściu.

- Moje perły! - Maria przycisnęła dłoń do szyi. - Perły Sofii!

Jednak Anais zdążyła już się oddalić. Rzuciła walizkę i pobiegła za napastnikiem, wykrzykując:

- Zatrzymaj się, złodzieju!

Mknęła tak szybko, że ledwie słyszała dobiegający z oddali odgłos kroków kolejnej osoby.

Dogoniła mężczyznę w kilkunastu długich susach, chwyciła za kołnierz i rzuciła o drzwi jakiegoś sklepu. Wyrwał się ile sił, lecz ona była sprytniejsza, posługując się z wprawą łokciami i wykorzystując przewagę wzrostu. Po chwili trzymała go już przyciśniętego twarzą do drewna, z jednym ramieniem wykręconym do tyłu. Wbiła mu kolano pomiędzy uda i wyjęła z rękawa sztylet.

- Rzuć perły - rozkazała z groźbą w głosie.

- Pieprz się! - wystękał mężczyzna, próbując się uwolnić.

Anais przycisnęła mu do szyi sztylet i poczuła, że mężczyzna drży.

- Oddaj perły - powtórzyła - albo z rozkoszą upuszczę ci krwi.

W mroku wyczuła raczej, niż zobaczyła, że dłoń mężczyzny się otwiera. Naszyjnik upadł, a kilka pereł oderwało się i potoczyło po chodniku.

- Powiedz, jak cię wołają, tchórzliwy psie - rozkazała, przyciskając mu wargi do ucha.

- Nie twój cholerny interes.

Szarpnął się znowu, uniosła zatem kolano i wbiła je tam, gdzie to naprawdę bolało.

Krzyknął. Jakoś udało mu się obrócić i uwolnić pustą jeszcze przed chwilą dłoń. Usłyszała ciche *stuk* sprężynowego noża. W blasku księżyca zabłysło stalowe ostrze.

Zacisnęła chwyt, przygotowując się na cios. Ten jednak nie nastąpił. Nagle z ciemności wynurzyło się bowiem długie ramię. Jego właściciel chwycił nadgarstek napastnika i wykręcał go, póki bandyta nie wrzasnął z bólu.

Anais, zaskoczona, poluzowała chwyt. Nóż upadł z brzękiem na chodnik, lecz rzezimieszek wyśliznął się jej i przepadł w ciemności.

- *Maledizione!* - krzyknęła w ślad za nim.

- Nic pani nie jest, *madame!* - dobiegło z prawej, wypowiedziane głębokim męskim głosem.

Anais odwróciła się gwałtownie, nadal ściskając sztylet, skierowany ostrzem ku górze. Wysoka, smukła postać cofnęła się pospiesznie w mrok, wysuwając przed siebie dłonie.

- Próbowałem jedynie pomóc - powiedział mężczyzna.

- Do licha! - zaklęła, zła na siebie i na niego. Mężczyzna opuścił dłonie. Anais, świadoma zapadłej

nagle ciszy, poczuła, że napięcie ustępuje, a jej zmysły wracają do stanu mniej więcej normalnego.

- Dziękuję - dodała - ale już go miałam.

- To, co pani miała, prawie, to nóż wbity w udo - poprawił ją spokojnie. Wyczuła, że spogląda na sztylet w jej

dłoni. - Z drugiej strony, widzę, że była pani dobrze przygotowana.

- Nóż w udzie, sztylet w gardle - stwierdziła chłodno. - Jak pan sądzi, kto z nas przeżyłby, aby o tym opowiedzieć?

- Hm... - mruknął. - Więc by go pani dźgnęła?

Anais zaczerpnęła głęboko powietrza. Choć nie widziała twarzy mężczyzny, wyczuwała jego obecność - ciepła, słodkawa woń tytoniu i zapach kosztownej wody kołońskiej podpowiedziały jej, z kim ma do czynienia. Bogaty, okaz rzadko spotykany na podłych, krętych uliczkach wschodniego Londynu. Dostrzegła też, że był wysoki, o wiele wyższy od niej - a to już coś znaczyło.

- Nie, nie dźgnęłabym - odparła w końcu. - Chyba że bym musiała.

- Teraz - zauważył spokojnie - już pani nie musi. Uświadomiła sobie, że nieznajomy ma rację. Nie tylko

ocalił ją przed niebezpieczeństwem, ale i przed nią samą. Brak snu, znużenie podróżą i złe samopoczucie, spowodowane przeprawą przez kanał osłabiły zarówno jej intuicję, jak i zdolność oceny.

- Dziękuję - powtórzyła, nieco bardziej łagodnie.

W mieszkaniu nad sklepem ktoś otworzył okno i wystawił przez nie latarnię. Słabe światło ledwie sięgało bruku, mimo to mężczyzna dostrzegł naszyjnik. Przykucnął, podniósł go, zebrał pozostałe perły i podał Anais.

- Dziękuję - powtórzyła, czując w dłoni ciężar klejnotu. - Był pan bardzo odważny.

Wysoki mężczyzna nie odezwał się więcej. Zamiast tego, nadal ukryty w cieniu, uniósł cylinder, skłonił się elegancko i pomaszerował w ciemność.

Rozdział 2

Podczas bitwy mamy do wyboru tylko dwie metody ataku:

bezpośrednią i pośrednią;

lecz kombinacja ich obu pozwala wykonać nieskończoną ilość manewrów.

Sun Tzu Sztuka wojny

Lord Bessett, przyodziały w skromne szaty Fraternitas Aureae Crucis, stał na kamiennej galerii biegnącej dookoła podziemnej kaplicy Towarzystwa. Poniżej, w sali, kłębił się tłum mężczyzn odzianych w brązowe togi. Wszystko wyglądało tak, jak w każdej innej prywatnej kaplicy, jeśli pominąć fakt, że nie było tu ławek, a wystrój przypominał klasztor. Kamienne ściany oraz podłoga, widoczne w migoczącym blasku świateł, wydawały się równie posępne i szare jak balustrada, zaś wspierające łukowy sufit kolumny rzucały na zgromadzonych ruchliwe cienie.

Surowy charakter świątyni podkreślał jeszcze fakt, że znajdowała się głęboko pod ulicami Londynu, niżej nawet niż piwnice eleganckiego Towarzystwa Świętego Jakuba, pod którymi ją zbudowano. Gruz i ziemię z budowy wynoszono ukradkiem w nocy, niewiele osób wiedziało zatem o istnieniu podziemnej komnaty, jak również samego Bractwa. Zadbano o to, ponieważ na przestrzeni wieków zbyt często padało ono ofiarą zmiennych kaprysów losu, sprowadzanych przez religię, władzę lub politykę.

Mimo to Bractwo trwało. I choć żyli teraz w wieku oświecenia, był on jedynie tak dobry, jak ludzie, którzy godzili się go bronić. Toteż Fraternitas, by przetrwać, musiało działać w całkowitym utajeniu.

Lord Lazonby stojący obok z dłońmi wspartymi mocno o balustradę spoglądał na kłębiący się tłum niebieskimi oczami o sardonicznym wyrazie. Bessett przyglądał mu się przez chwilę szacująco.

- Co zrobiłeś z reporterem z „Chronicie”, który cię śledził? - zapytał spokojnie.

- Zwabiłem go na Petticoat Lane i zgubiłem wśród ruder.

- Chryste, mogli go tam ukatrupić - powiedział Bessett. - Czego on szuka? Publika chyba się już tobą nie interesuje. Wyszedłeś z więzienia i zostałeś oczyszczony z wszelkich zarzutów.

Lazonby wzruszył nerwowo ramionami ze wzrokiem utkwionym w dal.

- Nie wiem - odparł. - To zaczyna stawać się coraz bardziej... osobiste.

Bessett zawahał się na sekundę, a potem powiedział:

- Zacząłem się już zastanawiać, czy go nie prowokujesz, i czy ci się to przypadkiem nie spodobało.

- Cholerny nonsens! - Oczy Lazonby'ego zabłyśły.

- Co powiedział ci Rutłweyn?

Było to dziwne pytanie. Lecz podczas kilku ostatnich miesięcy reporter i jego misja wpędzenia nowego lorda Lazonby do grobu zaczęły irytować wszystkich. Nie sposób było jednak zaprzeczyć, iż burzliwa przeszłość czyniła Rance'a bezbronnym wobec plotek oraz podejrzeń.

- Teraz, gdy o tym wspomniałeś, uświadomiłem sobie, że ostatnio pomiędzy tobą a Rutłweynem daje się wyczuć napięcie - zauważył.

Lazonby przez chwilę milczał.

- Jakiś czas temu uraziłem niechcący jego siostrę

- przyznał. - Lepiej nie powiem nic więcej. Bessett przesunął spojrzeniem po tłumie poniżej.

- Zatem sympatia lady Anishy wobec ciebie nieco przygasła? - spytał po chwili.

Lazonby spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego dowiaduję się o tej tak zwanej sympatii jako ostatni? - prychnął. - Jak powiedziałem jej bratu, kiedy próbował mnie odstraszyć, dama nie jest w moim typie. Uwielbiam ją, to oczywiste, i nawet trochę ze sobą flirtowaliśmy, lecz dla mnie Nish jest niemal jak siostra.

Bessett prychnął.

- Na Boga, dla mnie nie.

- Więc uderz do niej w konkury - rzucił Lazonby, wyraźnie zirytowany.

- Do licha, czemu nie? - odparł Bessett. Rzeczywiście, nie był to zły pomysł i, prawdę mówiąc,

od jakiegoś czasu Bessett poważnie się nad nim zastanawiał.

Lady Anisha Stafford była wdową o zapierającej dech urodzie, a jej rozpieszczone dzieci potrzebowały ojca. Cóż, jeśli ktoś miał ograniczyć się do sypania przez resztę życia z jedną kobietą, trudno byłoby trafić lepiej.

Ważniejsze jednak od urody oraz przymiotów charakteru damy było to, że nie musiałby się przed nią tłumaczyć. Nigdy by go nie osądzała. Rozumiała, że przywdział swego rodzaju zbroję, zbudował kruchy mur, oddzielający świadomy umysł od kryjącej się za nim ciemności.

Może dlatego był aż tak niespokojny. Zupełnie nowa rzecz w jego życiu. Może to po prostu tęsknota za czymś... więcej.

- Tak zrobię - wymamrotał. - Jeśli naprawdę nie rościsz sobie praw do tej damy.

Lazonby machnął tylko zachęcająco dłonią, ledwie zerkając na przyjaciela.

Bessett chrząknął i czując się odrobinę niezręcznie, zmienił temat.

- Nie martwisz się ani trochę o nowego akolitę? Lord Lazonby odwrócił ku niemu głowę. Dziwny

uśmieszek wykrzywił kącik jego ust.

- A powinienem?

- Wydawałeś się przez ostatnie dwa dni jakiś... odmieniony. - Bessett przechylił głowę w bok i jął się przyglądać przyjacielowi. - Roztargniony.

Lazonby zaśmiał się cicho.

- Nie możesz poznać moich myśli i uczuć, Geoffie - odparł - przestań zatem próbować. Poza tym inicjacja to poważna uroczystość, przynajmniej nasz kapłan ciągle mi to powtarza.

- Dziwne, że dotąd nie zgodziłeś się opiekować żadnym akolitą - zastanawiał się Bessett głośno. - Wydawało się, że nie traktujesz tego poważnie. Boisz się, że nowy rekrut może zapomnieć słów przysięgi? Lub potknąć się o własne stopy?

Lazonby uniósł brew.

- Jeśli upadnie i przytrzaśnie tyłkiem skraj szaty Sutherlanda, ani trochę mnie to nie obejdzie - powiedział obojętnie. - Przygotowywał go stary Vittorio i to Sutherland skłonił mnie, bym został jego wprowadzającym.

- Bo była twoja kolej, Rance - przypomniał mu Bessett.

- Dlatego podjąłem się zadania. - Lazonby wyprostował plecy i jego dłonie ześliznęły się z balustrady. - A tego, co Vittorio i ja wykuliśmy, niech nikt nie waży się kwestionować. Pamiętasz o tym, prawda?

Przerwał im gong, którego dźwięk odbił się echem od ścian. Lazonby mrugnął łobuzersko i nasunął na głowę kaptur.

- Zbliża się godzina czarownic - powiedział. - Kurtyna w górę!

Bessett jednak się wahał.

- Do licha, Rance, coś ty nabroił? - zapytał, ściskając ramię przyjaciela. - Nie lubisz chłopaka? Lub mu nie ufasz?

- Znowu próbujesz czytać mi w myślach.

- Na miłość boską, nie czytam w myślach.

- Nie? - Lazonby odwrócił się i ruszył w dół schodami, ciągnąc za sobą skraj brązowej szaty. Bessett podążył

za nim. - Odpowiadając na twoje pytanie: lubię podopiecznego, i to bardzo - rzucił Lazonby przez ramię. - Nie jestem jednak pewny, czy reszta z was go polubi.

Zszedłszy do głównej sali, zajęli wraz z pozostałymi Strażnikami miejsca z tyłu. Ceremonia rozpoczęła się niemal natychmiast. Odpowiadali cokolwiek mechanicznie na wypowiedane przez Sutherlanda słowa liturgii. Wyrecytowano tradycyjne modlitwy, po czym każdy upił łyk wina z krążącego wśród zgromadzonych kielicha. Lecz Geoff nie był w stanie poświęcić odbywającej się uroczystości należytej uwagi.

Prawda wyglądała bowiem tak, że choć zarzucał Rance'owi, iż nie traktuje ceremonii poważnie, jemu również zdarzało się przeskakiwać pośpiesznie nad wymyślnymi rytuałami. O wiele bardziej zajmowało ich obu, jak odbudować organizację i zmienić jej strukturę, ponieważ przed kilkoma laty została rozbita i niemal przestała istnieć w targanej wojną Europie.

Ceremonia inicjacyjna zawsze była prowadzona po łacinie, w języku, w jakim zapisano istniejące nadal manuskrypty *Fraternitas*. Z upływem wieków sporo zapisków uległo zniszczeniu - często z braku odpowiedniej konserwacji - zwłaszcza w średniowieczu, kiedy to *Dar* niemal zanikł, a także w okresie działalności inkwizycji, gdy wielu *vateis* poddano torturom i uśmiercono.

Choć nie parali się czarami, palono ich na stosach albo topiono tak jak czarownice - a wszystko dlatego, że ludzie nie rozumieli ich posłannictwa i się go bali. Właśnie z powodu tej ignorancji i towarzyszącego jej okrucieństwa spośród członków *Bractwa* wyodrębniono Strażników. Ich zadaniem było bronić słabszych.

A teraz mieli przyjąć do owczarni kolejną owieczkę. Zgodnie z tradycją, młodzieniec, ukrywający się na razie za ołtarzem, musiał być spokrewniony z którymś *zyateis* i urodzony w znaku ognia i wojny. Mógł mieć *Dar*, w mniejszym lub większym stopniu, ale nie było to ko-

nieczne. Musiał być też indoktrynowany od wczesnej młodości przez kogoś z Bractwa - najprawdopodobniej Adwokata - albo zaufanego członka rodziny.

Takiego, jakim była na przykład babka Geoffa Choć jako kobieta nie mogła zostać członkiem Bractwa pełniła rolę zaufanej agentki w Szkocji, gdzie Fraternitas zawsze było silne. Miała również potężny Dar - Geoff nieraz myślał, że chętnie oddałby jej także swój.

Sutherland zakończył inwokację, przywołując Geoffa do rzeczywistości, i zszedł z kamiennego podwyższenia Przez salę przebiegł szmer, jak zawsze, gdy - a nie zdarzało się to zbyt często - do Bractwa przyjmowany był nowy adept. To zaś, by rolę wprowadzającego pełnił któryś ze Strażników, stanowiło absolutną rzadkość

Sutherland podszedł do znajdującego się za nim ołtarza, wziął do rąk mosiężny klucz, przymocowany do złotego łańcucha, którym był przepasany, i otworzył zamek starej szkatułki o żelaznych zawiasach. Podniósł wieko i wyjął ostrożnie zniszczoną księgę, otwartą w miejscu zaznaczonym długą, czerwoną jak krew wstążką

Liber Veritas-Księga Prawd - była najrzadszym woluminem, pozostającym w posiadaniu Bractwa. Starożytny tom zawierał opis wszystkich obrządków nadal praktykowanych w Bractwie i pozostawał w użyciu w tej czy innej formie od czasów rzymskich.

Kapłan uniósł w odwiecznym geście błogosławieństwa prawą rękę, podtrzymując lewą dłonią księgę, przeczytał kilka krótkich słów, wzywając suplikanta, aby zaoferował życie sprawie, i prosząc Boga, żeby go wspierał A potem opuścił dłoń i dał znak. Wciśnięty pomiędzy dwie grube kolumny ołtarz drgnął zazgrzytał i poruszył się z odgłosem podobnym temu jaki wydaje młyński kamień. Wpierw z wolna, a po chwili z zadziwiającą szybkością, obrócił się do połowy.

Pierwszym, co rzuciło się Geoffowi w oczy, było to że akolita me jest, jak nakazywał zwyczaj, nagi.

Choć miał, jak należało, skrępowane nadgarstki i zawiązane oczy, odziany był w lnianą tunikę bez rękawów, sięgającą mu za kolana.

Nie trwało nawet sekundy, a uświadomił sobie, że akolita nie jest w ogóle pici męskiej.

Ktoś z uczestników zaczerpnął głośno powietrza.

Nie był to Geoff, gdyż jemu oddech uwiązał po prostu w piersi.

Sutherland także zamarł. Z otwartymi szeroko oczami przyciskał do piersi księgę, jakby chciał wydusić z niej życie. Przez chwilę to otwierał, to zamykał usta, a potem wydał z siebie dziwny, gulgoczący dźwięk - niczym strumień wody ściekający rurami do zlewu.

Zmobilizowany tym Ruthveyn utorował sobie szybko drogę przez tłum. Wziął od Sutherlanda księgę, a potem odwrócił się ku zgromadzonym.

- Czyj to był pomysł? Kto pozwolił sobie na taki żart? - zapytał, potrząsając groźnie księgą nad głową. - Na miłość boską, niechaj wystąpi i się ujawni!

Trzecią rzeczą, jaką uświadomił sobie Geoff, było to, że akolita równie dobrze mógłby nie mieć na sobie tuniki, gdyż cienka szata i tak nie pozostawiała zbyt wiele wyobraźni. Mimo to dziewczyna stała dumnie wyprostowana, trzymając przed sobą skrępowane dłonie. Była wysoka, o jędrnych, małych piersiach, które to unosiły się, to opadały w rytm przyspieszonego oddechu, dzikiej grzywie atramentowoczarnych włosów sięgających jej do pasa i długich, smukłych nogach, które wydawały się zaskakująco silne.

Zaskakująco?

Wszystko tu było zaskoczeniem. Nie wspominając już, że emanowało erotyką - te więzy, opaska na oczach i tak, te nogi...

W sali zawrzało. Ruthveyn dobył skądś nóż i przecinał właśnie więzy na nadgarstkach dziewczyny. Geoff usłyszał, że stojący obok Rance cicho chichocze.

Dziewczyna, uwolniona, odsunęła się natychmiast od Rutłweyna. Cienka koszula spłynęła jej po biodrze w sposób niezwykle sugestywny. Czując przyływ gorącej krwi, Geoff rzucił Rance'owi spojrzenie jasno mówiące, iż będzie smażył się w piekle, i pośpieszył ku podwyższeniu. Idąc, zerwał z siebie szatę i okrył nią delikatnie dziewczynę.

Nawet się nie skrzywiła.

Następnie Ruthveyn przeciął, zachowując jeszcze większą ostrożność, opaskę, jaką zgodnie z tradycją nosili akolici, póki nie wypowiedzieli słów przysięgi.

Dziewczyna zamrugła, ukazując dwoje ciemnych oczu, spojrzała ponad tłumem i zaskoczyła wszystkich, przemawiając czystym, silnym głosem.

- Pokornie proszę o przyjęcie mnie do Bractwa - wyrecytowała nieskazitelną łaciną. - Zapracowałam na to moim Oddaniem, Siłą i moją Krwią. Przysięgam na honor słowem i mieczem bronić do ostatniego tchu Daru, mojej Wiary, mojego Bractwa i wszystkich jego Podopiecznych ...

- Nie, nie, nie! - Rutłweyn zamachał gwałtownie dłonią, by ją uciszyć.
- Drogie dziecko, nie wiem, kto zachęcił cię do takiego figła, ale...

- To byłem ja. - Głos Rance'a rozbrzmiał zdumiewająco donośnie. - Wprowadzam tę kobietę, aby wstąpiła do Starego i Wielce Szlachetnego Zakonu, Bractwa Złotego Krzyża. Czy nie to powinien powiedzieć wprowadzający?

- Co takiego? - Geoff odzyska! wreszcie głos. - Na miłość boską, człowieku, postradałeś rozum?

- W rzeczy samej, Rance. - Sutherland też zdołał wreszcie przemówić.
- Zażartowałeś sobie ze szlachetnego i świętego rytuału. Zrobiłeś rzecz nie do pomyślenia. Posunąłeś się za daleko.

- No, no! - zaszemrał ktoś w tłumie brązowych tog.

Geoff stanął przed dziewczyną, by ją osłonić, odepchnęła go jednak z zadziwiającą siłą i zeszła z ołtarza na podwyższenie.

- Dlaczego to nie do pomyślenia? - spytała władczo głosem zdradzającym, że pochodzi z wyższych sfer. - Przez dziesięć długich lat ćwiczyłam. Robiłam wszystko, czego ode mnie zażądano, a nawet więcej, choć o to nie prosiłam. Ale ponieważ mnie poproszono - nie, powiedziano, że to mój obowiązek - oddałam część mojej młodości i poświęciłam się, by sprostać zadaniom, jakie przede mną postawiono. A teraz odmawiacie mi wstępu do Bractwa?

Ruthveyn skrzywił się.

- Widzisz, na tym polega właśnie problem - odparł. - To jest Bractwo, pani...

- Panno de Rohan - prychnęła. - Anais de Rohan.

- Panno de Rohan - Ruthveyn zbladł nieco. - Cóż, jak powiedziałem, to jest Bractwo. Skupia braci, nie siostry. Nie jesteśmy jedną, wielką, szczęśliwą rodziną. - Obrócił się gwałtownie. - Powinieneś zostać wychłostany, Rance. Na miłość boską, sprowadź Safiję, aby zabrała stąd tę nieszczęsną dziewczynę i znalazła jej odpowiedni strój.

Panna de Rohan.

Dlaczego to nazwisko wydawało mu się znajome?

Nieważne. Ruthveyn zaczął już chyba uświadamiać sobie, podobnie jak Geoff, że to nie jest zwyczajna kobieta. Z pewnością nie była zamężna, co czyniło sprawę jeszcze bardziej ryzykowną. Co więcej, przemawiała i zachowywała się z butą arystokratki - rozgniewanej i w kłopotliwej sytuacji. Mimo to stała przed tłumem mężczyzn niemal naga i absolutnie opanowana.

Stary Vittorio czegoś ją nauczył, bez dwóch zdań.

Rance zaczął tymczasem protestować.

- Gdzie jest, drodzy panowie, napisane, że kobieta nie może być członkiem Bractwa?! - zawołał. - Giovanni Vittorio, jeden z naszych najbardziej zaufanych Adwo-

katów, uznał, że dziewczynę też można wziąć pod skrzydła i uczyć.

- Nonsens - prychnął Geoff. - Vittorio był chory. Nie myślał jasno. Złożyłbyś życie w jej dłonie, Rance? Naprawdę? Bo prosisz właśnie, by każdy z *vateis* to zrobił.

- Zapomniałeś, że przeglądałem dokumentację Vit-toria i dużo rozmawiałem z dziewczyną - odparował Rance. - Czy nie na tym polegają obowiązki wprowadzającego? Na sprawdzeniu, czy akolita ma wystarczające umiejętności? Bo, zapewniam, dziewczyna jest pod wieloma względami lepiej wyszkolona niż ja.

- Nie wątpiłem w to ani przez chwilę - wycedził Geoff.

- Nie podoba mi się twoja arogancja, staruszkule - powiedział Rance.

- Mnie także - stwierdziła chłodno dziewczyna. - Posiadam niezbędne umiejętności, a pan jest osłem, *sir*.

Geoff odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią. Nie uczyniła nic, by ściągnąć poły tuniki, i to go, nie wiedzieć czemu, rozwścieczyło. Przesunął po niej z wolna spojrzeniem i poczuł w trzewiach coś więcej, aniżeli tylko gniew.

- Jeśli naprawdę jesteś akoliticzką - powiedział przez zaciśnięte zęby - to masz na ciele znak.

Uniosła wyżej brodę. W jej czarnych oczach płonął gniew.

- Och, mam znak - powiedziała, sięgając do skraju tuniki. - Chciałby pan go zobaczyć?

- Dobry Boże, Bessett - jęknął Rance. - Ma znak. Upewniłem się co do tego.

Bessett obrócił się znowu, tym razem po to, by stanąć twarzą w twarz z przyjacielem.

- Upewniłeś się? - powtórzył z niedowierzaniem. - Chcesz powiedzieć... nie, nieważne. - Obrócił się znowu i chwycił dziewczynę za ramię. - Pójdiesz teraz ze mną.

- Dokąd ją zabierasz? - Belkadi, jeden z Adwokatów, zmaterializował się u jego boku.

- Do Safii - odparł Geoff półgłosem. - Ponieważ zdaję sobie sprawę, choć Rance tego nie dostrzega, że niezamężna kobieta z dobrej rodziny nie może sterczeć na wpół naga pośrodku czegoś, co przypomina męski klub.

- Och, wielkie dzięki - wtrąciła dziewczyna gorzko. - Dziesięć lat mojego życia wyrzuconych na śmietnik z powodu czegoś tak błahego jak etykieta.

Geoff nie odpowiedział. Zamiast tego pociągnął dziewczynę za sobą ku schodom prowadzącym do piwnicy z winami i przejścia, skąd można było się dostać do laboratorium. Następne schody zaprowadziły ich na parter, skąd przedostali się do gwarantującej jaką taką prywatność klatki schodowej dla służby. Przez cały ten czas dziewczę nie przestawało się wyrywać.

Tylko że to nie było wcale dziewczę.

Nawet nie przypominała dziewczęcia.

A to, co właśnie zrobiła - słodki Jezu, zmarnowała sobie szansę na zamążpójście! Czy to nic dla niej nie znaczyło?

- Zgniatasz mi ramię, draniu - poinformowała go.

- Czego tak się boisz? W końcu jestem tylko zwyczajną kobietą.

- Boję się o ciebie, głuptasie - wyszeptał. - Bądź cicho, zanim natkniemy się na kogoś, kogo nie będziemy w stanie uciszyć.

Szarpnęła się i zatrzymała na podeście.

- Nie wstydzę się tego, kim jestem - powiedziała, chwytając jedną dłonią poły tuniki. - Ciężko pracowałam, by zdobyć potrzebne umiejętności.

- Ty, panienko, nie posiadasz żadnych umiejętności

- stwierdził chłodno. - Na miłość boską, miej wzgląd na innych, skoro twój los nic a nic cię nie obchodzi. Co pomyślałby twój ojciec, gdyby wiedział, gdzie teraz jesteś?

Policzki dziewczyny poróżowiały nieznacznie.

- Szczerze mówiąc, nie byiby zachwycony.

- Zachwycony? - Spojrzał znów mimo woli na ledwie okryte tuniką ciało. - Tym, że jego córka biega na wpół naga po klubie dla dżentelmenów?

Dziewczyna zmrużyła czarne oczy o zawziętym spojrzeniu.

- To nie tak - warknęła. - Po prostu nie powiedziałam mu wszystkiego. Na razie.

Geoff zawahał się, pełen niedowierzania.

- To znaczy, że coś mu jednak powiedziałaś? Rumieniec na twarzy dziewczyny się pogłębił, ale jej głos nie brzmiał ani trochę łagodniej.

- Och, na miłość boską! Tkwiłam w Toskanii miesiącami - odpaliła. - Jak pan myśli, co mówiłam wtedy ojcu? Ze wyjechałam ukończyć edukację w Genewie? Czy wyglądałam na właściwie wyedukowaną?

To prawda, nie wyglądała. Wyglądała raczej jak... istota dzika i całkowicie nieogładzona.

Istota, nad którą mężczyzna mógłby nigdy do końca nie zapanować. Nie była nawet szczególnie ładna, raczej intrygująca i pełna życia. Kimkolwiek była, nie przypominała żadnej ze znanych mu kobiet - a poznał ich całkiem sporo.

To, czy jej ojciec wpadnie w gniew, nie było już jego sprawą. Dziwnie zły na siebie, odwrócił się i pociągnął dziewczynę za sobą. Nie była jednak na to przygotowana, potknęła się więc o skraj jego długiej togi i runęła w przód.

- Och! - krzyknęła, wymachując wolną ręką w poszukiwaniu poręczy.

Instynkt nie zawiódł Geoffa: otoczył ramieniem gibką kibić dziewczyny, chwycił ją i przycisnął do piersi.

Czas i przestrzeń przestały nagle istnieć. Wstrzymali oboje oddech - teraz były już tylko: ciepło, zapach i czysta, niczym niemaskowana zmysłowość, wypierająca wszelką logikę. A kiedy spojrzął w oczy o tęczęwkach barwy czekolady, otoczone długimi, czarnymi niczym

atrament rżęsami, poczuł, że głęboko w nim coś porusza się i topi niczym metal w niewidzialnym palenisku.

Dolną wargę miała pełną jak cząstka dojrzałej brzoskwini. W tej akurat chwili ta cząstka kusząco drżała.

A potem dziewczyna wybawiła go od nieprzemyślanego kroku, jaki mógłby bezwiednie wykonać.

- Uff - stęknęła, odsuwając się nieco. - Jeśli zamierza pan mnie zabić, wystarczy pchnąć. Przelecę przez balustradę i będzie po wszystkim.

- Nie kuś mnie - wymamrotał.

Niestety, nie potrafił się oprzeć, by nie spojrzeć przy tym w dół. Półkule jej cudownych piersi były pod tym kątem doskonale widoczne, on zaś, niech Bóg mu pomoże, nie był przecież świętym.

Panna de Rohan wyprostowała się, zirytowana.

- Doprawdy, milordzie, pozwoli pan? - spytała, ściągając poły tuniki. - Nie mam w zwyczaju eksponować swoich wdzięków, chyba że w gorsecie balowej sukni.

- To zaś - zauważył spokojnie - nie zdarza się zapewne zbyt często.

Dziewczyna poczerwieniała z gniewu.

- Przepraszam najmocniej - powiedział - ale sama się pani prosiła, panno de Rohan. Jestem w końcu zwyczajnym mężczyzną.

- Zwyczajnym? - prychnęła z pogardą. - Sądziłam, że nikt tu nie jest zwyczajny.

- Uwierz mi, moja droga, tam, gdzie chodzi o atrakcyjne kobiety, wszyscy mężczyźni są tacy sami. - Wyciągnął ku niej dłoń znacznie łagodniejszym gestem. - I to jest właśnie kolejny powód, dla którego się o ciebie martwię.

- Sugeruje pan, że nie jestem w tym domu bezpieczna? - spytała ostro.

- Nie ty, lecz twoja reputacja - odparł. - Nikt tu cię nie skrzywdzi, panno de Rohan. Możesz powierzyć każdemu z nas swoje życie, także mnie.

Ujęła podaną sobie dłoń, choć widać było, że robi to niechętnie.

- Teraz: co się tyczy twego ojca - postarał się, aby zabrzmiało to stanowczo. - Chyba miałaś mi właśnie powiedzieć, kim on jest.

- Dosłownie? - Przygryzła na chwilę dolną wargę. - Jest pomniejszym szlachcicem z Alzacji. Wicehrabia de Vendenheim-Selestat.

Spoglądając w czekoladowobrazowe oczy, zapytał nieustępliwie:

- A mniej dosłownie? No dalej, panno de Rohan. Założę się, że urodziłaś się i wychowałaś w Londynie. Może i jestem rozpustnym draniem, potrafię jednak poznać, kiedy nie mówi mi się wszystkiego.

Spuściła wreszcie wzrok.

- Dawno temu nazywał się Max de Rohan. Albo po prostu de Vendenheim. Jest... pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Tak jakby.

Doskonale. Koniec z łagodnością. Stłumił przekleństwo, a potem chwycił dziewczynę i pociągnął ku następnym schodom.

De Vendenheim! Akurat on! Rance musiał chyba zwariować. Ten chłystek z „Chronicie” w końcu doprowadził go do szaleństwa.

Nie wiedział, jaki dokładnie tytuł posiada de Vendenheim, zdawał sobie jednak doskonale sprawę, iż nie należy on do ludzi, z których ktokolwiek chciałby robić sobie wroga. I nie pracował w ministerstwie, a już na pewno nie „tak jakby”. On był ministerstwem, a dokładniej, uosabiał bezwzględność, z jaką zdarzało się działać tej instytucji. Politycznie był nie do ruszenia - niewybieral-ny, bezpartyjny, bez określonego jasno statusu - jednym słowem, szara eminencja.

Niczym kot, mający dziewięć żywotów, szczupły mężczyzna o haczykowatym nosie trwał na swoim stanowisku mimo kolejnych politycznych zawirowań. Przetrwał ustanowienie Policji Metropolitalnej, zamieszki, jakie wybuchły po wprowadzeniu ustawy o reformie systemu wyborczego, krwawy proceder morderców zabijających po to, by sprzedawać zwłoki, i paru ministrów. Zważywszy, ile zamętu, cierpienia i przemocy wywołał, powinien być już martwy.

A jego córkę wyszkolono na Strażnika? I to, najwidoczniej, bez zgody ojca?

Boże Święty!

- Pośpiesz się - burknął. - Musisz natychmiast się przebrać.

- Kapitalna uwaga, zważywszy, jaki tu przeciąg
- prychnęła. - Nie stać was na węgiel? Myślałam, że wszyscy jesteście bogaci. Mam gołe stopy, a tyłek nie zmarzył mi tak od...
- Panno de Rohan - wykrztusił. - Nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany stanem pani tyłka.

Kłamca.

- Jestem zdruzgotana, milordzie! - oznajmiła kpiąco.
- Oczywiście, powinnam być podczas ceremonii zupełnie naga, lecz nawet ja nie miałam na to dość odwagi.
- Odrobina zdrowego rozsądku, za którą wszyscy powinniśmy być wdzięczni - wycedził Geoff przez zaciśnięte zęby. I mówił poważnie. Ostatnim, czego by sobie teraz życzył, była wizja Anais de Rohan nagiej.

Mimo to natychmiast zaczął ją sobie wyobrazać. Wyczarowywać te niemożliwie długie nogi, zastanawiać się, czy sięgają...

Nie. Nie potrzebuje wiedzieć, jak długie dziewczyna ma nogi. Musi jakoś się jej pozbyć.

Na szczęście wspięli się już na najwyższe piętro, gdzie Belkadi urządził sobie mieszkanie. Geoff zapukał mocno dwa razy, nie puszczając ręki dziewczęcia z piekła rodem. A kiedy drzwi się uchyliły, musiał przywołać całą swą angielską powściągliwość, by nie wepchnąć Anais do środka. Szkot w nim najchętniej przywiązałby jej do nóg kamień i wrzucił ją do Tamizy.

Safija spojrzała na nich szeroko otwartymi, brązowymi oczami łani.

- Milordzie - powiedziała, zaskoczona. - Gdzie Samir?

- Twój brat przebywa nadal w świątyni - odparł Geoff, wpychając pannę de Rohan do środka. - To był dziwny wieczór. Przepraszam, że zakłócam ci spokój, lecz potrzebuję twojej pomocy.

- Oczywiście. - Safija spuściła wzrok. - Kim ona jest?

- Akolitką - prychnęła panna de Rohan. - I mam nazwisko.

Safija poczerwieniała mocno i odwróciła wzrok.

- Nastawię czajnik.

Anais natychmiast się zreflektowała.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie zasłużyła pani na to.

- Rzeczywiście - zgodziła się z nią Safija, składając spokojnym gestem dłonie. - Zaraz wracam.

- Jestem Anais - kontynuowała dziewczyna, wyciągając dłoń. - Anais de Rohan. Proszę mi wybaczyć. Zostałam tu zaciągnięta wbrew woli i to zepsuło mi humor. Chętnie napiję się herbaty. Nawiasem mówiąc, lordzie Bessett, mam ubranie. Nie przyszłam tu przecież nago. Bo pan to lord Bessett, prawda? Nie przedstawił mi się pan, zanim wywłókł mnie ze świątyni.

- Gdzie je, pani, zostawiłaś? - zapytał, ignorując resztę przemowy.

- W pokoiku na parterze - odparła. - Przyszłam od strony ogrodu.

Geoff podszedł do dzwonka, lecz uświadomił sobie, że nie powinien wzywać służby.

- Usiądź i spokojnie zaczekaj - polecił. - Przyniosę ci twoje rzeczy. Bądź miła dla Safii. Gdy ta okropna noc dobiegnie wreszcie końca, może się okazać, że to twoja jedyna przyjaciółka.

Rozdział 3

Mądry wojownik narzuca swą wolę wrogowi,

lecz nie pozwala, by wróg narzucił mu swoją.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Anais, pocierając bezwiednie obolałe nadgarstki, przyglądała się, jak odchodzi mężczyzna, który ją tu przyprowadził. Lord Bessett okazał się zarówno arogancki, jak i niemądrze uparty. Lecz czego się spodziewała? Przystojni, zamożni arystokraci zazwyczaj byli właśnie tacy. Fakt, iż należał do Bractwa nie czynił z niego uosobienia pokory - ani, najwidoczniej, człowieczeństwa. Ona zaś wyglądała jak idiotka w obciętej u dołu koszuli, okryta drapiącą, okropną, gotycką szatą Bessetta. Szorstki materiał włókł się po podłodze, mogłaby owinać się nim dwa razy, wiedziała jednak, iż powinna być lordowi wdzięczna.

Westchnąwszy, rozsiadła się w głębokim fotelu, na który Bessett praktycznie ją pchnął. W duchu gotowała się ze złości spowodowanej upokorzeniem. Oczywiście, miała prawo czuć się upokorzona. Dobrze o tym wiedziała. Sprawy ułożyły się tak źle, jak przewidywał kuzyn Giovanni.

Lecz Giovanni Vittorio nie żył. Jej prababcia również. W rzeczy samej wszyscy, którzy pomogli doprowadzić Anais do tego momentu jej życia, odeszli, zostawiając podopieczną, by zmagać się z konsekwencjami ich wyboru. Najtrudniejsze było dopiero przed nią.

Nie, żeby Vittorio uważał edukowanie Anais za rzecz szczególnie roztropną, choć oczywiście nigdy o tym nie

wspomniął. Zawsze poświęcał podopiecznej całą uwagę. Jednak z upływem lat, gdy ich wzajemne przywiązanie znacznie się pogłębiło, Anais zaczęła się domyślać, co martwi jej mentora. Raz - po tym, jak ten bękart Rafaele złamał jej serce - Vittorio zasugerował nawet delikatnie, iż Anais wolałaby może wybrać inny styl życia. Bardziej zwyczajny. I że na Bractwo, Strażników, a nawet sam Dar nie ma już miejsca we współczesnym, zmieniającym się szybko świecie.

Anais jednak, nawet cierpiąc, chciała, wręcz odczuwała potrzebę, aby uhonorować pamięć prababki. Kontynuowali zatem nauki - Anais starając się przyswoić jak najlepiej to, czego od niej wymagano, a jej o wiele starszy kuzyn, nosząc w sercu niewypowiedzianą wątpliwość. Teraz wyglądało na to, iż była to wątpliwość uzasadniona. Anais uświadomiła sobie, że z trudem wstrzymuje łzy.

Wyprostowała się gwałtownie. Uczucie beznadziei nie będzie trwało długo, nie pozwoli na to. Prababcia Sofia mawiała, że rozpacz jest dla słabych duchem - użyteczna jedynie dla kobietek potrzebujących męskiego ramienia oraz dla poetów szukających weny.

Mimo to pozwoliła sobie zamknąć na chwilę oczy. Westchnęła głęboko, znużona. Przypomniało jej to aroganckiego lorda Bessetta, gdyż zapach, który wypełnił przy tym jej nozdrza, był zdecydowanie męski. Unosił się dookoła niczym ciepły, dziwnie kojący obłok.

To ta wełniana szata, którą mnie otulił, pomyślała. Lord może i był niemądrze uparty i szowinistyczny. Mierzył ją śmiałym, palącym spojrzeniem zbyt często. Nie wątpiła też, iż w myślach obnażał ją, by przyjrzeć się jej piersiom. Czowała jednak, że naprawdę się o nią troszczy. Cóż, dobre i to.

Był też wystarczająco przystojny, aby przyprawić o szybsze bicie serca każdą dziewczynę. Mogłaby nawet zemdleć, gdyby miała w zwyczaju reagować w tak teatralny sposób. Lecz nie miała. Poznała kilku bardzo przystojnych mężczyzn i wiedziała, że są w pełni świadomi swego uroku - i nie wahają się go wykorzystywać. Świadomość tego nie przeszkadzała jej wszakże podziwiać w duchu czystych, twardych rysów męskiej twarzy oraz idealnie zarysowanej, mocnej szczęki, która wyglądała jak wykuta z marmuru.

Oczy pod ciemnymi, prostymi brwiami były chłodne i błyszczące. Jedynie pełne wargi o niemal hedonistycznym wyrazie łagodziły wrażenie surowej, nieokiełznanej męskości. Wokół tych ust nie było wszakże zmarszczek. Najwidoczniej lord nieczęsto się śmiał. Prawdę mówiąc, odniosła wrażenie, że jest zupełnie pozbawiony poczucia humoru.

Cóż, może mężczyzna, który pachnie tak kusząco, wcale go nie potrzebuje. Wciągnęła ponownie do płuc zapach czystego, męskiego ciała zmieszany z wonią cytrusów. Musiał niedawno się ogolić - przypuszczała, że nie dalej jak przed dwiema godzinami, to zaś oznaczało, że goli się dwa razy dziennie. Widać szczyił się swoją urodą i o nią dbał. Przeklęty, puszący się paw.

Nie była jednak w swoich ocenach sprawiedliwa. Giovanni często mawiał, że złośliwość jej nie przystoi.

Prawda wyglądała tak, że lord Bessett wydawał się prawie nieświadomy swych atutów. Poruszał się niczym dzikie zwierzę, z natury eleganckie i zwinne. Jakby posiadał na własność cały świat i niewiele o to dbał. Próżnych, zaabsorbowanych sobą mężczyzn nietrudno było przejrzeć i nimi manipulować. Tyle przynajmniej się nauczyła.

Nagle przyszło jej do głowy, że lord Bessett może okazać się znacznie trudniejszy do rozszyfrowania. Zakładając, że ona zechce zadać sobie trud i spróbuje tego dokonać. Lecz jaki miała wybór? Był tu przywódca. Giovanni powiedział jej to już dawno. W pełni doceniał wysiłki lorda mające na celu wskrzeszenie Bractwa i utworzenie jego siedziby w Londynie - tu, w tym domu, pod szyldem

Towarzystwa Świętego Jakuba. A sądząc po tym, co zdążyła już zobaczyć, nie żałował też na to pieniędzy.

Nagle jakiś dźwięk wyrwał ją z zamyślenia. Wyprostowała się jeszcze bardziej i spostrzegła, że piękna, ciemnowłosa kobieta wróciła, niosąc tacę z dzbankiem i dwiema filiżankami.

Postawiła ją bez słowa, a potem skinęła lekko głową i wykonała ruch, jakby zamierzała odejść.

Fakt, że tak śliczna istota o iście królewskiej postawie przed nią dyga, wydał się Anais dosyć zabawny.

- Przepraszam - powiedziała po raz kolejny. - Zachowałam się okropnie, a pani jest bardzo uprzejma, pani...?

Kobieta podniosła wzrok i spojrzała na Anais. Nie wydawała się przy tym ani trochę zakłopotana.

- Belkadi - odparła spokojnie. - Panna Belkadi.

- Mieszka pani tutaj? - dopytywała się Anais. - W tym domu?

- Z moim bratem Samirem - odparła kobieta.

- Jestem zaskoczona, że pani pozwolili - zauważyła Anais kwaśno. - Zważywszy, jakie zrobiło się zamieszanie, gdy ja pojawiłam się na scenie.

Panna Belkadi zmierzyła spojrzeniem skąpo odzianą postać Anais, lecz nie skomentowała jej stroju.

- Mój brat jest tu zarządcą - odparła chłodno. - Ja prowadzę księgi rachunkowe i nadzoruję kilka służących.

Jak gospodyni, pomyślała Anais.

Tylko że kobieta przypominała gospodynię w równym stopniu co królowa Wiktoria straganiarkę. Ubrana była jednak skromnie, w suknię w ciemnoszarym kolorze, zapiętą pod samą szyję. Ciemnobrązowe włosy upięła w prosty węzeł. Mimo wymuszonej powagi, nie wydawała się wiele starsza od Anais.

- Czy zechciałaby pani usiąść, panno Belkadi? - spytała dziewczyna. - Wiem, że moje maniery pozostawiają

wiele do życzenia, lecz bardzo przydałaby mi się czyjaś życzliwa obecność.

Domyślała się, że niechętna gospodyni okaże się zbyt uprzejma, aby odmówić. I rzeczywiście.

- Doskonale - powiedziała, siadając i podwijając pod siebie spódnicę. - Mam nalać?

Anais się uśmiechnęła.

- Co za śliczny akcent - zauważyła. - Francuski? Panna Belkadi zerknęła przelotnie na gościa.

- Po części - odparła. - Cukru?

- Nie, dziękuję. . Herbata była gorąca i niewiarygodnie mocna. Dziwne,

ale zdawała się przywracać Anais siły. Ten wieczór wiele ją kosztował. W głębi duszy była nawet zadowolona, że już po wszystkim.

Tylko że wcale tak nie było.

Anais została zmuszona do odwrotu, ale nie pokonana. Ileż to razy prababcia ostrzegała ją, że nic w życiu nie przyjdzie jej łatwo? Od wieków w Bractwie nie było kobiety - zapewne od czasu, kiedy umarła ostatnia z celtyckich kapłanek.

Gdy szok związany z jej nagłym pojawieniem się minie będzie musiała przekonać Bractwo w stolicy, by ją przyjęło. Lub wrócić do Toskanii i zdać się na znajomych kuzyna Vittoria. Jego rodzina miała co prawda w Europie rozliczne kontakty, problem polegał jednak na tym, że jak wszędzie, także w Toskanii nie było już bezpiecznie a Dar... - cóż, nie został chyba nikt, kto by go potrzebował. Nieliczni, których znała, zostali wysłani za granicę: do krewnych lub innych Strażników na kontynencie - przede wszystkim mogących wznieść się ponad ocean politycznego zamieszania i przetrwać.

Panna Belkadi chrząknęła, przywołując Anais do rzeczywistości i jej obowiązków jako gościa.

- Herbata jest cudownie mocna - zauważyła. - To specjalny gatunek?

- Czarna z Assam - odparta gospodyni. - To indyjska prowincja w pobliżu Himalajów. Lord Ruthveyn przysłał nam zapas.

- Ach, Ruthveyn. Widziałam go dziś wieczorem. Jaki on jest?

Panna Belkadi spuściła wzrok i na powrót zamknęła się w sobie.

- To dżentelmen - odparła.

- Jest... Hindusem? - naciskała Anais, którą niełatwo było zniechęcić. Belkadi zeszywniała.

- Jest chrześcijaninem - odparła. - Nie uważałam za stosowne pytać o coś więcej.

- Nie, miałam na myśli... - Zamilkła i potrząsnęła głową. To, co chciała powiedzieć, nie miało znaczenia. - Muszę znów panią przeprosić, panno Belkadi. Zwykle nie jestem tak nieokrzesana. Usprawiedliwia mnie jedynie fakt, że mam za sobą trudne przeżycia.

Spostrzegła w oczach panny Belkadi błysk zainteresowania.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała. Anais spojrzała na swój dziwaczny strój.

- Domyślam się, że musi się pani zastanawiać... dlaczego jestem tak ubrana. I co w ogóle tu robię.

Mina gospodyni pozostała nieodgadniona.

- To nie moja rzecz zastanawiać się nad tym.

Nagle zapukano dwa razy cicho do drzwi i do pokoju wśliznął się lord Bessett.

Zdażył zarzucić na siebie surdut, co nie spodobało się Anais, w koszuli prezentował się bowiem znacznie lepiej. Zwinął jej ubranie w ciasny tobolek i wetknął go sobie pod pachę. Nie zauważył jednak, iż obszyta koronką nogawka majtek wysunęła się z zawiniątka i zwisa teraz fi-glarnie spod spodu.

Nagle zachciało jej się śmiać. Powstrzymała się jednak, gdyż lord Bessett wydawał się już wystarczająco

wzburzony. Bez wątpienia nie przywykł do odgrywania roli pokojówki.

- Jest tu jakieś miejsce, gdzie panna de Rohan mogłaby się przebrać, Safijo? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Oczywiście. - Kobieta wskazała jedne z drzwi.

- W mojej sypialni.

Bessett rzucił tobołek Anais na kolana.

- Wezwałem swój powóz. Zawiezie panią na Henrietta Place - powiedział. - Sam mogę się przejść...

- Dziękuję, lecz ja nie mieszkam w Westminsterze

- przerwała mu Anais.

Lord spojrzał na nią spod oka.

Wiedział zatem, kim naprawdę jest jej ojciec, a nawet, gdzie mieszka. Podejrzewała to od chwili, gdy jego zachowanie na schodach uległo tak raptownie zmianie.

- Tak czy inaczej, rodzice przebywają teraz za granicą

- powiedziała. - W swoich winnicach. Ja mieszkam przy Wellclose Square.

- Na East Endzie? - spytał zaskoczony. - Sama?

- Nie, nie sama. - Postarała się, by jej twarz nie wyrażała niczego. Zdecydowała też, że musi porozmawiać jeszcze raz z Safiją Belkadi i więcej się od niej dowiedzieć. - Mój powóz czeka przy Blue Posts.

W oczach lorda pojawił się znów tajemniczy błysk i Anais mimo woli zaczęła się zastanawiać, jakiego też mogą być koloru. W panującym w salonie półmroku trudno było to ocenić.

- Cóż, wieczór okazał się nadspodziewanie interesujący - powiedział w końcu. - Młoda dama nie może kręcić się jednak w pobliżu pubu. Nie o tej porze.

Panna Belkadi przeniosła spojrzenie z Anais na lorda.

- Jest dość późno - zauważyła, podnosząc się z wdziękiem z krzesła. - Mogę przespacerować się z panną de Rohan. A pan, milordzie, mógłby pójść za nami.

Bessett zawahał się w widoczny sposób.

- Jeśli twój brat wyrazi zgodę, to owszem. Dziękuję.

- Mój brat się zgodzi - powiedziała kobieta.

Znów złożyła skromnie dłonie i po raz pierwszy Ana-is dopatrzyła się w tym gości siły oraz upor. Bessett przeniósł spojrzenie na nią.

- Zatem, ustalone - powiedział znacznie łagodniej.

- Proszę z łaski swojej się pospieszyć, panno de Rohan. Jeszcze godzina i na ulicy pojawią się dostawcy warzyw.

* * *

Następnego ranka w obitym jedwabiem pokoju kawowym Towarzystwa Świętego Jakuba panowała dosyć napięta atmosfera. Lord Ruthveyn stał przy jednym z szerokich okien i założywszy dłoń na karku, wpatrywał się w wejście do jaskini hazardu Neda Quartermaine'a - prywatnego klubu dla najbardziej śmiałych członków elity.

Po prawej ręce Geoffa siedział lord Curran Alexander. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał. Lord Manders podszedł do kredensu, ewidentnie zamierzając napełnić sobie znów talerz. Poniechał jednak tego zamiaru i zostawił naczynie puste.

Nawet Sutherland zapomniał o swojej kawie. Stygła teraz w filiżance na stole.

Tyle zamieszania, pomyślał Geoff, z powodu jednej małej kobietki.

Oczywiście Rance - przyczyna całego zamętu - nie uznał za stosowne jeszcze się pojawić. Należał do mężczyzn, którzy nie pokazują się publicznie przed południem, chyba że trzeba zaatakować i zdobyć jakiś garnizon lub jest akurat sezon na kuropatwy.

Sutherland chrząknął i skinął na stojącego pod oknem Ruthveyna.

- Nie będziemy dłużej czekać, Adrianie - powiedział.

- Jako kapłan jestem tu po to, by rozsądzać, nie decydować. To należy do was, Założycieli.

Alexander podniósł wzrok i spojrzał na Sutherlanda.

- Z pewnością przyjęcie tej kobiety nie chodzi w grę?

- Złe pytanie, staruszkule - zauważył Rutłweyn, krzywiąc się. Odszedł od okna i wrócił na swoje miejsce. - Właściwie brzmi: czy powinniśmy wychłostać Rance'a za to, co zrobił, czy po prostu wyrzucić go na zbity pysk.

- Nie śpieszmy się tak, panowie. - Sutherland zdjął okulary w srebrnej oprawce i położył je na stole. Był wysokim mężczyzną o żołnierskiej postawie. Został wybrany przełożonym z powodu swego rozsądku i usposobienia - Członkiem Bractwa zostaje się na całe życie. Wszyscy o tym wiemy. Co zaś dotyczy tak zwanego Towarzystwa, nie istnieje procedura umożliwiająca wyrzucenie Założyciela. Poza tym byłoby to przedwczesne.

- Lecz wczoraj Rance posunął się za daleko, Sutherland - stwierdził lord Manders, odsuwając filiżankę z kawą - Przyprować do świątyni kobietę? Pomyśl tylko, co zobaczyła. Wyobraź sobie, co będzie teraz rozpowiadać. Jako rodak Lazonby'ego i lojalny Szkot jestem oburzony

- Szkoci nie mają w Bractwie specjalnych przywilejów, milordzie - odparł Sutherland, znużony. - Owszem, Dar często się wśród nich przejawia, częściej niż u innych nacji, przyznaję. Nie dzielimy jednak ludzi na lepszych i gorszych podług rasy czy narodowości.

- Poza tym pewna kobieta i tak bywa już wśród nas codziennie - odezwał się Geoff, zaskakując samego siebie.

- Zapomnieliście, że Safija Belkadi mieszka pod tym dachem.

- Panna Belkadi ma do czynienia jedynie ze służbą

- odparł Manders. - Nikt jej nie widuje. Rzadko się odzywa, zwłaszcza do mężczyzn. I nie ma pojęcia, co się tu naprawdę dzieje.

Geoff mógłby się założyć, że siostra Belkadi o tym, co dzieje się w siedzibie Towarzystwa, wie więcej, niż połowa jego członków, uznał jednak, że lepiej o tym nie wspominać.

- Poza tym jest siostrą Belkadiego i można jej ufać - kontynuował Alexander. - Tymczasem ta de Rohan... ośmielę się twierdzić, że sprowadzenie jej to jeden z żartów Rance'a.

- Chciałbym, żeby było to aż tak proste, panowie. Geoff odwrócił się i spojrzał na kapłana, ściskającego

z zafrasowaną miną grzbiet nosa.

- Co masz na myśli, Sutherland? - zapytał Ruthveyn. Kapłan westchnął ciężko.

- W ogóle się nie kładłem. Spędziłem noc na czytaniu raportów, które dał mi Rance. Są dosyć... niezwykle.

- Niezwykłe? - powtórzył Geoff. - W jakim sensie? Sutherland wykonał uspokajający gest ręką.

- Dojdę do tego - powiedział. - Pozwólcie jednak, że powiem wpierw, iż znalazłem pomiędzy papierami list napisany do mnie przez Giovanniego Vittoria krótko przed śmiercią. Rance nie dał mi go wcześniej, jak podejrzewam, dlatego, że zniweczyłoby to jego żart - a może należałoby raczej powiedzieć, niespodziankę. Możliwe też, że go przeoczył lub uznał, iż to po prostu list umierającego do starego przyjaciela.

Alexander poczerwieniał i wyglądał niczym chmura gradowa.

- Z całym szacunkiem, *sir*, dlaczego wydaje mi się, że będzie pan próbował usprawiedliwić jakoś to, czego dopuścił się wczoraj Lazonby?

- Lub powie coś, czego wolelibyśmy nie usłyszeć - wymamrotał burkliwie Ruthveyn.

Geoff też poczuł, że coś się zmieniło - uczucie to nawiedziło go już poprzedniego dnia w mieszkaniu Belka-dich. Panna de Rohan podeszła do wszystkiego, co ją spotkało, bez większych emocji i właśnie to wydało mu się podejrzane. Nie sprawiała wrażenia pokonanej, już prędzej... zrezygnowanej. Och, straciła raz czy dwa opanowanie, lecz wyglądała tak, jakby spodziewała się wielkiej bitwy i wystrzeliła dopiero pierwszą salwę.

- Co było w liście? - głos Geoffa brzmiał o wiele spokojniej, niż wskazywałoby jego samopoczucie.

- Giovanni poinformował mnie, że dziewczyna jest wnuczką jego starszej kuzynki, jasnowidzki Sofii Castelli - odparł Sutherland. - A rodzina związana jest z Bractwem od czasów, kiedy nie było jeszcze źródeł pisanych.

- Ma Dar? - zapytał Ruthveyn. Sutherland skinął głową.

- W umiarkowanym stopniu. Przejawia! się w dość niezwykły sposób: za pośrednictwem tarota.

- Karty! - prychnął z pogardą lord Manders. - Kupa cygańskich bzdur.

Lecz Ruthveyn potrząsnął głową.

- Dar często manifestuje się w dziwny sposób - powiedział, zirytowany. - Na ogół związany z daną kulturą. W Indiach moją siostrę szkolono w sztuce *Jyotish* - wy pewnie nazwalibyście to astrologią - oraz czytania z ręki. Lecz gdybyś spytał ją, czy uważa się za mistyczkę, toby cię wyśmiała.

- Lady Anisha uważa po prostu, że posiada uzdolnienia, nie Dar - wtrącił Besse«. - I w jakimś stopniu zapewne tak jest.

- W jakimś zapewne - zgodził się z nim Ruthveyn.

- I podobnie jak jej brat - dodał Geoff - odmawia poddania się badaniu jednego z Uczonych Bractwa, doktora von Althausena.

- Daj temu spokój, Bessett - ostrzegł go Ruthveyn. Geoff się uśmiechnął.

- Doskonale. Zatem kuzynka Vittoria czytała z kart.

- Odwrócił się znów do kapłana. - Lecz jak już wspomniałem, panna de Rohan przyznała, kim jest jej ojciec. Jak to się stało, że rodzina wylądowała w Anglii?

- Castelli handlowali winem w całej Europie - odparł Sutherland, gładząc w zamyśleniu szpakowatą brodę.

- Córka Sofii wyszła za Francuza. Miał liczne winnice w Alzacji i Katalonii, lecz zginął w następstwie rewolucji.

Stara pani Castelli przeniosła rodzinę i biznes do Londynu, by uciec przed Napoleonem. Była twarda i rządziła krewnymi żelazną ręką.

- Castelli - szepnął Alexander. - Widziałem ich wozy przed siedzibą Berry Brothers. Mają też składy w East Endzie.

Sutherland skinął głową.

- Wnuk pani Castelli nie znosił handlu winem i wstąpił do policji, co stara dama uznała za niegodne, i miała rację. W rodzinie dokonał się wtedy poważny rozłam. Lecz po jakimś czasie wnuk ożenił się z majątną wdową z Gloucestershire. Siostrą lorda Treyherna.

Przez chwilę Geoff sądził, że się przesłyszał. Krew odpłynęła mu z twarzy. Treyhern - czy jakikolwiek inny członek tej rodziny - był ostatnią osobą, którą chciałby nastawić przeciwko sobie.

- Żartujesz, prawda? - wykrztusił. Sutherland zerknął na niego spod oka.

- Nie - odparł. - Mieli piątkę dzieci, z czego najstarsze były bliźniaki, Armand de Rohan i jego siostra, Ana-is. Był też starszy chłopiec, przysposobiony.

Oczy lorda Mandersa rozszerzyły się.

- Znam Armanda de Rohan - wykrztusił. - Porządny facet z kupą gotówki. Dobry Boże... Mój wuj bardzo przyjaźni się z jego ojcem.

- A jest nim nie kto inny, jak de Vendenheim - stwierdził Sutherland ponuro. - Musimy postępować bardzo ostrożnie, panowie.

- Powiedziałbym, że ogóle nie powinniśmy mieć tego problemu - stwierdził Ruthveyn, zirytowany. - I co teraz? Co możemy zrobić? Oczywiście poza spuszczeniem Rance'owi solidnego manta? Istnieje groźba, że dziewczyna będzie gadać...

- Nie będzie. - Sutherland zerwał z nosa okulary i rzucił je na stół. - Panowie, chyba nie rozumiecie. Vittorio potraktował swoją rolę niezwykle poważnie. Dziewczy-

na studiowała stare teksty Bractwa, filozofię naturalną, zasady różnych religii, a nawet taktyki wojskowej. Mówi biegle w sześciu językach - włączając w to łacinę i grekę

- i potrafi jeździć konno nie gorzej od każdego mężczyzny. Poza tym Vittorio pisze, że jest jednym z najlepszych szermierzy, jakich zdarzyło mu się trenować.

- Boże Świąty - wyszeptał Alexander. - Nie można byłoby otrzymać lepszej edukacji nawet w Ecole Militaire. Ale szermierka? To wymierająca sztuka.

- Wymierająca, być może, ale nie martwa - zauważył Sutherland. - Nigdy nie wiadomo, kiedy umiejętność posługiwania się białą bronią może okazać się przydatna. Tak czy inaczej, Vittorio pisze, że dziewczyna została przez rodzinę ofiarowana.

- Przez ojca? - warknął Geoff. - Bzdura!

- Przez Sofię Castelli - sprostował Sutherland. - Czy ojciec wie, w co zamieszana jest córka? Vittorio nie wyjaśnia tego do końca. Jest jednak absolutnie pewien, i dał temu wyraz w liście, iż Sofia Castelli była przekonana, że dziewczyna powinna kształcić się na Strażnika. I że to właśnie ona musi wziąć na siebie ciężar rodzinnej tradycji. Vittorio sądził, że wcale to Sofii nie uszczęśliwiało, lecz była pewna.

- Co próbujesz nam powiedzieć, Sutherland? - zapytał władczo Alexander. - Ze powinniśmy dziewczynę przyjąć? W Bractwie nie ma kobiet - ani wśród Kapłanów, ani Adwokatów, ani Uczonych. A już na pewno nie może być Strażnikiem.

- Nie umiem odeprzeć wszystkich waszych argumentów - powiedział Sutherland - jednak kiedyś w Bractwie były celtyckie kapłanki i miały wielką władzę. Poza tym, obawiam się, że nie wszystko dziś wiemy.

- Cóż - przyznał Alexander niechętnie - masz rację co do kapłanek.

- Co więcej, przejrzałem w nocy stare pisma i nigdzie

- dosłownie nigdzie - nie jest powiedziane, że kobieta

nie może być członkiem Bractwa - kontynuował Sutherland. - W ogóle nie ma w nich odniesienia do płci. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyłem.

- Ale to śmieszne - zaproponował Ruthveyn. - Kobiety zupełnie się do czegoś takiego nie nadają.

- No nie wiem - Geoff przemówił, nim zdołał się powstrzymać. - Doskonale wyobrażam sobie w roli Strażniczki Aniszę. Zwłaszcza gdyby jej synowie znaleźli się w niebezpieczeństwie. Chciałbym zobaczyć faceta, który spróbowałby wtedy ją powstrzymać.

Sutherland pochylił głowę.

- Prawda wygląda tak, Adrianie - a modliłem się o przewodnictwo w tej sprawie przez całą noc - że panna de Rohan idealnie pasuje do zadania, jakie postawiono przed nami w zeszłym tygodniu w Wapping.

Ruthveyn zamarł.

- Co, ta sprawa z DuPontem?

- Właśnie - odparł Sutherland. - Zastanawiałem się... cóż, czy nie ma w tym woli boskiej.

Nagle Geoff uświadomił sobie, co właśnie zasugerowano i jakie byłyby tego konsekwencje.

- Nie - powiedział, zrywając się z krzesła. - Nie, Sutherland, nic z tego!

Sutherland rozłożył dłonie.

- A jeśli jest w tym coś, czego żaden z nas nie dostrzega? - zapytał. - Jeżeli dziecku - Giselle Moreau - naprawdę grozi niebezpieczeństwo? I jeśli od tego, czy go uniknie, zależy coś niezwykle istotnego?

- Chyba nie do końca rozumiem - Geoff przeszedł przez pokój i stanął przy oknie w miejscu, które zajmował przed chwilą Ruthveyn. Wpatrując się niewidzącym wzrokiem w St. James Place, zapytał: - Co dokładnie radzisz?

- Byśmy wysłuchali panny de Rohan - powiedział kapłan. - Wierzymy w przeznaczenie. A jeśli wszystko miało doprowadzić nas do tego punktu - pojawienie się Du-

Ponta, nieugięta wola pani Castelli, oddanie, z jakim Vittorio kształcił dziewczynę - jeśli wszystko to jest częścią większego, niewidzialnego planu?

- Z całym szacunkiem - przerwał mu Geoff. - Nie sugerujesz chyba, Sutherland, bym zabrał dziewczynę do Brukseli?

- Czyż nie jesteśmy tylko wojownikami walczącymi w słusznej sprawie? - naciskał Sutherland. - Wzywamy, kiedy zachodzi potrzeba? Po to, by chronić słabych? Niektórzy z was - właściwie, wszyscy - posiadają w jakimś stopniu Dar. Może z panną de Rohan jest podobnie?

Geoff zacisnął szczeki.

- A jej reputacja?

- Decyzja należy do młodej damy, czyż nie? - zapytał Sutherland. - W pewnej chwili uznała, że chce pracować dalej z Vitroriem. Musiała wiedzieć, do czego to prowadzi. Poza tym, przybyła z Toskanii zaledwie przed kilkoma dniami, a do Ostendy popłynęlibyście prywatnym statkiem. Jeśli będzie ostrożna... i bystra, nikt nie musi się dowiedzieć, gdzie i z kim przebywała.

Geoff przesunął dłonią po świeżo ogolonej szczęce, nadal wpatrując się w miejski pejzaż za oknem. Czy Sutherland ma rację? I co takiego było w Anais de Rohan? Leża! bezsennie przez większą część nocy, zastanawiając się nad tym, prawdę mówiąc, dość obsesyjnie.

Dla niego była najmniej znanym z damskich stworzeń - kobietą zuchwałą, zdecydowaną i najwidoczniej obdarzoną bystrym umysłem. Nie było w niej nic afektowanego i bardzo niewiele skromności. Uważał, że jest fascynująca.

Prawdę mówiąc, nie poznał dotąd intymnie zbyt wielu kobiet. Oczywiście utrzymywał od czasu do czasu kochanki, lecz seks to jeszcze nie intymność. Wiedział o tym. Podobnie jak Rutłweyn, bardzo starannie dobierał sobie przyjaciółki. Mężczyzna noszący w sobie tak mocny Dar musi uważać, gdzie zostawia nasienie.

Matka, którą bardzo kochał, była zwyczajną kobietą. Dom, obowiązki, rodzina były dla niej wszystkim. Lady Madeleine MacLachlan została wychowana tak, by zachowywać w każdej sytuacji właściwą damie powściągliwość - i przynajmniej raz zapłaciła za to olbrzymią cenę.

Może kobieta powinna czasem być śmiała. Walczyć o to, czego pożąda.

Gdyby jego matka przeciwstawiła się społecznym oczekiwaniom i poszła za głosem serca, czy jego życie nie potoczyłoby się inaczej? Może oszczędzono by mu, przynajmniej po części, bolesnego dzieciństwa i doskwierającej pewności, że nigdzie nie przynależy. Jednakże kontrast pomiędzy matką a Anais sprawiał, że ta dziewczyna była mu zupełnie obca - jak tajemnicza kobieta, na którą natknął się tamtej nocy w pobliżu St. Catherine. Panna de Rohan to też najbardziej intrygująca osoba, jaką znalazł, to wiedział na pewno.

Czy mógłby pojechać z nią do Brukseli? Spędzać w jej towarzystwie całe dni? Bez wątplenia szybko by go zirytowała - a to uleczyłoby tę niemądrą fascynację. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Proszę. Oto coś, na co warto czekać.

Lecz nadal uważał, że taka wyprawa to szaleństwo.

Z tyłu dobiegał gwar coraz głośniejszych rozmów. Kłócili się, podczas gdy on... cóż, on spierał się z sobą.

- Uważasz zatem, że powinniśmy ją przyjąć - powiedział Rutlweyn do broduśznie. - Doskonale, panowie. Nic nie zdoła zmącić mojego szczęścia. Wkrótce biorę ślub, a potem popłynę do domu i zostanę tam może nawet przez kilka miesięcy.

- Nie jestem pewien, jak winniśmy postąpić. - W głosie Sutherlanda pobrzmiwała desperacja. - Wierzę jednak, że dziewczyna została przysłana z jakiegoś powodu, którego prawdopodobnie sama nie rozumie. A jeśli dowiedziałem się o niej czegoś, czytając dokumenty Vittoria, łatwo nie zrezygnuje.

Geoff odwrócił się powoli i wszyscy zamilkli.

- Myślę, że się nie mylisz - powiedział. - Uzmysłowiłem to sobie wczoraj wieczorem. Dziewczyna nie uznała, że została pokonana, ale po prostu czeka na stosowną chwilę, by znowu spróbować. A teraz jestem już tego pewny.

- Miałeś wizję, Geoffreyu? - zapytał kapłan niepewnie.

- Nie. - Geoff potoczył wzrokiem po zebranych. - Po prostu widziałem, jak wysiada na dole z dwukółki. Tylko patrzeć, jak zapuka do drzwi.

Rozdział 4

Jeśli znasz swoich wrogów i siebie,

wyjdiesz cało z tysięcy bitew.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Sutherland przeciągnął dłonią po siwiejących włosach.

- Cóż zatem, panowie, doszliśmy do porozumienia? Powinniśmy spotkać się z panną de Rohan i zapytać, czy zechce pomóc? Przynajmniej w tej jednej sprawie?

- Nie - powiedział Geoff, uprzedzając innych. - Porozmawiam z nią osobiście.

- Tylko ty i ona? - zapytał Sutherland.

Geoff odwrócił się z dłonią na kłamce i przygwoździł zebranych spojrzeniem.

- Któryś z was chce jechać zamiast mnie do Brukseli? Mężczyźni utkwili w nim spojrzenia, żaden jednak się nie odezwał.

- Uważam zatem, że to sprawa pomiędzy damą a mną - stwierdził Geoff stanowczo.

Opuścił pokój i ruszył w dół po marmurowych schodach prowadzących do holu rozszerzającą się kaskadą bieli. Klub, ze swymi kryształowymi żyrandolami, bogactwem dywanów i kolekcją pejzaży na obitych jedwabiem ścianach, był prawdopodobnie najelegantszym przybytkiem tego rodzaju w Londynie.

Wiedział, że pozostawią tu wraz z Rutłweynem i Lazonbym trwałe dziedzictwo i pod wieloma względami był to dla niego najbardziej pomyślny okres w życiu. Po raz pierwszy otaczali go mężczyźni tacy jak on, którzy wie-

rzyli w ideę stojącą za utworzeniem Fraternitas i razem wiele osiągnęli.

Mimo to nie czuł się szczególnie usatysfakcjonowany. Czasami zdawało mu się, iż jego życie dzieli się na trzy zasadnicze rozdziały. Najpierw dzieciństwo - puste, czasami przerażające lata, kiedy nie wiedział, kim właściwie jest i co jest z nim nie tak. Potem nadeszło to, co nazywał w duchu Oświeceniem - czas spędzony z babką w Szkocji, formalna edukacja i w końcu rozwijająca się kariera w firmie MacGregor i Spółka.

Właśnie wtedy, gdy wszystko zdawało się układać, Alvin, niech go diabli, postanowił postrzelać sobie w deszczu - i to wtedy, gdy polowa ich niewielkiej wioski w Yorkshire leżała złożona złośliwą gorączką. Krótco potem rozpoczął się rozdział trzeci.

Odtąd Geoff czekał już tylko na rozdział czwarty. Ale dlaczego rozmyślał o tym właśnie teraz, stojąc u podnóża schodów, jakby nie wiedział, dokąd się udać? Panna de Rohan nie miała dla niego odpowiedzi. Nie byłaby nawet w stanie odgadnąć pytań.

Czekała jednak gdzieś w pobliżu i zasługiwała na to, aby okazać jej uprzejmość i się z nią spotkać.

Dyżurujący lokaj powiadomił go, że dama istotnie przybyła, poprosiła o spotkanie z wielebny Sutherlandem i została wprowadzona do prywatnej biblioteki klubu, nieudostępnianej na ogół publice.

By podtrzymać złudzenie, że są stowarzyszeniem osób zajmujących się badaniem zagadnień filozofii naturalnej - co nie było do końca fałszem - Towarzystwo Świętego Jakuba często oferowało ludziom z zewnątrz, nawet kobietom, dostęp do zbiorów swej biblioteki, archiwów i starych manuskryptów. Obszerna kolekcja zajmowała aż sześć luksusowo wyposażonych czytelni. Prywatna biblioteka była małym, przytulnym pomieszczeniem mieszczącym najcenniejsze książki i zarezerwowanym dla członków oraz ich gości. Drzwi stały otworem i Geoff zatrzymał

się na chwilę tuż za progiem, obserwując, ukryty w cieniu, jak panna de Rohan porusza się po pokoju.

Elegancka młoda kobieta, skąpana w promieniach porannego słońca, ledwie przypominała zmysłową boginię, którą poznał poprzedniego wieczoru. Przechadzała się wzdłuż jednego z regałów, wyciągając od czasu do czasu tom, który ją zaciekał, otwierała go, a potem wsuwała z powrotem, jakby nic nie było w stanie jej zadowolić.

Dziś miała na sobie suknię spacerową w kolorze królewskiego błękitu ozdobioną czarną satyną. Na bujnych ciemnych lokach, upiętych niedbale, tkwił pod zawadiackim kątem kapelusik z czarną wstążką i niebieską nuszka, ozdobiony trzema czarnymi piórami. Strój uzupełniała torebeczka z czarnego aksamitu, zwisająca na jedwabnym sznureczku z nadgarstka damy.

Dziewczyna nie była właściwie piękna, a suknia bardziej rzucająca się w oczy niż modna. Lecz kapelusik - ach, tak, nakrycie głowy świadczyło o pewnej zuchwałości. Wszystko to razem stanowiło zapierający dech w piersi, uroczy obrazek.

Z westchnieniem wsunęła na półkę ostatni tom, który przyciągnął jej uwagę.

- Proszę nie trzymać mnie w niepewności, lordzie Bessett - powiedziała, nie patrząc na niego. - Nadal jest pan na mnie zły?

Zaskoczony wmaszerował do pokoju z dłońmi założonymi za plecami. Jak, u licha, mogła go zobaczyć, skoro nie odwróciła ani razu głowy?

- Czy ma to znaczenie? - spytał. Westchnęła znowu i odwróciła się ku niemu.

- Dla wyjaśnienia: nie jestem jedną z tych niemądrych panienek, które zachowują się lekkomyślnie po to, aby wywołać zamieszanie - odparła. - Tak, to ma znaczenie. Naprawdę uznał pan wczoraj, że już tu nie wrócę, a moje pojawienie się to żart?

Geoff nie był już pewien, co myśleć.

- Panno de Rohan, jeśli wolno spytać, co doprowadziło panią do tego dziwnego punktu w życiu?

- Słucham? - Uniosła brwi. - Jakiego punktu? Zważając bacznie, co mówi, wyjaśnił:

- Musiała pani zdawać sobie sprawę, że pani działania będą stanowiły dla jej reputacji wielkie zagrożenie. Niezameżna dama z wyższych sfer...

- ...pokazująca się w miejscu publicznym w koszuli i z obnażonymi kostkami? - zakończyła, składając przed sobą dłonie w geście, który komuś, kto by jej nie znał, mógł wydać się skromny. - Oczywiście, że zdawałam sobie z tego sprawę, lecz ceremonia wymaga określonego postępowania, a wasz kapłan bardzo ceni sobie pradawne reguły. Zrobiłam, co musiałam. Nie jestem... zuchwałą, lordzie Bessett. Cóż, przynajmniej nie w ten sposób.

Geoff starał się nie zmarszczyć z naganą brwi.

- Jeśli zamierzała pani popełnić takie szaleństwo, należało porozmawiać wpierw z wielebnym Sutherlandem i...

- ...dać mu okazję, by z miejsca mi odmówił?

- ...poprosić, by uczynił dla pani wyjątek. Postąpiła krok ku niemu. Dłonie nadal miała zaciśnięte, a torebka na jej nadgarstku kołysała się nieznacznie.

- Trzeba od początku postępować tak, jak zamierza się postępować dalej, lordzie Bessett - powiedziała głosem o wiele zbyt zmysłowym, by mógł czuć się swobodnie. - Kobieta nie może oczekiwać, że będzie traktowana na równi z mężczyznami, jeśli od początku zażąda specjalnych przywilejów. Poza tym, oboje wiemy, iż wprowadzający musi przedstawić kandydata podczas inicjacji - jest to rytuał sięgający korzeniami dwunastego wieku. A dla Bractwa tradycja jest wszystkim. Nie chciałam być tą, która ją złamie - nie w większym stopniu, niż byłam do tego zmuszona.

- Wiem, jak ważna jest dla nas tradycja, panno de Rohan - powiedział nieco łagodniejszym tonem. - Wiem

jednak także, ile dla młodej damy znaczy reputacja. Czasy trochę się zmieniły i niezamężne damy z dobrych domów mają teraz nieco więcej swobody. Lecz tylko nieco.

- Szczerze mówiąc, jeśli chodzi o moje pochodzenie, nie ma się zbytnio nad czym rozwodzić - stwierdziła chłodno panna de Rohan. - Po jednej stronie moimi przodkami byli kupcy, po drugiej zaś szelmy i szubrawcy. Mój ojciec pracował w młodości jako detektyw z Bow Street. A kiedy zdarzało mu się odwiedzać dom dżentelmena, wpuszczano go wejściem dla służby. Wiedział pan o tym, milordzie? Nie, widzę, że nie.

Rzeczywiście nie wiedział.

- Cóż, jeśli tak było, to wyłącznie dlatego, że sam tego chciał - odparował gładko. - Nie musiał zarabiać w ten sposób na życie.

Uniosła brodę i spojrzała na niego z naganą.

- Zatem, jeśli mężczyzna zajmuje się czymś, co jest poniżej jego pozycji, uważa się to za szlachetne poświęcenie, a jeśli próbuje tego kobieta, za figiel? Mój ojciec miał na punkcie sprawiedliwości obsesję. Widok rodziny mordowanej przez rewolucjonistów potrafi wywołać w człowieku tego rodzaju reakcję. Mogłabym zrobić coś gorszego, niż pójść w jego ślady.

- Tak pani to postrzega? - zapytał, wpatrując się w nią.

Wzruszyła lekko ramionami.

- Jakkolwiek bym to postrzegała, pańska troska o mnie jest co najmniej zbędna. Wiemy oboje, że w Bractwie przysięga się krwią do chowanie tajemnicy. Każdy z was widział też w życiu sporo zgrabnych kostek. Lecz jakoś mi się wydaje, że nie o to panu chodziło.

- Rzeczywiście - przyznał. - Nie o to.

Podeszła do miękkiej skórzanej sofy, zatrzymując się na chwilę, aby przesunąć łagodnym, niemal zmysłowym gestem po marmurowym popiersiu Parmenidesa stojącym na stoliku za kanapą. Geoff nie był w stanie ode-

rwać od niej wzroku. Dziś, gdy nie miały nim gniew i emocje, wydawała mu się dziwnie znajoma.

Był niemal pewny, że już ją kiedyś spotkał, lecz nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy mogłoby to być i gdzie. Musiał najwidoczniej się mylić. Anais wyróżniałaby się wśród tłumu wdzięczących się, bladolicych piękności. Nie należała z pewnością do kobiet, które mężczyzna, spotkawszy, potrafiłby zapomnieć.

Uniosła wzrok i przyszpiliła Geoffa gorącym spojrzeniem czarnych oczu.

- Nigdzie się nie wybieram, lordzie Bessett - zapewniła cicho. - Nie poddam się tak łatwo. Jestem to winna mojej prababce i Vittoriowi. Chcę wiedzieć, czy wielebny zapoznał się z moimi aktami. I czy jest jakiś powód - poza oczywiście płcią - by Towarzystwo odrzuciło moją kandydaturę. Potrafi pan odpowiedzieć na te pytania, milordzie? A może powinnam rozbić u waszego progu obóz i czekać, aż pan Sutherland zechce wyjść z domu? I proszę nie fatygować się i nie doradzać mi, by się wymknął drzwiami do ogrodu lub tajnym przejściem prowadzącym do parku St. James. Przestałam nabierać się na tego rodzaju sztuczki, odkąd skończyłam dziesięć lat.

Po prostu musiał się roześmiać. Wizja Anais de Rohan oblegającej biednego Sutherlanda była... cóż, całkiem możliwa do wyobrażenia.

- Cieszę się, lordzie Bessett, że jestem w stanie tak pana rozbawić - zauważyła kpiąco.

- Muszę przyznać, że zaczyna pani robić na nim wrażenie - powiedział, lecz zaraz spoważniał. - Jednak kobieta nigdy nie zostanie członkiem Bractwa. Przykro mi. Nie wiem, dlaczego prababka pani uznała, że to możliwe.

- Ale zrobiłam wszystko, co było... Uniósł dłoń, by ją powstrzymać.

- Wierzę pani. Akta Vittoria to potwierdzają. Był najlepszym Adwokatem w obszarze Morza Śródziemnego i nie był głupi.

Przez twarz panny de Rohan przemknęło coś jakby cień smutku.

- Rzeczywiście. Byi... był... - Zamilkła, jakby zabrakło jej słów, odwróciła się i pomaszerowała ku oknu.

Geoff nie odznaczał się szczególną wrażliwością, a jednak coś ścisnęło go w piersi.

- Panno de Rohan - powiedział. Podszedł i dotknął leciutko jej ramienia. - Nie zamierzałem...

Otarła oczy grzbietem dłoni.

- Wszystko w porządku - zapewniła pospiesznie. - Chodzi tylko o że... był moim krewnym. Moim mentorem. I trochę mi go brakuje.

- Tak jak całemu Bractwu - powiedział Geoff łagodnie, cofając dłoń.

Podniosła wzrok i zapatrzyła się na St. James Place. Widział w szybie odbicie jej twarzy: szerokie, ruchliwe usta, teraz lekko drżące, i pełne smutku oczy.

Byli niczym mrok i błyskawica: jej ciemnoniebieska suknia i czarne sploty kontrastowały z jego rozjaśnionymi od słońca włosami i oślepiająco białą krawatką. Nie wątpił, że to jedynie najbardziej rzucająca się w oczy różnica - inne pozostawały ukryte głęboko, i nie tak łatwe do zauważenia.

Nie musiał jednak przejmować się tym, co różni go od Anais de Rohan. Nie musiał nawet jej znać. Potrzebował dziewczyny jedynie po to, aby towarzyszyła mu przez kilka tygodni w Brukseli.

Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że musiałyby zaryzykować utratę reputacji. Bo o to właśnie zamierzał ją poprosić.

Miałby działać, podróżować i mieszkać z kobietą tak pełną życia i nawet jej nie poznać? Chryste, to po prostu nie do pomyślenia.

Lecz jak najbardziej do zrobienia. Zwłaszcza gdy stawką jest życie dziecka - zapewne przerażonego i nie-wiedzącego, co się z nim dzieje. Strażnik Giselle More-

au nie żył. Dziewczynka została bez duchowego przewodnika. Nie miała nikogo, kto by ją chronił i pomagał jej w najtrudniejszym okresie

życia, kiedy to będzie musiała uporać się ze świadomością tego, kim - i czym - jest. Pogodzić się ze swoją odmiennością. Zaakceptować fakt, że została naznaczona darem będącym raczej przekleństwem. Wiedział, jakie to uczucie, gdyż przebył podobną drogę. .

Dziecko musi zostać sprowadzone do Angin, gdzie przydzielili mu się nowego Strażnika, kogoś zdolnego zadbać, by pozostało bezpieczne w tym trudnym, bolesnym okresie. A jeśli oznacza to, że będzie musiał zamieszkać na jakiś czas z Anais de Rohan - spoglądać co dzień przy śniadaniu w te oczy koloru gorącej czekolady i nie móc jej tknąć - trudno, jakoś temu podoła. Przetrwa.

Spoglądała teraz na niego świadoma, że ją obserwuje. Uznał, że lepiej będzie porozmawiać wpierw o czymś niemającym związku z zadaniem.

- Proszę powiedzieć mi, jaki był Vittorio - poprosił.

- Stary - odparła ze śmiechem. - Typowy stary To-skańczyk. Spędzałam u niego kilka miesięcy w roku, odkąd skończyłam dwanaście lat, i pokochałam go, jakby był moim rodzonym dziadkiem. Chociaż z początku... cóż, wcale nie miałam ochoty tam jeździć. Wiedziałam jednak, że pragnie dla mnie tego, co najlepsze.

Geoff delikatnie obrócił ją ku sobie.

- Czy pragnął dla pani... właśnie tego? - zapytał, wskazując szerokim gestem otoczenie. - Decyzję podjęła pani prababka, ale co sądził o tym Vittorio?

Spuściła na chwilę wzrok i myślał już, że nie odpowie.

- Miał wątpliwości - przyznała po chwili. - Obawy. Jaki mężczyzna by ich nie miał? Był jednak człowiekiem innych czasów, nawykłym do innego życia. Żyjemy w zmieniającym się świecie, lordzie Bessett. Nawet Bractwo się zmienia, a pan jest narzędziem tych zmian. Na Boga, zgromadził pan wszystkie akta i opracował genealogie,

zbudował laboratoria i biblioteki, zebrał ludzi, rozproszonych po całej Europie. Dlaczego nie potrafi pan pojąć, że i kobieta może mieć Bractwu coś do zaoferowania?

- Kobiety mają wiele do zaoferowania - przyznał. - Zawsze miały. Ja na przykład zostałem wyszkolony przez moją... cóż, bliską przyjaciółkę rodziny. Szkocką jasnowidzkę. Kobietę, która miała w Bractwie wielkie wpływy i całkiem znaczącą władzę. Dawała też z siebie bardzo dużo. Wiele z obdarzonych największymi mocami *vateis* to kobiety i zawsze tak było.

- Mimo to nie ma wśród was miejsca dla mnie? - Panna de Rohan zadarła z uporem brodę. - Muszę przyznać, że nie zostałam obdarzona znaczącym Darem. Potrafię odczytać karty tarota, nauczyła mnie tego prababcia, i czasami... cóż, czasami jestem w stanie odgadnąć, co ktoś myśli, lub wyczuć czyjąś obecność. Wierzę w Bractwo i jego misję. Pytam zatem ponownie - nie ma wśród was dla mnie miejsca?

- Jest pani przyjaciółką Bractwa, panno de Rohan, i zawsze będzie - odparł. - Vittorio i pani prababka już się o to postarali. Z czasem może stać się też pani jedną z kobiet, o których wspomniałem, obdarzonych wielkimi wpływami i władzą.

- I to wszystko? - spytała rozczarowana. - Taka będzie odpowiedź Bractwa na dziesięć długich lat moich zmagania?

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć i jakie naprawdę są jego motywy. Miał dziwne uczucie, iż zanurza się właśnie w otchłań bez dna. W coś, co okaże się chłodne, odświeżające i nieco szokujące, gdy przetnie powierzchnię i zanurkuje głęboko. W tej głębi kryła się jednak tajemnica, którą chętnie by poznał.

- Prawdę mówiąc, jest coś, w czym mogłaby pani nam pomóc - o ile, oczywiście, zechce pani to zrobić.

- Ja miałabym wam pomóc? - spytała z lekkim niedowierzaniem. - Nie chcecie mnie, ale mam wam pomóc?

- Proszę tylko wysłuchać, co mam do powiedzenia - poprosił. - Potem może pani odmówić. Szczerze mówiąc, nawet pani powinna. Jestem przekonany, że ojciec pani także by sobie tego życzył.

- Lordzie Bessett. - Podeszła jeszcze bliżej. - Jestem dorosła i potrafię radzić sobie z zawiedzionymi oczekiwaniami ojca, a prawdę mówiąc, nie żywi ich zbyt wiele. To nie jest typowy angielski dżentelmen.

- Nie jest nawet Anglikiem, prawda?

- Nie z pochodzenia. - Błysnęła sardonicznym uśmiechem. - Lecz jak pan odgadł, ja jestem Angielką, urodzoną i wychowaną w tym kraju. Dorastałam w Gloucestershire i Londynie, poza kilkoma miesiącami w roku, które spędzałam u Vittoria w Toskanii. Wróćmy jednak do pańskich oczekiwań. Czego by się pan po mnie spodziewał?

Geoff zastanawiał się chwilę, jak najlepiej wyjaśnić sytuację.

- To dość krępujące - powiedział. - Potrzebuję kobiety...

Zaśmiała się perliście.

- Doprawdy? - powiedziała. - Zważywszy na złoto-brązowe loki i mocną linię szczęki nie powinien pan mieć z tym kłopotu.

- Panno de Rohan...

- Chodzi zapewne o to ponure spojrzenie - przerwała mu, okrążając go niczym wierzchowca na maneżu. - Ma pan ładne oczy, nie inspirują jednak do pisania poezji, przynajmniej takiej, jaka spodobałaby się omdlewającej damie.

Geoff spojrzał na nią, unosząc rozmyślnie brew.

- Zaiste, zadała pani mojej próżności śmiertelny cios - wymamrotał. - Jednakże to nie talent do pióra jest tym, co zachwyca mnie w kobiecie najbardziej.

Leniwy, zmysłowy uśmiech wypłynął z wolna na wargi panny de Rohan.

- Nie? - powiedziała cicho. - Zatem nie mierzy pan chyba dość wysoko.

Uśmiechnął się z trudem.

- Zboczyliśmy z tematu. Proszę pozwolić, że wyjaśnię i nadam rozmowie właściwy ton. - Wskazał bliźniacze skórzane sofy stojące po obu stronach kominka. - Zechce pani usiąść, panno de Rohan? Powinienem zaproponować to wcześniej, ale coś w pani zachowaniu nieustająco zbija mnie z tropu.

- Mówiono mi już, że wywieram na ludzi taki wpływ - przyznała. - Dziękuję, chętnie usiądę. A pan mi opowie, jak mogłabym pomóc.

Geoff zyskał trochę na czasie, dzwoniąc na lokaja, by podał kawę. Panna de Rohan zażyczyła sobie czarną, gorącą i bardzo mocną. Dokładnie, jak się spodziewał.

Kiedy czekali, zmusił się do prowadzenia nudnej, powierzchownej rozmowy na temat angielskiej pogody, zbliżającego się sezonu balowego i, ogólnie rzecz biorąc, londyńskiego towarzystwa[^]

Lecz panny de Rohan to nie zainteresowało. Pierwsze jej nie obchodziło, nie miała pojęcia o drugim i szczerze gardziła trzecim - przypominając mu po raz kolejny, że jakby się nie starał, nigdy nie będzie w stanie widzieć w niej zwyczajnej kobiety.

Kiedy podano kawę, dał sobie spokój i przeszedł od razu do rzeczy, powtarzając niemal dosłownie, co powiedział im DuPont na temat Giselle Moreau i przedwczesnej śmierci jej ojca.

Odstawiła pustą filiżankę i odchyliła się na oparcie sofy.

- Ten adres w Brukseli - spytała - to rezydencja, prawda?

- Tak mi powiedziano.

- Potrafi pan się wspinać?

- Wspinać?

- Drzewa - wyjaśniła. - Kołowrotki. Liny. Krótko mówiąc, jest pan nadal sprawny, milordzie? Czy wiek odbił

się już nie tylko na pańskiej minie i postawie, ale też na ciele, przydając mu sztywności?

- Na miłość boską, panno de Rohan! - zaprotestował oburzony Geoff. - Nie mam jeszcze trzydziestki. - Lecz niewiele mu do niej brakowało. - Tak, jestem w stanie się wspinać. Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

- Cóż, mógłby pan wziąć mnie ze sobą do Brukseli, bo tam pan właśnie jedzie, prawda? Inaczej ktoś inny opowiadałby mi tę historię. Zatem, jedziemy razem, zaprzyjaźniam się z kobietą, nawet się do niej przymilam, a potem wślizguję się do pokoju dziecinnego i otwieram po cichu zamek w jednym z okien. Pan wspina się w nocy

- a jeśli nie pan, to ja - i uprowadza dziecko. Na dole czeka powóz, który wiezie nas do Ostendy. Bylibyśmy w porcie mniej więcej o drugiej, trzeciej nad ranem.

- Tak po prostu? - zapytał chłodno.

- Właśnie - odparła. - Do wybrzeża nie może być z Brukseli więcej jak osiemdziesiąt mil. Kiedy zaczną kursować pociągi - a nastąpi to zapewne około wpół do szóstej - możemy zostawić powóz w Gandawie i dotrzeć do portu w porze śniadania.

- Zaczynam nabierać przekonania, że to pani i Lazonby powinniście podjąć się tego zadania - burknął.

- Jeden śmiały, bezwzględny czyn po drugim, coś takiego mogłoby złamać biednej kobiecie serce w mgnieniu oka.

- Jakiej znów biednej kobiecie? - Panna de Rohan spojrzała na niego, zaskoczona. - Ach, tak, rozumiem. Matka. Cóż, można byłoby powiadomić ją po fakcie, iż dziecko jest bezpieczne w Anglii. Prawdopodobnie nie uczestniczy w spisku, jednak fakt, że poszukała schronienia u kogoś takiego jak Lezennes, jest co najmniej podejrzany.

Geoff nie odezwał się, choć i jemu przyszło to na myśl. Okres żałoby ledwie się skończył. Czy naprawdę rozważała powtórne wyjście za mąż?

- Uważam za bardziej prawdopodobne, iż rzeczona dama jest pozbawiona środków do życia - stwierdził spokojnie.

Panna de Rohan zamyśliła się.

- Jeszcze jeden powód, by połączyć ją z krewnymi w Anglii - stwierdziła po chwili. - Czy kiedy nas nie będzie, wasz kapłan mógłby odszukać jej rodzinę w Colchester. Jest w Towarzystwie także genealogiem, prawda? I wyświęconym księdzem?

- Jednym i drugim, tak - odparł Geoff. Panna de Rohan uśmiechnęła się złośliwie.

- Cóż, doświadczenie podpowiada mi, że nikt nie potrafi tak skutecznie wzbudzić w kimś poczucia winy jak ksiądz, kiedy zawezmie się, by zbawić duszę jakiegoś nieszczęśnika - powiedziała - a Sutherland sprawia wrażenie, iż jest w tym naprawdę dobry.

Geoff odstawi! ostrożnie filiżankę.

- Cóż, panno de Rohan, wychodzi na to, że ma już pani wszystko zaplanowane - powiedział cicho. - Pomija pani jednak pewną niezwykle istotną okoliczność.

- Na przykład?

- Zaproszenie.

Przynajmniej miała dosyć przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

Prawda wyglądała jednak tak, że zamierzał ją zaprosić. Była impulsywna, ale nie głupia. I skutecznie go przejrzała. Co więcej, plan, jaki przedstawiła, zgadzał się co do joty z tym, co Geoff sam by zrobił.

I czego nie zamierzał zrobić.

Przyglądał się jej przez chwilę ponad stolikiem.

- Ile ma pani lat, panno de Rohan?

Zadarła brodę i spojrzała na niego z delikatnym wyzwaniem w oczach.

- Jakież to niegrzeczne - stwierdziła. - Dama nigdy nie zdradza, w jakim jest wieku. Lecz ja dopiero co przyznałam, że niewiele mam w sobie z damy, prawda?

- Uprzedza pani moje argumenty. Uśmiechnęła się leciutko kątem ust.

- Doskonale. Mam dwadzieścia dwa lata, a przynajmniej wkrótce będę miała.

- To niewiele - zauważył. - Nadal dużo w pani młodzieńczej niecierpliwości i zapalczywości.

- Och, mam nadzieję, że tak jest w istocie - odparła. - Proszę dorzucić jeszcze optymizm. To cudowne uczucie, że wszystko jest możliwe. Owszem, przyjmuję zarzuty. Poza tym niecierpliwość nie zawsze jest wadą.

Geoff rozparł się wygodniej na sofie i spoglądał z aprobatą na dziewczynę.

- Proszę pozwolić, że coś pani uzmysłowię - powiedział łagodnie. - Jeśli zdecyduje się pani podjąć ryzyko i pojedzie ze mną do Brukseli, będzie pani musiała zmierzyć się z konsekwencjami.

- Ma pan na myśli moją reputację. - Uśmiechnęła się cokolwiek kwaśno. - Zdaję sobie z tego sprawę, lordzie Bessett. A tak, nawiasem mówiąc, nie poluję na męża.

- Dobrze wiedzieć, ponieważ tu i tak by go pani nie znalazła. A ryzyko może dotyczyć czegoś znacznie ważniejszego niżli zszargana reputacja. Poza tym, co powiedział DuPont, nie mam pojęcia, jakim człowiekiem jest Lezennes i na ile może okazać się niebezpieczny. Jeśli już o to chodzi, nie znam nawet samego DuPonta. Nasz kontakt w Rotterdamie ujawni się i pomoże na ile będzie mógł, prawda wygląda jednak tak, że być może wejdziemy w paszczę lwa.

- Zrozumiałam - odparła.

- Pozostaje kwestia pani rodziny - naciskał. - Nie wiem, co zamierza jej pani powiedzieć, ale to już pani sprawa. Lecz jeśli ojciec pani wyzwie mnie na pojedynek, nie będzie mi do śmiechu.

- Proszę mi mówić: Anais - zaproponowała - skoro rozważa pan tak intymne posunięcia jak spotkanie o świcie, choćby i na ubitej ziemi.

- Mówię poważnie - kontynuował. - Wiem, jakie wpływy ma pani ojciec w Whitehallu, i nieszczególnie mnie to obchodzi. Bractwo też nie jest ich zupełnie pozbawione. Mamy swoich ludzi na najwyższych szczeblach rządowych. Rozumiemy się?

Uniosła brwi i przyszpiliła go spojrzeniem.

- Doliczyłam się ministra, dwóch podsekretarzy i członka tajnej rady. Przynajmniej ci ukrywali się wczoraj pod brązowymi kapturami. Nie jestem tak impulsywna, milordzie, bym nie rozumiała, że wpływy Bractwa sięgają najwyższych sfer rządowych.

- Musi pani zrozumieć jeszcze jedno - mówił dalej. - Jeśli wyruszymy, to ja będę dowodził. Podejmował decyzje na każdym etapie operacji. Nie będę miał czasu, żeby krzyżować z panią szpady i spierać się. Nie owijam w bawełnę, lecz jestem nieustępliwy, panno de Rohan. Wydostanę stamtąd dziecko, może być pani tego pewna. Nie złamię jednak przy tym serca tej kobiecie i nie postąpię wbrew jej życzeniom, chyba że będzie to kwestia życia lub śmierci. Rozumie pani, co do niej mówię?

- To, że mam być jedynie pionkiem w pańskiej grze? Bezwolnym elementem mistrzowskiego planu?

- Właśnie, choć nie mam jeszcze planu. Stworzę takowy, gdy poznam dokładnie okoliczności. A pani będzie trzymała się go jota w jotę, gdyż w przeciwnym razie polecę Diericowi van de Velde, by odwiózł panią osobiście do Ostendy i wsadził na statek.

- Tak jest, kapitanie. - Panna de Rohan zasalutowała kpiąco.

- Więc... potrafi pani zaakceptować te zasady?

Na twarz dziewczyny wypląnął z wolna szeroki uśmiech.

- Sądził pan, że zdoła mnie zniechęcić powarkiwania-mi i groźbami, milordzie? - zapytała. - To się panu nie uda. Właśnie coś takiego uważam bowiem za swoje powołanie: pomoc w wymierzaniu sprawiedliwości na tym, jakże niesprawiedliwym, świecie.

- Takie to proste?

- A co, sądził pan, że chcę wstąpić do Bractwa z uwagi na stroje? - zaśmiała się. - Szczerze mówiąc, te drapiące brązowe szaty wyglądają, jakby gnieździło się w nich robactwo, średniowieczne robactwo.

- Tylko tego pani chce? - zapytał. - Nie członkostwa w Bractwie?

Natychmiast straciła humor.

- Nic takiego nie powiedziałam. - Jej niski, gardłowy głos sprawił, że ciarki przebiegły mu po kręgosłupie. - Mówię jedynie, że... cóż, zawsze to jakiś początek.

- Początek - powtórzył.

Jej uśmiech rozgrzewał niczym słońce.

- Owszem, i to dosyć obiecujący - powtórzyła. - Tak, lordzie Bessett, z przyjemnością będę towarzyszyła panu do Brukseli i zносиła pańskie powarkiwama oraz burczenie najlepiej jak potrafię. A teraz: czy zostałam oficjalnie poproszona? .

Zawahał się na sekundę. Anais de Rohan wyciągnęła ku niemu rękę nad stolikiem do kawy.

Przyjął z ociąganiem oferowaną sobie dłoń i zacisnął palce wokół jej palców, mniejszych i bardziej chłodnych.

* * *

Wczesnym popołudniem znad rzeki nadciągnęła charakterystyczna dla Londynu, wilgotna mgła - tak gęsta, że woźnice ledwie widzieli głowy koni, i tak cuchnąca, że przechodniom łzawiły oczy.

Przy Fleet Street dziennikarze mijali się co rusz na chodniku, potrącając się i klnąc w wiecznej pogoni za tematem nadającym się na nagłówki, podczas gdy wyładowany węglem wóz turkotał po bruku, nadciągając od strony Blackfriars wprost na spotkanie zbliżającego się dyliżansu pocztowego.

Woźnice musieli źle ocenić odległość, gdyż wóz przewrócił się na bok, niemal pociągając za sobą czwórkę koni. Zwierzęta stały teraz, drżąc i przestępując z nogi na nogę. Lord Lazonby utknął u stóp Shoe Lane stojąc po kostki w węglu. Klnąc ile wlezie, strzepnął z butów czarny pył i pomaszerował dalej, mijając kłócących się i rwących do bitki woźniców.

Przeszedł przez zablokowaną jezdnię i zapuścił się w mgłę, by skrócić po chwili w pasaż prowadzący ku St. Bride. Przekleństwa i gwar, dobiegające od strony Flcet Street ucichły nagle, jakby ktoś napchał mu do uszu waty.

Z wprawą człowieka przywykłego być zarówno zwierzyną, jak i myśliwym okrążył niemal na oślep kościół i wszedł na dziedziniec. Przedzierał się pomiędzy nagrobkami, póki nie znalazł odpowiedniego miejsca - porośniętego mchem zakątka tuż przy jednej z największych płyt poniżej północnego okna.

Czując, jak słuszny gniew wypala mu trzewia, oparł się o zimny mur kościoła St. Bride, nastawiając się na długie czuwanie w wilgoci i chłodzie.

Nie minęło jednak pół godziny, a do uszu lorda dobiegł tłumiony przez mgłę odgłos kroków. Ktoś nadchodził od strony Bride Court. Z zaciśniętymi z gniewu szczękami przyglądał się, jak Hutchens-od trzech miesięcy drugi lokaj w jego domu - wyłania się z mroku. Przeklęty głupiec nadal miał na sobie czerwoną liberię. To oraz towarzyszący każdemu jego ruchowi odgłos sapania nie pozwalały pomylić się co do osoby ani jej przeoczyć.

Chociaż Lazonby nie zwracał na ogół uwagi na strój i zakładał po prostu to, co przygotował dla niego osobisty lokaj, tego akurat dnia ubrał się starannie, wybierając rzeczy w kolorze węgla i szarości. Tak przyodziany wtopił się w mgłę i kamień niczym duch.

Jack Coldwater miał na sobie zwykły ciemnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Chytry bękart wyłonił się zza

rogu kościoła, dosłownie wymacując sobie drogę wśród nagrobków.

- Nie podoba mi się tu, Jack - poskarżył się Hutchens.

- Cmentarze przyprawiają mnie o dreszcze.

- Zważywszy, ile mnie kosztujesz, możesz sobie drzeć, póki piekło nie zamarźnie - odparł Coldwater sztywno.

- Co masz?

Lazonby patrzył, jak Hutchins sięga do kieszeni.

- Cholernie mało - powiedział, pokazując złożony arkusz papieru. - Wybiera się dziś wieczorem do klubu Quartermaine'a. Słyszałem, że urządzają tam sobie regularnie popijawy. Widziałem też, jak jego lokaj czyści drugi pod względem jakości surdut, co oznacza prawdopodobnie igraszki u pani Farndale - nie wiem tylko: dzisiaj wieczorem czy jutro.

- Facet ma zwyczaje jak napalony kundel - wycedził Coldwater, chwytając papier. - A poza tym?

- Poza czym? - zapytał Hutchens obronnym tonem.

- Mówiłem, kiedy zaczynaliśmy, że Lazonby nie prowadzi uporządkowanego trybu życia. Masz szczęście, że udało mi się zdobyć choć to. - Zamilkł i wyciągnął dłoń.

- Gdzie moje pieniądze?

Coldwater schował papier do kieszeni, a potem wyciągnął portfel.

- Dostaniesz połowę stawki - burknął, grzebiąc w jego zawartości.

Hutchens otworzył usta, gotów zaprotestować. Lazonby wysunął się z mroku i rzucił na wyciągniętą dłoń lokaja kilka monet.

Hutchens wrzasnął i podskoczył, rozrzucając monety.

- Do diabła! - krzyknął Coldwater, kiedy pieniądze upadły na ziemię. - Co u...!

- Tyle jestem ci winien, Judaszu. - Lazonby utkwiał gniewny wzrok w lokaju, który skulił się za niewielkim marmurowym pomnikiem. - Wydaj je mądrze, ponieważ nie dostaniesz już ani pensa, podobnie jak referencji.

- M-m-milord? - wystękał lokaj.

- W rzeczy samej - potwierdzi! Lazonby zimno.

- Mgła potrafi ukryć niejednego grzech, nieprawdą? Zmykaj stąd, Hutchens. Jeśli się pośpieszysz i będziesz biegł przez całą drogę na Ebury Street, może znajdziesz swoje rzeczy, zanim dobiegną do nich ulicznicy. Leżą na stosie przy stajniach.

Lokaj znikł pośpiesznie w mroku, zapomniawszy o monetach. Lazonby odwrócił się i spojrzał na cofającego się przed nim reportera. Podążył za nim, zacisnąwszy pięść gotową do ciosu.

- Co zaś się tyczy ciebie, podstępny szubrawcu - powiedział, zbliżając się do nieszczęśnika jeszcze o krok

- w tę grę mogą grać dwie osoby. A w przeciwieństwie do Hutchensa, twoim urzędnikom w „Chronicie” wystarczy postawić ciepły posiłek i kwartę piwa.

Coldwaterowi choć raz zabrakło słów. Z szeroko otwartymi oczami próbował cofnąć się jeszcze nieco, lecz potknął się o kamień nagrobny i o mało nie przewrócił. Płyta zakolysała się złowroźnie, a Coldwater zamachał gwałtownie ramionami.

Lazonby wyrzucił w przód rękę, chwycił reportera i pociągnął gwałtownie ku sobie.

- A teraz posłuchaj mnie, i to uważnie, ty nie warta kupu lajny - powiedział groźnie. - Jeśli jeszcze raz usłyszę, że choćby zerkaś na kogoś z mojej służby, sprawię, że stracisz pracę. Kupię tę przeklętą gazetę i dopilnuję, byś nigdy więcej nie pracował. Słyszysz?

Coldwater cały się trząsał, nie stchórzył jednak.

- O, tak, pan i pańskie Towarzystwo sądzą, że macie na własność cały świat, prawda, Lazonby? - prychnął.

- Cóż, ja nie dam się nabrać. Wiem, że w tym domu coś się dzieje.

- Nie wiesz ani jednej przeklętej rzeczy, Coldwater! Wiesz tylko, jak puszczać w obieg plotki i rzucać aluzje!

- warknął Lazonby.

- Doprawdy? A kim był ten wielki Francuz, z którym spotkaliście się w Whitby? Ten, którego miałem nie zobaczyć?

- Jeśli był tam jakiś Francuz, lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś o nim zapomniał.

- Ja niczego nie zapominam - powiedział reporter jedwabistym głosem. - Wiem już, że ten człowiek przyłynął do Dover na francuskim statku. Poza nim na pokładzie było co najmniej tuzin uzbrojonych ludzi. I miał ze sobą coś jeszcze: podrobione dyplomatyczne papiery w teczce z tym waszym dziwnym symbolem.

Gniew i inne emocje, których nie był w stanie zidentyfikować, zaczynały przyćmiewać umysł Lazonby'ego, odbierając mu zdolność logicznego myślenia. Zaczerpnął powietrza, aby się uspokoić.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Ten tajemniczy znak - naciskał reporter. - Wryty w kamieniu na frontonie waszego domu. Wiem, że on coś oznacza, Lazonby. Nie na darmo postarałeś się odciągnąć mnie wtedy w porcie.

- Na czym, u diabła, polega twój problem? - Lazonby potrząsnął mężczyzną, aż zadzwoniły mu zęby. - Z jakiegoś powodu zawzięłeś się, żeby uprzykrzyć mi życie.

Żrenice Coldwatera zwęziły się.

- To dlatego, że jest pan tylko mordercą w jedwabnej kamizelce - wyrzucił - a rolą gazety jest pana ścigać, skoro rząd nie jest w stanie tego robić... albo się boi.

Lazonby odczuwał przemożną chęć, by zacisnąć dłonie na szyi tego mężczyzny i... Boże, nie wiedział, co chciałby z nim zrobić. Te okropne, nikczemne emocje znów w nim wzbierały.

Czy zawsze już będzie tak się czuł, ilekroć spędzi choć chwilę w towarzystwie Coldwatera? Powietrze stało się nagle gęste, przesycone zapachem młodego mężczyzny - wonią strachu, mydła i czegoś niemal znajomego.

Przełknął i zmusił się, by puścić reportera.

- Nie - powiedział spokojnie, cofając się o krok. - Tu nie chodzi o błędy mojej młodości, Jack. To coś osobistego.

Coldwater wzruszył ramionami, poprawiając odzież.

- Może sędzę po prostu, że ludzie powinni się dowiedzieć, dlaczego człowiek, który miał zawisnąć za morderstwo, chodzi swobodnie ulicami, skumawszy się z bogatymi i mającymi władzę.

- To znaczy, jak rozumiem, z Ruthveynem i Besset-tem?

- A nie są bogaci? Nie mają wpływów i władzy? - odparował Coldwater. - A tak przy okazji, słyszałem, że Ruthveyn wynajął połowę pokładu na „Gwieździe Ben-galu”. Nie powie mi pan, co Towarzystwo Świętego Jakuba kombinuje w Indiach?

- Och, na miłość boską, Coldwater. - Lazonby pochylił się i podniósł z ziemi szylinga. - Nie czytasz rubryk towarzyskich we własnej gazecie? Ruthveyn się ożenił. Zabiera żonę do domu w Kalkucie.

Odpowiedziało mu milczenie.

Wyprostował się i spostrzegł, że na cmentarzu poza nim i zmarłymi nie ma nikogo. Jack Coldwater rozpląnął się we mgle.

Rozdział 5

Bitwę wygrywa ten generał,

*który przygotowuje się,
dokonując w swej świątyni licznych kalkulacji.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Dwa dni po wydarzeniach w siedzibie Towarzystwa Świętego. Jakuba niewielka, acz nieustraszona grupka podróżnych wyruszyła przed świtem do Brukseli. Wpierw mieli udać się powozem do Ramsgate, to znaczy, w powozie jechała Anais, podczas gdy lokaj i woźnica zajmowali miejsce na koźle. Lord jechał konno, dosiadając wielkiego, gniadego ogiera o paskudnym charakterze i skłonnościach do gryzienia - co mówiło wiele także o jeźdźcu.

Aby zachować wyprawę w sekrecie, Anais nalegała, żeby nie towarzyszył im nikt ze służby. Jej filozofia zgadzała się z poglądami Żelaznego Księcia - gdy się powiedziało A, trzeba powiedzieć B - poza tym obecność pokojówki i tak nie byłaby w stanie uchronić jej przed kompromitacją, jeśliby wyszło na jaw, co zamierza.

Po dłuższej dyskusji Bessett wreszcie uległ i zgodził się napisać do pana van de Velde'a, aby zatrudnił pokojówkę oraz lokaja na miejscu. Mieli czekać na nich w Ostendzie. I tak oto Anais spędziła dzień samotnie w luksusowym powozie podróżnym Bessetta, mając za towarzystwo jedynie stos magazynów.

Zważywszy, że odbyła niedawno wielodniową podróż z Toskanii, obecna wydawała się jej podwójnie nużąca. Musiała też przyznać sama przed sobą, że liczyła po cichu, iż lord dotrzyma jej towarzystwa - oczywiście po to,

by rozwiać nieco nudę. Nie jest przecież aż tak niemądra, żeby zawracać sobie głowę myśleniem o czuprynie jego rozjaśnionych słońcem włosów czy mocnej linii szczęki. A te błyszczące oczy - cóż, teraz ledwie je zauważała.

Pogoda utrzymywała się jednak dobra, drogi były suche i Bessett mógł podróżować wierzchem. Rozmawiali więc głównie podczas postojów. Anais odnosiła wręcz wrażenie, iż lord jej unika.

Kiedy przybyli do podłej gospody w pobliżu portu w Ramsgate, akurat zerwała się mocna bryza. Obserwując, jak godło tawerny tańczy szaleńczo na wietrze, zaczęła obawiać się przeprawy przez kanał.

Wszedłszy w rolę posłusznej żony czekała niecierpliwie w powozie, aż Bessett załatwi im pokoje. Gdy wrócił, pomógł jej wysiąść. Zauważyła, że minę ma, jak zwykle, ponurą.

- Nie znasz nikogo w Ramsgate? - zapytał po raz trzeci, jak niemal każdego z poprzednich dni.

Anais spojrzała na wejście do gospody.

- Absolutnie nikogo - zapewniła. - Jaką mają tu kuchnię?

- Znośną - odparł. - Zamówiłem dla ciebie kolację do pokoju. Na siódmą.

- Nie zjesz ze mną?

- Jesteśmy nadal w Anglii. A ja mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Doskonale - stwierdziła obojętnie. - Poproszę zatem o coś lekkiego. Może zupę.

Zmrużył oczy oślepienie popołudniowym słońcem i rozejrzał się po raz piąty po dziedzińcu.

- Wybrałem tę gospodę, gdyż nie jest specjalnie popularna. To zaś oznacza, że nie jest też najlepsza. Mają tu jednak niewielki apartament, więc Gower może przespać się na krześle w twoim saloniku.

Anais zerknęła ostrożnie na młodego lokaja, który zaczął już zdejmować bagaże.

- Jestem pewna, że chciałeś być po prostu uprzejmy _ powiedziała - ale czy nie byłoby lepiej, gdybym to ja spała w saloniku, strzegąc bezpieczeństwa Gowera.

Bessett popatrzył tylko na nią nieustępliwie. Anais wysunęła z powozu stopę i uniosła nieco spódnicę. Kolba małego pistoletu zabłysła w promieniach słońca.

- Chyba dałabym sobie radę.

Bessett odwrócił niespiesznie wzrok. Być może zbyt niespiesznie. A jego oczy - dawno już przekonała się, że są lodowato błękitne - miały dziwną właściwość: wydawały się jednocześnie palące i zimne. Nic dziwnego, że kiedy w nie patrzyła, przechodził ją dreszcz.

- Właśnie widzę - powiedział w końcu. - Jednakże...

- Jednakże? Posłuchaj, Bessett, uważasz, że nadaję się do tego zadania, czy nie? Bo jeśli zamierzasz martwić się o mnie na każdym kroku, będę tylko ciężarem, me pomocą.

- Chodziło mi jedynie o to...

- Wiem, o co ci chodziło - przerwała mu stanowczo. - I dziękuję. Jesteś w każdym calu dżentelmenem. Lecz ja nie jestem tak do końca damą i zapewniam, że biedny Gower nie widział nawet w przybliżeniu tyle świata, co ja. Mam nóż sprężynowy w torebce, sztylet w rękawie i słuch dobrze wytresowanego psa stróżującego. A biedny Gower wygląda, jakby dopiero co wyjechał z rodzinnej farmy. Poza tym nie spodziewamy się przecież kłopotów w Ramsgate.

Policzki lorda poczerwieniały i niemal czuła, jak walczy z sobą, by opanować gniew... i troskę.

- Doskonale - rzucił wreszcie. - Lecz jesh dasz się zabić, nie licz, że przyjdę na pogrzeb. .

- Mam nadzieję, że tego nie zrobisz - odgryzła się. _ Teraz powinienes troszczyć się - i ja także - jedynie o Giselle Moreau.

Gower podał torbę Anais woźnicy.

- Chodź, wejdziemy razem - powiedziała do Bessetta - Chcę wiedzieć, dokąd się udajesz i kiedy wrócisz.

Posłuchał, czerwieniejąc jeszcze bardziej

- Wczuwasz się w rolę władczej małżonki? - zapytał kpiąco. - Nie za wcześnie?

Anais nie zatrzymała się, spojrzała tylko na niego zniecierpliwiona.

- Nie, zachowuję jak twoja partnerka - odparła szeptem. - Musimy oboje wiedzieć, co robi w każdym momencie drugie, zaczynając od teraz. Wszystko inne to prosta droga do katastrofy i dobrze o tym wiesz.

Rzeczywiście, wiedział. Dostrzegła to w jego spojrzeniu

- Wybieram się do portu, sprawdzić statek i jego załogę - odparł po chwili. - Wrócę, zanim się ściemni.

- Doskonale. Rozłokujmy się zatem.

Bessett już się nie odezwał. Kiedy minęli cienistą sień i weszli do gospody, natychmiast pospieszył ku nim karczmarz opasany fartuchem.

- Witamy, pani Smith!

- Dziękuję. - Anais ujęła Bessetta pod ramię. - Mówiłam właśnie do męża, że znalazł nam czarujący mały zajazd

Bessett pozostawił załatwienie reszty spraw uśmiechając się uroczo, acz cokolwiek sztucznie, Anais i zniknął Po tym, jak poleciała wnieść na górę bagaże i zastąpić wątpliwej czystości pościel własną, wychyliła się przez okno i spojrzała w dal, ponad dachami Ramsgate

W porcie dostrzegła zaledwie kilka nagich masztów a przy końcu zachodniego nabrzeża latarnię morską Bliżej, po lewej, znajdowało się okno sypialni Bessetta gdyż gospoda zbudowana została wokół wewnętrznego dziedzińca, a pokoje, które wynajęli, położone były pod kątem prostym. Lord, jak zawsze dżentelmen, nalegał by zając mniejszy, pojedynczy.

Westchnąwszy, cofnęła głowę, zamknęła okno i zaciągnęła cienkie zasłony. Po tym, jak się wykąpała i zastąpi-

ła nieświeże po podróży ubranie czystym, zajęła się przerwaniem po raz kolejny sterty magazynów. Nie dało jej to wszakże satysfakcji i po jakimś czasie, zerknąwszy po raz ostatni na okno, poddała się impulsowi.

Spacer wzdłuż krętej High Street nie był długi i choć sklepikarze zamiatali już chodnik przez zamknięciem sklepów, wystawy nadal pełne były towarów zdolnych przyciągnąć wzrok. Minęła je obojętnie, dotarła do skraju miasta i ruszyła żwawo drogą prowadzącą ku morzu. Do portu wpływał właśnie statek pocztowy, a po nabrzeżu biegł czarny piesek, szczekając jak opętany.

Przyglądając się małym jednostkom handlowym i dwumasztowym trawlerom, dostrzegła tylko jeden wystarczająco szybki i zwrotny statek, który nadawałby się do przeprawy przez kanał - niewielki, smukły kliper o osadzonych ukośnie masztach, jakby został zaprojektowany do walki. Zaspokoiwszy ciekawość, ruszyła nabrzeżem, mijając rybaków, rozładowujących wieczorny połów. O tej porze nie było tu już turystów. W połowie nabrzeża zatrzymała się, odwróciła i dłonią osłoniła oczy przed blaskiem zachodzącego słońca.

Tak, to ten statek. Nawet z odległości dostrzegła wyryty na dziobie znak Bractwa Złotego Krzyża, wpleciony tak sprytnie w ozdobny wzór, że tylko ktoś, kto wiedział, czego szuka, mógł go dojrzeć. Starożytny symbol przedstawiał krzyż łaciński z umieszczonymi pod nim gęsim piórem oraz mieczem. *Słowem i mieczem bronić będę Daru, mojej wiary, mojego Bractwa i wszystkich jego podopiecznych, dopóki starczy mi tchu.* Oto słowa, także wywodzące się z dawnych czasów, które towarzyszyły - zgodnie z tradycją - symbolowi. Słowa przysięgi, której nie pozwolono jej dokończyć. Na Wyspach Brytyjskich złoty krzyż umieszczano zwykle na kartuszu w kształcie ostu. Jednak we Francji i pozostałej części kontynentu bardziej popularna była prostsza wersja, chyba że ktoś miał w sobie szkodliwą krew. W trakcie swych podróży

Anais widywała obie wersje - wyryte na frontonie, wpasowane w ornament zdobiący sufit, nawet wykute na nagrobku.

Bessett i lord Lazonby nosili szpilki do krawata ze znakiem Bractwa. Ona miała prostszą wersję znaku wytatuowaną na biodrze - poświadczając, że należała do Strażników. Podobnie jak róża Tudorów, piramida masonów i lilie Burbonów, stał się w ciągu wieków tak zwyczajny i często spotykany, że ludzie na ogół go nie zauważali.

Podeszła nieco bliżej statku, by przyjrzeć się pokładowi. Z miejsca, w którym się zatrzymała, widziała lorda Bessetta wspierającego się dłonią o nagi maszt. Drugą wsparł na biodrze, odchylając nieco łokieć. Rozmawiał z ożywieniem z mężczyzną, który opuszczał właśnie francuską flagę. Jutro, kiedy oddalą się nieco od brzegu - i ciekawskich oczu - załoga podniesie prawdopodobnie banderę angielską. Z pewnością nie można było zarzucić Bractwu, że nie potrafi dostosować się do sytuacji.

Bessett znowu zdjął surdut, zapewne po to, by pomóc w jakiejś marynarskiej robocie, i stał teraz w kamizelce oraz koszuli, której rękawy wydymały się na wietrze, oślepiając bielą na tle odległych klifów Ramsgate. Sądząc po tym, jak odnosili się doń wszyscy na pokładzie, niekompletny strój nie ujął mu autorytetu.

Przyglądała się zafascynowana, jak wiatr zwiewa mu włosy z twarzy. Nosił je niemodnie długie. Twarz miał gładką, bez cienia zarostu, który złagodziłby ostro zarysowane płaszczyzny policzków. Był też wysoki - wyższy niż ktokolwiek na statku. Obserwowała zaskoczona, z jaką swobodą porusza się po pokładzie, wskazując coś w olinowaniu. Jakiś mężczyzna, jak przypuszczała francuski kapitan, skinął głową, odwrócił się i wykrzyknął kilka rozkazów. Zanosilo się na to, że będą płynęli gnani mocnym wiatrem. Na samą myśl o tym przyłożyła bezwiednie dłoń do żołądka. Cóż, jakoś przeżyje.

Nagle lord odwrócił się nieco i jał omiatać spojrzeniem port. Anais natychmiast się zorientowała, że została zauważona. Na jego twarzy

pojawił się na moment trudny do odczytania wyraz, po czym Bessett zwrócił się znów do kapitana, by się pożegnać.

Zakończywszy najwidoczniej inspekcję, zerknął przez ramię na Anais, nakazując jej wzrokiem, by spotkała się z nim przy trapie.

Odwróciła się i ruszyła ku wskazanemu miejscu.

Zanim dotarła do kładki, Bessett zdążył już włożyć surdut i przygładzić nieco włosy. Nie zganił jej, jak się tego spodziewała, lecz podał jej ramię.

- Pani Smith? - powiedział, zginając łokieć. - Zechce się pani przejść?

Wygląda! wspaniale w blasku zachodzącego słońca, i to pomimo zmarszczek znużenia wokół oczu i nader poważnej miny. Anais wsunęła mu dłoń pod ramię, dziwnie zakłopotana. Czułaby się bardziej swobodnie, gdyby jednak ją złajał.

Wędrowali przez tłum, nie mówiąc ani słowa, póki nie zesli z nabrzeża i nie zostali sami. Cisza pomiędzy nimi kryła w sobie niewypowiedziane oczekiwanie, była niemal krępująca, zaś Anais nie mogła wyzbyć się wrażenia, że Bessett chce coś powiedzieć i nie wie jak.

Intuicja jej nie zawiodła, bowiem gdy dotarli do High Street, zatrzymał się i odwrócił ku niej.

- Zastanawiałem się - rzekł gwałtownie - nad tym, co powiedziałaś. Na co się skarżyłaś.

Jakoś udało jej się uśmiechnąć, mimo iż żar w jego spojrzeniu, intensywny i niespodziewany, wprawiał ją w zakłopotanie.

- Skarżyłam się na wiele rzeczy - odparła. - Mógłbyś sprecyzować, o co dokładnie chodzi, milordzie?

Cień uśmiechu rozświetlił na chwilę jego spojrzenie.

- Powiedziałaś w gospodzie, że powinienem ci ufać, bo inaczej będziesz dla mnie jedynie ciężarem. Miałaś rację.

Anais cofnęła się o krok.

- Potrzebujesz mojej pomocy, Bessett - powiedziała cicho. - Nie możesz spakować mnie i odesłać.

Potrząsnął głową.

- Nie. To znaczy, tak, jesteś mi potrzebna. Lecz będziesz musiała jakoś mnie znosić. A nie jest to najłatwiejsza...

- Wiem. Wysłuchiwanie innych mężczyźni takim jak ty nie przychodzi naturalnie - wtrąciła lekko. - Znam ten typ, władczy i skłonny przejmować dowodzenie.

Tym razem się uśmiechnął, chociaż nie było w tym wesołości.

- Mógłbym powiedzieć, że pozna swój swego.

- A ja, iż niektórzy mężczyźni rodzą się po to, by rządzić - odparła, ale w jej głosie nie było gniewu. - Spędziłeś na pokładzie zaledwie godzinę i już zacząłeś pouczać kapitana w kwestii takielunku i nakazywać, by wszystko było tak, jak sobie tego życzysz.

- Gdyby coś poszło źle i mielibyśmy opóźnienie, to nie kapitan zapłaciłby za to wysoką cenę, lecz Giselle - odparł chłodno.

Anais zdawała sobie sprawę, że lord mówi poważnie.

- To dziecko. Jej położenie niepokoi cię na głębszym, bardziej osobistym poziomie - powiedziała cicho. A kiedy nie zareagował, kontynuowała: - Zgadzam się w pełni ze wszystkim, co powiedziałeś. Nie przywykłeś ufać kobiecie ani z nią pracować.

- Nie. - Odwrócił wzrok i spojrzał na ścieżkę, którą przyszli. Jedną rękę wsparł na biodrze, odsuwając poły surduta. Wydawał się nieobecny myślami, jakby zastanawia! się, jakież to splot wydarzeń przywiódł go do tego miejsca, a może nawet tego punktu w życiu.

- Nie, rzeczywiście, nie przywykłem. Ani do jednego, ani do drugiego. Ty jednak nie możesz być naiwnym dziewczątkiem. Albo głuptasem. Gdyby było inaczej, Vittorio by cię do nas nie przysłał.

Anais odwróciła wzrok.

- Dziękuję - powiedziała.

Zawahał się, a potem ruszył przed siebie. Dostosowała się do rytmu jego kroków, lecz nie wsunęła mu już dłoni pod ramię. Nagle uznała bowiem, że dotyk umięśnionego męskiego ciała to ostatnie, czego by sobie życzyła. A jego uprzejmość - tak, bez niej też doskonale by się obeszła.

Cóż za żałosna sytuacja! Pomimo tego, co powiedział, zaczynała czuć się jak naiwna dziewczyna - i to w sposób, o którym nie chciała nawet myśleć.

Na przykład teraz: przechylił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Będziemy musieli wymyślić sobie lepsze nazwisko aniżeli Smith, kiedy dotrzemy już do Brukseli, nie sądzisz?

- Kim zatem będziemy? - spytała sztucznie ożywionym tonem. - Przypuszczam, że powinniśmy wybrać coś nieodbiegającego zbyt od prawdy, by czuć się swobodnie.

Bessett milczał przez dłuższą chwilę. Skrócił też nieco krok i szedł obok Anais, nie okazując zniecierpliwienia ani wyniosłej niechęci.

- MacLachlan - powiedział z dziwną intonacją w głosie. - Zostanę Geoffreyem MacLachlanem.

- To szkockie nazwisko - zauważyła i z jakiegoś powodu znowu ujęła go pod ramię.

Bessett natychmiast przykrył jej dłoń swoją, jakby spacerowali tak od lat.

- To nazwisko mojego ojczyma - powiedział. - Zawsze mogę powołać się na jego związki z budownictwem, jeśli ktoś zechce mnie naciskać. A co z tobą?

- Moje imię jest co prawda niespotykane, lecz nikt mnie nie zna - odparła. - Mogę być Anais MacLachlan.

- Jest niezwykle - przyznał. - Ale i piękne.

- Dostałam je po kolejnej prababce - wyjaśniła. - Pochodziła z Katalonii. Nadal mamy tam winnice.

- Lecz nie w Alzacji?

Potrząsnęła głową.

- Posiadłość została spalona podczas rewolucji. Ojciec nie próbował odzyskać ziemi, choć pewnie by mu się udało.

- Zatem francuski tytuł, ale bez ziemi - szepnął. Anais uśmiechnęła się słabo.

- Nie używał tytułu, póki nie poznał mojej matki - odparła. - Sądził chyba, że bez niego nie uda mu się jej poślubić. Nie sądzę jednak, by tytuły znaczyły dla niej zbyt wiele. Wychowała się na wsi i dorastała w... jakby do ująć? Szlachetnym ubóstwie? Tylko że w ubóstwie nie ma nic szlachetnego, kiedy jest się zmuszonym w nim żyć.

Temat jej rodziny zdawał się wielce go zajmować.

- Masz brata bliźniaka, prawda?

- Tak, Armanda.

- Urodziliście się o tej samej godzinie... Anais się roześmiała.

- Jak to bliźniaki.

Bessett nie podzielał jej dobrego humoru.

- A jednak to nie on został wybrany, by zostać Strażnikiem?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem dlaczego - odparła. - Babunia powiedziała tylko, że nie tak było zapisane w kartach. Może nie ma odpowiedniego usposobienia. To typowy miejski kawaler. Lecz Maria nadal ubolewa nad decyzją babuni.

- Maria?

- Moja kuzynka, Maria Vittorio, wdowa po bracie Vittoria. - Zamilkła i kopnęła kamyk leżący na ścieżce. - Była towarzyszką babuni. To kochana staruszka, choć nieco gderliwa. Mieszka ze mną przy Wellclose Square. Babunia zostawiła nam dom. Zwykle też razem podróżowałyśmy.

- To znaczy: do Toskanii i z powrotem?

- Tak. - Anais westchnęła. - Lecz Maria niezmiennie uważa, że to Armand powinien być zostać wybrany. Ja

zaś powinnam siedzieć na sofie, haftując poduszki i zapelniając to przepastne domiszczę dziećmi.

- A jakie jest twoje zdanie? Anais znów wzruszyła ramionami.

- Nie mam cierpliwości do robótek - odparła.

- Zresztą prababcia prowadziła niezwykle tryb życia. Miała tylko jedno dziecko, moją babcię, a ta umarła młodo. Podobnie jak wszyscy mężowie prababci. I na co jej się zdały konwenanse? Złamały jej serce. W końcu zajęła się interesami i uczyniła nas bogatymi.

- Rzeczywiście, dosyć to niekonwencjonalne. Lecz ty nie musisz tak żyć. Jeśli nie będziesz chciała.

- Uważam, że powinniśmy zadowolić się tym, co wyznaczył nam los - odparła. - Przynajmniej mam w życiu cel, a niewiele kobiet może to o sobie powiedzieć.

-Ale...

- Dlaczego sądzisz, że jest tu jakieś ale?

- Słyszę to w twoim głosie. Zerknęła na niego z ukosa.

- Lepiej wykorzystaj ten swój Dar, odczytując myśli innej osoby - ostrzegła go.

Stłumił uśmiech.

- Nie posiadam tego rodzaju uzdolnień.

- A ja nie jestem kimś, kogo trudno rozszyfrować. Opowiedz mi, drogi mężu, od jak dawna jesteśmy małżeństwem?

- Trzy miesiące - odparł po zastanowieniu. Skinęła głową.

- To wyjaśnia, dlaczego nie wiemy jeszcze o sobie zbyt wiele.

- Więc było to zaaranżowane małżeństwo? - spytał.

- Nie z miłości?

- A czy takim ci się wydaje, Bessett?

- MacLachlan, moja droga - poprawił ją wesoło. Roześmiała się.

- Zatem nasze małżeństwo zostało zaaranżowane
- powiedziała. - Byłam starą panną i ojciec zapłacił ci mnóstwo forsy, żebyś mnie poślubił.

Roześmiał się serdecznie.

- Musiał być zdesperowany, nieprawdaż?

- Dlaczego nie? - Spojrzała na niego z ukosa. - Żadna ze mnie piękność i dobrze o tym wiem. Może straciłam dziewictwo? Lub jestem niepoprawną flirciarą? Bez wątpienia oddałeś memu ojcu wielką przysługę, zdejmując mu taki ciężar z ramion.

Bessett spowaźniał.

- Nie mów tak - zaprotestował. - Nawet w żartach.

- Ostrożnie, MacLachlan. - Anais się uśmiechnęła.

- Bo jeszcze pomyślę, że masz serce. Zatem co o sobie wiemy? Lepiej ustalmy to teraz.

- Podobnie jak z nazwiskami, lepiej trzymajmy się jak najbliżej prawdy.

- Doskonale. Wychowywałam się głównie na farmie matki w Gloucestershire. Poza Armandem mam także dwie siostry i brata, wszyscy młodszy ode mnie i nadal mieszkają w domu. Jest jeszcze przybrany syn tatusia, Nate, najstarszy. Odszedł już na swoje. A co z tobą?

Bessett zdawał się wahać. Po chwili powiedział jednak:

- Wychowałem się za granicą. Bessett był uczonym, zajmowały go starożytne cywilizacje, dużo więc podróżowaliśmy.

- Doprawdy? Jakież to fascynujące! - zauważyła, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami.

- Owszem, tyle że umarł, gdy byłem jeszcze chłopcem. Matka wróciła do Yorkshire, a po kilku latach przeprowadziliśmy się do Londynu.

- To dziwne, że zabrała syna z rodzinnego majątku, by wychowywać go w stolicy.

- Nie było to wcale łatwe - szepnął. - Ona... nie rozumiała mnie. Sam siebie nie rozumiałem. W Yorkshire żyliśmy bardzo samotnie. Tak czy inaczej, nie byłem

dziedzicem. Bessett miał syna z poprzedniego małżeństwa, Alvina, mojego brata przyrodniego.

- To znaczy, mieliście wspólnego ojca?

- Tak - powiedział szybko. - Był dużo starszy ode mnie i bardzo się różniliśmy, ale ja go po prostu uwielbiałem.

- To tak jak z Nate'em i ze mną - zauważyła Anais z uśmiechem. - Nie ma nic bardziej dodającego otuchy niż obecność dużo starszego brata.

- O tak, zawsze mogłem na nim polegać. Lecz gdy się ożenił, matka uznała, że będzie lepiej, jeśli wyprowadzi się z Laughton, posiadłości w Yorkshire. Niestety, żona nie urodziła Alwinowi dziedzica, więc kiedy zmarł...

- Och - westchnęła cicho Anais. - Tak mi przykro. Tytuł to dobra rzecz, ale nie wtedy, gdy dziedziczy się go kosztem ukochanego brata.

- Właśnie.

- Dawno to było?

- Jakiś czas temu. Byłem już wtedy dorosły, a matka ponownie wyszła za mąż. Zdążyłem ukończyć Cambridge i prowadziłem przez kilka lat interesy z ojczymem.

- Wznosiliście różne budowle?

- Z początku tylko je rysowałem. Po jakimś czasie ojczym zaczął wysyłać mnie za granicę, bym dopilnował niektórych projektów. Budowaliśmy dużo dla władz kolonialnych w północnej Afryce.

- Rzeczywiście, sporo żeglowałeś - zauważyła. - Jesteś więc podróżnikiem, jak ja.

- Czy to aż tak zaskakujące?

- Och, wiesz, jacy są Anglicy, a przynajmniej większość. - Anais machnęła wymownie dłonią. - Myślą, że świat zaczyna się w Dover, a kończy przy Murze Hadriana.

- Cóż, proszę mi wierzyć, panno de Rohan, nie jestem taki jak większość.

Zacisnęła wargi i spojrzała na niego. Jeśli o to chodzi, wierzyła mu bez zastrzeżeń.

* * *

W Londynie dzień wstał rześki, a mocny wiatr przyginał niemal do ziemi kwitnące drzewa w Hyde Parku. Szaleństwa natury nie powstrzymały jednak eleganckich spacerowiczów, którzy wylegli masowo po to, aby przyglądać się innym i być przez nich widzianymi. Sezon w końcu się rozpoczął i należało ocenić stroje, przekazać dalej plotki i porównać kalendarze imprez.

Dla większości był to przyjemny, choć nieco męczący rytuał. Jednak dla osób znajdujących się w czarno-złotym powoziku lorda Lazonby ego sezon nie miał szczególnego uroku. Lady Anisha Stafford szczerze gardziła wszystkim, co się z nim wiązało, zaś jedyną rzeczą równie pełną napięcia, jak stosunki lorda Lazonby z towarzystwem, była rozmowa, która toczyła się właśnie w powozie.

- Zatem to prawda, że przyjmujesz umizgi Bessetta?

- spytał, zacinając dwa gniosy. Przejechali sprawnie przez Cumberland Gate. - Na pewno puszy się z tego powodu niczym paw.

- Rzeczywiście, wybrałam się z lordem do teatru

- przyznała lady Anisha, zirytowana - podobnie jak mój brat. Jednak, o ile wiem, żadne z nas nie zamierza być obiektem jego umizgów.

- Nie zapieraj się, Nish - powiedział Lazonby. - Zbyt dobrze się znamy.

- Doprawdy, Rance? - obrzuciła go jednym z charakterystycznych dla siebie, tajemniczych spojrzeń. - Czasami zastanawiam się, czy w ogóle cię znam. Cóż, niech ci będzie. Lord Bessett zapytał brata, czy może ubiegać się o moje względy. Osobliwe, prawda? Zwłaszcza że to mnie powinien był spytać.

- Bessett jest uroczo staromodny - zgodził się z nią Lazonby. - To jedna z jego lepszych cech.

- Cóż, posprzeczałyśmy się o to z Adrianem - stwierdziła Anisha kwaśno. - Powtórzyłam bratu po raz kolej-

ny, że chcę wziąć sobie kochanka, zanim ponownie wyjdę za mąż.

Lazonby się uśmiechnął.

- Doprawdy?

- Tak, kogoś innego... nie tak układnego. Z żyłką do przygód. - Anisha zadarła nieco wyżej brodę. - Nie brałam pod uwagę Bessetta, lecz po zastanowieniu sędzę, że jego wygląd może zrekompensować to, iż jest tak staromodny.

Lazonby położył dłoń na ręce towarzyszki i lekko ją uściskał.

- Posłuchaj, staruszko... - Zamilkł, zastanawiając się, jakich słów użyć.

- Ja... nie jestem dla ciebie odpowiedni. Wiesz o tym, prawda, Nish?

Rumieniec zabarwił jej policzki.

- Na Boga, Rance, zbyt wiele sobie wyobrazasz!

- Wyobrażam sobie przede wszystkim, że jesteś moją drogą, najdroższą przyjaciółką - powiedział. - Mam przestać?

Lady Anisha podskoczyła na siedzeniu i wygładziła spódnicę, które absolutnie tego nie wymagały, a potem poprawiła rondko wymyślnego kapelusika.

- Nie - odparła po chwili, wzdychając. - No dalej, mów, czego ode mnie chcesz.

- Czego ja chcę? - Zerknął na nią z zaciekawiony.

- Rance, byłam mężatką wystarczająco długo, by wiedzieć, jak rozumują mężczyźni. Nie założyłeś tego pięknego porannego surduta - nawiasem mówiąc, nie miałam pojęcia, że masz w ogóle coś tak eleganckiego - po to, by przedefilować w parku przed ludźmi, którzy cię nic nie obchodzą. Tymi samymi, którzy, jak dobrze wiesz, nie spojrzeliby nawet na mnie i na Adriana, gdyby nie jego tytuł i pieniądze.

- Nie oceniaj się tak nisko, Anisho.

- Wcale tego nie robię - odparła. - Jestem równie arogancka jak każde z nich. Jak zapewne pamiętasz, mo-

ja matka była radżpucką księżniczką. Jeśli o mnie chodzi, londyńskie towarzystwo może się zbiorowo powiesić.

- Dobra dziewczynka - powiedział, błyskając uśmiechem.

Lady Anisha przytrzymała dłońią targany wiatrem kapelusik.

- Zatem, czego chcesz?

- Żebyś poszła ze mną do Scotland Yardu.

- Dokąd?

- Cóż, dokładnie rzecz biorąc, pod numer cztery - odparł. - Z wizytą do podkomisarza Napiera. Wtem, to niezbyt wytworne miejsce, spostrzegłem jednak, że rozmawiałaś z komisarzem podczas weselnego śniadania, i pomyślałem... cóż, że świetnie się dogadujecie.

- Boże, tak bym z pewnością tego nie nazwała. Nie jest mi do niczego potrzebny, był jednak gościem w domu mojego brata, więc siliłam się na uprzejmość.

- Ale mu się spodobałaś - zauważył Lazonby. - Albo to, albo uznał, że chcesz podwędzić srebra Ruthveyna, ponieważ nie odrywał od ciebie wzroku.

Lady Anisha zastanawiała się przez chwilę.

- Och, nie bądź śmieszny - powiedziała w końcu.

- Był dosyć miły, to prawda, nie miał jednak złudzeń, po co został zaproszony.

- Tak - rzekł Lazonby sucho. - Po to, by uciąć plotki i dać wszystkim jasno do zrozumienia, że lady Ruthveyn została oczyszczona z wszelkich podejrzeń w kwestii zabójstwa chlebodawcy. W końcu to on publicznie ją oskarżył. Miał do wyboru: pokazać się tam lub ryzykować, że znajdzie się pod ostrzałem politycznych koneksji Ruthveyna.

- Ludzie nie doceniają wpływów Bractwa, prawda?

- rzekła lady Anisha, nadal przytrzymując kapelusik.

- Tak czy inaczej, Napier wypytywał mnie o Indie. Zaoferowano mu tam posadę.

Lazonby uniósł wzrok ku niebu.

- Boże, proszę! Powiedz mi, że opuszcza Anglię na zawsze! .

- Chyba odrzucił już propozycję - odparła lady Anisha - Miało to związek ze śmiercią kogoś bliskiego. Nie, nie pozbędziesz się go tak łatwo. Tak, wiem, że tropił cię z zjadłością psa myśliwskiego. I to jego ojciec wysłał cię do więzienia, żebyś tam zgnił. Już choćby z tego powodu Napier nigdy nie zostanie moim przyjacielem.

- Lecz pójdziesz ze mną? - spytał Lazonby. - Jako przedstawicielka brata, który wyjechał do Indu? W tej chwili Napier czuje się wobec waszej rodziny zobowiązany, może nawet trochę się wstydzi. Ciebie uważa za intrygującą. Nie wyrzuci mnie od razu za drzwi, jesh będziesz ze mną.

Anisha przewróciła oczami.

- A co z Lucanem? Nie może z tobą iść? Lazonby się roześmiał.

- Twój młodszy brat nie ma w sobie wewnętrznej siły - odparł - ty zaś jesteś, wybaczyć cię słów, w większym stopniu mężczyzną, niż on kiedykolwiek będzie.

- Nonsens - prychnęła. - Teraz to jeszcze chłopiec i, przyznaję, trochę hulaka, lecz dopilnuję, by w swoim czasie to się zmieniło. Cóż, zgadzam się jednak, że do tej sprawy raczej by się nie nadał.

- Zatem?

Anisha westchnęła znów ciężko.

- Wybierz dzień - powiedziała. - Pójdę z tobą, lecz będzie cię to słono kosztować.

- Funt ciała, co, Shylocku? - zacytował z uśmiechem.

- Więcej - odparła, prostując plecy. - W sobotę wieczór wybierzesz się ze mną w ramach rekompensaty do opeiy.

- Do opery? - powtórzył ze zgrozą. - Lecz ja nie lubię opery. I nie rozumiem, co dzieje się na scenie.

- To *Napój miłosny* Dionizettiego - poinformowała go - Intryga jest prosta. Zakochują się w sobie, następu-

je wielkie nieporozumienie, pojawia się magiczny napój, a potem oboje...

- ... umierają tragicznie? - zasugerował Lazonby tonem bez wyrazu. - Tak tylko domniemywam.

Lady Anisha błysnęła ostrzegawczo spojrzeniem.

- Musisz być tak prostacki, Rance? Lord się roześmiał.

- A może umiera tylko jedno, pozostawiając drugie ze złamanym sercem? - zgadywał dalej. - Lub trują się niechcący nawzajem? Przebijają sztyletem? A wszystko to wyśpiewują w jakimś barbarzyńskim języku, którego rozsądny facet nie rozumie?

Oczy Anishy zabłyśły.

- Och, na miłość boską, nie musisz rozumieć! - wycodziła. - Masz założyć wieczorowy strój i stawić się na Upper Grosvenor Street punktualnie o siódmej. Lady Madeleine potrzebuje mężczyzny, aby zapewnić towarzystwo paniom, i to ty będziesz tym mężczyzną!

- Cóż - westchnął Lazonby. - Kolejny pakt z diabłem dla starego Rance'a!

Rozdział 6

Ogólnie rzecz biorąc.

Tao najeżdżcy brzmi następująco:

*Gdy armie wtargnęły głęboko,
winny zostać połączone.*
Sun Tzu, Sztuka wojny

Jolie Marie wypłynęła z Królewskiego Portu w Ramsgate tuż po tym, jak dostarczono na pokład pierwszą pocztę. Kapitan, niejaki Thibeaux, był synem francuskiego Uczzonego, który służył Bractwu od wielu dziesięcioleci i przetrwał rewolucję, zachowując głowę na karku. Podobnie jak inni Uczeni Bractwa, był człowiekiem niezwykle wykształconym. Interesowały go szczególnie matematyka i astronomia.

Thibeaux syn ocenił, że przeprawa powinna zająć około dwóch dni, i Geoff polecił, by postawiono wszystkie żagle.

Kłopoty zaczęły się, gdy tylko klify Kentu zniknęły im z widoku, na co, zważywszy siłę wiatru, nie trzeba było długo czekać. Anais, która stała dotąd jak wmurowana, trzymając się kurczowo relingu i wpatrując w oddalające się wybrzeże, zaczęła przemierzać pokład, ledwie Ramsgate skryło się za horyzontem. Szal i fałdy jej spódnicy łopotały szaleńczo na wietrze i nie trzeba było specjalnego daru, by spostrzec, jak bardzo jest niespokojna. Choć słowo to nie najlepiej oddawało stan dziewczyny.

Gdy go mijala, dwukrotnie zaproponował, by zeszła na dół, odmówiła jednak. Obawiał się, że zaczyna żałować podjętej niebacznie decyzji. I choć żadne z nich nie spotkało poprzedniego dnia nikogo znajomego, brutal-

na rzeczywistość tego, na co się zdecydowała, zaczynała przenikać widocznie do jej świadomości.

Zastanawiał się - choć o to nie spytał - co też powiedziała rodzinie. Najwidoczniej Maria Vittorio została poinformowana, podobnie jak brat, że podopieczna opuszcza znów Anglię, nawet jeśli rodzice nie mieli o tym pojęcia. To zaś mogło rodzić problemy. Wiedział jednak, że z porywczym szczeniakiem, takim jak Armand de Rohan, bez trudu sobie poradzi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Poza tym czuł, że charakter brata, popędliwy czy nie, nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się z Anais. Prawdę mówiąc, przez cały ranek wydawała się nieobecna duchem. Odmówiła nawet zjedzenia śniadania, które zamówił dla nich w gospodzie. Co zaskakujące, poczuł się tym dziwnie rozczarowany.

Prawda: wybrał się w tę podróż, zakładając, że będzie Anais unikał. Wmówił sobie, że musi poświęcić wszystkie siły i całą uwagę zadaniu, ignorując kuszące kształty swej towarzyszki. Przyglądanie się, jak wsiada do powozu i z niego wysiada oraz uśmiecha się do służby podczas każdego postoju, wielce go rozpraszało. A nie był mężczyzną, którego uwagę łatwo odwrócić.

Lecz kiedy spacerowali poprzedniego wieczoru po nabrzeżu, zaczął dostrzegać w niej coś więcej aniżeli tylko fizyczną atrakcyjność. Poczuł, choć trwało to jedynie chwilę, że udało mu się dojrzeć także jej piękne wnętrze. Jednak to nie zalety umysłu czy charakteru dziewczyny nie dały mu poprzedniego wieczoru zasnąć, kiedy rozebrał się do naga i wsunął zmęczony do łóżka. Nie, chodziło raczej o te jej ruchliwe usta. Ochryply śmiech, który zdawał się dobywać z wnętrza jej piersi po to jedynie, by uwięzić na chwilę w gardle... Brązowe oczy o gorącym spojrzeniu i burzę włosów, które wyglądały, jakby miały zaraz wymknąć się z upięcia...

Przyglądał się, jak Anais przemierza pokład, a skręcone od wilgoci, czarne pasemka wirują wokół jej twarzy,

i nie potrafił się powstrzymać, by nie wyobrazić sobie, jak by to było je rozpuścić, aby opadły dziewczynie na piersi, a potem zanurzyć w nie

palce. Żałował teraz niezmiernie, że nie zaciągnął do końca zasłony pomiędzy łózkami, gdy rozbierała się do snu. I tego, że jego łóżko stało pod oknem, zamiast naprzeciw. A jeszcze bardziej, że nie poszedł wieczorem do baru i solidnie się nie upił. Ponieważ Anais, jak się okazało, była z natury sową. Jej lampa nie zgasła aż do północy.

Przez jakiś czas śledził po prostu wzrokiem jej sylwetkę, smukłą i pełną wdzięku, i zastanawiał się, co też może robić o tak nieludzkiej porze. A potem, dlaczego go to w ogóle obchodzi. Nie była w jego typie: młodsza i z pewnością o wiele bardziej niewinna niż damy, które przyciągały zwykle jego uwagę. Wolał kobiety doświadczone, które znały reguły gry: zmysłowe, dojrzałe i pozbawione złudzeń. I za ten brak wysublimowanych uczuć gotów był sownie płacić - choć rzadko musiał.

Nie, Anais nie była dla niego, mimo to musiał przyznać, że go fascynuje. Przyglądał się zatem jej sylwetce, fantazjując i pieścąc się w poszukiwaniu ulgi - choćby tej najbardziej podstawowej. Wcisnąwszy głowę w poduszkę, wyobrażał sobie jej włosy, wspominał zapach. I to nie wewnętrzne piękno dziewczyny sprawiło, że krzyknął w końcu cicho w ekstazie.

Niewiele to jednak pomogło - żądza nie chciała go opuścić.

Powinien był pamiętać o tym, co sobie powiedział - nie musi znać kobiety, by z nią pracować. Powinien upewnić się tylko, czy dzielają tę samą troskę o dziecko, które mieli ochronić i uratować. To powinno wystarczyć. Lecz teraz, kiedy przyglądał się, jak dziewczyna zawraca po raz kolejny na rufie, czuł się w najwyższym stopniu nieusatysfakcjonowany.

Nie wiedział, czy to zauważyła. Mogła zdawać sobie doskonale sprawę, wokół czego krążą jego myśli oraz

pragnienia. I choć osoby obdarzone Darem nie mogły odczytywać nawzajem swoich myśli, istniały przecież inne, bardziej subtelne znaki i sygnały.

Oczywiście, jak kilka innych osób, Anais umniejszyła w rozmowie z nim swój Dar. Słyszał już podobne zaprzeczenia ze strony Rance'a, a nawet lady Anishy, siostry Ruthveyne. I choć niewielu zostało obarczonych przeklętym Darem w takim stopniu jak on i Ruthveyn, nie mógł oprzeć się podejrzeniu, że jeszcze więcej zrobiło wszystko, co możliwe, by swoje nadprzyrodzone zdolności ukryć.

Cóż, jeśli dziewczyna wie, trudno. On jest mężczyzną i ma męskie potrzeby - a ona lepiej zrobi, jeśli weźmie to pod uwagę.

Stracił jednak wątek, gdy zatrzymała się przy pokrywie luku, chwyciła kurczowo relingu i zaczęła wpatrywać się w morze przed sobą, jakby z nadzieją, że Francja w magiczny sposób zmaterializuje się nagle pośród nieskończonych połączeń nieba i wody. Wychyliła się tak bardzo, że przez chwilę poczuł lęk, czy nie zamierza skoczyć wprost w odmęty i popłynąć wplaw do Calais.

Co za nonsens. Anais de Rohan była na to o wiele za rozsądna.

Odprężył się, wsparł dłońią o maszt i jął się jej przyglądać. Miała na sobie, jak zwykle, praktyczną suknię, tym razem w kolorze ciemnej zieleni. Prosty strój podkreślał jedynie smukłość i elegancję jej sylwetki. Posiadała dosyć krągłości, by zadowolić mężczyznę, lecz ani trochę więcej, i pożałował, że nie przyjrzał się jej dokładniej tamtego wieczoru w klubie. Bardziej wyraziste wspomnienie tych małych, doskonałych piersi pomogłoby mu ukoić zeszłej nocy męki pożądania. Pomyślał, że w innym życiu Anais de Rohan mogłaby być tancerką, a może luksusową kurtyzaną. Jak sama twierdziła, nie była piękną, natura obdarzyła ją wszakże żywiołowością i boską gracją.

Teraz nie wydawała się jednak czarująco żywiołowa ani pełna gracji.

Wyglądała, jakby miała wyrzucić z siebie wewnętrznego.

Opuścił stanowisko przy maszcie, nim uświadomił sobie w pełni, co go do tego skłoniło. Zanim do niej dotarł, zaciśnięte na relingu palce Anais były już zupełnie białe, a twarz barwą przypominała pergamin.

Położył dłoń na plecach dziewczyny i pochylił się ku niej.

- Co jest? - zapytał.

Odwróciła się doń i uśmiechnęła słabo.

- Drobnny atak *mai de mer* - powiedziała. - Czasami mnie dopada.

Objął ją luźno ramieniem.

- Zatem o to chodzi - powiedział, niemal do siebie. - Powinnaś zejść na dół i się położyć.

Potrząsnęła głową i odwróciła się z powrotem ku morzu.

- Muszę obserwować horyzont - powiedziała. Wiatr szarpał pasma jej włosów. - To pomaga. Proszę, idź! Nic mi nie będzie.

Lecz Geoff nie widział dotąd nikogo aż tak bladego.

- Mogę rozkazać kapitanowi, by zwolnił - zaproponował.

- Ani mi się waż. - Głos drżał jej z emocji. - Nie mamy czasu, a to tylko przedłuży tortury.

Przestąpił z nogi na nogę i wsparł dłonie na relingu po obu stronach Anais. Irracjonalny lęk, że dziewczyna wypadnie za burtę, nie chciał go opuścić. Czuł, jak drżała.

- Często ci się to zdarza? - zapytał. Zaśmiała się żałośnie.

- Powiedziałam: czasami? Skłamałam.

-Ale... twoje podróże. Do Toskanii. Dokądkolwiek.

- Posłuchaj, prawda wygląda tak... że nie mogę przepłynąć Tamizy, by nie pozbyć się zawartości żołądka. Ostrzegam cię, Bessett: jeśli zostaniesz, nie ręczę, że ta piękna kamizelka pozostanie nieskazitelna.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Zatem dlaczego to robisz? To znaczy, podróżujesz?

- Ponieważ cierpienie wyrabia charakter? - zasugerowała z odrobiną goryczy w głosie. - Wiesz, nie mam nic przeciwko podróży lądem, nawet najdłuższej. Rozłące z rodziną. Politycznym niepokojom, które niekiedy zmuszały mnie do tego, by się czołgać. Wolałabym jednak przeżyć kolejną z tokańskich rewolucji, niż spędzić choć jeden dzień na morzu. Anglia jest wszakże wyspą, więc jaki mam wybór?

- Zostać w domu? I haftować te poduszki?

- To nie wchodzi w grę - odparła.

- Hm... Dlatego nie zeszłaś na śniadanie?

- Sądziłaś, że nie potrafię znieść twojego towarzystwa? - Zaśmiała się.

- Zapewniam, Bessett, że nie o to chodziło. Wiem z doświadczenia, że lepiej nie jeść przed rejsem.

Przesunął dłoń na talię Anais i pochylił ku niej głowę.

- Geoff - przypomniał jej. - To wystarczy. Biedactwo. Torsje musiały cię osłabić.

Znowu zaśmiała się z przymusem.

- Jaka dama nie poczułaby się słabo, przyciśnięta do ciebie na całej długości swojego ciała? - zauważyła kpiąco.

- Nie zamierzam dopuścić, żebyś zemdląła i wpadła do Morza Północnego - wyjaśnił. - Zatem tak, stoję trochę zbyt blisko.

- Żałuję, że nie jestem w na tyle dobrej formie, by to docenić - powiedziała. - Doprawdy, Bessett! Musimy prowadzić tę rozmowę? Wygląda na to, że stale pakuję się w żenujące sytuacje. Idź sobie, proszę.

- Przejdź na środek statku - polecił, ciągnąc ją delikatnie za sobą. - Mniej tam kołysze. Może znajdziemy ci coś do siedzenia.

Odeszła niechętnie od burty, a Etienne, **Stewart**, rozłożył dla niej leżak. Przywiązano go do dwóch kołków i Geoff okrył Anais ciężkim kocem. Stosunkowo ciepły

wiosenny poranek w Ramsgate ustąpił miejsca kaprysom morza, a pęd statku sprawiał, że nad pokładem unosił się wodny pył.

Bessett wrócił do swoich zajęć, lecz nigdy na dłużej nie spuszczał Anais z oka. Kapitan zaproponował imbirową herbatę - zaprawioną czymś mocniejszym - lecz odmówiła. Potem, gdy Bessett i reszta załogi schodzili na dół, by zjeść posiłek złożony z chleba i zimnej wołowiny, Anais potrząsnęła tylko głową, a kiedy zapadł zmierzch i temperatura spadła, horyzont skrył się w ciemności i nie było już sensu zostawać na powietrzu.

W końcu nie miał wyjścia i musiał niemal siłą sprowadzić ją pod pokład, prawie znosząc po przypominających drabinę schodkach.

Na „Jolie Marie” znajdowały się dwie prywatne kabiny: kapitańska i przeznaczona dla gości. Ta ostatnia wyposażona była w cztery piętrowe koje z umieszczonymi poniżej szufladami, niewielki stół, mahoniową umywalkę i nocnik. Naczynie bardzo się przydało, ponieważ wieczorem Anais poczuła się gorzej. Wymiotowała też gwałtownie, chociaż żołądek dawno już miała pusty.

Czując się cokolwiek nieswojo, nalał wody do miednicy, zmoczył ręcznik i przyłożył jej do czoła.

- Spróbuj może zasnąć - zasugerował.

- Co za żałosna sytuacja! - Objąwszy się ramionami, siedziała na skraju koi i za nic nie chciała się położyć.

- Chyba będę znów wymiotować. Proszę, znajdź sobie coś lepszego do roboty i oszczędź mi upokorzenia!

Geoff uśmiechnął się lekko.

- Co to za Strażnik zostawia partnera w tarapatach?

- spyta! cicho.

- Co to za Strażnik, który ciągle rzyga?

- Z pewnością znalazłoby się takich wielu, w podobnych okolicznościach. - Założył jej za ucho sprężysty lok.

- Morze jest dziś wyjątkowo wzburzone. Spójrz na mnie. Fryzura ci się rozpada.

Anais sięgnęła w tył, pociągnęła za niewłaściwą szpilkę i włosy spłynęły jej falą na ramię. Wymamrotawszy zupełnie nieprzystające damie przekleństwo, rzuciła szpilką o ścianę kabiny.

Geoff usiadł obok niej.

- Odwróć się - powiedział uspokajająco. - Wyjmę pozostałe. A potem się położysz.

- Nie - zaprotestowała słabo.

Nie miała jednak siły się opierać. Zabrał się do wyjmowania szpilek. Z początku szło mu niezdarnie. W końcu uporał się jednak z zadaniem, podziwiając w duchu długość i jedwabistą miękkość włosów. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażał, stanowiły błyszczącą, wijącą się kaskadę sięgającą dziewczynie do pasa. Niezdolny oprzeć się pokusie, wyjął ostatnią szpilkę, a potem przeczesał delikatnie palcami gęstwinę sprężystych loków.

Uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie rozpuścił kobiecie włosów dla samej przyjemności zrobienia tego.

Otworzył usta, żeby powiedzieć... cóż, bez wątpienia coś głupiego. Ocaliło go pukanie do drzwi.

Otworzył i zobaczył chłopca kabinowego z parującym kubkiem w dłoni.

- *The au gingembre pour madame* — powiedział — *avec opium*. Od kapitana. Na sen, *ouil*

- *Oui, merci* - odparł Geoff, biorąc kubek. - Tym razem to wypijesz.

Posłuchała, choć protestowała słabo, że zaraz i tak wszystko zwróci.

- Nie jadłaś ani nie piłaś od dwudziestu czterech godzin - rzekł, przystawiając jej kubek do ust. - Już od tego można się rozchorować. Pij.

Będąc w pełni sobą, za nic by nie posłuchała. Dobrze o tym wiedział. Teraz jednak poddała się, spoglądając na niego znad brzegu naczynia okrągłymi, ciemnymi jak u szczenięcia oczami, aż coś w jego piersi poruszyło się, wykonując fikołka.

Boże Święty! Była chora, blada i, delikatnie rzecz ujmując, w kiepskim stanie. Co się z nim, do diabła, dzieje?

Nie musiał zastanawiać się nad tym zbyt długo. Zdążyła wypić zaledwie pół kubka, gdy imbir i opium zrobiły swoje. W jednej chwili pila, a w następnej broda opadła jej na pierś. Wsparła się na nim całym ciężarem.

Bogu dzięki. Prześpi noc, a przy tej prędkości późnym popołudniem następnego dnia zawiną pewnie do portu.

Odrzucił przykrywający koję pled, wziął Anais na ręce i położył, zastanawiając się w duchu, co też ośmieli się z niej zdjąć. Zaczął od małego pistoletu, który nosiła przymocowany do łydki, a potem zsuł jej buty - starając się nie gapić na nogi dziewczyny, jak na dżentelmena przystało. Niestety, próba okazała się kompletnym fiaskiem.

Korciło go, by unieść jej spódnicę i podejrzeć - między innymi - czy naprawdę ma na biodrze tatuaż. Piekielnie go złościło, że Rance widział to, czego on nie mógł zobaczyć, choć żaden z nich nie powinien był oglądać nagiego biodra damy.

W końcu zadowolił się niewielką - i stosunkowo przyzwoitą - przyjemnością przesunięcia dłonią wzdłuż krzywizny jej łydki, podziwiając twarde mięśnie ukryte pod zadziwiająco gładką skórą. Potem ujął niechętnie kostki Anais i wsunął je pod koc.

Koja była wszakże tak krótka, że nawet dziewczyna musiała leżeć podkulona. Przeklinając pod nosem, rozpiął guzik przy dekolcie jej sukni. Jak podejrzewał, nosiła nowoczesny gorset z fiszbinami. Poluzował szybko tasiemki. Drobne piersi poruszyły się, a potem rozsunęły swobodnie na boki pod cienkim płótnem koszuli. Odrzuciła w tył ramiona, przyjmując wygodniejszą pozycję. Westchnęła, jak się zdawało, z czystej przyjemności, po czym obróciła się lekko na bok i zaczęła głębiej oddychać.

Wystarczy. Tylko tyle mógł zrobić. Tylko tyle śmiał.

Spala jednak i było jej wygodnie.

Zerknąwszy po raz ostatni, przykrył ją pledem.

Nie wiedzieć czemu, pożałował nagle, iż wpadł do lady Anishy dzień po ślubie Ruthweyna i zaprosił ją wraz z młodszym bratem przyrodnim, lordem Lucanem, następnego dnia do teatru.

Posunął się nawet tak daleko, że poprosił matkę, by zaglądała podczas jego nieobecności do lady Anishy. Żeby zabrała ją gdzieś na herbatę lub obiad. Nic dziwnego, że w oku starszej pani pojawił się szacujący błysk. Powiedział jej więc prawdę - o ile było w ogóle o czym mówić. Podziwiał damę i zamierza starać się o jej względy.

Gdy wróci z Brukseli, zapewne lady Anisha będzie już miała przygotowaną wyprawę.

Nagle poczuł się tak, jakby i on miał się rozchorować.

Lady Anisha była, oczywiście, drogą przyjaciółką i tak już zostanie. Na tyle drogą, że nie chciał zrobić niczego, co postawiłoby ją w niezręcznej sytuacji. Mógł tylko żywić nadzieję, że jego postępowanie nie będzie miało takich właśnie konsekwencji.

Przyłożył dłoń do policzka Anais. Na pierwszy rzut oka, ze swymi czarnymi włosami i ciepłą karnacją, przypominała bardzo siostrę Ruthweyna. Ona też nie była angielską różą, lecz cieplarnianym kwiatem, rzadkim i lekko egzotycznym. Pomijając wygląd, różniły się jednak od siebie tak bardzo, jak tylko mogą różnić się kobiety.

Cofnął dłoń i zmusił się, by myśleć o czymś innym.

Próbując odwrócić uwagę od tego, ku czemu skłaniała go natura, podszedł do swojej torby i wyjął dostarczone przez DuPonta dokumenty. Poza notatkami i *dossier* było tam też kilka osobistych przedmiotów, a między nimi list z podpisem madame Moreau i długa, żółta wstążka z przywieszką informującą, że ozdoba należy do Giselle Moreau.

Wyjął wstążkę z opakowania i siedział przez chwilę przy stole, przesuwając ją pomiędzy palcami. Czasami dawało to rezultaty, ale

ponieważ dziewczynka była jedną z *wteis*, zapewne niewiele uda mu się zobaczyć. Z matką sprawa miała się jednak inaczej. Jej list mógł otworzyć przed nim pustkę, lecz jakoś nie miał do tego dziś serca. Nie chciał widzieć przyszłości Giselle ani czuć strachu jej matki. Nie życzył sobie zanurzyć się w smutek pani Moreau ani znać pozostałości jej wspomnień.

Mogłyby okazać się boleśnie znajome.

Rzucił wstążkę, jakby była osą, która ukuła go w pierś. Wstał i przykręcił knot lampy, pozostawiając jedynie tyle światła, by móc czuwać nad Anais. A potem zzuł buty, rzucił na krzesło surdut i kamizelkę i wcisnął się na drugą koję, podciągając kolana do piersi.

Przewrócił się na bok, przesunął z wolna spojrzeniem po Anais i westchnął ciężko. Leżał skulony, przygnębiony i ogarnięty obsesją.

Boże, to będzie długa noc, pomyślał.

Rozdział 7

W praktyce sztuki wojny

najlepiej jest przejść kraj wroga w całości i nienaruszony.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Bruksela wiosną okazała się piękna. Anais pchnęła skrzydła okna wychodzącego na Rue de l'Escalier, wychyliła się i zaczerpnęła głęboko powietrza. Było świeże i pachniało deszczem. Niestety, jak zapewnił ją nowy kamerdyner, ten stan rzeczy nie potrwa długo, ponieważ, podobnie jak w Londynie, od płynącej środkiem miasta rzeki niosły się zazwyczaj cuchnące wyziewy.

Na razie jednak Bruksela wydała jej się śliczna i w przeciwieństwie do „Jolie Marie” - bardzo, bardzo stabilna. Po morskiej przeprawie nawet leciutkie falowanie rzeki Senne nie mogło zepsuć jej humoru.

Po drugiej stronie wąskiej uliczki balkony o kutyh żeliwnych balustradach zdobiły donice pełne wczesnowiosennych kwiatów. Tuż pod nimi dwóch starszych mężczyzn rozładowywało furgon, który przyjechał za ich powozem z Ostendy; pomrukiwali do siebie w, jak się zdawało, dwóch albo i trzech różnych językach.

Cofnęła się niechętnie, czuła bowiem, że zanosi się znowu na deszcz. Siąpiło przez całą drogę z wybrzeża, nie miała jednak nic przeciwko temu szczęśliwa, iż może postawić w końcu stopę na stałym lądzie, choćby i mokrym.

- A tu jest, *madame*, pani ubieralnia - dobiegł ją głos kamerdynera.

Odwróciła się z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Prowadź, Bernardzie.

Kamerdyner wprowadził ją do szerokiego, przechodniego pomieszczenia z podwójną szafą, miejscem na kilka kufrów i małą toaletką. W zamkniętej przestrzeni nadal dawało się wyczuć zapach świeżej farby.

- Za tymi drzwiami, *madame*, jest sypialnia pana Mac-Lachlana ^ poinformował. - Łazienkę mają państwo wspólną, a wszystkie pomieszczenia łączą się ze sobą.

Anais poczuła, że jej uśmiech blednie. Nie wzięła tego pod uwagę, kiedy uległa argumentom Geoffa, zapewniającego, że nietrudno im będzie utrzymać pozory małżeńskiego pożycia.

- Jestem pewna, że będzie nam tu bardzo wygodnie - wykrztusiła.

Służący skłonił głowę i ruszył się zająć kuframi ułożonymi w stos na podeście. Anais obserwowała go przez chwilę, a potem podeszła znowu do okna.

Bernard zachowywał się w sposób o wiele bardziej powściągliwy niż jakikolwiek służący, którego zatrudniała jej rodzina. Przybył do nich, jak sam wyjaśnił, wprost z paryskiej rezydencji pana van de Velde'a, zabierając ze sobą dwie pokojówki. Lokai przysłał pan DuPont, a personel kuchenny ktoś z Amsterdamu.

Służący, co do jednego lojalni i zaufani, tworzyli niewielką gromadkę, jak wyjaśnił z żalem Bernard. Na dodatek tajemniczy gospodarz - który w końcu okazał się nie tak znów tajemniczy - witając Anais i Geoffa w porcie, przekazał do ich usług pokojówkę i lokaja.

Pan van de Velde był niskim, grubym i bardzo bogatym bankierem z Rotterdamu. Miał opadający wąs oraz udziały we wszelkich finansowych przedsięwzięciach we Francji, Belgii i Niderlandach. Podobnie jak Bessert, nosił szpilkę do krawata ze znakiem Bractwa, choć wybrał jego prostsza wersję, bez ostu.

Przywitał ciepło przybyszy, ostrzegł ich raz jeszcze przed Lezennesem, zaopatrzył w mapy, klucze i listę

kontaktów w Brukseli, a potem dyskretnie się wymkną. Jak utrzymywał, dlatego jedynie, iż był zanadto znany, by pokazywać się z nimi poza bezpiecznym schronieniem powozu.

Za plecami Anais Bernard chrząknął dyskretnie.

- Pałac królewski, *madame*, jest tam - powiedział, wskazując szczyt wzgórza. - A kościół *madame Moreau* niedaleko, w dole ulicy. Wystarczy minąć Grand Place i targ kwiatowy. Proszę jednak uważać, gdyż Bruksela bardzo się rozbudowuje.

Anais się uśmiechnęła.

- Rewolucja okazała się korzystna dla interesów?

- Pod niektórymi względami, owszem. - Bernard uśmiechnął się skąpo i dodał ciszej: - Zwłaszcza dla bankierów. Pan van de Velde prowadzi w okolicy mnóstwo dochodowych przedsięwzięć.

- Włączając ten dom?

Bernard typowo galijskim gestem wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Niestety, poprzedni właściciel lubił grać w karty o wysokie stawki - powiedział cicho. - W konsekwencji został zmuszony wynająć dom na rok po to, by spłacić hipotekę.

- Pożyczka, za którą pan van de Velde bez wątpienia policzył sobie procent - stwierdziła Anais chłodno.

Bernard uniósł cienką brew.

- Prowadzi wiele tego typu interesów.

Odwróciła się znowu do okna, rozmyślając o tym, jak głęboko sięgają macki Bractwa i jaki mają wpływ na rządy i ekonomię. Van de Velde przejął dom na rok? Dobry Boże. Z pewnością zaznajomienie się z rodziną pani Moreau - a przynajmniej z tym, co z niej zostało - nie zajmie im aż tyle czasu! Przy niechętnej współpracy Marii jakoś uda się powściągnąć przez kilka miesięcy zainteresowanie rodziców miejscem pobytu córki, zwłaszcza że akurat zaczął się sezon. A jeśli dopisze jej szczęście,

Armand będzie zbyt zajęty rozrywkami w Londynie, by zastanawiać się, czy siostra wróciła w ogóle z Toskanii. Lecz Nate... Nate był jak

pies myśliwski. Jeśli zwietrzy skandal, pójdzie za tropem do końca. Nawet sprytna Maria nie zdoła go zniechęcić. Lecz Nate był ostatnio okropnie zajęty, poza tym przywykł, że siostra jest daleko.

Och, to prawda, że Strażnicy - nawet tak nieoficjalni jak ona - często musieli poświęcać się dla dobra sprawy. Ona też zrobi, co będzie trzeba. Lecz roczna nieobecność sprawi, że niektóre mosty zostaną spalone. Jej reputacja z pewnością ucierpi. Poza tym, Bóg jeden wie, jak wytrzyma tak długo pod jednym dachem z Bessettem - a właściwie, z Geoffem.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby stał się na powrót tym wyniosłym, władczy dżentelmenem, jakiego poznała w Towarzystwie Świętego Jakuba. Tymczasem osłabiał co rusz jej determinację i czujność, okazując niespotykaną uprzejmość. Czasami nawet te zimne błękitne oczy wyglądały, jakby lód w nich mógł się roztopić.

Tymczasem Bernard, stojący nadal u jej łokcia, oczekiwał na polecenia.

- Zatem dom z czerwonymi i żółtymi tulipanami w skrzynkach należy do pana Lezennesa? - spytała cicho.

Bernard postąpił krok ku oknu.

- *Oui, madame* - odparł. - Tyle zdążyliśmy się już dowiedzieć. Pani Janssen zaznajomiła się z ich kucharką przy okazji zakupów w Grand Sablon, a nasz lokaj Petit umawia się z pokojówką. Będą mieli nam wiele do opowiedzenia na temat trybu życia mieszkańców, na pewno też zbiorą sporo ploteczek.

Anais odsunęła przejrzystą firankę i utkwiała wzrok w domu stojącym zaledwie o dwie posesje w górę stromej uliczki.

- A co z dzieckiem? - spytała. - Ktoś je w ogóle widział?

- Owszem, choć pokazuje się nader rzadko - odparł służący. - Zazwyczaj pani Moreau zabiera małą w południe na spacer do parku. Lezennes przyłącza się do nich i wracają razem do domu. Zatrudnił też guwernantkę, by przychodziła codziennie.

Na schodach rozległy się szybkie kroki. Poznała, że to Geoff. Odwróciła się i zobaczyła, że zmierza ku nim przez garderobę, dźwigając na ramieniu kufer. Dziś proste, gęste włosy związane miał skórzanym rzemykiem, jakby był zbyt zajęty, żeby przejmować się fryzurą. Nowa francuska pokojówka Anais postępowwała spieszenie za chlebodawcą, ledwie zdolna dotrzymać mu kroku.

- No, to już ostatni - powiedział, torując sobie drogę.

- Dom jest wspaniale położony, Bernardzie.

- Z pewnością widok z okna nie mógłby być lepszy.

- Anais podeszła do drzwi ubieralni w chwili, gdy Geoff stęknąwszy z wysiłku, odstawił kufer. - Spójrz, kochanie - dodała, krzyżując ramiona na piersi - nasze ubieralnie się łączą, mamy też wspólną łazienkę.

Bessett rzucił jej kpiące spojrzenie.

- Cóż, przynajmniej jest tu kanalizacja - powiedział ze stoickim spokojem. - W Yorkshire nadal nosimy wodę wiadrami, zarówno zimną, jak i gorącą.

Claire, nowa pokojówka Anais, dygnęła, a potem powiedziała czystą francuszczyzną, że chciałaby zająć się rozpakowywaniem.

- *Merci* - odparła Anais. Kamerdyner chrząknął ponownie.

- Ach, Bernardzie - powiedział Geoff, wstając. - Mówiłeś chyba, że na poddaszu jest coś, co chciałbyś nam pokazać?

Kamerdyner skłonił się sztywno, jak miał w zwyczaju.

- Jeśli *madame* i *monsieur* zechcą łaskawie pójść za mną...

Podobnie jak kamienice w Londynie, także i ta była wąska i wysoka, z suteroną mieszczącą kuchnię i inne

pomieszczenia gospodarcze, parterem, dwoma piętrami i obszernym poddaszem. Anais i Geoff ruszyli za kamerdynerem, spodziewając się zobaczyć kwatery dla służby.

Zamiast tego przekonali się, iż poddasze tworzy jed-noprzestrzenne wnętrze z białym sufitem, wypolerowaną drewnianą podłogą i wielkim, otwieranym świetlikiem w dachu. W jednym końcu sali ustawiono stół do bilardu, dłuższy i węższy niż spotykane w Anglii. W przeciwnym rogu wisiał na linie skórzany wór, jakiego używają dżentelmeni, by doskonalić się w sztuce boksowania. Pomiedzy nimi zaś rozciągnięto grubą matę - jak domyślała się Anais, do ćwiczeń w zapasach. Wiedziała, co to takiego, gdyż jej brat żywił upodobanie do tego rodzaju brutalnej przemocy.

Druga strona sali była pusta, jeśli nie liczyć stojaka z wieloma rodzajami białej broni: szpadami, rapierami i szablami oraz stroju do szermierki. Przy dwu mansardowych oknach stał niewielki teleskop na trójnogu, podobny do używanych w nawigacji, a obok dwa krzesła.

Geoff obrócił się z wolna dookoła i zagwizdał z uznaniem.

- Raj dżentelmena, *n'est-cepas?* - zauważył Bernard. - Właściciel jest wielbicielem sportów.

- Stąd notoryczna niewypłacalność - wymamrotała Anais pod nosem, pochylając się, by wyjąć jeden z rapierów.

- Teleskopy tu nie pasują - powiedział Geoff, siadając na jednym z krzeseł, i zerknął przez wizjer. - Ach, teraz rozumiem.

- Są nasze - przyznał Bernard. - Może zechce pan przenieść jeden do sypialni. Na razie obserwujemy stąd na zmianę jadalnię Lezennesa i pomieszczenie, które, jak sądzimy, jest frontowym salonem.

- Zauważyliście coś interesującego? - spytał Geoff, nie odrywając wzroku od wizjera.

- Widujemy od czasu do czasu panią Moreau - odpari Bernard. - Porusza się swobodnie po domu i wychodzi z rzadka na zakupy, a trzy razy w tygodniu do kościoła.

- W *dossier*, które dał nam pan DuPont, napisano, że jest katoliczką - wtrąciła Anais. - Gorliwą?

Bernard wzruszył ramionami.

- Jej mąż taki z pewnością był. Nasi informatorzy w Paryżu donoszą, że wdowa nie jest aż tak pobożna. Możliwe, że religia stała się dla niej po prostu ucieczką od tyranii Lezennesa. A może o coś rozpaczliwie się modli.

Anais zastanawiała się przez chwilę.

- Do której świątyni chodzi?

- Do St. Nicholas - odparł kamerdyner.

- Cóż - zauważyła Anais - może już pora, bym i ja poszła się wypowiedzieć.

Geoff oderwał się od teleskopu i spojrzał na nią cokolwiek dziwnie. Włosy z boku głowy wymknęły mu się spod rzemyka.

Bernard skinął jedynie głową.

- Powinienem już iść, dopilnować, by służący państwa zostali właściwie rozlokowani. Poza tym, monsieur DuPont przysłał dla pana kopertę. Twierdzi, że to nic pilnego. Mam zostawić ją na pańskim biurku?

- Tak, oczywiście. - Geoff zbliżył znów oko do lunety.

- Dziękuję, Bernardzie.

Gdy drzwi zamknęły się za kamerdynerem, Anais wsunęła rapier na miejsce w stojaku. Ostrze wydało przy tym metaliczny dźwięk.

- Wygląda na to, że w tamtym domu nikogo nie ma

- powiedział Geoff, unosząc smukłe ciało z krzesła.

- Tak, wkrótce będziemy musieli przejść na drugą stronę ulicy i zaprzyjaźnić się z sąsiadami - powiedziała cicho Anais, wyjmując jedną ze szpad. - Muszę przyznać, że nie mogę się już doczekać.

Odwróciła się i zobaczyła, że Geoff spogląda na broń w jej rękę.

- Cóż, wygląda na to, że wiesz przynajmniej, co z tym zrobić - zauważył.

Anais uśmiechnęła się, przyjęła pozycję szermierczą i skoczyła w przód z wyciągniętym ostrzem.

- *En garde!*

Geoff nawet nie mrugnął.

- Och, uwierz mi, moja droga, mam się na baczności, odkąd po raz pierwszy cię zobaczyłem - powiedział, podchodząc do niej. Poruszał się z wdziękiem dzikiego zwierzęcia. - Zastanawiam się, czy stary Vittorio nie nauczył cię paru sztuczek.

Anais poczuła, że jej uśmiech blednie.

- Tak, był swego czasu znakomitym szermierzem - powiedziała cicho. - Był... zadziwiający. I znany w całej Toskanii. Słyszałeś może...

- .. o słynnej próbie zamachu podczas Kongresu Wiedeńskiego? - przerwał jej Geoff. W jego niebieskich oczach błyszczała podziw. - Ten wyczyn sprawił, że stał się sławny w Bractwie. Jak słyszałem, nóż przeznaczony był dla kardynała Consalviego?

- Tak, zabójca wyciągnął broń, lecz nie miał szansy uderzyć. - Anais wykonała z zapalem pchnięcie.

- Vittorio przebił go szpadą na oślep, gdy stał za osłaniającą podwyższenie draperią - dokończył Geoff.

- Tak, bo widzisz, na tym polegał jego Dar! - Anais opuściła lewą rękę i spojrzała na ozdobny uchwyt szpady. - Dar i zarazem przekleństwo. Potrafił wyczuć samą istotę jakiejś osoby, jej siłę życiową, jeśli wolisz. I umiał rozpoznać zło. Wyczuwał jego woń jak zapach śmierci. Próbował trochę mnie tego uczyć, lecz ja... chyba nie chciałam odrobić dokładnie akurat tej lekcji. Nie zazdroszczę nikomu, kto ma tak silny Dar.

Na twarzy Geoffa ukazał się na mgnienie - zbyt krótko, by można było go odczytać - dziwny wyraz, coś jakby cierpienie. Zmienił natychmiast temat i spytał bardziej bez troski:

- Zatem, pani MacLachlan, jaka jest pani ulubiona broń?

Anais nie zaprotestowała.

- Rapier i sztylet.

- Ach, tradycyjna szkoła.

- Vittorio był przysięgłym zwolennikiem tradycji

- przyznała - zwłaszcza tam, gdzie chodziło o mnie.

- Cóż, ty nie jesteś z pewnością tradycyjnistką. Czego jeszcze cię nauczył, poza szybkim wypadem i umiejętnością wyczuwania czyjejs obecności?

- Nie potrafię wyczuć czyjejs obecności - odparła głosem wypranym z emocji, przeciągając palcem po ostrzu.

- Cóż, przyznaję, zatrudnił mistrza szermierki z Florencji, aby mnie uczył. Twierdził, że sam jest już zbyt stary, aby wykonywać jak należy szybsze, bardziej skomplikowane pchnięcia. Do tego potrzebny był ktoś młodszy.

Podniosła wzrok i spostrzegła, że Geoff przygląda się jak zahipnotyzowany ruchom jej dłoni.

- Przypuszczał, że będziesz zmuszona posłużyć się kiedyś tym ostrzem w obronie?

Anais potrząsnęła głową.

- Chyba chciał mnie po prostu nauczyć, jak poruszać się szybko i z wdziękiem - odparła. - Jasności umysłu, kiedy jest się pod presją. A co się tyczy tego całego wyczuwania, rzeczywiście, zmysły mam nieco bardziej wyczulone niż przeciętna osoba. Maria twierdzi, że jestem jak kot w ciemności. Jednak daleko mi do Vittoria.

Spojrzenie Geoffa złagodniało.

- Zastanawiam się, co sobie pomyślał ten biedny nauczyciel szermierki. Musiałaś wydawać mu się piękna i śmiertelnie niebezpieczna. Nim skończył, był już pewnie w tobie zakochany.

Anais poczuła, że się rumieni.

- Nie bądź śmieszny - odparła. Odwróciła się, by schować broń na miejsce. - Sądził, że mam do tego talent, nic poza tym. Próbował uczyć mnie posługiwania

się *spadone*, tak dla równowagi, ale nie byłam w stanie podnieść tej przeklętej rzeczy jak należy.

Kiedy się odwróciła, stwierdziła, że Geoff bacznie się jej przygląda.

- Dlaczego odnoszę wrażenie - powiedział cicho - że skupiasz się bardziej na swoich porażkach niżli sukcesach?

Wzruszyła ramionami.

- Czyż nie wszyscy tak robią? To znaczy ci, którzy chcą coś osiągnąć? Przez chwilę tylko się w nią wpatrywał.

- Myślę, że ty już wiele osiągnęłaś - powiedział cicho. - Mam jednak wrażenie, że się forsujesz po to, by służyć innym. Twoja choroba na morzu stanowi znakomity tego przykład.

- Sugerujesz zatem, bym... co właściwie...? Została w domu, aby uniknąć odrobiny mdłości? Porzuciła marzenia prababki?

Spostrzegła, że skrzywił się ledwie dostrzegalnie. Musiała trafić w sedno.

- Mówię tylko, że cierpisz na najgorszy przypadek choroby morskiej, jaki widziałem. A widziałem, jak dorośli mężczyźni płakali - burknął. - I że powinnaś kierować się własnymi marzeniami, jeśli dałaś sobie kiedykolwiek czas, by się nad nimi zastanowić.

Zadarła lekko brodę.

- A co z tobą? - odparowała. - Robisz tylko to, na co masz ochotę? Pamiętaj, że widziałam twoją twarz, kiedy rozmawiałeś tamtego wieczoru o swojej pracy z ojczymem.

Odwrócił na chwilę wzrok.

- Moje życie zmieniło się, gdy umarł Alvin - powiedział. - Do tego czasu uprawiałem zawód, który uwielbiałem. Miałem, oczywiście, świadomość, iż mogę zostać wezwany przez Bractwo, abym wypełnił takie czy inne zadanie, jednak organizacja niemal się rozpadła...

- Wzięłaś zatem na siebie zadanie odbudowania jej
- wtrąciła, podchodząc bliżej. - I to zmieniło na zawsze twoje życie.
- Owszem - przytaknął. - Tak, zapewne można by tak powiedzieć.

Pod wpływem impulsu dotknęła delikatnie policzka Geoffa i obróciła ku sobie jego twarz.

- Bogu niech będą dzięki za to, że podjąłeś właśnie taką decyzję - powiedziała - gdyż tchnęło to w Bractwo nowe życie.

- Nie jestem pewien, czy gdy zaczynałem, kierowały mną wyłącznie altruistyczne pobudki - powiedział, uciekając spojrzeniem. - Kiedy tak teraz o tym myślę, sądzę, że zrobiłem to z powodu Lazonby'ego. Byłem wściekły.

- Na Lazonby'ego? - spytała, marszcząc brwi.

- Zaprzyjaźniliśmy się w Maroku: Lazonby, Rutłweyn i ja. Partnerzy w samozniszczeniu, mogłabyś powiedzieć. Właśnie skończyłem projekt dla rządu francuskiego, Lazonby przebywał na urlopie z Legii Cudzoziemskiej, a Rutłweyn, cóż, wypalał sobie pracowicie drogę przez palarnie opium w Afryce Północnej. Jedne wielkie bachanalia, póki żandarmi nie aresztowali Lazonby'ego i nie odstawili go do Anglii. Rutłweyn i ja pojechaliśmy za nim.

- I co się wydarzyło?

- Kupiliśmy dom i założyliśmy Towarzystwo Świętego Jakuba - odparł. - W kółko gadaliśmy o tym, iż trzeba zrekonstruować Fraternitas. Bo po co komu Bractwo, jeśli nie może ochronić jednego ze swoich przez niesłusznym uwięzieniem?

- To lord Lazonby został niesłusznym uwięziony?

- spytała. - W gazetach pisali, że chodziło o zabójstwo podczas kłótni przy grze w karty.

- Nie zabił człowieka, o którego śmierć go oskarżono

- powiedział Geoff. - Czy był winny tego, że źle ocenił sytuację? Tak. Człowiek obdarzony takim Darem nie powinien grać w karty. Wszystko może się wtedy zdarzyć. Jed-

nak Lazonby był wtedy jeszcze niemal chłopcem. Nawet teraz zaprzecza uparcie, jakoby posiadał Dar.

- Lecz zosta! przez rodzinęznaczony jako Strażnik

- zauważyła cicho.

- Podobnie jak ty - tak przynajmniej twierdzi Lazonby. - Na chwilę w jego spojrzeniu pojawił się znów lodowaty chłód.

- Tak, mówiłam ci już o tym w świątyni - odparta.

- Prababcia poleciła Vittoriowi, by kazał wytatuować znak, kiedy skończy mnie uczyć. Potem miałam zostać oddana do dyspozycji Bractwa.

- Dlaczego? - naciskał. Anais wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odparła. - Pod koniec życia prababcia powiedziała jedynie, że zostałam do czegoś przeznaczona i że los to przede mną odłoni. I tak, wiem, że aby zostać Strażnikiem, nie trzeba mieć metafizycznych zdolności. Wystarczy zdrowy rozsądek, determinacja i trochę odwagi. Lecz szkocka linia lorda Lazonby'ego obdarzona jest niezwykle silnym Darem, jak większość szkockich rodów.

- O, tak - stwierdził Geoff krótko. - Dobrze o tym wiem.

- Niektóre fancuskie rodziny też odznaczają się podobnymi zdolnościami. Niestety, w części Europy działalność Fraternitas ograniczała się przez dłuższy czas jedynie do ceremonii. Równie dobrze można byłoby wstąpić do miejscowej loży masońskiej. Lub Klubu Befszyka. Nie muszę ci jednak tego mówić. Zbierając materiały i dokumentację, Towarzystwo Świętego Jakuba zaczęło naprawiać ten stan rzeczy.

Geoff prychnął lekceważąco. Ujął znowu jej dłoń. Anais nakryła jego rękę swoją.

- Posłuchaj, Geoffie - powiedziała cokolwiek gwałtownie. - Dlaczego mam uczucie, że teraz to ty lekceważysz swoje osiągnięcia? I cokolwiek o mnie myślisz - nieważne, czy Bractwo zechce mnie przyjąć, czy nie - zawsze będę ceniła to, czego udało wam się dokonać.

- Och, mówisz takie miłe rzeczy, Anais - powiedział cicho.

- Tu nie chodzi tylko o słowa. Często słyszałam, jak Vittorio wychwalał działalność Towarzystwa. Wierzył, że dotrzecie w końcu do wszystkich obdarzonych Darem i zadbacie o ich bezpieczeństwo. Zwłaszcza tych najbardziej bezbronnych. Jak Giselle Moreau.

- Doprawdy tak właśnie sądził? Anais skinęła głową.

- Żałuję tylko, że prababcia nie dożyła chwili, gdy Bractwo odrodziło się z popiołów - powiedziała. - Nie zobaczyła, że stało się czymś więcej niż tylko opowieściami starych kumoszek. I odzyskało swoje miejsce jako tajne stowarzyszenie tych, którzy chcą przeciwstawić się złu.

- W twoich ustach zabrzmiało to niezwykle szlachetnie - rzekł, unosząc jej dłoń, jakby chciał musnąć ją ustami. - Może byliśmy już po prostu znużeni, pragnęliśmy czegoś, co nadałoby naszemu życiu cel i zajęłoby nas na tyle, byśmy nie mieli czasu wglądać w samych siebie i zapytywać, czym i kim się staliśmy.

- Po prostu w to nie wierzę - wyszeptała. - Może i nie mam zbyt silnego Daru... Ale potrafię czytać w tobie i myślę, że o tym wiesz.

Podniosła wzrok, aby napotkać jego spojrzenie, i zrozumiała, że wabi ją ku sobie niemal bez wysiłku. Było tak, jakby przyciągał ją poprzez czas i przestrzeń. Energia - rodzaj niemal namacalnej emocji - wibrowała wokół nich w powietrzu, wypierając wszelką logiczną myśl.

Stali pierś w pierś obok stojaka na broń. Powoli, jakby poruszał się pod wodą, uniósł dłoń i pogładził Anais po policzku. Jeśli przebudzenie się wczorajszego poranka w rozpiętej sukni i gorsecie wydało jej się czymś niesłychanie intymnym, teraz czuła się po tysiąc kroć bardziej intymnie.

- Och, Anais, to bardzo niemądre - szepnął. - Powiedz mi... Powiedz, że oboje o tym wiemy.

Poznaj siebie, poznaj wroga;

tysiąc bitew, tysiąc zwycięstw.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Przełknęła mocno, uwięziona w pułapce jego spojrzenia. - Bardzo niemądre - wyszeptała. - Ale... Słowa uleciały.

Wiedziała, że Geoff nie jest dla niej. A jednak to, co miało za chwilę nastąpić, wydawało się nieuniknione.

On musiał czuć podobnie. Wsunął Anais dłoń we włosy na karku i przycisnął wargi do jej ust w ciepłym, stanowczym pocałunku. Z rozmysłem, jakby zmarnowała właśnie szansę, aby przeciwstawić się jego pragnieniom, i teraz zamierzał w pełni to wykorzystać.

Och, tak, proszę, Boże, niech się tylko nie spieszy...

Jego intencje nie pozostawiały cienia wątpliwości. Anais westchnęła cicho i się poddała. Wtuliła wargi w jego usta i ciało w jego ciało, odchylając w tył głowę. Geoff pochylił się ku niej, a włosy opadły mu na twarz.

Wiedziała, że tego pożałuje - i on zapewne także. Lecz kiedy jęknął głucho i opuścił niżej ramię, przyciągając ją do siebie, zapomniała o żalu. Zamiast tego przymknęła oczy i rozchyliła wargi. Co mogło okazać się błędem, gdyż stanowiło jawne zaproszenie, z którego Geoff natychmiast skorzystał, wpychając Anais język w usta.

Uniosła ramiona i otoczyła nimi jego szyję.

Jęknął i zaczął przesuwać zmysłowo językiem wzdłuż jej języka, póki nie zmiękły pod nią kolana. Położył pra-

wą dłoń na pośladkach Anais i ją unosić lekko jej spódnicę.

Poczuła, że traci oddech. Wsunęła mu głębiej dłoń we włosy. Zareagował, unosząc ją nieco wyżej i przyciskając do wzwiedzonego członka. Poczuła, jaki jest twardy, przyciśnięty do jej brzucha, i znów ogarnęło ją tamto poczucie nieuchronności.

Ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi, uniosła nogę i owinęła wokół jego biodra. Geoff pogłębił pocałunek, drżąc z lekka w uścisku jej ramion i przywarł do niej ruchem, który powinien być wulgarny, lecz wcale taki nie był. Na najdłuższą z możliwych chwilę zatonęła w tęsknocie i pragnieniu.

Wreszcie wzdrygnęła się mocno i oderwała usta od jego ust.

- Geoff - powiedziała. - Mata? Moglibyśmy...

- Boże święty, Anais - wykrztusił.

Zamknął oczy, nadal złączony z nią biodrami. Widziała, jak grdyka porusza mu się w górę i w dół i czuła zmysłową woń pożądania, jaką emanowało jego ciało.

- Pragniesz mnie - wyszeptała. Zaśmiał się ochryple i otworzył oczy.

- Cóż za niedomówienie - wyszeptał. - Jesteś jak iskra rzucona na suche drewno... Nie sądzę, bym mógł ryzykować, całując cię znowu - powiedział cicho. - Kiedykolwiek.

Próbowała czuć wdzięczność za to, że jest tak rozsądny.

I była wdzięczna - a raczej będzie, gdy uspokoi oddech i zniknie to okropne pulsowanie pomiędzy udami.

Drzwi zaskrzypiały ostrzegawczo. Bernard chrząknął dyskretnie, jak miał w zwyczaju.

- Przepraszam - powiedział, gdy odskoczyli od siebie.

- Ach, ci nowożeńcy! - zauważył Geoff żartobliwie. - Musisz nam wybaczyc.

Kamerdyner zgiął szyję w sztywnym ukłonie.

- Oczywiście - wymamrotał. - Pani Janssen zapytuje,

O której chcieliby państwo zjeść.

* * *

Wieczorem Anais zamknęła drzwi łazienki prowadzące do sypialni Geoffa i wędrowała przez chwilę po wyłożonym holenderskimi kafelkami pomieszczeniu, przyglądając się nieznanym oznakom męskiej bytności - mydłu do golenia na umywalce, szczoteczce do zębów z połączoną rączką i pasującej do niej brzytwie, a także niewielkiemu skórzanemu puzderku na komodzie z bielizną pościelową. Zawierało jedynie najpotrzebniejsze przybory.

Widać Geoff nie był jednak aż tak bardzo próżny.

Poddając się impulsowi, wyjęła z puzderka buteleczkę i otworzyła ją. Jej nozdrzy dobiegła drażniąco znajoma woń przypraw i cytrusów. Odłożyła pośpiesznie flakonik i ochlapała twarz zimną wodą. Nie wolno jej myśleć o Geoffie w ten sposób. Przybyła tu z ważną misją. Nie może dopuścić, by zdradzieckie serce stało się znów jej największym wrogiem.

Ochłonawszy - głównie za sprawą zimnej wody - wsparła dłonie na umywalni i spojrzała na siebie w lustrze. Prawdę powiedziawszy, dopisało jej szczęście. Kolacja mogła okazać się trudnym przeżyciem, uratowało ich jednak przybycie Petita, lokaja. Po tym, jak zjedli, przedstawił im rozkład zajęć mieszkańców domu po drugiej stronie ulicy i przekazał, czego wraz z panią Janssen dowiedzieli się o lokatorach.

Wyglądało na to, że Lezennes spędza większość czasu w sądzie lub którejś z dyplomatycznych placówek stolicy. Plan dnia pani Moreau był bardziej stabilny - jak wyjaśnił wcześniej Bernard, jej zajęcia polegały głównie na bywaniu w kościele i na zakupach. Małej Giselle rzadko pozwalano opuścić dom. Wydawało się, że rodzina nie zawarła w mieście znajomości.

Jutro rozpoczną zatem swą misję. Madame Moreau wybierze się zapewne, jak zwykle w sobotę rano, do spowiedzi, a potem na targ przy Grand Place. Anais zamierzała być tam przed nią.

Ledwie o tym wspomniała, Geoff spojrzął ku niej przez stół.

- Weź z sobą Petite'a - polecił. - Tego wymaga ostrożność.

Z odrzuconymi do tyłu, niemodnie długimi włosami wyglądał jak średniowieczny książę wydający polecenia podwładnym.

Podniosła do ust kieliszek z winem i nie zaprotestowała. Nonsensowne polecenie nie wymagało komentarza. Jeśli Geoff złości się na siebie o to, że ją pocałował, to jego problem. Jeśli gniewa się na nią - cóż, jest ich dwoje. I choć nie uważała go za rozpustnika, nie czyniło to jej swobodnego zachowania ani trochę mniej nierozsądnym.

Skończyła myć zęby, czyniąc to nieco zbyt gwałtownie. Spłukując szczoteczkę, pomyślała, że chyba powinna zdzielić się nią w głowę. Szczoteczką, a jeszcze lepiej czymś większym. Zerknęła na szczotkę do włosów i głośno westchnęła.

Naprawdę pragnęła Geoffa.

Nie było sensu się łudzić. Pragnęła go - może nie od pierwszego spojrzenia - ale przerażająco blisko pierwszej chwili, kiedy ujrzała go w siedzibie Towarzystwa.

Zamknęła oczy i wsparła dłonie na blacie umywalni. Niemal czuła obecność lorda w przyległej sypialni. Wiedziała, że tam jest. Chodzi po pokoju niczym lew w klatce, krążąc od stołu do krzesła i okna, zapewne ze szklaneczką brandy w dłoni.

Przeniknął ją dreszcz, głęboki i jednoznaczny. Najwidoczniej nadal łatwo jej było zawrócić w głowie, gdyż ledwie Geoff jej dotknął, rozsądek uleciał przez okno. Tym razem musiała jednak zachować jasny umysł. Za-

czekać na właściwego mężczyznę. Właściwego, nie zaś tylko pięknego.

Musi pamiętać o dziecku, któremu mieli pomóc. Geoff czuł się odpowiedzialny za małą w sposób, którego nie potrafiła do końca zrozumieć. Słyszała to w jego głosie za każdym razem, gdy o niej wspominał.

I czegoś jeszcze nie rozumiała - natury Daru Geoffa. Nigdy o nim nie mówił, choć Vittorio napomknął pewnego razu, że lord Bessett i lord Ruthveyn są ze wszystkich członków Bractwa najzdolniejszymi jasnowidzami, obdarzonymi mistyczną mocą wywodzącą się od celtyckich kapłanów, *vateis*, których niesamowite umiejętności zatonęły w pomroce dziejów, obrastając legendą.

Kimkolwiek był, nie zamierzał najwidoczniej dopuścić, by prymitywne emocje przeszkodziły mu w wypełnianiu misji, i za to powinna go szanować.

Westchnąwszy, otworzyła drzwi łazienki i przeszła przez ubieralnię do swojej sypialni. Pokojówka zdążyła już na szczęście wyjść, zostawiając odchyloną kołdrę i przykręcony knot lampy.

W słabym świetle wyjęła z walizki Biblię oraz hebanową szkatułkę z *tarocci* i położyła na nocnym stoliku. Uniosła wieko szkatułki i wyjęła leżącą na wierzchu kartę. Jej brzegi wydawały się bardziej miękkie i zniszczone niż tych leżących pod nią.

Zerknąwszy po raz ostatni na *le Re di Dischi*, oparła kartę o lampę, jak zwykła to robić każdego wieczoru, obejmując spojrzeniem przystojną twarz namalowanej postaci oraz jej krwistoczerwony płaszcz, a potem zdmuchnęła szybko knot.

Księżę pokoju w szkarłatnym płaszczu.

Dziś czuła się wszakże tak, jakby jej księżę o niej zapomniał.

* * *

Geoff odczekał, aż zapadną ciemności i ucichnie krzątanie w przyległej sypialni, a pokusa, by przejść przez łazienkę i ubieralnię, osłabnie. Nie żywił wielkiej nadziei, że po zmysłowym pocałunku uda mu się spokojnie przespać noc. Ależ z niego przeklęty głupiec! Od początku wiedział, że do tego dojdzie, że będzie jej pożądał. Śnił o niej. To cud, jeśli uda mu się w ogóle z nią pracować.

Tymczasem powinien myśleć wyłącznie o Giselle

- spoglądać przez ołowiane szybki swojej sypialni w okna pokoju dziecinnego po drugiej stronie ulicy ze świadomością, że dziecko za nimi czuje się samotne. Przerazone.

Już to powinno nadać jego cielesnym żądom właściwą perspektywę.

Gdy w domu zapadła wreszcie cisza, otworzył okno, wychylił się na Rue de l'Escalier i zaczerpnął głęboko chłodnego nocnego powietrza. Lecz do jego nozdrzy dobiegł już smród rzeki, zalegający nad miastem niczym gęsta mgła. Cuchnęło rozkładem i zgnilizną - jak cała ta sprawa z wicehrabią Lezennelem, prawdę mówiąc.

Na piętrze domu naprzeciw nadal paliły się światła

- wszędzie z wyjątkiem pokoju, który Petit wskazał jako sypialnię Giselle. Geoff przysunął do okna krzesło, otworzył podróżny sekretarzyk i wyjął ostatni list DuPonta. Pod nim ujrzał żółtą wstążkę Giselle. Zawahał się z uniesioną dłonią. Może dzięki wstążce zdoła zyskać wgląd w umysł matki, jeśli nie dziecka?

W końcu zamknął jednak z łoskotem sekretarzyk, zapalił świecę i jął przerzucać po raz drugi tego dnia materiały otrzymane od DuPonta. Nie było tego wiele - tylko garść rachunków i kilka listów kondolencyjnych, zaadresowanych do madame Moreau. Nie miał pojęcia, jak DuPontowi udało się je zdobyć.

Przejrzał stos i wybrał najbardziej obiecującą przesyłkę - poskładany starannie list od proboszcza z parafii pa-

ni Moreau. Tym razem przeczytał go powoli, skupiając się na wyrażonych w nim bolesnych uczuciach. Próbując wyobrazić sobie, co czuła pani Moreau, trzymając go w dłoniach. I co czuje teraz.

Zdmuchnął świecę, zamknął oczy i otworzył się z rozmysłem na nieskończoną otchłań pomiędzy przestrzenią a czasem. Było trochę tak, jakby przewiązał sobie ramię i naciął żyłę. W ciszy zalegającej dokoła nocy próbował wyczuć obecność pani Moreau. Wciągnąć w siebie jej smutek, myśli oraz esencję tego, co miało się wydarzyć, a co czało się w pustce.

Nie znosił tego robić. Lecz teraz był w stanie traktować swój dar jako narzędzie. Coś, czym posługiwał się, gdy nie zostało mu już nic innego.

Pamiętał jednak czasy, wcale nie tak odległe, gdy wybór nie należał do niego. Gdy jego umysł krążył nieskrępowanie w czasie i przestrzeni, w tę i z powrotem, niczym węgorz przemykający w zalanym słonecznym blaskiem jeziorze. Jak zmieniające się błyski oślepiającej jasności i doskonalej w swej klarowności wizji - niemożliwej do kontrolowania - odślaniały się czasami rzeczy, których nie powinno oglądać dziecko, całkowicie bezradne wobec tego, co się z nim dzieje.

Nie, nie lubił tego robić. Lecz lata ćwiczeń i bezlitosnej samodyscypliny sprawiły, że nauczył się panować nad swoim Darem.

Dziś jednak nie czuł absolutnie nic.

Podczas rzadkich okazji, kiedy widzenie spadało na niego nieproszone, miał uczucie, że poniósł porażkę. A kiedy, jak tego wieczoru, nie był w stanie przywołać Daru, czuł się... cóż, bardzo podobnie.

Pocieszał się, że nie zna Giselle Moreau, nie wie nic o jej matce poza tym, co udało im się podejrzeć, gdy wyprawiła się późnym popołudniem z koszykiem na targ. Niewysoka, schludna blondynka w długim czarnym płaszczu.

Niełatwo było uchwycić nici obecnych myśli albo emocji, a co dopiero przewidzieć przyszłe wydarzenia, nie dotknąwszy ani nawet nie poznawszy osoby, której miały dotyczyć. Nie zaszkodziło jednak spróbować.

Westchnął i rzucił list z powrotem na stos.

Tej nocy będzie sam.

Sam z marzeniami o Anais de Rohan.

* * *

Kościół Eglise St-Nicholas okazał się pięknym starym budynkiem, wciśniętym w zaułek pomiędzy Rues au Beurre, tuż poniżej Grand Place, na skraju dzielnicy zamieszkaną przez niższą klasę średnią. Oddalony nieco od centrum królewskiej Brukseli stanowił interesujący wybór. Tak przynajmniej uznała Anais, przechadzając się pod sklepieniem świątyni.

Z jakiegoś powodu madame Moreau wybrała właśnie ten przybytek wiary.

Może spodobał jej się skromny wystrój: kojące barwy i niezbyt dużo złocień. Lecz nawet w tak spokojnym miejscu dało się zauważyć oznaki politycznych zawirowań. Na przestrzeni wieków kościół był kilkakrotnie burzony i bombardowany, a jak poinformował ją przechodzący nawą kościelny, w ścianie kaplicy Matki Boskiej nadal tkwiła kula wystrzelona z francuskiej armaty.

Anais podziękowała mu, ale nie poszła obejrzeć ciekawostki. Zamiast tego ulokowała się w pobliżu wejścia i rzędu konfesjonałów, gdzie przewijali się nieustająco parafianie. Zapaliła też świeczkę w intencji prababci Sofii, a potem się za nią pomodliła.

Chociaż została ochrzczona w anglikańskim kościele swej matki, od najwcześniejszego dzieciństwa otaczali ją katolicy. Jako mała dziewczynka często towarzyszyła babce oraz kuzynce podczas mszy u św. Marii, ponieważ jej rodzice byli w sprawach wiary bardzo liberalni. Po-

za tym w Toskanii nie było kościołów innych niż katolickie. Anais przekonała się, że oba wyznania nie tylko sobie nie przeczą, lecz pod wieloma względami wręcz się uzupełniają. Nic dziwnego, że poczuła się w Eglise St-Nicholas naprawdę dobrze.

Nie musiała czekać długo. Po kwadransie do świątyni weszła niewysoka, pulchna dama o jasnych włosach, niosąc koszyk przepleciony jaskrawozieloną wstążką. Niezwykły i dokładnie taki, jak opisywał Petit.

Postawiła koszyk przy drzwiach, naciągnęła głębiej na włosy szal i podeszła wprost do jednego z otwartych konfesjonałów. Anais podążyła za nią i skierowała się do następnego, obok.

- Pobłogosław mnie, ojcze, albowiem zgrzeszyłam - powiedziała po francusku, zbliżając usta do drewnianej kraty. - Jestem anglikanką. Wysłuchasz mojej spowiedzi?

Ksiądz zawahał się, lecz tylko na chwilę.

- Oczywiście, dziecko - powiedział łagodnie. - Jeśli chcesz dostąpić stanu laski, możesz znaleźć sakrament pojednania i tutaj.

- Dziękuję - odparła. - Nie spowiadałam się od czterech miesięcy. A oto moje grzechy: skłamałam raz ojcu i matce. I używałam nieprzystojnego dla damy języka. Miałam także nieczyste myśli na temat mężczyzny, który nie jest moim mężem. Prawdę mówiąc, były to nie tylko myśli...

- Aha - powiedział ksiądz. - Co się tyczy tego mężczyzny... zamierzasz go poślubić?

- Nie, ojcze. - Anais przymknęła na chwilę powieki. - Jest ktoś inny.

- Jesteś zamężna? - zapytał ksiądz ostrzejszym tonem. - Zaręczona?

- Nie, proszę księdza - wykrztusiła. - Po prostu... czekam na tego właściwego.

- Musisz być zatem bardziej cierpliwa, dziecko - złątał ją delikatnie.

- Na pewno ma ksiądz rację. Żałuję za te grzechy, jak również za wszystkie, o których mogłam zapomnieć.

- Doskonale. Nie zadam ci pokuty, lecz musisz wziąć sobie do serca to, co powiedziałem, i modlić się o cierpliwość w... cóż, w tej ostatniej sprawie.

- Tak, ojcze.

Wyraziła szybko skruchę, zauważyła bowiem kątem oka, że pani Moreau opuściła konfesjonał i zmierza w stronę koszyka.

- Grzechy zostały ci wybaczone - rzekł ksiądz, kiedy skończyła. - Odejdź w pokoju.

- Bogu niech będą dzięki - powiedziała Anais. Zeszła pośpiesznie po stopniach i ruszyła kruchtą. Na zewnątrz podeszła energicznie, niby to przypadkiem, do madame Moreau i potrąciła koszyk.

- Och! - wykrzyknęła, chwytając go. - Przepraszam najmocniej. To znaczy - *zut!* - *excusez moi!*

- *Mais certainement.* - Madame Moreau wykonała ruch, jakby chciała wyminąć ją i pójść dalej, lecz nagle zamarła, otwierając szeroko oczy. - Och, jest pani Angielką!

- Cóż, tak - odparła Anais, udając zaskoczenie. - Pani też? Wygląda mi pani znajomo.

- Owszem, jestem Angielką. - Twarz damy złagodniała, choć wokół oczu nadal dało się zauważyć zmarszczki żalu i smutku. - A może powinnam raczej powiedzieć: byłam. Nie sędzę jednak, byśmy się poznały. Nie mieszkam w Anglii od wielu lat.

Anais się roześmiała.

- Cóż, gdybym miała mieszkać przez dłuższy czas poza Anglią, też wybrałabym Belgię. Jestem wszak pewna, że panią poznałam, a przynajmniej widziałam. Po drugiej stronie ulicy. Rue de l'Escalier?

Dama zamrugnęła niepewnie.

- Rzeczywiście, tam właśnie mieszkam.

Anais uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę.

- Nazywam się MacLachlan - przedstawiła się. - Anais MacLachlan.
Chyba jesteśmy sąsiadkami.

Dama ujęła ostrożnie jej dłoń.

- Madame Moreau.

Anais zrobiła wszystko, co możliwe - poza wskoczeniem pani Moreau na kolana - aby wyglądać jak nadmiernie przyjacielski seter Nate'a.

- Och, jak dobrze, że tak szybko się poznałyśmy! - wykrzyknęła. - Przecież wprowadziliśmy się dopiero wczoraj! Czyż Bruksela nie jest cudowna? Tyle tu życia! I te sklepy! - Przerwała i otworzyła szerzej oczy. - Mówiłam właśnie panu MacLachlanowi - wie pani, to nasz miesiąc miodowy - że zamierzam doprowadzić go do bankructwa, wydając krocie na koronki i porcelanę. A te małe niebieskie kafelki... podobno z Antwerpii? Skądkolwiek są, planuję zabrać ich z sobą całą furę, kiedy będziemy wracali do domu.

Madame Moreau spoglądała na nią, wyraźnie oszołomiona.

- Najlepsze życzenia z okazji ślubu - wykrztusiła. - I witamy w Brukseli.

- Och, dziękuję - Anais uśmiechnęła się znowu. - To była doprawdy przyjemność poznać panią.

- Tak, przyjemność - powtórzyła pani Moreau bez przekonania.

- Mam nadzieję, że wkrótce mnie pani odwiedzi?

- Cóż, dziękuję - odparła kobieta, nie rewanżując się zaproszeniem.

- Szłam właśnie na targ kwiatowy - powiedziała Anais, wskazując kierunek. - To tam?

- O, tak. - Na twarz pani Moreau powrócił wyraz spokoju. - Mam pani pokazać? Zmierzałam właśnie na Grand Place.

Anais postarała się, by jej spojrzenie wyrażało nadzieję.

- Och, mogłaby się pani do mnie przyłączyć? Nie znoszę robić samotnie zakupów, ale dom jest nieco ponury

i chciałam ozdobić go kwiatami. Kucharce też przyda się to i owo.

- Z przyjemnością - odparła madame Moreau, ruszając obok Anais. - Mieszkacie zapewne w domu monsieur Michela? Jedna z służących wspomniała, że widziała, jak wnoszono tam wczoraj bagaże.

- Tak, wynajęliśmy go na rok. Chociaż nie jestem pewna, czy zostaniemy aż tak długo.

- Mam nadzieję, że u pana Michela wszystko w porządku?

- Chyba podróżuje. Wszystko zorganizowali agenci i bankierzy. Nie znamy tu nikogo

- Tak, rozumiem - rzekła madame Moreau. - Jak to się stało, że wybraliście na podróż poślubną akurat Brukselę?

- Och, to mój mąż! - Anais machnęła dłonią. - Uważa się trochę za artystę. Lub raczej architekta. Chciał wykonać kilka rysunków tutejszych cudownych budowli.

- A co z panią? Nie wolałaby pani pojechać do Paryża? Są tam lepsze sklepy.

- Naturalnie. Ale mąż chyba nie wolałby tam być.

- Chyba? - Madame Moreau obrzuciła ją zaciekawionym spojrzeniem.

- Nie jest pani pewna?

Anais potrząsnęła głową.

- Prawdę mówiąc, nie znam go zbyt dobrze - przyznała. - To mój ojciec zaaranżował ślub. Powiedział, że już czas, abym ponownie wyszła za mąż.

- Och, jest pani wdową.

- W rzeczy samej. Było to małżeństwo z miłości. Ojciec go nie aprobował, gdyż John nie miał grosza przy duszy, ale byliśmy szczęśliwi. Bardzo cenię jednak pana MacLachlana. Myślę, że naszej trójce będzie razem dobrze, gdy już do siebie przywykniemy.

- Trójce?

Twarz Anais pojaśniała.

- Tak, mam córkę. Jane skończyła niedawno cztery latka. Tak bardzo za nią tęsknię, że chce mi się płakać.

- Nie przyjechała z wami? Anais potrząsnęła głową.

- Mąż uznał, że jest za mała, by podróżować - powiedziała cicho. - I pewnie ma rację. Poza tym, to nasz miesiąc miodowy. Muszę jednak wyznać, że nie spodziewałam się... ach, nie powinnam zawracać pani tym głowy, skoro dopiero się poznałyśmy. A to zapewne Grand Place! Ależ cudowne są tu budynki!

- Proszę pozwolić, że panią oprowadzę - zaproponowała dama. - Chyba mieszkamy tu już na tyle długo, że potrafię powiedzieć, który jest który.

- Jest pani bardzo miła. - Anais westchnęła z zadowoleniem i wsunęła dłoń pod ramię pani Moreau.

Okrzyki powoli plac, przyglądając się z podziwem ratuszowi mieszczącemu się w budynku zwanym Hotel de Ville i jego niewiarygodnie, strzelistej wieżyczce. Anais popatrywała na wszystko szeroko otwartymi oczami, wydając z siebie w odpowiednich momentach okrzyki zachwytu. Wkrótce trzymała też naręcz kwiatów, wybierając jednocześnie owoce z cieplarni na jednym ze straganów pośrodku palcu.

- Uważa pani zatem, że powinnam namówić pana MacLachlana, by zabrał mnie na kilka dni do Paryża? - spytała pozornie niedbałym tonem.

- Zna pani to miasto? Warto tam pojechać?

Madame Moreau spojrzała na nią spod oka.

- Jest cudowne - odparła. - Jeszcze przed kilkoma miesiącami tam właśnie mieszkałam.

Anais udała zaskoczenie.

- Doprawdy? Co panią sprowadziło do Brukseli?

- Ja też owdowiałam, w zeszłym roku. Mieszkam teraz z wujem zmarłego męża. Jest członkiem francuskiego korpusu dyplomatycznego w Brukseli.

- Och, jakie to pocieszające, gdy ma się rodzinę, na którą można liczyć, prawda? - Zamilkła na chwilę, aby pogrzebać w stosie koronkowych chusteczek. - Mnie dopisało pod tym względem szczęście.

- Życie wdowy może być bardzo trudne.

- Owszem. - Anais wybrała chusteczkę i podała ją sprzedawcy. - Ma pani rodzinę w Anglii?

Madame Moreau przygryzła wargę i przez chwilę Anais zdawało się, że dostrzega w oczach kobiety strach.

- Nie - odparła. - Żadnej.

- Och. Jakież to okropne. Nie wiem, co byśmy z Jane zrobiły, gdyby tatuś nie przyjął nas do siebie.

- A przyjął? - spytała madame Moreau, kiedy ruszyły dalej.

- Oczywiście, z początku zarzekał się, że tego nie zrobi, to znaczy, gdy ja i John się pobraliśmy. I nawet po tym, jak pojawiło się maleństwo, jego listy pozostały chłodne.

- Och - westchnęła *madame*. - Jakże musi być pani smutno!

- Ależ skąd! - oznajmiła Anais radośnie. - Kiedy tylko zobaczył Jane, cóż mogę powiedzieć, natychmiast podbiła jego serce. Przyjechał po nas tuż po pogrzebie. Wnuczęta wiele zmieniają. Wszystko może zostać wybaczone. Och, proszę tylko spojrzeć, czy to nie kataryniarz? - Wskazała drugą stronę placu.

- Owszem - odparła kobieta nieobecny tonem. - Chyba tak.

- To cudowne! Możemy podejść bliżej i mu się przyjrzeć?

Na bruk przed nimi padł nagłe długi cień.

Anais podniosła wzrok i zobaczyła Geoffa. Stał pod przeciwległym straganem, czekając, aż miną go piesi. Minę miał ponurą niczym chmura gradowa.

- Ach - powiedziała Anais cokolwiek drżącym głosem. - Oto mój mąż.

Walczyć i zwyciężać we wszystkich

bitwach to nic wielkiego;

prawdziwy wyczyn polega na tym,

by złamać opór wroga bez walki.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Geoff zmierzał już ku nim, sunąc niczym w pełni uzbrojona wojenna fregata. Idąc, zdjął z głowy wysoki, bardzo drogi kapelusz. Ubrany był jak na bogatego młodego dżentelmena przystało, w ciemny poranny surdut, skrojony tak, aby podkreślić smukłość talii, oraz perłowoszarą kamizelkę z żakardowego jedwabiu. Czarny szeroki krawat, zawiązany ciasno i wysoko, kontrastował z oślepiająco białym kołnierzem koszuli.

Ludzie rozstępowali się przed nim, gdy maszerował, ściskając w dłoni laseczkę z mosiężną gałką.

- Moja droga. - Wsunął sobie kapelusz pod ramię i skłonił się sztywno. Oczy miał podkrążone, spojrzenie puste. Wyglądał, jakby przez całą noc nie spał.

Anais uśmiechnęła się z przymusem.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, Geoffreyu - powiedziała radośnie. - Miałam szczęście poznać dziś naszą sąsiadkę.

Szybko dokonała prezentacji.

- To dla mnie przyjemność, panie MacLachlan. - Madame Moreau dygnęła głęboko. Zapewne nawet królowa, postawiona w obliczu krawieckiej doskonałości stroju Geoffa i jego przenikliwego spojrzenia, postąpiłaby podobnie.

- W rzeczy samej, *madame*. - Geoff pochylił się nad jej dłonią. - Mogę podać ci ramię, najdroższa, i skłonić, byś wróciła ze mną do domu? - zapytał, wkładając na powrót kapelusz.

- Prawdę mówiąc, zamierzałyśmy...

Wyraz jego błyszczących oczu powstrzymał ją. Madame Moreau musiała się zorientować, że coś wytrąciło towarzyszkę z równowagi.

- Proszę iść, pani MacLachlan - powiedziała, ściskając dłoń Anais. - Miło było panią poznać.

Dziewczyna przytrzymała podaną sobie rękę dłużej, niż było przyjęte.

- Proszę mi obiecać, że wpadnie pani do nas jutro na herbatę - wyrzuciła z siebie. - O czwartej. Czy to odpowiednia pora?

Madame wyglądała na z lekka zaniepokojoną.

- Cóż, tak... chyba będę mogła. Jeśli nie... przyślę wiadomość.

Anais puściła jej dłoń i lekko się ukloniła.

- Więc się pożegnaj - powiedziała. - Dziękuję za przemiły poranek.

Zostawili kobietę obok stoiska z koronkami. Wyglądała na nieco zagubioną. Minęli Hotel de Ville i skierowali się ku domowi. Geoff przyciskał mocno ramię Anais i choć jej nie ciągnął, czuła się niemal tak, jak wówczas, gdy włókł ją za sobą schodami w siedzibie Towarzystwa Świętego Jakuba.

Tym razem jednak był nie tylko zdenerwowany. Odgadywała szalejącą w nim, z trudem powstrzymywaną furję.

Nie odezwał się słowem, póki nie przekroczyli progu domu. Zatrzęsął drzwiami i odwrócił się ku niej.

- A teraz bądź łaskawa mi powiedzieć - wykrztusił przez zaciśnięte zęby - czego w zdaniu: *weźmiesz z sobą Petite'a* nie zrozumiałaś?

- Ależ, Geoffie, uznałam, że to...

- Co? Jedyne sugestie?

- ...niepotrzebne - prychnęła.

- Ach tak?! - wykrzyknął kpiąco. - *Tego wymaga ostrożność* - to też do ciebie nie dotarło? Zostało uznane za niepotrzebne?

Anais zmrużyła gniewnie oczy i zaczęła ciskać rzeczy z rozmachem na wieszak.

- Nie - odparła. - Myślałam po prostu...

- Na Boga, Anais, nie jesteś od myślenia! - Utkwił w niej pełne gniewu spojrzenie i powiedział z groźbą w głosie: - Czyż nie zastrzegłem sobie, że to ja będę podejmował decyzje na każdym etapie tej operacji?

Jedna z pokojówek wyjrzała zza rogu, lecz szybko umknęła. Anais westchnęła.

- Dlaczego aż tak cię to rozwścieczyło? Nie chciałam...

- Owszem, chciałaś. Nie taki zawarliśmy układ? Ponieważ czas na negocjacje był wtedy, nie teraz.

- Tak jakbyś dopuszczał myśl o negocjacjach! - Jakoś udało jej się znaleźć w sobie siłę, by unieść spódnice, wyminąć go i ruszyć ku schodom.

- Anais - warknął. - Wracaj. Natychmiast!

Nie mówił wcale głośniejszym, ale zabójczo spokojnie. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że jego spojrzenie przybrało dziwny, niesamowity wyraz - zarazem nieobecny i wszytkowidzący. Ciarki przebiegły jej po plecach.

- Natychmiast - powtórzył.

Otrząsnęła się z nagłego lęku, a potem odwróciła i ruszyła dalej schodami.

- Nie - powiedziała. - Jeśli chcesz na mnie wrzeszczeć, wejdź na górę i rób to w mojej sypialni. Nie w holu, jakbyśmy byli parą przekupniów.

Zbladł nieco i ruszył ku schodom.

- Rękawica została rzucona - powiedziała cicho, pokonując kolejny stopień.

- Dziwi mnie jedynie, że zajęło ci to aż tyle czasu - odpalił.

Dotarłszy do sypialni, przytrzymała dla niego drzwi, a kiedy wszedł, zamknęła je sama, by nie mógł nimi trzasnąć.

- A teraz, Geoffie - zaczęła - bądź rozsądny.

Jego oczy zabłyśły, zimne i błękitne w słońcu niczym dwa kawałki lodu.

- Ja nie muszę - powiedział ochryple, napierając na nią, aż oparła się o ścianę. - Ty przeciwnie.

- Ale dlaczego...

- Bo ja tak mówię! - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Ponieważ Lezennes jest niebezpieczny.

- Nie było go w pobliżu - odparła, unosząc wymownym gestem dłoń.

- Nie wiesz tego. A jeśli był?

Próbowała trzymać nerwy na wodzy, ale była to z góry przegrana bitwa.

- Na miłość boską, Geoff - wykrztusiła. - Nie jestem ślepa ani pozbawiona rozumu.

- A jeśli kazał ją śledzić? - pochylił się i oparł dłoń o ścianę tuż obok jej ramienia. - Lub jeśli DuPont się myli i ona jest tak samo zła?

- To nieprawda - zaprotestowała gorąco. - Tyle przynajmniej wiem.

- Przeciwnie, nie wiesz! - wrzasnął. - Nie możesz tego wiedzieć! Poznałaś ją kiedy? Przed niespełną godziną? Do licha, kobieto, po prostu rób, co ci każę!

Widziała, że nie powinna go prowokować, lecz była wściekła. Bardziej niż wściekła. Dosłownie czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach. Nie doświadczyła czegoś takiego od lat. Spojrzała mu odważnie w oczy.

- Zatem mam robić, co mi każesz - wypaliła. - Słuchać ślepo, nie kwestionować poleceń. Bo co?

Wyciągnął błyskawicznym gestem rękę, wsunął jej dłoń we włosy na karku i uniósł ku sobie jej twarz.

- Bo inaczej, niech Bóg mi pomoże - powiedział ochryple - przerzucę cię przez kolano i spiorę.

Anais powiodła po nim z rozmysłem spojrzeniem.

- Tak myślisz? - wyszeptała. - Więc może spróbujesz, Geoffie? Jesteś taki sztywny i doskonale nad sobą panujesz, póki ktoś ci się nie sprzeciwi...

Nim zdążyła zaczerpnąć oddechu, bo przyciskał już wargi do jej ust.

Tym razem nie był to czuły pocałunek. Jego usta domagały się, żądały. Otoczył ramieniem talię Anais i unieruchomił drugą dłonią jej głowę, by nie mogła uciec przed pchnięciami jego języka.

Całował ją przez dłuższą chwilę, nie pozwalając odwzajemnić pocałunku i przyciskając ją do ściany ciężarem swego ciała. Objął dłonią jej pierś i okręzał kciukiem sutek, aż ten stwardniał. Wepchnął udo pomiędzy jej uda, a wtedy znowu obezwładniło ją pożądanie, pozostawiając bezsilną, spragnioną, a mimo to nadal wściekłą.

Miała ochotę walnąć go solidnie w szczękę.

Lecz także zaciągnąć do łóżka. Pragnęła gładzić, kusić i dotykać, aż jego naga skóra zadrży pod jej palcami.

Zdecydowanie wołałaby drugą możliwość, lecz nim zdążyła się zdecydować, odsunął się od niej i cicho zaklął.

Zadowolona się więc pierwszą, wymierzając mu policzek wierzchem dłoni.

Towarzyszający temu odgłos niezbyt ją usatysfakcjonował, stali bowiem zbyt blisko, osiągnęła jednak cel.

- Do licha ciężkiego! - Odskokzył, spoglądając na nią szeroko otwartymi oczami i dotykając kącika ust.

- Następnym razem zapytaj - rzuciła gniewnie. Uniosła z rozmysłem jedną brew. - Możesz zrobić to choćby teraz - dodała - byle grzecznie.

- Ja... przepraszam bardzo...

- Kolejny dobry pomysł. Powinieneś przeprosić. Zdecyduj się: chcesz pójść ze mną do łóżka czy nie? Wołałabym wiedzieć, na czym stoję.

- Boże Święty, Anais - wyszeptał. - Czy obydwójce zwariowaliśmy?

Odwrócił się i podszedł do okna, założyłwszy jedną dłoń za głowę, a drugą wsparłszy na biodrze gestem, który wydawał się już Anais boleśnie znajomy. Atmosfera w sypialni była jednak napięta i żadne nie czuło się swobodnie.

Anais poszła za nim.

- Naprawdę nie wiem, czy powinienem pójść z tobą do łóżka, czy przerzucić cię przez kolano - powiedział, nie patrząc na nią.

- Prędzej przeżyłbyś to pierwsze - doradziła.

- Nie możemy tak dłużej.

- Nie jestem dzieckiem, któremu wymierza się klapsy, Geoffie. - Stała obok, powstrzymując chęć, aby położyć mu dłoń na ramieniu. - Jeśli chcesz, bym wzięła cię do łóżka, zapytaj. Jeśli wolisz mnie odesłać, spróbuj. Lecz jeśli jesteś po prostu zły o to, że nie potrafisz opanować pożądania, i zamierzasz wyżywać się na mnie z tego powodu pod byle pretekstem, to ty narazisz w końcu naszą misję na szwank, nie ja.

- Tak. - Jego głos brzmiał zaskakująco łagodnie, ale spojrzenie przybrało znów ten nawiedzony, nieobecny wyraz. - Zapewne masz rację. Ale, na miłość boską, Anais, po prostu nie...

Nie: co?

Wpatrywała się w jego doskonały profil oświetlony słońcem i z trudem wstrzymywała chęć błagania go, by dokończył.

I nie tylko o to chciała go błagać. Lecz mimo gniewu, obrzmiałych warg i zburzonej fryzury, pozostała jej wszak odrobina godności.

- Czego pragniesz, Geoffie? - spytała cicho. - Czego chcesz ode mnie? Po prostu powiedz.

Westchnął nagle głęboko, a potem zaskoczył ją, pociągając ku sobie. Nie zaprotestowała, kiedy ją objął.

Przycisnął czoło do jej czoła i zamknął oczy.

- Nie sprzeciwiaj się, gdy mówię, co masz robić, Anais - wyszeptał. - Nie zmuszaj mnie, bym cię odesłał, słyszysz? Bo tak właśnie postąpię, przysięgam na Boga. Odeślę cię.

Uświadomiła sobie, że mogłoby to zrobić. Ostrzegł ją w tej kwestii na długo przed tym, nim opuścili Londyn.

Nadal była na niego zła. Przypuśćmy jednak, tylko przypuśćmy, że nie rozgrywa tego zbyt dobrze. Jak z lubością powtarzała jej matka, Anais była jak jej ojciec: często miewała dobre intencje, ale reagowała zbyt emocjonalnie.

Poradziłaby sobie z Lezennesem, na pewno. Lecz Geoff o tym nie wiedział, a nawet gdyby wiedział, i tak chęć chronienia jej zatriumfowałaby nad świadomością, że potrafiłaby o siebie zadbać. I nie kierowało nim wyłącznie pożądanie. Był dżentelmenem w każdym calu. Nie czuła się jednak gotowa, by wyznać, że go rozszyfrowała.

Geoff rozluźnił nagle uścisk. Anais podniosła wzrok i przekonała się, że spogląda na ulicę za szybą. W jego spojrzeniu widać było tym razem skupienie. Opuściła ramię i odwróciła się, by również wyrzeć.

Na dole Charlotte Moreau szła spiesznie chodnikiem, zmierzając ku swemu domowi. Przy drzwiach odstawiła koszyk, otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać, szukając kluczy. W tej samej chwili drzwi otwarto jednak i wybiegła przez nie, pokrzykując z radości, dziewczynka. Za nią podążała odziana w szary strój służąca.

Madame Moreau puściła torebkę i porwała małą w ramiona.

Anais poczuła, że Geoff sztywnieje. Powietrze w sypialni zgęstniało, a potem gwałtownie się ochłodziło.

Znów przeszył ją dreszcz i tym razem był to dreszcz strachu.

- Geoff?

Nie zareagował, jakby zupełnie jej nie słyszał. Zamiast tego przysunął się bliżej szyby i wyciągnął przed siebie dłoń. Madame Moreau nadal klęczała na chodniku, tuląc dziecko. Geoff wpatrywał się w nie, napięty, z tym dziwnym, nieobecnym wyrazem twarzy.

- Ona się boi - powiedział głębokim, głuchym głosem. - Jest przerażona. Widzi... mrok.

Anais położyła mu dłoń na łopatkę.

- Kto? - spytała cicho. - Charlotte?

Lecz on nie patrzył na Charlotte, nie wprost.

- Tak. Madame Moreau. Jej ciemność jest... - Zamilkł i odetchnął głęboko, powoli.

Działo się coś złego.

Anais czuła to od chwili, gdy weszli do domu. Nie, odkąd dotknął na targu jej dłoni. Było tak, jakby jego emocje wrywały się na wolność, stłumione, skrępowane liną, która mogła w każdej chwili pęknąć. Jakby trzymał się kurczowo... czegoś. Lub starał się od tego odciąć.

Ten nagły brak opanowania, gwałtowny, zmysłowy pocałunek - oczywiście, jedno i drugie było wynikiem pożądania i gniewu, ale czaiło się w tym coś jeszcze, niczym podziemny strumień, płynący w korycie świadomości Geoffa, pozbawiający go kontroli nad emocjami.

Zazwyczaj potrafił trzymać uczucia na wodzy, lecz dziś było tak, jakby zbliżył się za bardzo do otchłani.

Nagły trzask przywołał Anais do rzeczywistości. Skupiła się i zobaczyła, że Charlotte i dziewczynka zniknęły, a drzwi domu są zamknięte.

Spróbowała odciągnąć Geoffa od okna, by lepiej mu się przyjrzeć.

Poszedł za nią, poruszał się jednak jak automat. Pobladła mocno twarz zastygła mu w dziwnym grymasie, a spojrzenie nabrało znów tego lodowatego wyrazu. Spoglądał jak dzikie zwierzę - wilk. Widział coś więcej. Nie zwykłą sypialnię, lecz inne miejsce, w innym czasie.

Swego czasu Vittorio przedstawił jej mężczyznę - właściwie chłopca jeszcze - który zachowywał się podobnie. Rodzina przywiozła go z Malty, gdzie mieszkali, rozpaczliwie szukając wyjaśnienia oraz pomocy, chłopak żył bowiem na wpół w teraźniejszości, a na wpół w przyszłości, przechodząc płynnie pomiędzy jedną rzeczywistością a drugą i nie będąc w stanie nad tym zapanować. Sny i wizje prześladowały go nieustannie, a w jego spojrzeniu dostrzegła bramy piekieł.

Vittorio nie mógł zrobić zbyt wiele, aby mu pomóc. Potwierdził jedynie to, co już wiedzieli: chłopiec nie był szalony, ale obdarzony ciężarem Daru - cóż za nieodpowiednie słowo, pomyślała wówczas.

W drodze powrotnej młodzieniec wziął sprawy w swoje ręce. Przywiązał sobie kotwicę do kostki i skoczył do wody w porcie Valetta. Więcej nikt go nie widział.

Anais położyła dłoń na rękawie surduta Geoffa.

- Jak długo już się z tym zmagasz? - spytała cicho. Przyłożył rękę do głowy, uciskając dwoma palcami czoło tuż nad jedną z brwi.

- Nie pamiętam - przyznał, ewidentnie próbując się skupić. - Od... zeszłej nocy? Próbowałem coś zobaczyć, otworzyć się na pustkę. Na próżno. Lecz później, nad ranem, nie mogłem zasnąć. Czułem, że ciemność wypełza z kątów, lecz wizja nie nadchodziła. A potem... poznałem ją.

- Madame Moreau?

- Tak - wyszeptał. - Spotkałem się z nią. Dotknąłem jej dłoni.

I brama do piekieł otworzyła się z hukiem. Wiedziała, że czasem tak to się właśnie odbywa. Ujęła Geoffa pod ramię.

- Chodź, usiądź przy ogniu.

Lecz on się nie poruszył. Zacisnął dłoń w pięść, aż pobieleły mu knykcie.

- Usiądź, Geoffie - powtórzyła z wahaniem - i powiedz, co czujesz.

- Nie... tylko... nie...

Zamknął powieki i oddychał przez rozszerzone nozdrza. Jedną dłoń nadal przyciska! do czoła i całe jego ciało zaczęło nagle drżeć. Słońce skryło się za chmurą i w sypialni pociemniało - zupełnie, jakby przez pokój przeszedł, mimo ledwie uchylonego okna, powiew zła.

Poczuła, że temperatura znów spadła. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Firanki tańczyły na wietrze, unosząc się wokół nich niczym biała chmura. Geoff otworzył szeroko oczy, spojrzenie miał jednak nieobecne. Chwycił Anais za nadgarstki i przyciągnął bliżej. Zaczęła trząść się tak bardzo, że niemal szczekała zębami.

- Anais - wykrztusił - musisz trzymać się od niej z daleka. To znaczy, od małej. Jest tam zło, wyczuwam je. Otacza ją. I ciebie.

Nagle zrozumiała.

- Kto? - wyszeptała. - Potrafisz dostrzec źródło? Czy to Lezennes? Boże, chyba nie madame Moreau?

Potrząsnął głową.

- Ja... nie wiem - powiedział, wbijając palce w przedramiona kobiety. - Nie widzę tego. Jest tam coś, coś mrocznego i potężnego. Jak cień ogarniający nas wszystkich. Czuję go. Znam go, a on zna mnie. Wie, że tu jestem.

- Geoffie - wyszeptała - co się dzieje?

A potem wiatr ucichł i w sypialni zapanował znów spokój. Nieziemski chłód zniknął, a wraz z nim lęk. Zupełnie, jakby krew w jej żyłach odzyskała nagle właściwą temperaturę, puls się uspokoił, a zmysły zgrały znowu z realnym światem. Ciężkie kroki służącej w korytarzu, gruchanie gołębi na parapecie, wszystko wróciło. Świat wyglądał jak powinien.

Geoff nadal trzyma! ją za nadgarstki. Pochyliła się i przytuliła policzek do klapy jego surduta.

- Już dobrze - powiedziała uspokajającym tonem.

- Pozwól temu odejść, przynajmniej na jakiś czas. Wizja wróci, jaśniejsza i bardziej zrozumiała.

- Boże, mam nadzieję, że nie.

Westchnął głęboko jak ktoś śmiertelnie znużony. Czuła, że napięcie opuszcza z wolna jego ciało i ogarnia go spokój. Kiedy uścisk dłoni na jej nadgarstkach zelżał, oderwała policzek od ciepłej wełny i spojrzała na Geoffa.

- Usiądź - powiedziała. - Należę nam mocnego sherry.

Podprowadziła go do stojącej przed kominkiem wykwintnej sofy, a potem podeszła do stolika. Stała tam srebrna taca, a na niej dwa kieliszki oraz karafka. Napełniła kieliszki i podeszła do Geoffa.

- Proszę - powiedziała, stawiając tacę.

Podniósł wzrok i wziął kieliszek. Twarz miał wciąż bladą, a rysy stężałe z napięcia.

- Przepraszam, Anais - powiedział cicho.

Nie spytała, za co przeprasza, ale zrzuciła pantofle i usiadła obok niego, podwijając pod siebie nogi.

- Czy zawsze tak to odczuwasz? - spytała. - Musisz... postarać się, by coś zobaczyć, czy wizje przychodzą same?

Odstawił kieliszek i przeczesał palcami lśniąco brązowe włosy.

- Ja... otwieram się na nie - wyszeptał w końcu.

- Wpuszczam to, co wychodzi z... z nicości. Nie pytaj mnie o szczegóły, ponieważ nie jestem w stanie niczego wyjaśnić.

- Jest tak, jakby to coś znajdowało się za przejrzywą zasłoną, prawda?
- stwierdziła. - Rodzajem kurtyny w umyśle.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę znużonym, odwiecznym spojrzeniem.

- Rzeczywiście - powiedział w końcu. - Skąd wiesz? Czy ty...?

- Nie, ale poznałam swego czasu pewnego młodzieńca - wtrąciła pospiesznie. - Vittorio próbował go nauczyć, jak panować nad wizjami. Jak zaciągać kurtynę, chyba tak najlepiej można to określić.

- Analogia równie dobra jak każda inna - przyznał Geoff. - A ten młodzieniec - nauczył się?

- Nie, chyba nie. Więcej go nie widziałam. Spojrzał na nią z głębokim smutkiem w oczach, ewidentnie wyczuwając, że kłamie.

- Z Ruthveynem jest tak samo - powiedział cicho

- chociaż przez lata nauczył się paru sztuczek: nie dotykać ludzi, nie patrzeć nikomu w oczy, utrzymywać emocjonalny dystans niemal ze wszystkimi. Próbował jak diabli zniweczyć moc demona za pomocą alkoholu, opiatów i czegoś jeszcze gorszego.

- I to działa?

- O, tak. Jeśli potrafisz znieść to, jakim człowiekiem się stajesz.

- Ty też próbowałaś?

- Przez jakiś czas - przyznał. - Zwłaszcza, gdy przebywałem w Północnej Afryce. Lecz potem znalazłem... znalazłem swoją kurtynę. Nauczyłem się wznosić mur pomiędzy rzeczywistością a wizjami. Zamykać umysł na to... to coś, jeśli nie życzę sobie nic widzieć. Nauczyła mnie tego moja mentorka ze Szkocji. Tymczasem trucizny, które w siebie pakowałem, zapewniały jedynie kilka godzin oddechu.

- To musiało być okropnie wyczerpujące - zauważyła.

- Jakbyś musiał przez cały czas mieć się na baczności, uważać, by nie dopuścić do siebie mocy tego czegoś?

- Już raczej woli - sprostował, marszcząc brwi. - Czasami wygląda to tak, jakby to coś próbowało tobą zawładnąć. Nie wiem, dlaczego nazywają to Darem, skoro człowiek czuje się tak, jakby mocował się z diabłem.

- Nic dziwnego, że Ruthveyn poszukał ucieczki w opium.

- Tak, a skoro już o tym mowa... - Wziął do rąk kieliszek i opróżnił go jednym haustem. - Chętnie wypiłbym jeszcze jeden, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Anais skinęła głową i naląła mu sherry.

Pili przez jakiś czas w milczeniu. W pokoju nadal panowała atmosfera niepewności, przygniatający ciężar niewypowiedzianych słów. Anais miała obolałe usta, ucierpiała też nieco jej duma. Była pewna, że Geoff nie zamierzał jej pocałować. Nie na początku.

Opróżniwszy do połowy kieliszek, odstawiła go i zaczęła bawić się ozdobną zapinką przy sukni. Wiedziała, że zaraz zrobi coś głupiego. Coś, czego przysięgła sobie

więcej nie robić.

- Geoffreyu - powiedziała cicho. - Jeśli chodzi o ten pocałunek...

- Anais, ja... - Zawahał się ze wzrokiem utkwionym w kieliszku. - Mówiłem poważnie. Powinniśmy postępować tak, jak zostało ustalone lub, jeśli wolisz bardziej stanowcze podejście, powinnaś robić to, co ci każę. Jednak zmartwienie i nieprzespana noc sprawiły, że straciłem nad sobą panowanie. Przepraszam. Nie miałem prawa... zachować się tak, jak się zachowałem.

- Cóż, kiedy następnym razem uznam, że nie masz racji, spróbuję o tym powiedzieć, zamiast ignorować po prostu twoje polecenia.

- Vittorio nie nauczył cię wiele o dyplomacji, prawda?

- Vittorio sądził, że każdy konflikt można unicestwić, płazując szpadą - stwierdziła spokojnie. - Wróćmy jednak do pocałunku.

Utkwił znów wzrok w bursztynowym płynie, rozświetlonym przez promień wpadającego przez okno słońca. Kołysał kieliszkiem, obracając go z nieobecną miną w dłoniach.

- Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla żadnej kobiety, Anais - powiedział w końcu. - Także dla ciebie. Chyba to rozumiesz, prawda?

- Och, oczywiście. - Wstała i zaczęła krążyć po sypialni, biorąc do rąk i odkładając książki i drobne przedmioty. - Nie pasowalibyśmy do siebie nawet za milion lat. Przynajmniej nie w ten sposób.

- Nie? - przyszpilił ją lodowato błękitnym spojrzeniem. - O jakim sposobie myślałaś?

Anais podniosła porcelanową figurynkę pasterki. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że oto ważą się losy czegoś niezwykle istotnego.

- Cóż - powiedziała, odstawiając z głuchym stukotem figurynkę - chodzi o to że kiedy mnie całujesz, podkurczam bezwiednie palce u stóp, a coś w głębi moich trzewi tak jakby... Och, sama nie wiem. To pewnie te twoje oczy - błękitne jak Adriatyk - i głos, niski i jedwabisty... Ale nie o to chodzi.

- A o co? - Głos miał teraz lekko ochryply.

- Cóż, wszystko to sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy nie mógłbyś być...

-Kim?

- Cóż, nie Tym Właściwym - odparła, spoglądając na niego przez ramię. - Ale być może Tym Właściwym Na Teraz, jeśli domyślasz się, co chcę przez to powiedzieć.

- Czy się domyślam? Czuję się raczej tak, jakbyś walnęła mnie na odlew. - Uśmiechnął się kątem ust. -Po raz kolejny udowodniłaś, że potrafisz wskazać facetowi, gdzie jego miejsce.

- Boże, nie próbuj mi tylko wmówić, że uraziłam twoje uczucia. - Wstała, podeszła do stolika i wzięła kieliszek. - Nie jestem kobietą w twoim typie.

- Więc teraz jesteśmy przy typach, co? - Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. Nie była w stanie określić, czy jest w nim choć trochę ciepła. - A jaki jest twój typ mężczyzny?

Zbliżyła się do okna, rozważając, ile może ujawnić.

- Pochodzi z Toskanii - powiedziała wreszcie, upijając łyk sherry. - I odznacza się królewską postawą. Ma ciemne włosy, choć nie tak ciemne jak ja, i łagodne spojrzenie. Mocny charakter, choć jest z natury opanowany i pokojowo usposobiony.

Geoff milczał przez chwilę.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - Już go spotkałaś, prawda?

Nie odwróciła się.

- Tak mi się zdawało - przyznała. - Dawno temu.

- Był przystojny? Byłaś w nim szaleńczo zakochana?

- Tak i jeszcze raz tak - przyznała. - Rozpaczliwie. Ale nic z tego nie wyszło.

- Zostawiłaś go więc w Toskanii dawno temu - kontynuował - i nie widziałaś się z nim od tego czasu?

Gdybyż to była prawda!

Chwyciła się parapetu, wspominając ostatnią rozmowę z Rafaelem. Rafaele, którego życie zmieniło się tak nagle i krańcowo, podczas gdy jej nie zmieniło się wcale. A już na pewno nie jej umysł. Nie, na Boga, ten nie zmienił się ani na jotę.

- Prawdę mówiąc, widziałam się z nim przed kilkoma tygodniami - stwierdziła chłodno. - W San Gimignano. Przyszedł na mszę żałobną Vittoria.

Musiał usłyszeć w jej głosie ostrzeżenie, powiedział bowiem tylko:

- Ach tak. Zajmijmy się więc mną. Jaka kobieta byłaby zatem w moim typie?

Zerknęła na niego.

- Piękna - powiedziała. - Twoja kobieta musi być piękna. Jak ty.

Geoff skrzywił się i nappełnił sobie kieliszek, nie pytając o zgodę.

- A ty nie jesteś... piękna? Potrząsnęła głową.

- Wiem, że nie - odparła. - Jestem zaledwie... niebrzydka. Zdaję sobie z tego sprawę. Mam zbyt długi nos, za duże oczy i włosy czarne jak sadza, na ogół rozwichrzone.

Roześmiał się.

- Z tym ostatnim zmuszony jestem się zgodzić - przyznał. -1 to wszystkie twoje wady?

- Szczerze? Proszę bardzo. Mam jak na angielski gust zbyt oliwkową karnację i jestem zbyt wysoka, by można uznać mnie za delikatną kobietkę. Posiadam jednak wdzięk i swego rodzaju kontynentalny szyk. Pogodziłam się z tym, jaka jestem, i nie użalam się nad sobą.

- Rzeczywiście, tego bym o tobie nie powiedział - przyznał.

- Zgadza się, że nie jestem w twoim typie, ty zaś nie jesteś Tym Właściwym, czy tak?

Wyraz twarzy Geoffa zmienił się i nie była już w stanie odczytać, co myśli.

- A gdybym zgodził się to przyznać..?

Położyła dłonie na wywiniętym brzegu sofy i niemal pochyliła się nad Geoffem.

- ...moglibyśmy uznać, że jesteś Tym Właściwym Na Teraz?

Spojrzał na nią ponad brzegiem kieliszka.

- Dobrze zagrane, moja droga - rzekł cicho. - Nie sędzę jednak, by odpowiadała mi ta rola. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie mogę myśleć tylko o sobie, Anais. Muszę myśleć o twojej rodzinie. Twojej przyszłości. O twoim ojcu. Przyznaję, jesteś mi potrzebna do wypełnienia tego zadania. Proszę Boga, by nie odbiło się ono na twojej reputacji. Nie zniszczę jej wszakże dla kaprysu albo pod wpływem czegoś tak mało ważącego jak pożądanie.

- A ono jest aż tak nieistotne?

- Na ogół. - Pochylił się i odstawił gwałtownym gestem kieliszek. - Dla mężczyzn pożądanie to pożądanie. Nie ma w nim nic romantycznego, jeśli o to ci chodzi.

- Nigdy nie byłeś zakochany?

- Dzięki Bogu, ani trochę. - Roześmiał się szorstko.

- Żywisz wobec małżeństwa awersję? Wzruszy! ramionami.

- Nie mam dziedzica - powiedział. - Nawet dalekiego kuzyna. Zatem tak, zamierzam wypełnić obowiązki wynikające z tytułu. Lecz mało która kobieta zgodzi się żyć z mieczem wiszącym jej nad głową. Być żoną mężczyzny, który widzi rzeczy nie z tego świata... Przekonałaś się, jak to wygląda, a uwierz mi, ta odrobina mroku była niczym.

- Na miłość boską, Geoffie, sądzisz chyba, że wszystkie jesteśmy tchórzliwe - zawołała, a potem usiadła obok niego na sofie i przysunęła się bliżej. - Nie mam takiego doświadczenia jak kobiety, z którymi zazwyczaj się zadajesz. Ale nie jestem nietkniętą dziewicą.

Przez twarz Geoffa przemknął wyraz nieskrywanej ciekawości.

- A jakiego rodzaju dziewicą jesteś?

- Żadnego - odparła, uśmiechając się słodko.

- Rozumiem. - Przełknął mocno. - Co z Panem Właściwym?

- Kiedy znajdę Pana Właściwego - odparła, pochylając się ku Geoffowi jeszcze bardziej - nie będzie miało dla niego znaczenia, czy jestem dziewicą.

Geoff chrząknął z powątpiewaniem.

- Skąd wiesz?

- Inaczej nie byłby Panem Właściwym - odparła. - Ponieważ Pan Właściwy będzie idealny. Wyznaczony mi przez los. I koniec na tym.

- Myślę, że lepiej zakończmy już tę rozmowę - powiedział Geoff, wspierając się dłonią o oparcie kanapy, jakby zamierzał wstać. - Wiem, kiedy nadużywam swojego szczęścia.

Anais wyprostowała się.

- Co masz na myśli?

- Nieważne. Chyba wybiorę się teraz na spacer. Bardzo długi. Zobaczymy się przy kolacji?
- Och, doskonale. Jeśli nie umrę do tego czasu z nudów.
- Więc zaproponuj coś - powiedział. - Coś poza nami w łóżku.
- Uwielbiam, gdy o tym mówisz - zaśmiała się, spoglądając na niego ponad oparciem sofy. - A jeśli mam być całkowicie szczerą, chętnie zobaczyłabym cię nago.
- Anais - powiedział ostrzegawczym tonem. - Zaproponuj coś.
- Dobrze. - Uśmiechnęła się olśniewająco. - Przejdę się chyba na drugą stronę ulicy i zostawię nasze karty wizytowe u Lezennesa.
- Nie mówisz poważnie.
- Dlaczego nie? Planuję zaprosić ich na kolację. Jutro wieczorem. A skoro ty nie dajesz się przekonać, wypróbuję moc swoich wdzięków na Lezennesie.

Rozdział 10

Zwycięstwo odniesie ten,

kto jest ostrożny i czeka w ukryciu na wroga,

który tego nie potrafi.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

W końcu Anais nie poszła jednak do Lezennesów. Po kolacji Geoff bez trudu ją przekonał, że nie byłoby to rozropne. Lepiej zarzucić wędkę, a potem przesuwając Lezennesowi powoli przed nosem przynętę. To mądrzejsze, niż walić go kijem w łeb.

Anais dąsała się przez chwilę nad deserem - albo przynajmniej udawała, że się dąsa, ponieważ szybko wrócił jej humor i zaproponowała partyjkę pikiety.

Geoff niemal się bał zostać z tą kobietą sam na sam. Och, był dżentelmenem, a przynajmniej takie miał o sobie mniemanie, ale nie świętym. Gdyby Anais nalegała, przyciskając do niego namiętne ciało i spoglądając oczami przywodzącymi na myśl dwa ciemne jeziora pożądana, w końcu dałby jej to, o co tak usilnie prosiła.

Byłoby to bardzo niemądre, skoro dziewczyna czeka na Pana Właściwego i to nie on nim jest.

Wymówił się zatem i poszedł na kolejny spacer. Nim ta przeklęta misja się skończy, rozmyślał ponuro, będzie znał w Brukseli każdy kanał niosący ścieki do Senne.

Lecz co innego mu zostało? Nie mógł się upić, gdyż wykonywał zadanie, i nawet rosnące pożądanie nie było w stanie przesłonić mu tego faktu. Poza tym upicie się to prawdopodobnie najlepszy sposób, by znaleźć się w środku nocy pod drzwiami jej sypialni, z ręką na klamce.

Co gorsza, Anais wiedziałaby, że on tam stoi.

Nim opuścili Anglie, przekonał się już, że dziewczyna zdaje się mieć oczy dookoła głowy. Mogła sobie twierdzić, że nie posiada Daru i nie nauczyła się niczego od Vittoria, lecz zawsze umiała wyczuć, że jest z nią w pokoju, co wielce Geoffa irytowało.

Widował już, jak wydaje polecenia służącym, nie podnosząc głowy znad biurka i zwracając się do nich po imieniu, podczas gdy on nie wiedział nawet, że znajdują się w pobliżu. I była jeszcze ta noc, dawno temu, gdy odprowadzał DuPonta do St. Catherine.

W ciemnej alejce natknął się wówczas na kobietę - damę, sądząc po głosie. Przystawiała nóż do gardła nieszczęsnego wyrzutka, który próbował ukraść jej perły. Z godnym podziwu opanowaniem kopnęła go w krocze, a potem wyjęła z rękawa nóż gestem, jakim inna niewiasta mogłaby poprawić koronkowy mankiet. Wspomniał tamto wydarzenie i się zamyślił.

Przez kilka następnych dni, kiedy starali się poznać rytm dnia w domu naprzeciwko, przyglądał się Anais jeszcze uważniej, próbując dostrzec coś poza intrygującym kołysaniem bioder lub tym, jak jej spojrzenie rozjaśnia się, gdy on wchodzi do pokoju.

Pewnego ranka, przy śniadaniu, zapytał Petite'a, dlaczego omlet smakuje nieco dziwnie. Lokaj pospieszył do kuchni, po czym wrócił i czerwony z zażenowania wyjaśnił, iż kucharka pomyliła się i dodała do potrawy szaławii zamiast pieprzu. Jajka posłużyły za posiłek służbie, lecz miska nie została po nich dokładnie umyta.

Kilka dni później siedzieli właśnie na strychu, spoglądając kolejno przez teleskop. Anais, przerzucająca akurat papiery DuPonta, musiała usłyszeć, że drzwi domu Lezennesa się otwierają. Geoff, który przyglądał się, jak pokojówka odkurza parapety w pokoju Giselle, nie zauważył tego, póki Anais nie stanęła tuż przy nim.

- Zastanawiam się, dokąd ona idzie - powiedziała, przyglądając się wychodzącej guwernantce. - Przez kilka ostatnich dni wychodziła o czwartej.

- Może ma wychodne?

- To możliwe - odparła niewyraźnie Anais, przyglądając się, jak schludna szara postać znika w dole ulicy.

- Masz dobry słuch - zauważył, podnosząc wzrok.

- Doprawdy? - Uśmiechnęła się i odeszła od okna. - Mama skarżyła się, że mam słuch wybiórczy. Kiedy chcę, potrafię usłyszeć spadającą szpilkę, a ignorować jej wołania, gdy bawię się w porze kolacji w ogrodzie.

Geoff zamknął skoroszyt i przeciągnął się, aby usunąć sztywność z ciała.

- Chyba dowiedzieliśmy się już wszystkiego, co było nam potrzebne - powiedział, wstając. - Pora sprawić, aby ignorowanie nas stało się dla naszych skrytych sąsiadów nieco trudniejsze.

- Nareszcie - westchnęła Anais. - Możemy wpaść zatem do Lezennesa?

- Raczej nie. To zbyt oczywiste. Pamiętaj, że madame Moreau przysłała liścik, przepaszając, iż nie mogła być u ciebie na herbatce. Założyłbym się, że to robota Lezennesa.

Anais przespacerowała się po pokoju i wróciła do okna.

- Podejrzewam, iż nie życzy sobie, by któraś z nich miała kontakt ze światem zewnętrznym - powiedziała, spoglądając na drugą stronę ulicy.

- A ona się go boi - dodał Geoff z namysłem. - Czuję to.

- I nie jest to jedynie wytwór twojej wyobraźni. To miejsce emanuje złem. Jestem pewna, że tu leży źródło tego, co wtedy zobaczyłeś. Lezennes stara się je izolować.

- Tak, bo jeśli madame nie zawrze w Brukseli znajomości, nie będzie miała do kogo zwrócić się o pomoc

- dodał Geoff. - Musimy więc wydać mu się tak bezużyteczni i nieszkodliwi, jak tylko zdołamy.

- Może powinniśmy zatem być biedni? - zauważyła.

- Dobrze, wspomnij madame Moreau, iż utrzymujemy się ze skromnej pensji, którą wypłaca nam mój ojciec

- zaproponował. - Płaci nasze rachunki, ale pilnuje każdego grosza.

Anais prychnęła.

- Niby kiedy? Nie wolno jej nawet wpaść do sąsiadki na herbatkę.

- To prawda, wychodzi jednak codziennie do parku.

- Geoff chwycił surduta wiszący na oparciu krzesła i narzucił go na ramiona. - Tam spotyka się z Lezennesem

-I..?

- Włóż płaszcz - polecił. - Ja wezmę sztalugi. Może już czas pokazać panu Lezennesowi, jacy jesteśmy pustogłowi.

* * *

Numer cztery przy Whitehall Place, usytuowany w sercu rządowych gmachów, był nierzucającym się w oczy budynkiem stojącym nieco z tyłu. I choć dama mogła - zupełnie wyjątkowo - zaryzykować przejście przez prowadzącą do niego bramę, za nic nie wolno jej było dopuścić by dostrzeżono, jak stamtąd wychodzi, gdyż Scotland Yard szybko stał się najsłynniejszym londyńskim posterunkiem i miejscem, gdzie na okrągło tłoczyło się zamieszkujące okolice Westminsteru pospólstwo.

Tak też było pewnego ślicznego wiosennego poranka, gdy lord Lazonby towarzyszył lady Anishy Stafford wchodzącej po stopniach i kierującej się ku bardziej stosownemu wejściu dla urzędników. Z ukłonem przytrzymał jej drzwi.

Lady Anisha minęła go, zadarłszy lekko nos, niecałkiem zadowolona z układu, który zawarła. Tuż za wej-

ściem znajdowało się stanowisko portiera, jak się okazało, puste. Rozejrzała się, nie wiedząc, co zrobić.

- Chodźmy - powiedział Lazonby cokolwiek burkliwie. - Po prostu wejdziemy na górę i już.

Lady Anisha przyłożyła dłoń do piersi.

- Niezapowiedzeni?

- To Czwórka, nie pałac Buckingham - burknął, kierując ją ku schodom. - Poza tym, obiecałaś.

- A ty obiecałeś pójść ze mną do teatru - odgryzła się. - I po.....

- Tak, poszedłeś - przerwała mu - i przechrapałeś ostatnią arie Dionizettego.

- Wlokła się niczym złamany pług za chromym koniem - wyjaśnił. - Masz szczęście, że przestali śpiewać, nim zszedłem i rozpoczęło się stężenie pośmiertne. Jak wyniosłabyś stamtąd moje sztywniejące zwłoki?

- To była *Una Furtiva Lagrima!* - wykrzyknęła, oburzona. - Bardzo poruszająca! I prawdopodobnie najwspanialsza na świecie aria dla tenora.

- Przyznaję, jestem filistynem - burknął Lazonby.

- Przepraszam, jeśli zepsułem ci wieczór z przyszlými teściami. Ale to ty uparłaś się, żebym z wami poszedł. Znasz mnie, wiesz, jaki jestem.

Lady Anisha nie przestawała się uskarżać i prychać. Na szczęście ściszyła głos, informując lorda, że miejsce jest trochę brudne i cuchnie zastarzałym potem oraz gotowanymi warzywami. Lazonby odparł z właściwą sobie szczerością, że ludzie, którzy trafiają do Czwórki, z reguły mają powód, aby się pocić.

Na piętrze skręcili i weszli do długiej, wąskiej sali przedzielonej niskim płotkiem z bramką, podobną do tej, jaką można było zobaczyć w sądzie magistrackim

- nie, nie, lady Anisha nie miała okazji gościć kiedykolwiek w podobnym miejscu, widywała jednak w sklepach z grawiurami karykatury autorstwa pana Cruikshanka i wszystko tam wyglądało podobnie.

Za niewielką ścianką siedziało dwóch urzędników podobnych do siebie jak krople wody. Widać dobrano ich podług wzrostu i tuszy - byli bowiem jednakowo wysocy i chudzi. Przycupnęli na stołkach za wysokim biurkiem tworząc nierozłączny komplet.

Po stronie dla interesantów ustawiono kilka krzeseł

- prostych, niewyściełanych. Na siedziskach nie było nawet poduszek.

- Nie zależy im, żeby ci tu było wygodnie, Nish - powiedział.

Lazonby, gdy poskarżyła się na brak komfortu

- To miejsce cierpień i niewygód.

- Cóż, wygląda na to, że będę musiała znieść ich dla ciebie sporo. - Lady Anisha machnęła z wdziękiem dłonią, aby odpędzić przerażającą mieszanię woni węgla atramentu i gotowanej rzepy, dolatującą z głębi budynku. - Jak długo będziemy musieli *tu* siedzieć?

Lazonby skinął głową w kierunku końca sali.

- Póki nie otworzą się tamte drzwi, a ja nie wetknę w nie stopy.

Drzwi, posłuszne widać woli lorda, wkrótce otwarły się szeroko. Weszło przez nie dwóch mężczyzn, jeden przysadzisty i pretensjonalnie ubrany, ze zwisającym na wielkim brzuchu złotym zegarkiem, i kilkoma pasmami długich czarnych włosów zaczesanych wraz z pomadą w kierunku łysiejącej czaszki.

Drugi z przybyłych, znacznie wyższy, wydawał się bardziej interesujący. Podkomisarz policji metropolitalnej był smukłym mężczyzną o szerokich barkach, z nosem przypominającym tasak do mięsa i gęstymi, krótko przyciętymi, czarnymi włosami. Szczupłe policzki miał starannie ogolone i pozbawione, wbrew panującej modzie bokobrodów. Z ciemnymi, bystro spoglądającymi oczami przypominał lady Anishy drapieżnego ptaka

Poznała go od razu, wstała i ruszyła przed siebie, mijając Lazonby'ego.

- Komisarzu Napier - powiedziała radośnie, wyciągając ozdobioną klejnotami dłoń. - Jak dobrze znów pana widzieć. Znajdzie pan dla nas chwilę?

Przysadzisty mężczyzna zniknął. Royden Napier spoglądał podejrzliwie to na damę, to na jej towarzysza.

- Lady Anisho, cóż za niespodziewana przyjemność - powiedział sztywno. - A przez my, rozumie pani...

- Mnie i lorda Lazonby'ego - odparła z uśmiechem.

Napier miał ochotę odmówić - było to bardziej niż oczywiste. Jednak, ku swemu niezadowoleniu, był damie, a właściwie jej bratu, coś winien. Poza tym odczuwał ciekawość, i to niemałą, jakiego rodzaju kobietą jest lady Anisha.

Pomimo wcześniejszych zaprzeczeń, zauważyła go już podczas wesela. Zanim ich sobie przedstawiono, i potem także, podkomisarz obserwował ją niemal bez przerwy kątem oka. A kiedy wreszcie do niej podszedł, zachowywał się bardzo oficjalnie. Jednak te oczy! Cały czas w niej utkwione!

Może przypominała mu kogoś z przestępczego świata. A może, jak większości osób z towarzystwa, jej miodowa karnacja i ciemne włosy także komisarzowi wydały się z lekka podejrzane. Cokolwiek to było, powstrzymało go przed wysłaniem niespodziewanych gości do diabła. Zamiast tego zaprosił ich do swego biura, co dla nieszczęśników, zmuszonych tam się udać, mogło być równoznacznie z wyprawą do piekła - tak przynajmniej sądziła lady Anisha. Z pewnością Royden Napier wyglądał na człowieka, który potrafi dogadać się z diabłem.

- Zatem - powiedział, siadając za masywnym dębowym biurkiem - czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Chcemy, aby otworzył pan na powrót śledztwo - zażądał lord Lazonby bez ceregieli - w sprawie zabójstwa lorda Percy'ego Peverila.

- Lecz mamy już w tej sprawie wyrok - powiedział Napier. - Znaleziono winnego i jest nim pan.

Lazonby zerwał się z krzesła.

- Wyrok został obalony - powiedział, kładąc dłoń na środku biurka podkomisarza. - Lecz nie uwolnię się od podejrzeń, póki prawdziwy zabójca nie zostanie wykryty i skazany. Dobrze o tym wiesz, Napier.

- Ufam, że mi pan wybaczy, gdy powiem, iż uważam wyznanie na łożu śmierci za nieco podejrzane - stwierdził Napier chłodno. - Zwłaszcza gdy rozpaczająca wdowa otrzymuje wkrótce potem znaczną sumę pieniędzy.

- Byłem wtedy w więzieniu, głupcze - warknął mu prosto w twarz Lazonby.

- W rzeczy samej - zgodził się z nim Napier - choć zajęło mi wiele długich lat wydostanie pana z Północnej Afryki i wsadzenie z powrotem za kratki. Jednak pański ojciec, zmarły lord, nie przebywał wtedy w więzieniu. Był wolny i mógł...

- Nie waż się wciągać w to mojego ojca, Napier - twarz Lazonby'ego poblądła z gniewu, dłonie zacisnął bezwiednie na oparciu krzesła. - Nie zasłużył, by ta paskudna sprawa spadła mu na głowę. Nie zrobił nic złego.

- Nic poza spłodzeniem uwielbiającego karty utracjusza o gwałtownym charakterze - odparował podkomisarz. - Kto kładzie się z psami, wstaje zapchlony.

- Przeklęty głupcze! - wykrzyknął Lazonby, nie panując nad sobą. - Wrobiono mnie i próbowano obarczyć winą za cudzą zbrodnię! Czy tylko mnie interesuje, dlaczego? Korona nie dba już o to, że morderca chodzi wolny?

- O ile sobie przypominam, pańska sprawa nie budziła wątpliwości.

- Tak uznał pański zmarły ojciec i potraktował mnie odpowiednio, nie bacząc na to, co niszczy.

- Jaki jest zatem cel pańskiej wizyty? - spytał Napier. Obaj mężczyźni stali teraz, pochyleni się ku sobie nad biurkiem.

- Zajrzał pan kiedykolwiek do jego akt? - spytał władczo Lazonby. - Zajrzał pan? Czy przyjął słowa ojca jak ewangelię, gdy odziedziczył po nim biurko?

Lady Anisha, widząc, na co się zanoszą, wstała, chrząknęła i powiedziała spokojnie:

- Zwracam panom uwagę, że w pokoju jest dama. Mężczyźni cofnęli się nieco, a twarz Napiera poróżniała z zakłopotania.

- Przepraszam panią - powiedział. Lady Anisha spojrzała na Lazonby'ego.

- Rance?

- Przepraszam - wykrztusił. - Wiedziałaś jednak, do czego może tu dojść.

- Do rękoczynów? - spytała sarkastycznie. - Bądź tak miły i zostaw nas samych.

- Co takiego? - spytał Lazonby zaskoczony.

- Wyjdź - powtórzyła. - Zejdź na dół. Jesteś zdenerwowany. Chcę porozmawiać z panem podkomisarzem sam na sam. Możesz wrócić, gdy skończę. Jeśli zechcesz.

Lazonby odwrócił się i rzucił lady Anishy niemile spojrzenie.

Dama wyprostowała się

- Idź - powiedziała szorstko. - Mówię poważnie. Nadużyłeś dzisiaj swojego szczęścia po raz ostatni, Rance.

Niespodziewanie posłuchał i wymaszerował z pokoju, trzaskając drzwiami.

Napier wyszedł zza biurka i zbliżył się do okna. Wpatrywał się w Whitehall Place, złożony dłoń na karku. Czekala, aż się odezwie. Widziała bowiem, że próbuje zapanować nad emocjami. Żałowała jedynie, iż nie wie, jakiego rodzaju są to emocje.

- Czy tak to się właśnie zaczyna, lady Anisho? - zapytał w końcu, wyraźnie zły.

- Przepraszam bardzo? - Wstała i podeszła do niego. - Co mianowicie? Odwrócił się od okna z miną wyrażającą niesmak.

- Zastraszanie. Zagrozi mi pani, że jej brat się na mnie pogniewa? - spytał. - Lub wspomni w charakterze ostrzeżenia Jej Wysokość?

- Ojej - zauważyła lady Anisha łagodnie - to doprawdy wysokie progi.
- Wiem o szczególnej zażyłości Rutłweyna z królową - powiedział - a także o Lazonbym, Bessetcie i tym ich zebranku u Świętego Jakuba, chociaż nie mogę na razie niczego udowodnić.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparła. - Nie potrzebuję brata, aby wykonać brudną robotę, jeżeli właśnie to ma pan na myśli. Doskonale potrafię radzić sobie sama. Co zaś się tyczy zażyłości Rutłweyna z królową, to skoro Jej Wysokość jest wobec niego lojalna, w pełni na to zasłużył. Harówką, potem i krwią, tak, ponieważ kocha swój kraj. A jeśli królowa jest mu wdzięczna, to, do licha, słusznie!

Jeżeli niegodne damy słownictwo zaszokowało Napiera, nie dał nic po sobie poznać. Stał nadal przy oknie, wyglądając w blasku popołudniowego słońca niczym jeden z aniołów Michała Anioła zstępujący z niebios, aby ukarać grzeszników. Jedną dłoń wsparł na biodrze pod odrzuconymi polami ciemnego surduta. Kamizelka przesunęła się nieco, ukazując rękojeść noża, wetkniętego za pasek spodni.

Może więc był aniołem zemsty.

- Zatem czego pani sobie życzy, lady Anisho? - spytał chłodno.

Z wystudiowaną obojętnością uniosła jedno ramię.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie przestaje się pan we mnie wpatrywać, ilekroć znajdziemy się w tym samym pomieszczeniu.

Rozdział 11

Udawaj słabość i podsycaj arogancję wroga.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

O wpół do pierwszej w południe Anais siedziała wsparta o drzewo w Parc de Brussels z najnowszą powieścią pana Reynoldsa na kolanach. Geoff przycupnął nieopodal na składanym krzeselku, odwrócony do niej plecami. Rysował pracowicie, a wiatr rozwiewał mu włosy.

Spod wprawnych dłoni lorda wyłaniał się już zgrabny szkic pałacu królewskiego. Rękę miał pewną, kreskę śmiałą i nieomylną. Rysunek przedstawiał budowlę widzianą przez masywną bramę parku. Szybkość ruchów Geoffa fascynowała Anais. Sądząc po efektach, można byłoby powiedzieć, że pracuje nad szkicem od kilku godzin, nie zaś piętnastu zaledwie minut.

- Naprawdę masz do tego talent - zauważyła cicho. Odwrócił się i uśmiechnął - szeroko i szczerze. Natychmiast poczuła, że brak jej tchu.

- Dziękuję - powiedział. - Zawsze uwielbiałem piękne budowle. Moim zdaniem to jedyna korzyść z tego, że spędza się dzieciństwo za granicą.

- Potrafisz rysować też ludzi?

Uśmiech Geoffa zbladł. Odwrócił się i zdjął szkicownik ze sztalug. Wyrwał jedną kartkę, położył sobie na kolanach i pochylił głowę. Długie włosy opadły, przesłaniając mu twarz.

Przez kilka minut rysował, zerkając od czasu do czasu na Anais. W końcu wyprostował się i odsunął nieco rysunek, jakby chciał lepiej mu się przyjrzeć.

Ewidentnie usatysfakcjonowany, wyrwał kartkę i podał jej. Wzięła szkic i niemal westchnęła. Był to najprostszy z możliwych rysunek. Zaledwie kilka kresek i trochę cienia, ukazywał ją wszakże zadziwiająco wiernie. Przyjrzała się szczegółom, starając się odnaleźć w sportretowanej kobiecie swoje rysy. Nadal miała wydatny nos swego ojca, lecz tu wydawał się dziwnie na miejscu, pasując idealnie do twarzy. I choć nakreślił ją wspartą o drzewo, z jednym kolaniem podciągniętym - tak właśnie siedziała - na rysunku włosy opadały jej na ramiona, sięgając niemal do pasa.

Ale to oczy zwracały szczególną uwagę. Były duże, lecz nie przesadnie, i spoglądały śmiało wprost na patrzącego, nie zdradzając jednak żadnych uczuć, nieodgadnione niczym dwa ciemne jeziora.

Jako całość rysunek zapierał dech w piersi.

- Jest śliczny - powiedziała cicho. - Ale obawiam się, że zanadto mi pochlebia.

- Tak? - Czują, że zaciekała go jej uwaga. - W jaki sposób?

Podniosła wzrok, lecz w spojrzeniu Geoffa nie dopatrzyła się nieszczerości.

- Nie jestem pewna, czy tak dobrze wyglądam. Przechylił w bok głowę i przez chwilę się przyglądał.

- Dla mnie wyglądasz właśnie tak.

Była w jego twarzy żarliwość, której nie spodziewała się tam zobaczyć, lecz także łagodność, choć nie był mężczyzną, do którego pasowałoby takie akurat określenie. Ku swemu zażenowaniu poczuła, że ma ochotę się rozpłakać. Było tak, jakby to, na co czekała przez całe życie, okazało się nic niewarte, a ona nie była osobą, za jaką się dotąd uważała. A już na pewno nie piękną, tajemniczą kobietą ze szkicu.

Podsunęła mu gwałtownym gestem rysunek.

- Nie chcesz portretu?

- Nie - wykrztusiła zdecydowanie zbyt ochryple. - To znaczy, tak, chcę, bardzo. Prosiłabym tylko, byś mi go podpisał i opatrzył datą.

Powstrzymując uśmiech, nakreślił w prawym dolnym rogu wyraźny podpis, a pod nim datę.

- Proszę - powiedział, oddając szkic. - To chyba pierwszy portret, jaki narysowałem od dziesięciu lat.

- Jestem więc zaszczycona. Dziękuję.

Podpisał jednak: Geoffrey MacLachlan - jak przypuszczała po to, aby potwierdzić ich fałszywą tożsamość.

Nagle coś zwróciło jej uwagę. Odłożyła kartkę. Dziwne, chociaż przyjemne interludium dobiegło oficjalnie końca.

- Chyba powinniśmy przybrać znów pozę beztroski i głupoty - powiedziała - ponieważ madame Moreau wchodzi właśnie do parku od strony Place des Palais.

Geoff zeszywniał, ale się nie odwrócił.

- Jest sama?

- Z dżentelmenem i dziewczynką.

Geoff skinął głową i wrócił do szkicowania. Anais wstała, udając, że chce strzepnąć spódnice, podniosła wzrok i uśmiechnęła się radośnie.

- Madame Moreau! - wykrzyknęła. - Ojej! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

Charlotte Moreau odpowiedziała uśmiechem, zerkając jednak niepewnie na szczupłego, eleganckiego mężczyznę u swego boku.

- Dzień dobry, pani MacLachlan - powiedziała, kiedy Anais pośpieszyła ku nim. - Jak się pani ma?

- Och, te mrówki! - zawołała Anais, wchodząc na ścieżkę. - Usiadłam chyba na mrowisku! Jak można być tak niemądrą! Teraz wydaje mi się, że po mnie chodzą, a to bardzo niemiłe uczucie. - Poruszyła się gwałtownie, aby uprawdopodobnić historijkę.

Uśmiech *madame* zbladł nieco.

- Czy mogę przedstawić pani mego... eee, mego wuja, wicehrabiego de Lezennesa? A to Giselle, moja córka.

Gdy dokonano prezentacji, Anais dygnęła z niemal przesadną uniżonością. Lezennes okazał się smukłym, eleganckim mężczyzną w średnim wieku, o krótko przyszyżonych włosach, niemal tak ciemnych jak włosy Anais. Z prostym cienkim nosem i ostro zakończoną bródką wygląda! nieco diabolicznie. Dziewczynka była płochliwym stworzonkiem. Nie odezwała się, unikając spojrzenia Anais; teraz wiedziała już, że nie bez powodu.

- Och, co za zaszczyt! - wykrzyknęła z zachwytem.

- Francuski szlachcic tutaj, w Brukseli. Na dodatek dyplomata!

Lezennes uśmiechnął się niemal protekcjonalnie.

- Droga pani, zapewniam, że w Brukseli aż roi się od francuskich szlachciców - powiedział nienaganną angielszczyzną. - I od dyplomatów. A co sprowadza tutaj państwa?

Anais otworzyła szerzej oczy.

- Jesteśmy w podróży poślubnej - powiedziała.

- Gdzież moje maniery! Geoffreju! Geoff, chodź tutaj! Pamiętasz *madame Moreau*, prawda?

Geoff oderwał wzrok od sztalug, udając, że przypomina sobie kobietę.

- Tak, oczywiście! - wstał i ruszył ku nim. Anais przedstawiła wicehrabiego.

Geoff potrząsnął energicznie jego dłonią.

- Do licha, to przyjemność poznać pana - zapewnił radośnie. - Zona bez przerwy opowiada o angielskiej znajomej, wie pan, nie potrafi sklecić słowa w tym dziwacznym holenderskim języku.

Na twarzy Lezennesa zagościł na chwilę wyraz niesmaku.

- Właściwie, panie MacLachlan, to flamandzki - sprostował wicehrabia - ale i po francusku da się tu bez pro-

blemu porozumieć. Z pewnością pańska żona zna choć trochę ten język?

Geoff spojrział na Anais.

- Tak, chyba tak.

- W wystarczającym stopniu, żeby coś wydukać, lecz tego nie lubię - poskarżyła się Anais, ujmując Geoffa pod ramię. - Musi pan wybaczyć mężowi. Jesteśmy małżeństwem zaledwie od kilku tygodni. A przyjechaliśmy tutaj, bo Geoff lubi rysować budynki.

- Budynki? - Lezennes spojrział, zaintrygowany, na mężczyznę.

- Tak, zastanawiam się, czy nie zostać architektem. Nie mogę pasożytować wiecznie na ojcu, prawda? - Mrugnął konspiracyjnie do Lezennesa. - Stale mi

o tym przypomina. Ma forsy jak lodu, ale pilnuje każdego pensa.

- Och, obejrzyjcie państwo, co narysował! - Anais skinęła głową, wskazując sztalugi. - Będziecie pod wrażeniem.

Nie wiedząc, jak by tu grzecznie odmówić, Lezennes skinął sztywno głową.

-*Après sous, madame* - powiedział, wykonując zamasztysty gest dłonią.

Zeszli z alejki i ruszyli przez trawę. Geoff nie przestawał uskarżać się na to, jak drogie jest życie w Brukseli,

i zastanawiać nieco zbyt głośno, czy w Paryżu nie dałoby się przeżyć taniej. Lezennes zapewnił go, że nic podobnego. Potem zaprezentowano rysunek, oglądający wydali stosowne okrzyki uznania, a Charlotte Moreau powiedziała nawet, że to najładniejszy widoczek pałacu, jaki widziała kiedykolwiek.

Anais pomyślała, iż bardziej prawdopodobne jest, iż to jedyny szkic pałacu, jaki widziała, podziękowała jednak obojgu wylewnie.

- To jak, Charlotte - powiedziała na koniec. - Mam nadzieję, że mogę zwracać się do pani po imieniu?

Dama spojrzała znowu z wahaniem na Lezennesa.

- Oczywiście - odparła. - A pani jest... Anais, czy tak?

- Właśnie tak. Byłam bardzo zawiedziona, kiedy ból głowy nie pozwolił pani nas odwiedzić - kontynuowała Anais. - Bardzo chciałabym wypytać panią o to, gdzie najlepiej kupować w Brukseli koronki. I książki - przyklękła i podniosła tanią powieść. - Wie pani może, gdzie mogłabym znaleźć księgarnię? Z angielskimi powieściami w odcinkach?

- Powieściami w odcinkach? - powtórzyła madame Moreau zaskoczona.

Wicehrabia spoglądał tymczasem z ledwie skrywanym niesmakiem na jaskrawą okładkę.

- *Mon Dieu, madame, c'ôz to takiego?*

- Powieść sensacyjna za pensa - wyszeptała. - Bywają bardzo ekscytujące, *monsieur*. Ta opowiada o wilkołaku.

Lezennes skrzywił się.

- A c'ôz to takiego, na miłość boską, ten wilkołak?

- Człowiek, który zmienia się podczas pełni księżyca w wilka - wyjaśniła Anais, wzdrygając się. - Zaprzedał duszę diabłu za młodość i bogactwo, lecz okazało się, że jest w tym pewien haczyk - jak zawsze, gdy ktoś popełnia podobne głupstwo. Tak czy inaczej, książka jest rozkosznie przerażająca. Wiem, że damy zazwyczaj nie kupują tego rodzaju literatury, uważam jednak, że powinny spróbować i przeczytać choć jedną.

- Och, żona przeczytałaby każdą bzdurę - wtrącił Geoff radośnie, pakując przybory. - Proszę okazać litość, madame Moreau, i zabrać ją gdzieś, gdzie będzie mogła znaleźć odpowiednią książkę.

- Po angielsku? - spytała dama, marszcząc delikatne brwi. - Niestety, nic nie przychodzi mi na myśl...

- Może porozmawiamy o tym któregoś dnia przy herbacie? - zaproponowała Anais. - To znaczy, jeśli czuje się pani lepiej?

Madame Charlotte spojrzała znowu na towarzysza.

- Cóż, nie jestem pewna...

Lezennes przeniósł spojrzenie z głupiutkiej powieści na bezmyślnie uśmiechniętego Geoffa. Ciekawe, jak udało mu się przybrać tak tępą minę, pomyślała Anais.

- Ależ oczywiście, że powinnaś pójść, moja droga - zawyrokował wicehrabia. - Uważam, że to zupełnie nieszkodliwa rozrywka.

Charlotte odprężyła się i po raz pierwszy na jej twarzy zagościł szczery uśmiech.

- Z przyjemnością - powiedziała. - Kiedy?

- W poniedziałek? - zaproponowała Anais. Nie chciała wydać się zbyt natarczywa. - I proszę przyprowadzić Giselle. To takie śliczne stworzenie, przypomina mi moją Jane.

Choć o niej mówiono, dziewczynka nie spojrzała na Anais, przeciwnie, cofnęła się i skryła głębiej za matką.

Wicehrabia nie obawiał się jednak spojrzeć Anais w oczy.

- Niestety, Giselle jest delikatna i niezupełnie taka jak inne dzieci - stwierdził stanowczo. - Nieczęsto wychodzi.

Anais zrobiła taką minę, jakby nagle coś do niej dotarło.

- Skoro tak, to, oczywiście, powinna zostać w domu. Biedna, mała myszka. Jakie to wielkoduszne z pańskiej strony, że tak się pan o nią troszczy.

Geoff spojrzał na nich znad zamykanych właśnie sztalug. Udało mu się spowodować przy tym nie lada zamieszanie, ponieważ przytrzasnął sobie nimi połą surduta.

- Na Boga, przyszedł mi do głowy świetny pomysł - powiedział, uwalniając ubranie. - Musicie przyjść do nas na kolację! Może we wtorek? Mamy zadziwiająco dobrą kucharkę. Piecze udziec nie gorzej od porządnej Angielki! Zatem, może o szóstej? Jadamy nadal dość wcześnie. Przywykliśmy do tego na prowincji.

Lezennes zadarł wyżej brodę.

- Guwernantka Giselle wychodzi po południu i Charlotte nie może już potem opuszczać domu - odparł.

- Niestety, nie możemy do państwa przyjść.

- Cóż, skoro pan nalega - powiedział Geoff dobrodusznie. - Nie chciałbym jednak przysparzać państwu kłopotu.

- Przepraszam bardzo? - wycedził Lezennes, zaskoczony.

Lecz Geoff kontynuował jak gdyby nigdy nic.

- Wynagrodzę to wam - zapewnił. - Gdy wyjeżdżaliśmy do Brukseli, skrzyneczka najlepszej whisky staruszka zawędrowała przypadkiem do mojej walizki. Co pan na to, żebyśmy osuszyli razem butelczynę?

- Whisky? - Wicehrabia dosłownie się wzdrygnął.

- Ze sfermentowanego ziarna? Geoff złożył z hukiem swój stołek.

- Owszem. Założę się, że kiedy posmakuje pan wyborowego szkockiego trunku, nie spojrzy pan więcej na tę francuską lurę - brandy. Zatem o szóstej u was?

Lezennes zaczerpnął głęboko oddechu.

- *Oui*, o szóstej - powiedział tonem jasno sugerującym, że chce mieć to jak najszybciej za sobą. - Charlotte przyda się odmiana.

Madame nadal się uśmiechała.

- O, tak! - zapewniła. - Dziękuję, wuju. Jesteś doprawdy zbyt uprzejmy.

Sprawa została więc załatwiona. Rozstali się, wymieniwszy pożegnalne grzeczności. Anais i Geoff spoglądali w ślad za oddalającą się trójką. Lezennes i *madame* kierowali się ku Rue de la Roi, po przeciwnej stronie parku.

- Boże - westchnął Geoff, kiedy nie mogli już ich usłyszeć. - To było okropne. Nawet ja nas nie lubię.

- Głupi i prostacy, co? - Anais uśmiechnęła się do niego. - Teraz biedny Lezennes będzie musiał ugościć nas kolacją. A tak przy okazji, dobra robota.

- Sam wpędził się w pułapkę, czyż nie? - Geoff też się uśmiechnął. - Kto by pomyślał, że potrafisz być tak ograniczona?

- A ty równie tępy.

- Och, czasami coś mi się udaje.

- Te sztalugi przekonały go ostatecznie, że jesteśmy dokładnie tacy, jakimi się wydajemy - stwierdziła Anais, szukając czegoś w kieszeni. - Jeśli nie zostaniemy Strażnikami, zawsze możemy zrobić karierę na scenie.

- Wyjęła obszytą koronką lnianą chusteczkę i pomachała nią przed nosem Geoffowi.

Uniósł brew.

- Dziękuję, Anais, lecz nie doprowadziłaś mnie jeszcze do płaczu.

- Nie jest dla ciebie, głuptasie. Wyciągnęłam ją z kieszeni Charlotte - odparła, wsuwając mu chusteczkę do kieszonki w kamizelce. - Vittorio mnie nauczył.

- Kraść?

- Tego, i paru innych rzeczy. Mawiał, że czasami osobisty przedmiot potrafi przechować emocje właściciela. O ile się nie mylę, ta chusteczka bywała dość często mokra od łez. Może okazać się pomocna.

- Całkiem możliwe. - Geoff podążył spojrzeniem za oddalającą się madame Moreau. - Skąd wytrzasnęłaś tak okropnie tandetną książkę?

- Tandetną? - Anais skrzyżowała na piersi ramiona.

- Masz pojęcie, ile pan Reynolds zarabia, sprzedając je? Założyłabym się, że więcej niż pan Dickens i siostry Bronte razem wzięci.

Geoff skrzyżował podobnym gestem ramiona.

- I co z tego?

- Cóż, ja... - Zamknęła usta, a potem otworzyła je znowu. - Co prawda, to nie twój interes...

- Rzeczywiście - odparł, rozciągając wargi w szerokim uśmiechu.

- ...lecz pomyślałam, że mogłabym także spróbować - zakończyła, unosząc brodę. - Do licha, tylko się nie śmieję. Wiedziałam, i to od dawna, że spróbujecie odrzucić moją kandydaturę, i uznałam, iż muszę mieć coś do roboty, zanim... zanim...

- ...pojawi się Ten Właściwy? - podsunął Geoff.

- ...zanim uda mi się przewyciężyć waszą głupotę oraz uprzedzenia. Nie zamierzam zrezygnować, Geoffie. Porozmawiajmy jednak poważnie. Jak oceniasz sytuację w domu Lezennesa?

Geoff spoważniał natychmiast i opuścił ramiona.

- Nie jest dobrze - przyznał. - *Madame* obawia się Lezennesa, a może jest nawet przerażona. Nie trzeba Daru, aby to dostrzec.

Anais zmarszczyła brwi.

- Rzeczywiście. Prześladowuje mnie uczucie, że nie zostało nam zbyt wiele czasu. Wyczuwasz coś?

Potrząsnął głową.

- Tylko niepokój. Zaczynam jednak poznawać Charlotte. Nawiązywać z nią więź. I zgadzam się z tobą. Jest niewinna, a Lezennesowi nie leży na sercu jej dobro. Co gorsza, nie sądzę, byśmy mieli do dyspozycji miesiące czy nawet tygodnie.

- Będziemy zatem zmuszeni działać szybciej, niż nakazuje rozsądek. - Lezennes z *madame* Moreau i Giselle zeszli z głównej alejki pomiędzy drzewa. - Muszę postępować śmieiej. Szybko się z nią zaprzyjaźnić. Lecz jeśli jest tak płochliwa, jaką się wydaje, może zacząć mnie unikać.

- Rób, co uznasz za stosowne - powiedział z ponurą miną. - I nie trać czasu.

- A jeśli mi się nie uda? Jeśli ją odstraszę? Będziesz gotów zrobić, co konieczne?

- Porwać matę? Wolałbym nie. Lecz bez Giselle Charlotte nie będzie już Lezennesowi potrzebna. Pozwoli jej odejść. Musisz ją namówić, by skontaktowała się z rodziną. Kto wie, może zechcą jednak ją przyjąć.

- Tak zrobię - odparła. - Nie martw się, coś wymyślę.

Geoff nie odezwał się, lecz nadal wpatrywał w alejkę.

Był to niezwykle dzień. Sprawił, że Anais zaczęła zastanawiać się tym intensywniej, kim jest mężczyzna u jej boku. Stojąc - dosłownie - ramię przy ramieniu, czuli się z sobą tak swobodnie, jak tylko mogą się czuć ludzie w podobnej chwili.

Jakby byli sobie przeznaczeni.

Lecz tak być nie mogło. Babunia przewidziała dawno temu, kto jest jej przeznaczony.

* * *

Może Anais i Geoff nie mieli losu po swojej stronie, wyglądało jednak na to, że z Charlotte sprawa ma się inaczej. Kiedy Anais zeszła w poniedziałek na lunch, okazało się, że w popołudniowej poczcie jest list z Colchester.

Bernard podał go Geoffowi na tacy, kłaniając się nieznacznie.

- Mam nadzieję, *monsieur*, że to dobre nowiny?

- Poznają pismo Sutherlanda - powiedział Geoff, biorąc list.

- Wielebnego z Colchester? - spytała Anais, wchodząc za Geoffem do salonu.

- Tak wyjechał z Londynu dzień po tym, jak zasugerowałam, żeby to zrobił. - Geoff wziął z biurka nóż do papieru i rozciął kopertę. - Nie jesteśmy aż tak zatwardziali w - jak to ujęłaś? - głupocie i uprzedzeniach, aby nie poznać się na dobrym pomysle, kiedy ktoś nam go podsuwa.

Anais zerknęła mu przez ramię.

- Och, po prostu go przeczytaj - powiedziała, zniecierpliwiona. - Sarkazm możesz sobie darować.

Geoff otworzył pospiesznie list i przebiegł go wzrokiem.

- Na Boga! - zawołał. - Szybka robota!

- Co takiego? - spytała Anais. - No, mów! Geoff spojrział na nią.

- I w tym też miałaś rację, dziewczyno.

- Kolejne zdanie, którego mogłabym słuchać na okrągło. Mow. Jak bardzo genialna się okazałam?

Geoff nie chwycił przynęty.

- Rodzina Charlotte powitają z otwartymi ramionami

- powiedział z wyrazem ulgi na twarzy. - Pojawienie się wnuczki wiele zmieniło. Nie wiedzieli, że Charlotte owdowiała.

- Skąd mieliby wiedzieć, skoro się jej wyrzekli? - spytała Anais z odrobiną goryczy w głosie.

- Bardzo tego żałują - wyjaśnił Geoff, spoglądając znowu na list. - Wydaje się, że opłakiwali rozstanie przez wszystkie te lata. Chcą dać jej dom.

Anais zamknęła oczy.

- Dzięki ci, Boże.

- Bóg pomógł, posługując się tobą i Sutherlandem. - Geoff podał list Anais. - Dobrze się spisaliście Przeczytaj, ale go nie zniszcz. Może okazać się potrzebny

- Dziękuję. - Zaczęła czytać pospiesznie, ledwie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Geoff ją przemierzał tymczasem niespokojnie salonik

- Bractwo ma w okolicy Colchester dwóch dobrych ludzi - powiedział, przesuwając bezwiednie dłonią po włosach. - Obaj są Strażnikami i osobami godnymi ze wszech miar zaufania. Możemy przydzielić jednego Giselle na razie po to, by czuwał nad jej bezpieczeństwem a potem, by pomógł jej zrozumieć, czym jest Dar i nauczył, jak sobie z nim radzić.

Anais złożyła list i wetknęła go do kieszeni. Wyraźnie jej ulżyło.

- Lecz najpierw musimy ją tam sprowadzić

- W rzeczy samej. - Wyjął z nieobecna miną chusteczkę Charlotte i spojrział na nią. - Najpierw musimy ją tam sprowadzić - powtórzył. - Bezpiecznie.

Wszedł Petit i oznajmił, że podano lunch. Zjedli w przyjaznym milczeniu. Anais wyraziła jedynie nadzieję, że Charlotte przyjdzie tym razem na herbatę, zamiast odwołać wizytę w ostatniej chwili.

Geoff wydawał się zatopiony w myślach, lecz nie tak spięty ani zgryźliwy, jaki był podczas pierwszych dni pobytu w Brukseli. Anais z kolei nie mogła oprzeć się wrażeniu, że krótki czas, jaki mieli spędzić razem, zbliża się gwałtownie ku końcowi.

Po części sprawiało jej to ulgę. Lecz tylko po części.

Pomyślała, że on też chętnie zobaczy znów Anglię. A może po prostu z ochotą się pozbędzie towarzyszki. Wcale sobie nie pochlebiała wyczuwając istniejące między nimi silne fizyczne przyciąganie. Pojawiło się już na początku wyprawy i stale rosło. Jednakże Geoff potrafił nad nim panować, a ona nie.

Przynajmniej nie całkowicie.

Może dopisało jej szczęście. Mężczyzna pozbawiony zasad mógłby przyjąć propozycję, jaką mu złożyła, nie troszcząc się, co będzie później.

A może nie chodziło jedynie o to, że Geoff troszczy! się o nią?

Powiedział przecież jasno, iż nie życzy sobie zostać zmuszonym do małżeństwa. Anais to rozumiała. Lecz może nie było to takie proste. Mógł mieć utrzymankę. Albo sekretną kochankę. Nie brała dotąd pod uwagę, że w jego życiu jest ktoś inny. Bóg jeden wie, że nie po raz pierwszy wpadłaby w tego rodzaju pułapkę.

Zerknęła na niego znowu i poczuła znajome poruszenie, coś jakby słodki ból w głębi trzewi. Ale należało skupić się na tym, aby sprowadzić madame Moreau i Giselle jak najszybciej na angielską ziemię.

Anais zakończyła posiłek w milczeniu, starając się nie odrywać wzroku od talerza, a potem wymówiła się koniecznością poczynienia ostatnich przygotowań i wyszła.

* * *

Charlotte zaskoczyła ją, zjawiając się dziesięć minut przed umówioną godziną.

Anais uznała, że to dobry znak. Nie trzeba było jednak wiele czasu, by spostrzec, że *madame* znów pograżyła się w mroku.

Usiadły we frontowym saloniku przy oknie wychodzącym na Rue de l'Escalier i drzwi domu Lezennesa gawędząc leniwie o pogodzie, podczas gdy Petite przygotowywał zastawę.

- Cieszę się, że mieliśmy okazję poznać twego wuja Charlotte - powiedziała Anais po tym, jak napełniono talerze, i wymieniły wstępne uwagi. - To bardzo dystyngowany dżentelmen.

- Owszem - przytaknęła kobieta z rezerwą. - Jest też bardzo wspaniałomyślny wobec mnie i Giselle.

- Co robi dla Francuzów? - Upiła łyk herbaty - Na pewno coś bardzo ważnego.

Charlotte odwróciła wzrok.

- Nie jestem pewna - powiedziała, odstawiając filiżankę na spodek. - Nie mówi o tym, a ja nie uważam się za uprawnioną, by pytać.

- Ale musiał spotkać się z królem Leopoldem, prawda? - spytała, spoglądając na Charlotte szeroko otwartymi oczami. - Może ty też zostaniesz przedstawiona? Czy me byłoby to ekscytujące? W końcu, jest nadal bosko przystojny.

Charlotte zawahała się, a potem powiedziała cicho- Wuj odbywa z królem prywatne spotkania. Słyszałam, jak jeden z jego asystentów o tym rozmawiał Umawiano spotkanie w wielkiej tajemnicy. Oczywiście, natychmiast zaczęłam się zastanawiać... - zamilkła i wzięła z tacy kolejny herbatnik. - Te są przepyszne. Zechcesz poprosić panią Janssen, by dała mi przepis?

- Będzie zachwycona, że poprosiłaś - zapewniła gościa Anais. - Co zaś się tyczy króla, nadal jest w Anglii uwielbiany, i to przez wielu. W końcu miał być kiedyś naszym monarchą.

- Chyba księciem małżonkiem - poprawiła ja Charlotte. - Był bardzo dobry dla swojej siostrzenicy Wiktorii, zwłaszcza gdy była dzieckiem.

Anais uśmiechnęła się i pochyliła, aby napełnić filiżanki.

- Człowiek się zastanawia, czy z upływem lat nie mogłoby dojść pomiędzy nimi do czegoś więcej - zasugerowała. - Pozycja Leopolda jest teraz zupełnie inna.

- Rzeczywiście. Teraz sam jest królem, a wuj powiada... Anais pochyliła się gwałtownie.

- Och, mów dalej, Charlotte! - poprosiła. - Wygląda na to, że znasz najnowsze plotki, a któż oparłby się pokusie nieszkodliwego poplotkowania przy herbatce?

- Wuj powiada, że teraz Leopold musi zatroszczyć się przede wszystkim o siebie i swoje długoterminowe interesy - wyszeptała. - I że powiązania z Anglią, jakkolwiek luźne, mogą pewnego dnia mu zaszkodzić.

- Och - westchnęła Anais. - To dla mnie zbyt skomplikowane. Myślę po prostu, że jest przystojny. A jego żona cierpi podobno na suchoty. Zastanawiam się, czy to prawda?

Charlotte zeszywniała lekko.

- Królowa jest bardzo chora - odparła. - Chyba już długo nie pożyje.

Anais pochyliła się jeszcze bardziej.

- Słyszałam, że kochanka Leopolda spodziewa się dziecka. A może już urodziła.

- Ależ... to tragiczne! - zawołała *madame*, nadspodziewanie przejęta, unosząc dłoń ku piersi. - Ponoć żona uwielbia króla, mimo że ich małżeństwo zostało zaaranżowane dla politycznych korzyści.

Anais wzruszyła ramionami.

- Niewiele to teraz Leopoldowi da, skoro teść został pozbawiony tronu - zauważyła. - Nic dziwnego, że stara się zawrzeć we Francji nowe alianse. Co zaś się tyczy biednej królowej Ludwiki, człowiek się zastanawia czy miłość warta jest cierpień. Ja jestem raczej zadowolona, że tym razem wyszłam za mąż ze względów praktycznych.'

Charlotte utkwiała znów wzrok w filiżance,

- Cóż, ja nie mogłabym tak postąpić - powiedziała cicho, lecz gwałtownie. - Nie krytykuję twoich wyborów Anais. Naprawdę. Wolałabym jednak czuć ból straty, nawet trudny do zniesienia, niż wyjść za mąż bez miłości

Anais odstawiała filiżankę.

- Biedactwo, myślisz pewnie o mężu? - powiedziała, czując się jak ostatni szubrawiec. - Domyślam się że owdowiałaś niedawno?

Twarz Charlotte złagodniała. Wypełnił ją smutek i wyraźna czułość.

- Pierre zmarł w zeszłym roku - powiedziała cicho - lecz mnie się wydaje, że było to wczoraj. Czasem, właściwie prawie codziennie, budzę się i przez chwilę spodziewam się zobaczyć go obok siebie. A kiedy prawda do mnie dociera, przeszywa mnie smutek.

Anais wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni kobiety.

- Ależ jestem bezmyślna - powiedziała. - Przepraszam, Charlotte. Ale nie musisz wychodzić znów za mąż Masz wuja. Nie zasugerował chyba, że powinnaś opuścić jego dom?

Kobieta nie podniosła wzroku.

- Myślałam o tobie często, Anais, od dnia, gdy się poznałyśmy - powiedziała. - O tym, jak wiele mamy ze sobą wspólnego. Obie wyszłyśmy za mąż z miłości, wbrew woli rodziny, za mężczyzn, którzy nie byli bogaci, i żadna z nas tego nie żałuje. Prawda?

Anais poczuła ukłucie żalu, potrząsnęła jednak głową.

- Nie, nigdy.

-1 obie mamy córki - mówiła dalej Charlotte. - Jesteśmy młodymi wdowami o podobnym rodowodzie w obcym kraju, którego języka nie znamy. Lecz ty wyszłaś za mąż - dodała. - Jak mi nie mam, szczęśliwie?

- Chyba tak - odparła Anais z wahaniem, zastanawiając się nad kolejnym kłamstwem i gardząc sobą za to.

- Ale mój ojciec jest już stary i chciał, bym miała kogoś, kto zaopiekuje się mną i Jane po jego śmierci. Ty masz wujka, a on najwyraźniej uwielbia Giselle.

- O, tak - odparła niemal ze smutkiem. - Nie jest szczególnie czuły, co to, to nie, lecz troszczy się o małą nieustająco i chce, by traktowano ją, jakby była z kruchego szkła.

- Wyczuwam, że to cię martwi - zauważyła Anais.

- Tak, moja droga, to właściwe określenie. Nie mogę patrzeć, jak się czymś gryziesz, choć starasz się to skutecznie ukryć. Zechcesz powiedzieć mi, co jest nie tak?

- Widzisz, czasami... czasami nie wiem, co robić. - Jej głos przeszedł w szept. - Mam mętlik w głowie i nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

Ponieważ Lezennes właśnie tak to zaplanował.

Najwidoczniej wszyscy wykorzystywali Charlotte, ona i Geoff także.

Anais zaczynała czuć się brudna. Kusilo ją, by wyznać wszystko i ulżyć sumieniu. Musiała jednak brać pod uwagę dobro dziecka, a obawiała się, że Charlotte nie jest wystarczająco silna, by ukryć prawdę, jeśli ją pozna. Wyznanie winy musiało zatem poczekać.

- Masz przecież kogoś, z kim możesz rozmawiać, Charlotte - odparła. - Mnie. Nie jestem może najbystrzejsza, lecz możesz mi zaufać. A nawet głupia gąska zorientowałaby się, że coś w zachowaniu Lezennesa nie daje ci spokoju.

Charlotte przełknęła.

- Cóż - wyszeptała w końcu - chodzi o to, że on nie jest moim wujem.

- Ale był wujem twojego męża, kochanie - stwierdziła Anais uspokajającym tonem - a w świetle prawa kanonicznego to to samo.

- Cóż, zawsze uważałam go za wuja Pierre'a, chociaż nie byli ze sobą blisko - powiedziała. - Tymczasem matka Pierre'a była po prostu służącą w ich rodzinnym majątku. Jego rodzice nigdy się nie pobrali.

- Ach tak. Cóż, to i tak bez znaczenia. Lezennes opiekuje się wami w imieniu rodziny.

- Bez znaczenia? - Charlotte spojrzała ostro na Anais. - Z początku też tak myślałam.

- Co to znaczy: z początku?

- Sądziłam, że Lezennes jest wujem Pierre'a, lecz teraz on twierdzi... - Zamilkła, utkwiała wzrok w przestrzeni i potrząsnęła głową. - Boże, po co w ogóle o tym mówię?

- Ponieważ to cię niepokoi - Anais dotknęła lekko dłoni Charlotte. - Nic nie traci tak szybko na wadze jak ciężar, którym można się podzielić. Co twierdzi Lezennes?

Z piersi *madame* dobyło się drżące westchnienie. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

- Utrzymuje, że jego brat zaprzeczał, iż jest ojcem Pierre'a - wyszeptła. - I że był nim prawdopodobnie jeden w wielu gości odwiedzających posiadłość. Albo służący.

- Jakie to dziwne. A w co wierzył twój mąż? Charlotte wzruszyła ramionami.

- Pierre powiedział tylko, że jest nieślubnym wnukiem zmarłego wicehrabiego, dlatego rodzina opłaciła jego wykształcenie i znalazła dlań miejsce przy dworze, posadę drobnego urzędnika. Lecz ojciec Pierre'a zmarł, gdy chłopiec miał trzy lata, możliwe zatem, że nawet o niczym nie wiedział.

Anais szczerze w to wątpiła.

- A co mówi teraz Lezennes?

- Twierdzi, że matka Pierre'a upierała się, iż to jego brat jest ojcem dziecka, rodzina zrobiła więc, co należało. Zasugerował jednak, że tak naprawdę nikt w to nie

wierzył. A to dlatego, iż jego brat był... - zamilkła i rumieniec okrył jej policzki.

- Kim? - naciskała Anais.

- Miał nienaturalne skłonności... - wyszeptła Charlotte, spoglądając na Anais szeroko otwartymi ze zgrozy oczami. - Kobiety go nie interesowały. Stary wicehrabia uznał zaś, że nieślubny syn to doskonały kamuflaż, a i dla dziewczyny będzie lepiej, jeśli jej dziecko uznane zostanie za potomka przyszłego wicehrabiego.

- Ależ to wszystko dziwne. - Anais zmarszczyła brwi. - Jednak Lezennes nadal troszczy się o ciebie i Giselle, chociaż uważa, że nie jest... och, Charlotte! Boisz się, że was wyrzuci?

Charlotte potrząsnęła energicznie głową.

- Nie robi tego. Jest wobec Giselle bardzo opiekuńczy. Mówi, że nic nie musi się zmienić, o ile...

- O ile co?

Charlotte podniosła wzrok i Anais dostrzegła w jej oczach łzy.

- O ile zgodzę się go poślubić - wyszeptła. - Twierdzi, że to najlepszy sposób... jedyny, by chronić małą. Nie ma pisemnego dowodu na to, iż jego brat był ojcem Pierre'a, nie istnieją zatem przeszkody natury prawnej czy religijnej, byśmy nie mogli się pobrać.

- Och.

Anais milczała przez długą chwilę. DuPont miał od początku rację, obawiając się takiego obrotu spraw. Lezennes atakował z dwóch stron, a biedna Charlotte miotła się, nie wiedząc, jak postąpić. Była religijna, nie zgodziłaby się zatem pogwałcić zasad prawa kanonicznego, wychodząc za wuja męża. Teraz jej moralność została wystawiona na próbę innego rodzaju.

Ciekawe, czy Lezennes właśnie na to liczył.

- Zatem sprawy wyglądają obecnie tak - powiedziała Anais w końcu - że mieszkasz pod jednym dachem z mężczyzną, który nie jest twoim krewnym.

- Właśnie! - jęknęła Charlotte. - Och, Anais, co robić? Nie mogę przebywać z mężczyzną, który nie jest członkiem mojej rodziny. To moralnie nie do przyjęcia, mimo że jestem wdową. Jakbym żyła w kłamstwie. Nie mogę jednak - i tego nie zrobię - poślubić człowieka, którego nie kocham tak, jak kochałam Pierre'a.

- Powiedziałaś Lezennesowi, że go nie kochasz?

- Tak, oczywiście! Nie byłam w stanie go okłamywać.

- Słowa wylewały się teraz z ust *madame* nieprzerwanym strumieniem.

- Nie, skoro wziął nas do siebie i zapewnił dach nad głową. To go jednak wzburzyło. Och, Anais, chyba się na mnie rozgniewał. Poczzerwieniał i wymaszerował z pokoju.

Perfidia zachowania Lezennesa sprawiła, że Anais aż zagotowała się z gniewu. Wiedział, że jeśli Charlotte zgodzi się na ślub, on zyska nad nią całkowitą władzę. Nad nią i wszystkim, co do niej należało, a także nad Giselle. Mógłby ją bić lub zamknąć w zakładzie dla obłąkanych, według woli.

- Wicehrabia nie ma prawa gniewać się na ciebie, Charlotte - powiedziała Anais spokojnie, lecz stanowczo. - Nie wolno ci sądzić, że jest inaczej.

- Ale on niczego więcej ode mnie nie żąda - załkała.

- A tyle mu zawdzięczam. Kiedy umarł Pierre, nie miałyśmy do kogo się zwrócić. Ani wartościowych rzeczy do sprzedania poza garstką biżuterii. Pieniądze szybko się rozeszły, więc kiedy pojawił się na naszym progu, oferując schronienie, było to niczym dar od Boga.

- A co powiedział, kiedy odzyskał panowanie nad sobą?

- Ze nie powinnam podejmować pochopnych decyzji

- odparła Charlotte. - Nie próbuje zastąpić Pierre'a, a my potrzebujemy spędzić po prostu więcej czasu tylko we troje. Może podczas wakacji. Rzeczywiście, byłoby cudownie. Giselle pewnie spodobałoby się nad morzem, lecz nie wiem, jak mu powiedzieć...

- ...że nie wydaje ci się, byś mogła kiedykolwiek go pokochać? - podsunęła Anais, unosząc brew.

- Nie pokocham go, Anais! - krzyknęła. - Wiem

O tym. On bywa tak... surowy dla Giselle. I podejrzliwy wobec każdego, z kim się spotykamy. Czasami wydaje mi się, że obserwuje każdy mój ruch, lecz potem uświadamiam sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Jak mogę gniewać się na niego, skoro nie zrobił nic niewłaściwego? Ależ ze mnie niewdzięcznica!

- Nieprawda. Nie jesteś ani trochę niewdzięczna. Ujęła dłoń Charlotte, czując się z lekka wstrząśnięta. Należało zastanowić się, czy frustracja Lezennesa nie

osiągnęła aby punktu krytycznego. Zapewne spodziewał się, że kiedy zaoferuje Charlotte dom, kobieta będzie tak szczęśliwa, iż odłoży na bok skrupuły natury moralnej

i zgodzi się za niego wyjść. Sam z pewnością tak by postąpił.

Kusiło ją, by sięgnąć do kieszeni, wyjąć list od Suther-landa i pokazać Charlotte. Ale był to jedynie list od obcej osoby, nie od jej rodziców. Poza tym trzeba by zbyt wiele wyjaśnić. Charlotte natychmiast straciłaby do niej zaufanie. Cała operacja spaliłaby na panewce, bo skąd *madame* mogłaby wiedzieć, że Anais nie jest równie zła jak Lezennes? Tak czy inaczej, kobieta zmierzała ku katastrofie. Gdyby zdecydowała się zabrać Giselle i opuścić dom Lezennesa, do czego wicehrabia mógłby się posunąć, by je zatrzymać?

Należało postępować niezwykle ostrożnie.

Zmusiła się, by się odprężyć, i poklepała lekko dłoń Charlotte.

- Może jednak kiedyś go pokochasz - zasugerowała pocieszającym tonem. - Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Nie denerwuj się tak. I, błagam, nie śpiesz się z decyzją. Daj sobie czas, a może... może pojawi się uczucie.

- Ale jak długo mam czekać? I czy to w ogóle możliwe, Anais, skoro wszystko, co teraz do niego czuje, przypomina. .. odrazę? - Zamilkła i przycisnęła do ust drżącą dłoń. - Nie powinnam była tak mówić. To podłe. Jestem naprawdę niewdzięczna.

- Nie jesteś podła ani niewdzięczna - zaprotestowała Anais, waząc każde słowo. - Jesteś matką, a to oznacza, że musisz postępować ostrożnie. Ufać swojemu instynktowi. Pomoże ci ochronić dziecko.

- Ochronić? Przed czym? - spytała Charlotte ostro. Anais uśmiechnęła się słabo i ujęła znowu jej dłoń.

- Użyłam zbyt mocnych słów - zapewniła pospiesznie.

- Popadamy w histerię, obie. Wyobrażamy sobie nie wiadomo co. Posłuchaj, wiem, czego nam trzeba: szklaneczki sherry zamiast herbaty.

- Och, byłabym wdzięczna! - Policzki Charlotte odzyskały kolor. - Masz rację. Wyobrażam sobie nie wiadomo co, prawda?

- Tak. I potrzebujesz rozrywki. Odwrócenia uwagi.

- Uśmiechnęła się szeroko, wstała i pociągnęła za sznur dzwonka. - A ja ci ją zapewnię. Mam coś odpowiedniego. Karty.

- Karty? - Charlotte spojrzała na nią, zdziwiona.

- Zagramy w pikietę?

- Nie - odparła Anais. - Zaczekaj chwilę. Ach, jesteś, Petite! Bądź tak dobry, uprzątnij, proszę, zastawę do herbaty i przynieś nam trochę mocnej sherry Bernarda.

Lokaj pochylił głowę w ukłonie.

- Oczywiście, *madame*.

- Zaraz wracam - powiedziała Anais i wybiegła z pokoju.

W sypialni wyjęła z szuflady nocnego stolika hebanową szkatułkę. Kiedy wróciła do salonu, Petite nalewał wino do kieliszków. Ponieważ taca z zastawą została już wyniesiona, Anais postawiła szkatułkę na stoliku. Otworzyła ją i pomyślała z poczuciem winy, że karty nie by-

ły od dawna oczyszczane. Lecz w tym przypadku nie miało to znaczenia. Nie zamierzała przecież tak naprawdę z nich czytać.

Nie, zamierzała podsunąć Charlotte kolejną porcję podstępnych kłamstw. Wzburzyć wodę na tyle, by kobieta pozostała ostrożna. Zaczynała odnosić wrażenie, iż porwanie jej i dziecka byłoby znacznie łatwiejsze niż nakładanie jednej warstwy kłamstw na drugą.

- Ojej! - Charlotte pochyliła się nad szkatułką. - Co ty wymyśliłaś, Anais?

- Zamierzam uśmierzyć twój niepokój, Charlotte

- powiedziała Anais. - Powiedzieć, co przyszłość ma dla ciebie w zanadrzu. Co o tym sądzisz?

Charlotte spoglądała na Anais szeroko otwartymi oczami.

- Czy to jest tarot? - spytała. - Potrafisz się nimi posłużyć?

- Owszem, to *tarocchi* - przyznała Anais. - Tak nazywała je moja prababka.

- Boże, słyszałam o nich, lecz nigdy nie widziałam

- powiedziała Charlotte. - Wydają się bardzo stare.

- Bo są. I przerażająco kruche. Nie wystawiamy ich na światło, jeśli nie zamierzamy akurat wróżyć. Są przechowywane w tej szkatułce co najmniej od dwustu lat.

Karty ześliznęły się na jedną stronę, tworząc wachlarz. Charlotte dotknęła nieśmiało wierzchniej czubkiem palca.

- Ta - *le Re di Dischi* - wydaje się bardziej zniszczona - zauważyła. - Jak one do ciebie trafiły?

Anais spojrzała jej w oczy.

- Dar czytania z kart przechodzi w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie - powiedziała szczerze - choć przeskakuje zwykle jedno lub dwa. Prababcia była ostatnia, a potem Dar - mam na myśli zarówno umiejętności, jak i talię - przeszedł na mnie.

Na słowo Dar Charlotte wstrzymała na chwilę oddech, lecz szybko się opanowała.

- Czy twoja prababcia naprawdę potrafiła odczytać przyszłość?

- Dożyła dziewięćdziesięciu dwóch lat i nie widziałam, aby choć raz się pomyliła - odparła Anais, czując, że ogarnia ją przygnębienie. Wolałaby doprawdy, by Sofia w jednej czy dwóch sprawach jednak się myliła.

- Ale... nie mówisz chyba poważnie? - Kobieta przycisnęła dłoń do piersi.

- Zaczekaj, to się przekonasz - odparła Anais, tasując ostrożnie talię. - Gdy skończę, sama zdecydujesz, czy karty mogą mówić prawdę.

Rozłożyła talię na środku stolika.

- Weź je i przez chwilę potrzymaj. Niech poczują twoją energię - poleciała. - Emocje. Potasuj je, jeśli chcesz. A kiedy poczujesz się gotowa, odłóż i podziel lewą ręką na trzy stosiki. Nieważne, jakiej wysokości, bylebyś robiła to, przesuwając dłoń za każdym razem w lewo.

Charlotte obrzuciła Anais czujnym spojrzeniem.

- Dobrze.

Anais przyglądała się, jak kobieta wykonuje polecenie, układając karty w trzy stosy niemal równej wysokości.

- Doskonale. Teraz poprzestawiaj je, jak chcesz. Kiedy i to zostało zrobione, ułożyła karty w ulubiony

wzór prababki - koło z krzyżem pośrodku.

- Muszę cię uprzedzić, że tarot mówi prawdę, lecz bywa kapryśny - rzekła, rzucając ostatnią kartę. - Nie możemy mu niczego nakazać. Powiedz mi jednak, czy jest coś, czego szczególnie chciałabyś się dowiedzieć, a ja postaram się uzyskać odpowiedź.

- Nie - odparła Charlotte. - Zapytaj... po prostu... o przyszłość,

Anais żałowała, że nie może podejść do swego zadania równie lekko. Nagle to, co miało być rozrywką, zmieniło się w ponury obowiązek. Nieczęsto posługiwała się kartami, nawet dla rozrywki, gdyż było to coś, czego instynktownie wolała unikać. Przesiadując na kolanach

babki, widziała dość dziwnych rzeczy, by docenić moc kart, jeśli nie własne zdolności.

Zamknęła oczy i przesunęła dłonią nad kręgiem, nie dotykając go. Tak nakazywała tradycja. Tym razem od kart biło szokujące ciepło.

Zaalarmowana uniosła powieki i spojrzała na krąg. Wyglądał zupełnie zwyczajnie. Żadna ponadnaturalna moc nie podpaliła kart ani nie umieściła pod stołem gorących cegieł. Uznała zatem, iż przeżycia ostatnich dni odbiły się jej po prostu na nerwach, czyniąc je bardziej wrażliwymi.

Mimo to, odwracając pierwszą kartę, czuła trudny do przewyciężenia opór. Była to trójka mieczy - zatopionych głęboko w krwawiącym sercu - wielce znacząca karta, której nie odkryła jako pierwszej nigdy przedtem.

Charlotte aż się cofnęła.

- To przerażające - powiedziała drżącym głosem.

- Powiedz mi, proszę, że ta karta nie ma nic wspólnego ze mną.

Anais też zaczynała się bać.

- Pojedynczy obrazek rzadko coś przepowiada - wyjaśniła. - Znaczenie karty zależy również od jej ułożenia w kręgu, tego, jakie karty znajdują się w pobliżu, i od wielu innych rzeczy.

- Odwrócisz zatem więcej kart?

Anais przytaknęła i odwróciła jeszcze cztery.

- Ach - powiedziała. Charlotte zaśmiała się nerwowo.

- Co widzisz? Mam nadzieję, że nic związanego w jakikolwiek sposób z krwią i mieczami.

- Nic określonego, nie - wymamrotała Charlotte. Przesuwała dłonią nad kręgiem, czując się tak, jakby

miała na sobie zbyt ciasny strój, a w pokoju panował niemożliwy do zniesienia upał. Prawa dłoń paliła ją niczym po oparzeniu, na skórze czuła dziesiątki niemiłych ukłuć

- uznała, że bez wątpienia kłuje ją sumienie.

Nadal żałowała, że przyszło jej do głowy czytać z kart. Dziś były jakieś dziwne. To pewnie strach przed Lezen-nesem tak na mnie wpływa, pomyślała. Kiedy odwróciła wszystkie w okręgu, odchyliła się na krzesło i poruszyła ramionami, aby rozluźnić napięte mięśnie. Charlotte dotknęła najbliższej sobie karty.

- Ta jest ładna - zauważyła. - I czego się dowiedziałas?

- Niewiele ponad to, co już wiemy - powiedziała, wskazując dłonią lewą część kręgu. - Tutaj widzimy, że odbyłaś długą podróż, zapewne z Anglii. Nie ostatnio, do Brukseli, lecz wcześniej. Prowadziłaś szczęśliwe życie' na ogół.

- Owszem - przytaknęła Charlotte z żalem. - Spotkało mnie błogosławieństwo.

Anais odwróciła następną kartę, a ta jakby podskoczyła jej w dłoni.

Nie było jeszcze za późno, by się roześmiać i zgarnąć talię ze stołu.

- Anais? - Głos Charlotte zdawał się dobiegać z daleka.

- Przepraszam. Zgubiłam wątek. Charlotte dotknęła karty ostrożnie palcem.

- Wydaje się smutny.

- Bo jest - odparła lekko drżącym głosem. - Ta karta, wojownik Carbone, przedstawia kogoś, kto cię opuścił! Widzisz, jak odwraca od nas twarz? I ten ubywający księżyc?

- Taak - przytaknęła Charlotte, przeciągając głoski. - Kim on jest? To konkretna osoba?

Anais wiedziała to bez cienia wątpliwości.

- Ten potężny wojownik to twój mąż - odparła. - Wysłannik Boży, który przeszedł do innego świata.

- Och! - westchnęła Charlotte, prostując się na krzesło. - Na pewno tego nie zmyślasz?

Anais potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od kart.

- Nie, to zupełnie jasne - szepnęła. Dłoń lekko jej drżała. - Oto mężczyzna, który był twoją siłą i twoim światłem. Ubywający księżyc i

czwórka pucharów mówią nam o tym. Lecz światło blednie. Odszedł szczęśliwie, Charlotte. Jest spokojny i czeka na ciebie za zasłoną.

- Naprawdę?

- Jestem tego pewna - odparła szczerze, gdyż szczerze wydawała się w tej chwili najlepszą taktyką. Odwróciła kartę sąsiadującą z wojownikiem. - Ta, szóstka mieczy, przedstawia osobę dźwigającą wielki ciężar. Widzisz, co dźwiga? Wór pełen broni. Pokazuje to, co ci się niedawno przydarzyło. Toczyłaś długą i męczącą bitwę, Charlotte, i nadal spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność.

- Och! - wykrzyknęła kobieta.

- Ten obowiązek, ten wór mieczy, ciąży ci na barkach. Ale poprzednia karta - wojownik Carbone - znajduje się powyżej, w przerośniętych i w niebiosach. Czuwa nad tobą. Ufa, że zdołasz udźwignąć ciężar i będziesz postępowała ostrożnie. Jest pewien, że dokonasz właściwego wyboru.

Twarz Charlotte wykrzywiła się jakby w wyrazie żalu.

- Chciałabym podzielać tę wiarę!

- A tutaj - Anais odwróciła kolejną kartę i postukała w nią lekko palcem - widzimy zagrożenie dla spokoju twego ducha. Ta karta... przedstawia poważną troskę. Coś, co dręczy cię już od jakiegoś czasu.

- Tak? - spytała Charlotte, zaniepokojona. Anais odwróciła kartę poniżej.

- *Le fante di Dischi* - powiedziała. - To jest, tak, na pewno... Giselle.

Charlotte zaczerpnęła głośno powietrza.

- Giselle! Jednak... to przecież młodzieniec.

- Tak, ale musimy dostrzec kryjącą się za postacią symbolikę - odparła Anais. - Coś w Giselle bardzo cię niepokoi, prawda? Coś, co twój mąż rozumiał. Teraz czujesz się zagubiona. To cię przerasta.

Karta wyobrażała młodego wojownika o androgynicznym wyglądem, trzymającego na ramieniu sokoła. Miał tylko jeden but, odłożył też na bok tarczę. Znaczenie karty nie mogło być bardziej oczywiste. Czując się cokolwiek osłabiona, odwróciła kilka następnych przewyciężając impuls, by zmieść je ze stołu jednym ruchem dłoni.

- Powiedz mi, Charlotte - spytała cicho - czy rozumiesz, co to takiego przepowiednia?

- Ja... tak. Dlaczego pytasz?

- *Lefante di Dischi* przedstawia młodą osobę, która skrywa jakąś tajemnicę. Ptak symbolizuje to, co niewidzialne. Wiedzę, która powinna zostać ujawniona. Lecz młoda wojowniczką nie umie posługiwać się mocą i nie chce jej używać. Ma tarczę do walki, widzisz? Lecz nie wzięła jej jeszcze do rąk. Nie jest gotowa. Spogląda pytająco w prawo, na wojownika Carbone.

- Tak? - westchnęła Charlotte. - Mów dalej.

- Młoda wojowniczką szuka przewodnika. Jednak Carbone odchodzi w stronę ubywającego księżyca. Potrzeba jej zatem pilnie nowego przewodnika - mentora.

- Ale... co to wszystko znaczy?

- Giselle dźwiga wielki ciężar, Charlotte, a ty nie jesteś w stanie jej w tym pomóc. Potrzebujesz wsparcia

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Charlotte płacze Łzy spływały jej swobodnie po policzkach, jakby nie śmiała ich otrzeć i uczynić tym samym rzeczywistymi. Anais poczuła się chora - jakby obserwowała okropny wypadek i nie była w stanie odwrócić wzroku. Nie chciała tego Nie powinna była w ogóle zaczynać.

Moc *tarocchi* jest wielka, *Bella*, powiedziała kiedyś prababka. Trzymaj ją tak, jak trzyma się węże, chwytając mocno tuż za głowę.

- Chcesz, żebym przestała? - spytała, niemal modląc się, aby Charlotte przytaknęła. - Powiedz słowo, a zmiotę karty ze stołu.

Z piersi kobiety dobyło się drżące westchnienie.

- Nie. Kontynuuj.

- Widziałyśmy już przeszłość i, jak mi się wydaje, terażniejszość - powiedziała Anais głosem pozbawionym emocji. - Zajrzyjmy teraz w przyszłość. - Odwróciła kolejne dwie karty. - Kiedy wyjechałaś po raz pierwszy z domu, Charlotte? To znaczy, z Anglii?

- Ponad dziesięć lat temu. - Głos Charlotte drżał.

- Wysłano mnie do szkoły w Paryżu.

- Powiedziałaś, że nie masz rodziny.

- N-nie.

- Nie. - Anais uniosła brew. - A jednak... Charlotte otarła łzy grzbietem dłoni.

- Jednak, co?

- Ta karta, ósemka pentakli - kosz pełen kijów

- oznacza, że twój świat był kiedyś pełen. Zbierałaś bogate żniwo. Mnóstwo miłości oraz dostatek. Prosty świat, lecz wypełniony ludźmi. Zostawiłaś go za sobą?

- Ja... niedobrowolnie - odparła Charlotte słabo.

- Wyjechałam, by się kształcić. Zawsze chciałam wrócić. Poznałam jednak Pierre'a i wszystko się zmieniło.

Anais odwróciła kartę sąsiadującą z ósemką.

- A ten wojownik, *Il Cavaliere di Spade* - Rycerz Mieczy - tęskni za tobą - powiedziała, marząc o tym, by to okropne wróżenie wreszcie się skończyło. - Zostawiłaś go. Jest gotów o ciebie walczyć, Charlotte, lecz nosi w sercu ciężar, a jego miecz, widzisz, pozwolił mu upaść.

Charlotte krzyknęła cicho i przytknęła palce do warg.

- To... mój ojciec?

- Cóż, ten człowiek nie jest z pewnością martwy - odparła Anais. - Nie mogę sobie jednak wyobrazić, kim innym mógłby być.

- Och! - westchnęła znowu Charlotte, odzyskując rumieńce. - Jakże chciałabym wrócić do domu!

- Tego właśnie chcesz? Wrócić?

- Ja... nie mogę.

Zamknęła się w sobie, a Anais rozsądnie nie naciskała. Zamiast tego wyciągnęła drżącą dłoń i odwróciła ostatnią kartę. Niemal sparzyła jej palce.

- Boże Święty - wymamrotała, spoglądając na kartonik. - Tyle mieczy.

- Tym razem dwa - wyszeptała Charlotte. - Co to znaczy?

- Młoda wojowniczką i stary wojownik. Giselle spogląda na niego, szukając przewodnictwa. Widzisz te małe strzały? Zło tego świata próbuje ich osiągnąć, lecz mają broń i są przygotowani do bitwy, która niechybnie nastąpi.

- Dlaczego jest ich dwoje?

- Ponieważ wojowniczką znalazła swego mentora - odparła Anais. - Widzisz, przyklękła na znak poddania się jego woli. A on spogląda w dół i podaje jej ramię. Przekazuje swą siłę i wsparcie.

- Ale to nie... Lezennes, prawda?

- Na pewno nie. Ten mężczyzna jest taki jak ona. Nie może być inny.

- Taki jak ona?

Anais podniosła wzrok. Spojrzała na Charlotte, przyciskając zdecydowanie kartę czubkiem palca.

- To nie Lezennes - powtórzyła - lecz jej Strażnik. Charlotte zaczerpnęła głośno powietrza.

- Strażnik? - Spytała. Anais widziała jednak, iż Charlotte wie, o czym mówi.

- Tak. Mężczyzna, którego szukasz, Charlotte. Lezennes nie może ci pomóc.

- Ale kim on jest? To znaczy, jak się nazywa? I gdzie mogę go znaleźć?

- Nie wiem - odparła Anais szczerze. - Ale on na nią czeka. // *Cavaliere di Spade*, mężczyzna pogrążony w żalu i tęsknocie. To za jego sprawą wszystko się stanie. Mówi nam o tym jego pozycja pośrodku kola.

- Och. - Charlotte wyciągnęła rękę i położyła dłoń na środku okręgu. -1 wszystko to... przydarzy się Giselle?

- Powinno przydarzyć się Giselle - poprawiła ją Anais, przesuwając palcem wzdłuż okręgu. - Widzisz jednak to? I to? Te karty symbolizują trudne wybory, jakich trzeba będzie dokonać. Mosty - a jest ich wiele - które trzeba będzie przejść.

- Co mam zrobić? - wyszeptała Charlotte. - Od czego zacząć? Och, Anais, nie mogę popełnić błędu. Chodzi o moje dziecko!

Anais zebrała wreszcie karty.

- Bądź przede wszystkim ostrożna - poradziła. - Nie rób nic, nie mów nic, póki wszystko nie będzie dla ciebie jasne.

- A tak się stanie? - Charlotte spojrzała niemal błagalnie. - To znaczy, wszystko się wyjaśni?

Anais, wstrząśnięta o wiele bardziej, niż dała po sobie poznać, schowała karty do szkatułki.

- Tak - odparła spokojnie. - Nie wiem tylko, kiedy i w jaki sposób. Nie rób po prostu niczego głupiego. Obserwuj i czekaj.

- Obserwuj i czekaj - powtórzyła Charlotte.

Jej głos brzmiał głucho. Zgniotła w dłoni chusteczkę i oparła się na krzesło. Wyglądała na niemal załamana. To było dla niej zbyt wiele. Zakrawało na okrucieństwo. Niestety, było też prawdą.

Plan, aby posłużyć się kartami dla odwrócenia uwagi, zawiódł na całej linii.

Porozmawiały przez chwilę, a potem Anais odprowadziła Charlotte do wyjścia. Kobieta wyglądała na oszołomioną.

- Charlotte, wiesz, że nic z tego nie rozumiem. Czytam po prostu z kart. Może to, co powiedziałam, ma znaczenie dla ciebie, ale nie dla mnie. Rozumiesz to, prawda?

Madame skinęła głową i odwróciła się, by wyjść.

- Mimo to - rzuciła w ślad za nią Anais - uważam, że lepiej nie wspominać nikomu, co tu dziś zaszło, nie sądzisz?

Charlotte potrząsnęła głową.

- Jak mogłabym to opisać? - spytała. - Nie rozumiem nawet, co się wydarzyło.

Anais wyciągnęła ramiona i, poddając się impulsowi, uścisnęła przelotnie kobietę.

- Może coś nabierze jeszcze dla mnie sensu - rzekła. - Choć Geoff powiada, że nie jestem zbyt mądra.

- Nie wierzę w to - zaprotestowała Charlotte, po której widać było, że nie bardzo wie, w co wierzyć. - Powiesz mi, Anais, jeśli tak się stanie?

- Możesz na to liczyć. - Anais uścisnęła dłonie Charlotte, by dodać jej otuchy. - Idź teraz i spróbuj odnaleźć spokój. Zobaczymy się jutro wieczorem. Tymczasem ja się zastanowię, jak odwrócić uwagę Lezennesa, przynajmniej chwilowo.

Przyglądała się, jak Charlotte schodzi ze schodów i przemyka pomiędzy dwoma powozami. Zamknęła drzwi i oparła się o nie, przewyciężając chęć, aby zacisnąć dłonie w pięści i walić nimi o deski.

Boże, ależ z niej idiotka! To, co zaczęto się jako beztroska zabawa, zmieniło się w jakiś koszmar. Przesunęła dłońmi po spódnicy, jakby chciała zetrzeć z siebie brud tego, co zrobiła. Lecz, oczywiście, nie mogła. Była głupia, nie okazując szacunku *i tarocchi*. Traktując czytanie z kart jak czystą rozrywkę. Gorzej - sposób, aby manipulować niewinną osobą.

Popołudnie minęło, pozostawiając smak klęski. Czuła się wykorzystana, i to przez samą siebie. Nie osiągnęła nic poza wystraszeniem Charlotte niemal na śmierć.

Przeklinając pod nosem, oderwała się od drzwi niczym przesadnie napięta sprężyna i wbiegła po schodach na piętro.

Rozdział 12

Zwycięstwo odniesie ten,

kto wie, kiedy walczyć, a kiedy nie.
Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Geoff wrócił do domu, spędziwszy popołudnie na zwiedzaniu galerii sztuki oraz przesiadywaniu w kawiarniach. Pozwoliło mu to spotkać się w sposób dyskretny i na pozór przypadkowy z jednym z ludzi Du-Ponta, wyznaczonym do śledzenia Lezennesa.

Zadanie jest trudne, wyjaśnił ów człowiek, ponieważ tak zwane dyplomatyczne działania Lezennesa odbywają się na ogół w murach brukselskiego pałacu. Był jednak świadkiem przelotnego spotkania przedmiotu obserwacji z człowiekiem związanym niemal na pewno ze zwolennikami przywrócenia *Ancien Reginie*. Spotkanie odbyło się poprzedniego wieczoru w gmachu królewskiej opery, La Monnaie.

Wyglądało coraz bardziej na to, iż Lezennes skłania się ku legitymistom. Geoffa nie obchodziła jednak francuska polityka. Martwił się jedynie o Giselle Moreau. Kiedy dziewczyna dorośnie i będzie wystarczająco silna emocjonalnie, może posłużyć się Darem, aby przywrócić tron Burbonom. Do tego czasu wszakże Strażnicy Bractwa powinni nad nią czuwać. Nie wiedział tylko jeszcze, jak to zrealizować. Dlatego wróci! do domu przy Rue l'Escalier, czując się cokolwiek znużony. Rzucił kapelusz na blat stolika w holu, pomaszerował do sa-

lonu, nalał sobie na trzy palce whisky i wypił dwoma haustami, nim wszedł na górę, by przebrać się do kolacji.

Na piętrze do jego uszu dobiegły głuchoe stuki, jakby ktoś rzucał o podłogę kulą na którymś z górnych pięter. Zignorował je i zadzwonił na służącego, aby poprosić

o napełnienie wanny gorącą wodą. Zdążył zdjąć buty, kiedy pojawił się lokaj.

Rytmiczne stuki na górze przybrały tymczasem na sile.

- Co to za hałasy, Mertens? - zapytał, zdejmując kamizelkę.

- To chyba pani MacLachlan - odparł lokaj, podnosząc surdut Geoffa i wygładzając zagniecenia. - Wydawała się nieco wytrącona z równowagi, *sir*, jeśli wybaczy mi pan, że o tym wspomina. Udała się na strych przed godziną.

- Na strych? Po co? Żeby wywijać hołubce? Najwidoczniej Mertens nie zrozumiał, o co chodzi

Geoffowi, gdyż spojrzał bez wyrazu na pracodawcę.

- Nieważne. - Geoff popatrzył na zegar i zaczął podciągać na powrót spodnie.

Coś poszło nie tak podczas herbatki, mógłby się o to założyć. Może dama znów odwołała wizytę. A może nie...

Zapiął ostatni guzik i ruszył ku drzwiom.

- Powiedz pani Janssen, aby nie kłopotowała się kolacją - powiedział. - Poprosimy później o przyniesienie czegoś zimnego na górę. Zamierzam sprawdzić, co też wytrąciło panią MacLachlan z równowagi.

Pokonał schody, przeskakując po dwa stopnie, i pchnął drzwi do sali ćwiczeń monsieur Michela. Ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że Anais stoi pośrodku zalanego słońcem fragmentu podłogi przy worku boksterskim, trzymając w dłoni lśniący, groźnie wyglądający rapier. Założywszy jedno ramię elegancko za plecy, zastygła w pozycji *en garde* przed kołyszącym się workiem. Ubrana była jedynie w przylegające do ciała

spodnie z nankinu i luźną białą koszulę. Włosy, splecione w ciasny warkocz, opadały jej na plecy. Nagle, jakby poruszając się w takt muzyki, którą słyszała tylko ona, skoczyła płynnie do przodu i wbiła ostrze w środek „przeciwnika”.

I nie był to pierwszy cios, którzy dosięgnął celu. Z podziurawionego worka wysypywała się bowiem zawartość. Podłogę zaśmiecały strzępy białej bawełny oraz trociny. Anais wyrwała rapier, cofnęła się, wykonując ruch zgodny z zasadami sztuki szermierczej, a potem jąła przesuwając się niemal tanecznym krokiem po podłodze, walcząc z niewidzialnym wrogiem i stawiając kroki pewnie i z wprawą, jaką Geoff rzadko miał okazję obserwować.

Przez chwilę stał po prostu, wsparty o framugę i cofnięty tak, by nie mogła go zobaczyć. Zastanawiał się, czy nie wyczuła jego obecności, uznał jednak, że całą uwagę skupiła tym razem na walce, i to już od jakiegoś czasu. Oddychała głośno, nie dysząc jednak. Loki nad czołem zwilgotniały jej od potu.

Wiedział, oczywiście, iż to niegodne obserwować kogoś, kto nie wie o naszej obecności. Zbyt wielką sprawiało mu to jednak przyjemność, by zechciał się ujawnić.

Tymczasem Anais poruszała się to w przód, to w tył, wyginając smukłe plecy i atakując worek, jakby zamierzała ze szczerem go unicestwić. Posługiwanie się rapie-rem wymagało - z racji długiego ostrza - cierpliwości i doskonałej techniki. Chociaż była wyraźnie zdenerwowana, nie wpływało to na jej sprawność w posługiwaniu się bronią. Wyczuwał w ruchach dziewczyny niezaprzeczalną poezję, płynność i wdzięk zadające kłam brutalności ciosów.

Ukryte pod koszulą piersi kołysały się i poruszały, równie nieokiełznane, jak jej temperament. Spodnie z nankinu przylegały do bioder w sposób właściwy sportowcom, a przecież nieskończenie kobiecy.

Wszystko to było głęboko, nieodparcie wręcz erotyczne.

Kiedy wykonywała następne pchnięcie, uświadomił sobie coś zdecydowanie bardziej niepokojącego niżli skrywana gwałtowność Anais.

Pragnął jej.

I był już tym znużony.

Och, żądza nie wydawała się niczym nowym, pragnął jej od pierwszego spotkania. Problem w tym, iż pożądanie ani trochę nie słabło. Przeciwnie. Przebywanie pod jednym dachem z tą kobietą, niemalże w jednej sypialni, było piekłem. Spoglądanie na nią przez stół przy kolacji ćwiczeniem siły woli. A świadomość, iż leży sama w łóżku oddalonym zaledwie o kilka stóp, torturą najgorszego rodzaju.

A teraz jeszcze to.

Dlaczego miałbym sobie odmawiać, pomyślał, przyglądając się, jak Anais zatapia po raz kolejny ostrze w worku. Dawna logika zaczynała się chwiać. Na ogół kierował się w życiu honorem, lecz nie był związany obietnicą z żadną kobietą. A ona - cóż, nadal opłakiwała straconego kochanka i czekała na swego księcia, to oczywiste.

Ale i ona go pragnęła, zaprosiła do swego łóżka. Niczego nie oczekiwała i nie była w sprawach płci zupełnie zielona. Nawet gdyby mu o tym nie wspomniała, precyzja i sprawność, z jaką się poruszała, powiedziałyby mu, że jest kobietą panującą w pełni nad swoim ciałem. Miał też na tyle zaufania do swych umiejętności, by wiedzieć, że kiedy Anais raz krzyknie przy nim z rozkoszy, zapomni o swoim księciu z Toskanii - przynajmniej na jakiś czas.

W jej ruchach dało się wyczuć gniew, lecz był to gniew kontrolowany. Vittorio dużo ją widać nauczył. W następnej chwili odskoczyła i uderzyła mocno pośladkami o brzeg stołu, jakby przyparta doń przez bezlitosnego wroga. A potem zaskoczyła Geoffa, przetaczając się po wyłożonej suknem powierzchni stołu i lądując pewnie po drugiej stronie.

Oddychała ciężko, lecz stała mocno na nogach.

Wysunął się zza framugi, klaskając.

- *Bravissimo!*

Uniosła gwałtownie głowę. Jej oczy o wyrazistym spojrzeniu wydawały się dziś jeszcze większe.

- Geoff?

Podszedł ku niej powoli.

- Vittorio nauczył cię tego wszystkiego?

- Po części. - Przyglądała mu się czujnie, kiedy podchodził. - Długo tam stoisz?

- Wystarczająco długo.

Skinęła gwałtownie głową w kierunku ściany.

- Nie mam jeszcze dość. Znajdź sobie broń. Oparł się biodrem o stół.

- Ależ mamy humorek - powiedział cicho, przesuwając po niej spojrzeniem. - Podobają mi się kobiety wymachujące niebezpieczną bronią.

Anais musiała usłyszeć coś w tonie jego głosu. Opuściła rapier i przysunęła się bliżej.

- Potrafisz fechtować, prawda? - spytała, przyglądając mu się.

- O czym myślisz? Uniosła wyżej brodę.

- Jesteś w tym dobry? Uśmiechnął się lekko i uniósł ramię.

- Wątpię, czy zdołałbym wykonać fikołka w tył i nie upuścić przy tym broni - powiedział. - Ale tak, chyba mogę stoczyć satysfakcjonującą walkę.

Wzruszyła ramionami.

- No, dalej. Przekonajmy się, co potrafisz.

- Nie masz jeszcze dość? -Nie.

Podszedł do stojaka i chwycił pierwszą sztukę broni, jaka przyciągnęła jego wzrok. Anais poszła za nim i zmieniła rapier na inny, z tępą końcówką.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony - powiedział. - Ktoś mądrzejszy ode mnie wolałby posadzić cię i skłonić, byś powiedziała, dlaczego tak się wściekasz.

- Może kiedy indziej. - Cofnęła dla równowagi lewe ramię, uniosła gwałtownym gestem broń i brodę. -*En garde!*

- Chyba już to przerabialiśmy - wymamrotał Geoff, unosząc także swój oręż.

Przez dwadzieścia minut walczyli niczym dwie furie. Nie dał Anais forów, gdyż zdawał sobie sprawę, że tak dobry szermierz od razu zorientowałby się, iż przeciwnik nie wykorzystuje w pełni swojej przewagi.

Przewaga ta sprowadzała się jednak tylko do wzrostu, większego zasięgu ramion i tego, że nie był, w przeciwieństwie do niej, zmęczony. Agresywność Anais wcale jednak nie zmalała. Dziewczynka kilkakrotnie rzuciła się ku niemu, dokonując idealnego wypadu, odskoczył jednak i odparował pchnięcie. Zamaskował cios w biodro, a potem wycelował ostrze w jej gardło. Odparowała go bez trudu i dokonała szybkiej riposty, trafiając go w rękaw. I tak to szło - Anais na ogół w defensywnie, lecz nieustępująca ani na krok.

A kiedy tańczyli po drewnianej podłodze, szurając stopami, podskakując i tupiąc przy ogłuszającym szczęku broni, uświadomił sobie, że Rance miał rację. Pod jednym przynajmniej względem Anais posiadała wystarczające umiejętności, by zostać Strażnikiem. Niewielu znalazłoby się mężczyzn - może jeden na stu - zdolnych odeprzeć jej atak.

Lecz on był właśnie tym jednym - a przynajmniej powinien być.

Stracił na chwilę czujność, a ona natychmiast to wykorzystała, dokonując kolejnego wypadu i celując w tętnicę udową Geoffa.

- *Fa 'attenzione!* - krzyknęła.

Klingi uderzyły o siebie, szczepiły się i tak zostały, nim słowa dobieły się z jej ust.

- Och, uważam - odparł, wykonując okrężny ruch ramiem i zmuszając ją do tego samego. - Zdajesz sobie sprawę, że mówisz znowu po włosku?

- Przepraszam - Uśmiechnęła się złośliwie i odparowała cios. - Widzę jednak, że zrozumiałeś.

- *Si, signorina* - przytaknął.

Walczyli jak szaleni, a metal uderzał ze szczękiem o metal. Była zmęczona, a on poruszał się niczym robotnik wykonujący ciężką pracę. Zamarkowała cios, a potem wycelowwała w policzek Geoffa, ale zabrakło jej szybkości. Odparował cios i zmusił ją, by znów się cofnęła.

W następnej chwili popełniła błąd. Odkoczyła dwa kroki w tył i zbliżyła się za bardzo do grubej boksterskiej maty. Obcas uwiązał jej w płótnie. Upadła, wypuszczając z rąk broń, która potoczyła się z brzękiem po podłodze. Anais zaś wylądowała na pupie.

Oddychając ciężko, przyklęknął pomiędzy kolanami Anais i przycisnął ostrze rapiera do jej ramienia.

- *Touche* - powiedziała.

- *Non* - zaprotestował. - *Pas de touche*.

- O, nie. - W jej czarnych oczach zabłysło ostrzeżenie.

- Nie waż się. -Co?

- Nie ustępuj mi ani na cal - rozkazała, wspierając się na łokciach. - Ani na cal, słyszałeś?

- Na miłość boską, Anais! - Geoff opadł na podłogę tuż obok i otarł rękawem spocone czoło. - Nie daję ci forów. Gdybyś była wypoczęta i w normalnym stanie umysłu, na pewno byś mi dorównała.

Odwróciła głowę, czekając, aż uspokoi się jej oddech.

- Daj mi odsapnąć - powiedziała po chwili - a potem zaczniemy od nowa.

Położył dłoń na policzku dziewczyny i odwrócił ku sobie jej twarz. Wstążka rozwiązała się i gdzieś przepadła, więc włosy opadały jej teraz ciemną falą.

- Co się stało, Anais?

Znowu ten ostrzegawczy błysk w oku.

- Czułam się... uwięziona w tym domu - poskarżyła się.

- Ubezwłasnowolniona. Musiałam trochę się poruszać.

Uznał, że nadarza się okazja, by złożyć jej propozycję, której, taką miał przynajmniej nadzieję, nie odrzuci.

Nie zrobił tego jednak, lecz zatonął spojrzeniem w jej oczach. Powietrze między nimi aż iskrzyło od zmysłowego napięcia, wyczuwał jednak pod nim ból i to go martwiło. Zamierzał uwieść Anais, to prawda. Lecz nie w ten sposób. I jeszcze nie teraz.

- Co się stało, Anais? - powtórzył.

- A musiało się coś stać?

Drgnęła, jakby zamierzała wstać, powstrzymał ją wszakże, przygniatając nogą jej nogi.

- Moja droga, mieszkaliśmy razem wystarczająco długo - powiedział, obejmując nadal dłonią jej policzek - bym wiedział, jak wyglądasz, kiedy ogarnia cię furia.

- Och, czy to twój Dar? - spytała cicho, wpatrując się w usta Geoffa. - To on pozwala ci wtykać ten idealny anglosaski nos w nie swoje sprawy i wyciągać pochopne wnioski?

- Póki ta misja nie dobiegnie końca, będą to nasze sprawy - powiedział, opuszczając głowę. Musnął wargami niewielką opuchliznę tuż pod jej okiem.

Odepchnęła go jednak.

- Zostaw mnie.

Lecz Geoff nie był w nastroju, by jej posłuchać.

- Chyba skończyliśmy już z tą strategią - zamruczał. Bo i skończyli, a przynajmniej on. Poskromi to dzikie,

pełne pasji stworzenie. Z trudem opierał się chęci, aby przytulić ten płomień do piersi, choćby miał go poparzyć. Nagle to, co uważał za najlepsze dla Anais, a także zapierająca dech w piersi uroda lady Anishy, nawet gniew lorda de Vendenheima - przestało mieć znaczenie.

Przycisnął sobą dziewczynę, wsunął palce w jej włosy tuż przy skroni i zaczął ją całować - bez chwili wahania, w najbardziej zmysłowy sposób. Nie mogło być wątpliwości, czego chce.

Uniosła prawe kolano i spróbowała go odepchnąć. Na próżno jednak. Chwycił ją za nadgarstki, a potem uniosł skępowane dłonie za głowę i kontynuował wyrafinowaną pieszczotę, uwodząc i smakując...

Drżała pod nim jak żywe srebro. Chciał się w niej zagubić. Zmusić, by mu uległa, tak jak kobieta ulega mężczyźnie. Od zapachu jej skóry i włosów kręciło mu się w głowie.

Anais poruszyła się, krzyknąwszy cicho z oburzeniem. Przycisnął wargi po raz ostatni do jej ust, a potem cofnął niechętnie głowę.

- Mam przestać, kochanie? - szepnął. - Na pewno? Oczywiście Anais zabłyśły, lecz były już pociemniałe z pożądania.

- A przestałbyś?

- Niechętnie - wykrztusił. - Ale tak, gdyby dama sobie tego życzyła.

Jej rozpięta koszula ukazywała dekolt aż po wierzchołki piersi, czarne loki połyskiwały w blasku zachodzącego słońca tysiącem diamentików. Patrzył na nią, a serce ścisnęła mu tęsknota, której nie rozumiał. Uświadomił sobie, że przynajmniej w tej chwili zrobiłby wszystko, o co by poprosiła.

Nie odezwała się, uczynił więc ruch, jakby chciał się odsunąć. Błysk satysfakcji w jej oczach powstrzymał go jednak.

Zaklął pod nosem, a potem przycisnął czoło do czoła Anais, oddychając ciężko.

- Powiedziałaś, że czekasz na Pana Właściwego Na Teraz - wydyszał - więc proponuję ci siebie. Chcesz, żebym błagał?

- Nie - wyszeptała. - Chcę, żebyś poprosił, tylko bez pięknych słówek. Powiedz po prostu, czego chcesz. A potem spraw, abym to ja błagała.

Zamierzała doprowadzić go do szaleństwa.

Był pewien, że jeszcze trochę i jej się uda. Zaciśnął mocniej dłoń na nadgarstkach dziewczyny, uniósł jej dłonie wyżej za głowę i unieruchomił, przygniatając ciężarem swego ciała.

- Chcę cię pieprzyć, Anais - powiedział. - Proszę. Wyraziłem się jasno? Pragnę cię tak bardzo, że ledwie jestem w stanie oddychać. I tak, potrafię sprawić, byś błagała.

- Hmm. Rzeczywiście, wyrażasz się jasno. Mów dalej. Poszukał wzrokiem jej twarzy - jej pięknej, jakże godnej uwagi twarzy.

- Czasami świadomość, że jesteś w pokoju obok, nie pozwala mi zasnąć - wyszeptał. - A kiedy zasypiam, czuję we śnie bicie twego serca. Nacisk piersi, włosy zaplątane w...

Przerwała mu, przyciskając usta do jego ust, i unosząc głowę, aby go pocałować. Uwolnił nadgarstki dziewczyny i wsparł się na łokciach, ujmując jej twarz w dłonie i odpowiadając na pocałunek.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał, muskając wargami gładki policzek.

- Nie mów tak - odparła, przesuwając dłonie w dół jego pleców. - Nie musisz tego mówić.

- Skoro nie wierzysz, to ci udowodnię - westchnął chrapliwie, nim zaczął znów ją całować.

A potem zrobił, co zapowiedział, penetrując jej usta powoli, słodko, obejmując dłonią pełną, doskonałą w kształcie pierś i pocierając kciukiem sutek. Westchnęła z rozkoszy, a wtedy uniósł się i zerwał z siebie koszulę.

- Zamknę drzwi - wyszeptał.

- Tak - odparła, przesuwając wzrokiem po jego nagim torsie. - Ale, Geoff, ja...

Zamilkła i głośno przełknęła. Pochylił się, by pocałować ją znowu, zanurzyć palce we wspaniałej gęstwinie ciemnych włosów.

- O co chodzi, Anais? Skrzywiła się nieznacznie.

- Minęło już sporo czasu, od kiedy ja... - zaczęła. -1 nie jestem zbyt... utalentowana. Nie tak, jak kobiety, do których przywykłeś.

- Anais, kochanie, kobieta taka jak ty me potrzebuje doświadczenia ani szczególnych umiejętności. - Musnął wargami jej czoło. - Ja też dawno się nie kochałem. Pamiętam jednak chyba, jak się to robi...

- Jak dawno? - spytała, przyglądając mu się uważnie. Zastanawiał się przez chwilę. Ledwie mógł sobie przypomnieć. Zupełnie, jakby Anais usunęła wszystkie inne

z jego myśli. . .

- Przypuszczam, że kilka miesięcy - powiedział. - Nie jestem facetem, który utrzymuje stale kochanki.

- Nie masz więc innej? - spytała z cieniem uśmiechu na twarzy.

Potrząsnął głową.

- Nie. A kiedy patrzę na ciebie, zastanawiam się, czy były w ogóle jakieś inne.

- Kłamca - szepnęła, ale się uśmiechnęła. Był to powolny, zmysłowy uśmiech, zapowiadający długą, spędzoną na przyjemnościach noc. A potem uniosła ramiona. - Rozbierz mnie, piękny kłamco.

Pochylił głowę i zrobił, o co prosiła - powoli i z rozmysłem, scałowując z jej twarzy rumieniec zawstydzienia. Obnażając połyskującą perłowo skórę, zatrzymywał się od czasu do czasu, by ją pogłaskać lub choćby jej dotknąć. Piersi miała ładniejsze, niż zapamiętał, chociaż nie widział ich przedtem całkowicie obnażonych. Nogi Anais były długie i bardziej umięśnione niż smukłe. Co zaskakujące, spodobało mu się to.

Włosy, uwolnione od warkocza, przelewały mu się przez palce jak czysty jedwab, sprawiając, że wspomniął noc na „Jolie Marie”, kiedy tak bardzo jej pragnął. Pragnął i bał się, że ta kobieta jest inna. Może przysporzyć mu cierpienia.

Słońce zaczęło już zachodzić i uświadomił sobie mgliście, że stracił poczucie czasu. Zrzucił bieliznę i przyglądał się z typowo męską satysfakcją, jak źrenice Anais rozszerzają się, a potem pojawia się w nich ciepły blask

Odwrócił się i opadł na nią.

Anais podciągnęła kolana i objęła go nogami, odrzucając w tył głowę.

- Pragnę cię, Geoffie, do bólu - wyszeptała - Chce poczuć cię tam, w środku.

Prostota tego wyznania głęboko go poruszyła. Pocałował ją znowu - pomyślał, że mógłby umrzeć szczęśliwy już tylko ją całując - i przesunął z wolna wargami wzdłuż długiej kolumny jej szyi. Ucałował obojczyki Anais, a potem zacisnął usta wokół jej sutka, ssąc delikatnie. Wsunęła mu palce we włosy, odchyliła w tył głowę i głośno westchnęła. Rozkoszna tęsknota spłynęła w dół jej ciała od piersi wprost ku łonu.

- Geoffie - poruszyła wymownie biodrami. - Proszę

- Mam sprawić, żebyś błagała, pamiętasz? - wyszeptał, obsypując pocałunkami jej brzuch.

-To...-przerwała, aby zaczerpnąć oddechu- nie było błaganie?

- Nawet w przybliżeniu.

Otoczył językiem jej pępek. Przycisnął wargi do wewnętrznej strony jej uda.

- Mogę? - wyszeptał.

Choć zamroczona pożądaniem, zrozumiała, o co pyta. Nie była przecież tak zupełnie niedoświadczona. Wcisnęła rozłożone na płask dłonie w matę i wyszeptała:

- Nie wiem. Pocałował drugie udo.

- Ach - powiedział. - Musimy więc się dowiedzieć. Otworzył ostrożnie, jakby dotykał kwiatu, płatki jej

płci, a potem wsunął pomiędzy nie język, pogrążając Anais w otchłani pożądania. Słodki ból czający się w głębi jej trzewi przybrał natychmiast na sile.

- Anais, moja śliczna - wymruczał Bessett z ustami przyciśniętymi do jej najbardziej intymnego miejsca.

Tym razem wsunął język głębiej, sprawiając, że zadrżała. Jęknęła raz i drugi, a wszelka myśl o oporze wywietrzała jej z głowy. Pragnęła zagubić się w tym czymś

- magicznym, boleśnie przyjemnym dotyku.

Pieści! ją wytrwale językiem, a gdy zadrżała, wsunął w ciepłe wnętrze jej ciała jeden, a potem drugi palec. Była wilgotna i chętna.

Zaczęła oddychać szybko i urywanie, ściskając kurczowo w dłoniach matę. Zdawało jej się, że traci przytomność, a jej umysł zlewa się z ciałem. A może przeniosły się razem do innego miejsca, kto wie? Mała śmierć, oto jak nazywają to przeżycie Francuzi - i Anais wiedziała już teraz dlaczego.

Przyjemność uderzyła z całą mocą, przetoczyła się przez ciało, porywając ją i niemal zatapiając w oceanie rozkoszy. Poddała się, zagubiła w niej, pozwalając, aby uniosła ją daleko na fali cudownej, erotycznej ekstazy.

Wracała do przytomności powoli, stopniowo zdając sobie sprawę z tego, co ją otacza. Czowała na brzuchu ciężar głowy Geoffa, a na skórze szorstki dotyk jego brody. Za oknem śpiewał spóźniony ptak. Uniosła głowę i zobaczyła, że niebo mieni się odcieniami fioletu i lazuru

- ostatni przebłysk życia umierającego dnia.

I właśnie w cudownym świetle kończącego się popołudnia dostrzegła na lewym pośladku Geoffa nieomylny znak - złoty krzyż Fraternitas Aureae Crucis. Opleciony ostem zaświadczał, że ten, kto go nosi wywodzi się z rodu obdarzonego największą w Bractwie mocą - z linii szkockiej.

Ten widok zaskoczył Anais i przypomniał jej, kim jest kochanek. A także, dlaczego się tu znaleźli. I jak krótka będzie ich zażyłość.

Jęknęła i opuściła głowę na matę.

- W porządku - powiedziała, osłaniając grzbietem dłoni oczy. - Nie mam nawet siły błagać. Rób ze mną, co chcesz.

Roześmiał się nie podnosząc głowy, a ona poczuła, że śmiech wibruje w niej, jakby byli jedną osobą. Jednością.

Och, wiedziała, jak to się dzieje, że ktoś zaczyna tracić samego siebie. Jak pożądanie odsuwa cię od lepszej, bardziej rozsądnej części twojej natury. Tylko że nic jej to nie obchodziło. Choć raz chciała myśleć jedynie o sobie. O przyjemności, jaką mógł dać jej ten piękny mężczyzna. Chwyciła go za rękę i skłoniła, aby się podniósł. Rozsunęła zapraszająco uda.

Zamknawszy oczy, ukląkł pomiędzy jej nogami.

Tak, był absolutnie doskonały, ten mężczyzna, na którego nie zasługiwała, a jednak go pragnęła. Klatkę piersiową miał szeroką i gładką, mięśnie twarde i wyraźnie zarysowane - jak wykute w kremowym marmurze.

Uśmiechnął się i pochylił. Fala włosów opadła mu na twarz, gdy wszedł w nią i zaczął się poruszać.

Jęknął cicho - ze znużenia lub raczej z powstrzymywanej z trudem żądz. Anais zareagowała, podciągając wyżej kolana, obejmując go w pasie dłońmi i skłaniając, by wszedł w nią jeszcze głębiej. Naparł na nią ciężarem swego ciała, wypełniając tak szczelnie, że zaczęła się obawiać, iż nie zdoła go pomieścić.

Ale zdołała.

I to jak...

Uniosła ochoczo biodra, by mógł wniknąć w nią głębiej. Jęknął znowu, a żyły na jego szyi napięły się niczym postronki. Wysunął się z niej, by wejść jeszcze dalej, napierając i budząc znów w trzewiach głęboki, rozkoszny dreszcz.

- Och... - wyszeptała. - To... cudowne. I takie właśnie było. Jeśli jego usta wyprawiały z nią rzeczy rozkoszne i grzeszne, obecne doznanie przewyż-

szało tamto. Pchnął znowu i usztywnił ramiona. Mięśnie i ścięgna zarysowały się wyraźniej.

- Anais - wyszeptał. - Kochanie, doskonale do siebie pasujemy.

Szybko okazało się, że razem są niczym podpałka rzucona na tłący się żar.

Anais unosiła się ku niemu instynktownie, czując, że jej ciało dostosowuje się do jego ciała w istnej symfonii przyjemności. Jakby robili to już tysiące razy. A przecież wszystko było dla niej nowe. Zaczęła się obawiać, że zawsze już tak z nią będzie: to, co znane, pomieszane z nowym, a ona bezradna i obnażona. Ale nie pora teraz się tym przejmować. Nie podczas niekończącej się rozkoszy. Przesunęła dłonie w dół, od szerokich ramion Geoffa poprzez rzeźbione mięśnie jego pleców, ku krągłym pośladkom, które napinały się i drżały. Jego zapach spowijał ją niczym odurzająca chmura: piżmo, odrobina tytoniu i bogata, ciepła woń wody kolońskiej. Przywarła do niego, żeby mogli stopić się w jedno.

Geoff jęknął i wyszeptał chrapliwie jej imię. Jego lodowato błękitne oczy zdawały się topnieć. Przyspieszył i Anais natychmiast dostosowała się do jego ruchów.

Te oczy. Te zadziwiające oczy, które zdawały się nie mieć wieku. Zimne, a zarazem gorące. Zamierzała utonąć w ich ciepłym błękicie. Porywał ją i unosił niczym cofająca się fala. Czuła, że odrywa się od brzegu, którego trzymała się dotąd tak kurczowo. A potem było już tylko światło, szalona jazda na szczycie fali.

Dotarli tam razem i było tak, jakby jej dusza zlała się z jego duszą. Głęboka, wirująca kipiel zamknęła się nad nią i Anais wiedziała już, że jest stracona.

Rozdział 13

Strategia bez taktyki to najwolniejsza droga ku zwycięstwu.

Taktyka bez strategii to harmider poprzedzający klęskę.

Sun Tzu Sztuka wojny

Leżeli potem w mroku zamierającego dnia, wtuleni w siebie niczym koty. Geoff ułożył się za Anais, otaczając jej talię ciasno ramieniem, a ona wtulała w niego biodra. Przycisnął usta do pulsującego na jej szyi i pozostał w tej pozycji tak długo, że zaczęła się już zastanawiać, czy aby nie zasnął.

- Geoff? - wymamrotała sennie.

Poruszył się i popieścił delikatnie wargami jej ucho.

- Hmm - zamruczał.

Odczuła towarzyszące temu wibracje całą sobą. A potem wtulił twarz w jej włosy i tak pozostał. Przez chwilę omal nie osunęła się ze stanu rozkosznego zaspokojenia w głęboki sen, lecz szybko się ocknęła.

- Czas na kolację? - spytała, prostując ramię. Obsypał pocałunkami jej szyję.

- Odwołałem ją - powiedział. - Zanim przyszedłem na górę.

- Doprawdy? Taki byłeś pewny swego?

- Boże, nie. Z tobą nigdy nie jestem niczego pewien i muszę przyznać, choć nie powinienem, iż uważam to za zdecydowanie odświeżające. Choć także irytujące.

- Irytujące? - odwróciła się ku niemu zaciekawiona, ale i zawstydzona nieco swą nagością.

Widać domyślił się tego, sięgnął bowiem za siebie, podniósł z podłogi koszulę i zarzucił ją na Anais.

- Proszę - powiedział. - To było największe szaleństwo. Mamy na dole dwa arcywygodne łóżka, a teraz pewnie się zaziębisz.

Lecz ona nadal się zastanawiała.

- Powiedz mi... - zaczęła - czy ty nie możesz nas... zobaczyć? To znaczy, czy gdybyś zechciał, mógłbyś przewidzieć to, co się tu dziś wydarzyło?

Przechylił głowę i spojrzał na nią.

- Mówiłem ci już, że to tak nie działa.

- To znaczy?

- Żaden *vatei* nie może zobaczyć swojej przyszłości, podobnie jak innych osób obdarzonych Darem. Często wyczuwam różne rzeczy, zwłaszcza silne emocje, kiedy przebywam w pobliżu kogoś. Strach, niegodziwość czy zwykłą nieuczciwość. Muszę jednak się na nie otworzyć.

- Tak - wyszeptała. - Zauważyłam.

- Nie dzieje się to bez udziału woli - kontynuował. - Chyba że jestem chory lub osłabiony z innego powodu. Gdy byłem dzieckiem, wizje przelatywały przez mój umysł bez żadnej kontroli. Wystarczy! dotyk, a nawet intensywny kontakt wzrokowy. Byłem jak Rutłweyn.

- A potem nauczyłeś się opuszczać zasłonę - wymamrotała.

- Tak, i sytuacja uległa odwróceniu. Teraz muszę się postarać, by coś zobaczyć, lecz rzadko to robię.

- A czy intymność... nie tworzy swego rodzaju... połączenia?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

- Zapewne mogłaby, lecz nigdy tak się nie stało. Zależy to chyba od tego, co rozumie się przez intymność. Spałem z wieloma kobietami, nie mogę jednak powiedzieć, bym stworzył z którąś intymną więź.

- Czyli że... to dla ciebie tylko zabawa.

- Nie. - Ujął dziewczynę stanowczym gestem pod brodę i odwrócił ku sobie jej twarz. - Nie. Mówiłem o innych kobietach, Anais. Dla nas to nigdy nie będzie tylko zabawa.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Poza tym, ty też jesteś *vatei*. Jak Giovanni Vittorio, wywodzisz się od wielkich celtyckich jasnowidzów. A *vateis* nie mogą czytać w myślach ani uczuciach im podobnych. Nie dogłębnie. Tak zawsze było i tak jest. Dzięki Ci, Boże, za drobne łaski, jak mawia Ruthveyn.

Anais potrząsnęła głową.

- Ale jak Celtowie zawędrowali do Toskanii? Geoff wzruszył ramionami.

- Czytałaś Tacyta?

Obdarzyła go miażdżącym spojrzeniem.

- Vittorio mi kazał - powiedziała. - A ja się przyłożyłam.

Uśmiechnął się i przesunął dłonią po włosach Anais.

- Jestem pewien, że przekazał ci także, iż w prowincjach na północ od Rzymu wpływy Celtów zawsze były silne. Niektórzy sądzą, że Tacyt również był Celtem.

- Tak, pamiętam.

- Co ważniejsze, jego pisma sugerują, że celtyccy kapłani, zwłaszcza *vatei* oraz druidzi, fascynowali Rzymian. Czasami wprowadzano ich i przywożono do Rzymu, zdarzały się nawet mieszane małżeństwa.

Potrząsnęła głową. Jej włosy zaszeleściły, ocierając się o matę.

- Wszystko to prawda, lecz ja nie jestem taka jak ty - powiedziała cicho. - I jak Ruthveyn.

- Prawie nikt nie jest - odparł. - I Bogu niech będą za to dzięki. Lecz Dar może przybierać różne formy, Anais. Z pewnością o tym wiesz. Niektórzy widzą przyszłość we śnie. Inni mają jedynie silną intuicję. Jeszcze inni wróżą z fusów po herbacie, i tak, prawie każdy z nich

to szarlatan. Tylko nieliczni, i obdarzeni, jak Ruthveyn, wyjątkowym pechem, mogą ująć twoją dłoń, spojrzeć ci w oczy i powiedzieć, jak i kiedy umrzesz. Anais zadrżała w jego objęciach.

- Nie podpadam pod żadną z tych kategorii.

- Nie, u ciebie Dar przybrał bardziej subtelną postać. Vittorio go dostrzegł i wyszlifował, gdyż wiedział jak.

Nie odezwała się.

- Masz szósty zmysł, Anais - powiedział, całując jej włosy. - Maria Vittorio ma rację: jesteś niczym kot w ciemności. Może i nie potrafiłabyś dźgnąć kogoś na ślepo prosto w serce, uważam jednak, że umiesz wyczuć ludzką psychikę. Chyba że zaabsorbuje cię coś innego. Na przykład szermierka. Albo kochanie się. - Objął dłonią jej twarz. - No i jest jeszcze tarot.

Uniosła szybko głowę.

- Co z nim?

Musnął ustami jej policzek.

- Twoja prababka zajmowała się wróżeniem, prawda?

- wymruczał. - Prawdę mówiąc, dostrzegłem któregoś dnia na twoim stoliku kartę, założyłem więc... założyłem, że trzymasz talię w tym czarnym pudelku, z którym się nie rozstajesz.

Anais nie odpowiedziała. Nie chciała myśleć o przepowiedniach babki - zwłaszcza o jednej z nich. Nie teraz. Przewróciła się więc na bok i wtuliła twarz w pierś Geof-fa. Pachniał potem, mężczyzną i czymś, co odbierała

- przynajmniej w tej chwili - jako ukojenie. Leżała tak przez dłuższą chwilę okryta jego koszulą, bezpieczna w jego ramionach i rozmyślała o jedynej - no, może o drugiej w kolejności - sprawie, o której próbowała nie myśleć.

Zawsze starała się robić to, czego od niej oczekiwano. Ciężko pracować, by zostać kiedyś Strażnikiem, jeśli tego życzyła sobie jej prababka. Była posłuszną córką - przynajmniej na ogół - oraz lojalną siostrą Nate'a, Armanda i dzieci. A także oddaną kuzynką. Siedziała przy łóżku

Giovaniego, karmiąc go rosółem i trzymając za rękę, póki rak nie wypędził z jego ciała duszy.

Była też dobrą dziewczyną, kiedy Giovanni i Maria usiedli z nią i pośród łez wyjaśnili, że będzie musiała zapomnieć o Rafaelu. Bo choć jest kłamcą i łajdakiem, ma żonę i dziecko.

Zatem tak, była dobrą dziewczyną. Zrezygnowała z głupich marzeń.

Nie była jednak - i nie mogłaby być - przeklętą wróżką!

Poza tym miała już po uszy tego, że jest tak dobra i posłuszna. Wolała być zła - pozwolić, by zepsuty lord Bessett rozebrał ją i wyczyniał najbardziej rozpustne rzeczy. Przez jedną godzinę, spędzoną w jego ramionach, bycie grzeczną dziewczynką straciło powab.

Wiedziała jednak, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. A to dlatego, że jak mawiała Sofia, są nam pisane. Rafael nie był jej *Re di Dischi*. Z pewnością Geoff, elegancki i do szpiku kości angielski, także nim nie był. Lecz jej tokański książę w końcu się zjawi. Zaś Anais pisane było pozostać na zawsze dobrą - a przynajmniej uczciwą - osobą.

Westchnęła i zadrżała lekko. To dziwne, lecz chciało jej się płakać.

- Rozłożyłam dziś dla niej karty - wyszeptwała wprost w miękkie włoski porastające jego pierś.

Wyczuła raczej, niż zobaczyła, że na nią spogląda.

- Komu? - zamruczał. - Charlotte? - Tak.

- Potrafisz zatem z nich czytać? - spytał, całkiem już obudzony.

Wzruszyła ramionami.

- Każdy potrafi, prawda? Nie trzeba do tego Daru. Parsknął śmiechem.

- Nie wierzę w to. Westchnęła.

- Pewnie masz rację - powiedziała cicho. - Tylko że wcale nie zamierzałam tego robić. To miała być rozrywka. Głupia, przyznaję. Chciałam powiedzieć jej po prostu to, co powinna usłyszeć. Lecz karty...

Zamilkła i potrząsnęła głową.

- Co takiego? - zapytał z naciskiem.

Uniosła głowę i spojrzała na niego, czując się bardziej niż trochę zagubiona.

- Mówiły dziś prawdę. Czułam to. Jakby miały własną wolę. Tak, czytałam z nich. Nie miałam wyboru.

- To znaczy, czytałaś z tego - powiedział, kładąc jej dłoń na sercu.

Skinęła głową.

- Wiedziałam, co chcą mi powiedzieć. Nie dlatego, że obserwowałam przez tyle lat prababkę, lecz... w inny sposób. Powiedziałam zatem Charlotte, co widzę. I mocno ją przestraszyłam. Boże Święty, sama się wystraszyłam.

- Biedna Anais...

- Biedna Charlotte! - poprawiła go. - Z początku czułam się po prostu brudna, jakbym nią manipulowała. Okłamywała ją. Lecz potem ogarnął mnie gniew. Na siebie. Tarot jest niebezpieczny, nie wolno traktować go jak zabawki. Byłam tego świadoma.

- Tarot jest niebezpieczny dla kogoś posiadającego zdolność odczytywania go - zauważył Geoff łagodnie. - Dla pozostałych to jedynie talia kart.

Anais przytuliła policzek do jego piersi.

- Chyba po prostu się łudziłam. Nie życzę sobie Daru. Jakiegokolwiek rodzaju.

- Wiem - wyszeptał. - Uwierz mi, Anais, dobrze to wiem.

Nim zdążyła zareagować, uścisnął ją mocno, a potem przewrócił się na plecy i przeniósł ją tak, że usiadła mu okrakiem na biodrach. Trwali tak przez dobrą chwilę, patrząc sobie w oczy.

- Zatem o to chodziło - powiedział, przesuwając spojrzeniem po jej twarzy. - Stąd furia, którą wyładowałaś na biednym worku treningowym pana Michela.

Zakłopotana poruszyła ramionami.

- Geoffie, chcę po prostu, żeby to się skończyło - wyszeptała. - Nie życzę sobie okłamywać Charlotte co do tego, kim i czym jestem. I nawet o tym myśleć.

- Ja też chciałbym, żeby to się skończyło - odparł spokojnie. - Ośmielę się jednak twierdzić, że powiedziałaś Charlotte dziś więcej prawdy niż ktokolwiek od śmierci jej męża. To nie twoja wina, że prawda właśnie tak wygląda.

Anais podniosła głowę i spojrzała na świetlik. Po fioletowym niebie przesuwały się z rzadka chmury.

- Widziałam je, Geoffie - szepnęła. - Zło, o którym mówiłeś. Ciemność. Charlotte grozi niebezpieczeństwo, większe nawet niż Giselle.

- Jakiego rodzaju niebezpieczeństwo? Zagryzła wargi i potrząsnęła głową.

- Chciałabym to wiedzieć - odparła. - Lecz było tam coś... tuż poza moim zasięgiem. Coś, co karty chciały mi pokazać. Nie mogę pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że jakaś część układanki uchodzi naszej uwagi. Wiem, iż nie możemy zostawić tu Charlotte. Musimy wydostać je obie, i to szybko.

Geoff wpatrywał się w Anais uważnie, nie zdejmując rąk z jej talii.

- W porządku - powiedział spokojnie. - Musimy to zakończyć. Potrzebujemy jednak informacji. Jak najwięcej i jak najszybciej.

- Jakiego rodzaju informacji? I jak mielibyśmy je zdobyć?

Zmarszczył brwi.

- Jutro idziemy do nich na kolację - powiedział. - Jestem pewien, że Lezennes postara się trzymać dziecko z dala od nas. Trzeba będzie odwrócić jakoś jego uwagę.

Potrzebuję przedmiotu, czegoś należącego do Giselle, a co dała jej matka. Czegoś, w co wpisały się emocje ich obu. To oraz chusteczka Charlotte pomogą nam wybrać właściwy czas i podejście.

- Lub sposób ucieczki - dodała ponuro Anais. - Znajdę ci coś, co należy do Giselle, nie ma obawy. A tak przy okazji, Lezennes oświadczył się już Charlotte i mocno naciska. Spróbuję zapewnić jej trochę oddechu.

- W jaki sposób?

Anais przesunęła spojrzeniem po jego pięknej twarzy.

- Flirtując bezczelnie z Lezennesem - odparła. - Może uzna, że warto posłużyć się mną, by wzbudzić w Charlotte zazdrość.

- Zbyt niebezpieczne. Nawet o tym nie myśl.

- Ale będziesz cały czas ze mną - zaprotestowała.

- Poza tym...

Gdzieś z głębi domu dobiegł ich nagle głośny stukot, jakby ktoś uderzył trzonkiem miotły o ścianę.

- Boże Świąty - powiedział Geoff zaskoczony. - Rzeczywistość puka do drzwi. A ja ich nawet nie zamknąłem. Przesunął ciepłe dłonie z talii dziewczyny na piersi.

- Ach, Anais, czy jest w tobie coś niedoskonałego?

- Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie - odparła, przerzucając przez niego nogę, by usiąść obok na macie.

Skarcił ją spojrzeniem, a potem wstał z kocią zręcznością i podszedł do drzwi, aby naprawić niedopatrzenie.

- Lepiej się ubierzmy - powiedział. - Polecę, by przy-nesiono nam coś do zjedzenia.

Anais nie odpowiedziała. Patrzyła tylko, jak Geoff podchodzi do wysokiego, mansardowego okna, a potem opiera się na łokciach, jakby chciał wyrzucić na ulicę. Uświadomiła sobie, że - dżentelmen w każdym calu

- daje jej chwilę, by mogła swobodnie się ubrać. Poślawszy zatem ostatnie spojrzenie okazowi męskiej

urody, odziała się pospiesznie, zamieniając jego koszulę na własną i zapinając spodnie. Nie skomentował tatuażu

na jej biodrze. Może go nie zauważył. Podniosła koszulę Geoffa, podeszła z nią do okna i podała mu ją.

Odwrócił się i błysnął jednym ze swoich zagadkowych półuśmiechów.

- Skąd wytrzasnęłaś te spodnie? - zapytał, wsuwając ręce w rękawy.

Anais zakłopotana spojrzała w dół.

- Należały do Armanda - odparła. - Zabrałam je na wypadek, gdyby trzeba było się wspinać.

Lub kogoś uwieść, dodała w myślach. Na przykład ciebie.

Czy żałowała, że nie dane jej było żyć zwyczajnie, a zamiast tego została wepchnięta na tę dziwną ścieżkę? Czy złościło ją to, co prababcia nazywała jej przeznaczeniem? A może znużyło czekanie na księcia, który uparcie nie chciał się pojawić?

Zważywszy na wiek, zapewne nie zostało jej już dużo czasu na znalezienie sobie męża. Czy stanie się wkrótce jednym z tych motyli z towarzystwa, przemieszczających się z przyjęcia na herbatkę albo wieczorek w ciągłym poszukiwaniu odpowiedniego kandydata? A jeśli nie, dlaczego jest jej tak ciężko na sercu? Skąd to poczucie straty? Nie wiedziała. Zresztą, nie miało sensu teraz się nad tym zastanawiać. Życie jest, jakie jest: nadzieja przeplata się w nim z cierpieniem.

Geoff ubrał się w milczeniu, a potem oboje opuścili pomieszczenie.

W odosobnieniu sypialni natychmiast wziął ją w ramiona.

- Nie wiem, ile zostało nam czasu - powiedział, patrząc jej w oczy. - Chyba niezbyt dużo. Będę za tobą tęsknił.

- A ją za tobą - wyszeptała.

Ale nie było to takie proste. Już nie. Wsunął jej palec pod brodę i skłonił, aby na niego spojrzała.

- Wkrótce wrócimy do Londynu - powiedział. - Do realnego świata, z jego oczekiwaniami.

- Tak.

Trudna do określenia emocja odmieniła na chwilę jego twarz, a potem, jakby po to, aby to ukryć, pochylił głowę i pocałował Anais znowu, powoli i zmysłowo. Oderwali się od siebie, oddychając ciężko.

- Czy jestem nadal Panem Na Teraz, Anais? - spytał głosem ciepłym, a zarazem chrapliwym. - A jeśli tak, czy spędzisz tę noc w moim łóżku?

- Tak - odparła.

Pomyślała zaś: *i następną, a potem kolejną, jeśli tylko innie poprosisz...*

Ale byłaby to głupia uwaga.

Miał swoje życie, w Londynie.

A dla niej los przeznaczył widzieć coś innego.

Rozdział 14

*Jakość decyzji jest jak pikowanie jastrzębia.
Tylko jeśli ptak dokona go we właściwej chwili,
zdola dopaść i uniecestwić ofiarę.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Obudziła się następnego ranka wtulona w Geoffa. Słońce przenikało już przez zasłony, pogrążając pokój w ciepłym, złotawym blasku. Wysunęła się ostrożnie z objęć kochanka i weszła do łazienki. Wsparła dłonie na blacie umywalni i spojrzała na swoje odbicie.

Z lustra patrzyła na nią spod rozwichrzonych włosów zwyczajna, dosyć pociągła twarz.

Nie jestem tak do końca zwyczajna, pocieszyła się. Nie, była zwyczajna w niezwykle sposób - albo, jak dyplomatycznie mawiała jej matka, przystojna. Czasami, w odpowiednim stroju i oświetleniu, mogła być nawet frapująca.

Westchnęła i opuściła dłonie. Godziny spędzone w ramionach Geoffa sprawiły, że czuła się piękna, zmysłowa i pożądana - i to będzie musiało jej wystarczyć. Nie była dotąd kobietą zaabsorbowaną przesadnie swoim wyglądem. Pora przywrócić to nastawienie. Opłukawszy twarz i dłonie zimną wodą, przeszła do swego pokoju, a stamtąd do garderoby. Pozbawiona uścisku ciepłych ramion Geoffa, marzła. Zdjęła z kołka na drzwiach szlafrok i spojrzała na suknię z poprzedniego dnia. Tę samą, którą zerwała z siebie w przypiływie furii i rzuciła na łóżko aby zajęła się nią biedna Claire.

I rzeczywiście, pokojówka dobrze się spisała: wyprasowała suknię i zszyla nawet koronkę przy mankiecie, którą Anais naderwała, rozbierając się w pośpiechu.

Nagle przypomniała sobie o liście od Sutherlanda ukrytym głęboko w kieszeni. Zdenerwowana, rzuciła się go szukać. Na szczęście był dokładnie tam, gdzie go schowała.

Odetchnęła z ulgą.

Wiedziała, że postąpiła nieodpowiedzialnie. Ufała oczywiście służbie, a Sutherland sformułował list ostrożnie, posługując się zamiast nazwisk inicjałami i niezrozumiałymi dla osoby postronnej wzmiankami, mimo to kieszeń nie była dla tego rodzaju korespondencji najbezpieczniejszym miejscem.

Wróciła do sypialni Geoffa, przebiegając wzrokiem ostatnie słowa listu i czerpiąc z nich pociechę. Jeśli zdołają przetransportować Charlotte i Giselle bezpiecznie do Anglii, wszystko się ułoży.

Spojrzała na Geoffa - spał tak, jak go zostawiła, na brzuchu, z jednym ramieniem wyciągniętym w bok, jakby nadal ją obejmował. Jego szerokie ramiona połyskiwały złotawo w porannym słońcu.

Policzki zakrywał ciemny zarost. Odsunięta pościel ujawniała doskonałą krągłość umięśnionego pośladka, przyciągając wzrok ku czarnemu tatużowi powyżej. Na ten widok coś podskoczyło jej w piersi - obawiała się, że to, niestety, jej serce - ruszyła zatem w kierunku łóżka, by go obudzić, a potem przypomniała sobie o liście. Nadal trzymała go w ręku.

Podróżny sekretarzyk Geoffa, gdzie przechowywał dokumenty mające związek ze sprawą, stał otwarty na stoliku przy oknie. Przemierzyła szybko pokój i wetknęła list pod papiery wyglądające jak zwykłe listy, wsuwając go do grubego skoroszytu, mieszczącego *dossier* przysłane przez monsieur DuPonta.

Kiedy się odwróciła, jej uwagę przyciągnął stos książek po drugiej stronie stolika. Zerknęła na łóżko, a potem zaczęła przeglądać woluminy. Wyglądało na to, że Geoff jest człowiekiem renesansu. Znalazła poezje Coleridge'a i Burnsa, lecz także powieść Waltera Scotta, podręcznik inżynierii - coś o zaworach i parze - a pod nim album szkiców przedstawiających greckie budowle.

Najbardziej zainteresowała ją wszakże książka leżąca na wierzchu - *L'art de la Guene* słynnego generała i filozofa, Sun Tzu. Podręcznik strategii wojennej, przetłumaczony na francuski przez jezuickiego księdza, stał się ulubioną lekturą Giovanniego, a z czasem także i jej

Uśmiechnęła się leciutko do wspomnień i wykonała tak! ruch, jakby chciała odłożyć książkę. Lecz potem, jak niemal każda zakochana kobieta, zaczęła przyglądać się baczniej sekretarzykowi, zapewne w nadziei, że jakiś osobisty przedmiot zapewni jej bardziej intymny wgląd w życie kochanka.

Mebel był dużym, staromodnym, mahoniowym pudłem okutym mosiężną taśmą, z jednym kałamarzem pustym, a drugim wypełnionym po brzegi. Skórzaną podkładkę do pisania złożono, a w głównej przegródce leżała na stosie korespondencji chusteczka Charlotte Na niej spoczywała zaś żółta wstążka Giselle. Anais uchyliła ostrożnie wieko i spostrzegła na wierzchu mosiężną plakietkę z monogramem Geoffa, a poniżej znak Bractwa. Nie było herbu ani żadnych znaków heraldycznych, domyśliła się zatem, że musiał nabyć sekretarzyk dawno temu, nim odziedziczył tytuł.

Już miała zamknąć wieko, gdy jej uwagę przyciągnęła kartka zapisana schludnym i ewidentnie kobiecym pismem. Przyjrząwszy się bliżej, zobaczyła, że list jest od matki Geoffa.

Lady Madeleine MacLachlan była znaną pięknością. Zaskoczyła towarzystwo, rezygnując z tytułu hrabiny Bessett, aby poślubić człowieka bez pozycji, choć więk-

szość kobiet na jej miejscu podporządkowałyby się niepisanemu prawu i trwała we wdowieństwie, by zachować tytuł odziedziczony po

pierwszym małżonku. Kiedy Anais się o tym dowiedziała, jej szacunek dla matki Geoffa wzrósł. Zaczęła też się zastanawiać, na ile syn jest do niej podobny.

Nie będąc w stanie powstrzymać ciekawości, zerknęła na list. I, jak to zwykle bywa, czytanie cudzej korespondencji nie wyszło jej na dobre. Pierwszy akapit był dość nieszkodliwy: matka życzyła Geoffowi zdrowia, wypytywała o pogodę. Drugi nie okazał się już tak łaskawy.

Tak jak prosileś, wybrałam się znów z lady A. na herbatkę. Och, Geoffie, im lepiej ją poznaję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, iż dokonaleś mądrego wyboru. Mam tylko nadzieję, że był to wybór podyktowany miłością, nie zaś wyłącznie poczuciem obowiązku, jako że...

Anais upuściła list, jakby kartka stanęła nagle w płomieniach.

Przez chwilę trudno jej było złapać oddech; zupełnie jakby cała słodycz minionych chwil została wyssana nagle z pokoju, zabierając ze sobą powietrze. Spojrzała na śpiącego Geoffa, a potem zmusiła jakoś nogi, aby zaniósły ją do łazienki. Zamknąwszy za sobą drzwi, przysiadła na skraju wanny i przycisnęła dłoń do ust, czując, że horror tego, co się przed chwilą stało, przenika ją do głębi.

Mam tylko nadzieję, że był to wybór podyktowany miłością.

Te słowa nie dawały jej spokoju. Obracała je w myślach, starając się przypisać im jakiegokolwiek znaczenie poza oczywistym.

Na próżno jednak.

Nie była w stanie tego zrobić, gdyż sytuacja miała znów się powtórzyć.

Nie, niezupełnie.

Geoff nie był żonaty. Po prostu *mądrze wybrał*.

Ale czy miało to znaczenie? Zdążyła się już w nim zakochać, choć próbowała nie dopuścić tego do świadomości. A rezultat będzie ten sam. Złamane serce. Życie naznaczone rozczarowaniem, jeśli nie wstydem. I sprowadziła to na siebie sama - tym razem nie mogła nawet się oszukiwać, iż była naiwnym dziewczęciem i została uwiedziona przez cynicznego i doświadczonego mężczyznę.

Nie, sama się o to prosiła.

Nie była pewna, jak długo tak siedziała z dłonią przyciśniętą do ust. Szok mijał, zastępowany pełnią świadomości, bolesnej jak żywy ogień po tym, gdy było się wystawionym na przenikliwy chłód. Ogarnął ją ciężki, obezwładniający smutek. Wypełnił pierś i spłynął w dół, do kończyn.

Wstała, drżącymi dłońmi zatkała wannę i odkręciła kran. Przez chwilę prychał i gulgotał, a potem pociekła z niego leniwie woda. Zrzuciła cienką nocną koszulę i weszła do wanny. Dopiero gdy lodowata struga obmyła jej kostki, uświadomiła sobie, że w łazience nie ma bojlera.

Boże, nie mogę nawet porządnie się wykąpać.

To była ostatnia kropla. Usiadła w lodowatej wodzie, przycisnęła kolana mocno do piersi i oparła na nich głowę, tłumiąc szloch.

Nagle uświadomiła sobie, że ktoś stoi za drzwiami. Uniosła głowę i nadstawiła uszu. Chociaż niczego nie usłyszała, wiedziała, że to Geoff.

- Anais? - zapytał.

Lewie go słyszała poprzez szum wody. Zakręciła kran - z okropnym zgrzytem, co zapewne wcześniej go obudziło - i zapytała, starając się, by nie drżał jej głos:

- Tak?

- Co robisz?

Pytanie wydało jej się dziwnie osobiste.

- Biorę kąpiel.

Słowa rozbrzmiały echem w wyłożonej kafelkami łazience, pustej niczym jej serce.

Geoff milczał przez dłuższą chwilę.

- Wiesz, że nie ma ciepłej wody, prawda? Anais przymknęła oczy i opuściła znów głowę.

- Tak, dzięki - powiedziała, wpatrując się w migoczącą powierzchnię wody. - Nic mi nie będzie.

Minęło kilka uderzeń serca, a potem:

- Skoro tak... - powiedział cicho. - Tęsknię za tobą. Przysłuchiwała się, jak odchodzi. Przysiadł zapewne

na skraju łóżka z szeroko rozstawionymi nogami i spuszczoną głową, wsparłszy łokcie na kolanach. Wiedziała, co robi, czuła to. Wyczuwała go, choć nie tak dokładnie jak innych. Czasami coś takiego jej się zdarzało i nie miała pojęcia dlaczego. Teraz widziała, że długie włosy opadają Geoffowi na twarz, gdy się pochyla. Widziała jego splecione palce.

Lecz skoro był zaręczony - lub prawie zaręczony - dlaczego nie udało jej się tego wyczuć?

Czyżby dlatego, że pochodził z *vateis*? Lub nie był jeszcze po słowie?

Może nawet jej nie okłamał.

Powiedział przecież, że wypełni obowiązki związane z tytułem.

Równie dobrze mógł powiedzieć, że zamierza się ożenić. Nie byłaby zaskoczona. Po mężczyznach z arystokracji oczekiwano, że spłodzą dziedzica. Na tym opierał się w Anglii społeczny porządek. A on powiedział jej także, iż nie jest dla niej. Zresztą, sama o tym wiedziała. Tarot przepowiedział to dawno temu, a karty nigdy się nie myliły, chociaż znaczenie tego, co ukazywały, pozostawało czasami mgliste i mało dosłowne. Myśl o przepowiedni sprowokowała kolejny szloch. Wszystko to - wiara w tarota, uczucie do Geoffa, dokuczliwa samotność, jaka towarzyszyła jej przez kilka ostatnich lat - wezbrało nagle w sercu Anais, pozostawiając ją wyczerpaną i pustą w środku.

Cios spadł dokładnie wtedy, gdy pozwoliła sobie na nadzieję. Och, niewielką, gdyż odebrała twardą szkołę i nauczyła się powściągać pragnienia. Zachowywać dystans. Nie ufać nikomu do końca.

Ale czy Geoff ją okłamał?

Utwierdzam się w przekonaniu, że dokonałeś mądrego wyboru.

Zatem wybrał kandydatkę na żonę i powiedział o tym matce. Będzie musiała jakoś poradzić sobie z tą świadomością.

Geoff jest nie tyle kłamcą, co oportunistą. Dlaczego miałby nim nie być? Co mu zaproponowała? Co powiedziała? Ze na kogoś czeka. I że rozgląda się za kimś „na teraz”.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, wsunęła palce we włosy i spróbowała myśleć racjonalnie. Czy tak bardzo różniło się to od tego, co powiedział Geoff?

Cóż, tak. Lecz tylko, jeśli był zaręczony - co prawda nie pofatygowała się o to zapytać, zanim rzuciła się na niego po południu w sypialni.

Znowu się zakochała, jeszcze bardziej niż poprzednio, choć instynkt podpowiadał jej, że ten romans nie ma przyszłości. Geoff, nieprzejednany, władczy, angielski i porażająco męski - nie był dla niej. Mówiąc krótko, nie był Tym Jedynym.

Ale i tak się w nim zakochała. Oddała mu się. Oddała się mężczyźnie przeznaczonemu, przynajmniej za jakiś czas, innej kobiecie. A on dał jej to, o co prosiła, i ani trochę więcej. Nie było sensu się na niego wściekać.

Ledwie tłumiąc gniew, zakręciła kran, chwyciła gąbkę i zaczęła się szorować. Tarła ciało, jakby miała już nigdy nie być czysta, byle zetrzeć z siebie osad głupoty. A kiedy skończyła, rzuciła gąbką przez łazienkę, posyłając ją do diabła tak, jak chciałaby posłać siebie. Potem wsparła znów głowę na kolanach i zaszlochała. Opłakiwała cząstkę serca, którą straciła na zawsze, oddając ją Geoffowi.

Miała już dwadzieścia dwa lata i samotność z każdym mijającym rokiem stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Jej książkę zwlekał, a ten, który się pojawił, zdążył już *dokonać mądrego wyboru*. Płakała z powodu wszystkich tych rzeczy, dużych i małych, ale robiła to bardzo cicho, gdyż dawno już stała się mistrzynią bezgłośnego szlochu.

* * *

Geoff usiadł na skraju łóżka, wsparłszy łokcie na kolanach, i czekał, aż Anais wyjdzie z łazienki. Czuł wokół siebie silne emocje, ale nie było wśród nich pożądania. Miał nadzieję, że nie ma tam żalu. Nawet nienawiść byłaby lepsza.

Może jednak się mylił. Nie potrafił odczytywać uczuć Anais zbyt dobrze. Zamknął oczy i wciągnął w nozdrza ich zmieszane zapachy, wspomnień, co wydarzyło się w nocy. Szepty i westchnienia. Śmiech. Cudowną intymność. Przebiega! myślami każdą chwilę, póki jego uszu nie dobiegł szum uciekającej z wanny wody.

Jednak Anais nie wracała. A kiedy usłyszał stuknięcie i drzwi łazienki wreszcie się otworzyły, wiedział już, iż nie zamierzała wrócić.

Coś ścisnęło go w piersi.

Założył...

Ach, to byłoby przecież niemądre, prawda? Przesunął dłonią po twarzy, pocierając zarost, i opadł na miękkie poduszki. Teraz, kiedy rozmyślał o tym w jasnym świetle dnia - gdy zaspokoił pożądanie i mógł rozumować bardziej racjonalnie - musiał przyznać, że tak naprawdę nic się między nimi nie zmieniło. Był jednak pewny, że zadowolili Anais, i sprawiało mu to wielką satysfakcję.

Kochali się trzykrotnie: pierwszy raz z wahaniem, niepewnie, ucząc się swoich reakcji i poznając najintymniej-sze pragnienia, drugi raz wolno i cudownie. To unosiła się nad nim, to opadała. Przyglądał się w uniesieniu, jak

odrzuca w tył głowę i nadziewa się na niego z westchnieniem. Za trzecim razem, tuż nad ranem, kiedy przewrócił ją na plecy i dosiadł bez słowa, uniosła się ku niemu, tak jak księżyc i gwiazdy wznoszą się na nocnym niebie' Cudownie. Bez wahania. Jakby była to najbardziej naturalna rzecz we wszechświecie.

Niewiele rzeczy było jednak doskonałych, a jeszcze mniej - niezmiennych.

Przewrócił się na bok i wyciągnął ramię. Objął poduszkę, na której spoczywała głowa Anais, i przez chwilę wyobrażał sobie, że przy nim leży, jej długie nogi spoczywają, splątane z jego nogami, a włosy rozpościerają się na płótnie niczym płachta czarnego jedwabiu. Wciągnął do płuc jej zapach. Pachniała, jak zawsze, czymś słodkim i ostrym zarazem - czy była to mieszanka wody różanej i anyżku? Zapach doskonale odzwierciedlał jej prawdziwą naturę.

Teraz wszystko to było jedynie wspomnieniem. I raczej nie stanie się niczym więcej, jeśli zniknięcie w łazience miało stanowić jakąś wskazówkę. W nocy był, jak to nazwała, jej Kochankiem Na Teraz. Szybko uczył się nienawidzić tego sformułowania. Tak czy inaczej, wspomnienie ciepła jej ciała, jej śmiechu oraz zapachu zostanie z nim przez jakiś czas.

Stłumił nagle, nieracjonalne uczucie frustracji. Trzeba stawić czoło kolejnym dniom, wykonać zadanie, którego się podjęli. Jakkolwiek ułożą się sprawy pomiędzy nim i Anais, będą musiały poczekać. Obawiał się tylko, że dama zapomni o księciu z marzeń i zadowolony się kimś innym, rzeczywistym.

Nie był wcale pewien, czy pozwoli jej tak po prostu odejść.

Los też będzie miał tu sporo do powiedzenia.

Noc spędzona na zaspokajaniu namiętności może mieć przecież niespodziewane i poważne konsekwencje. Tego akurat nie omawiali pośród westchnień i śmiechu chociaż uchodził dotąd za niezwykle ostrożnego. Nie

miał jednak ochoty roztrząsać, dlaczego akurat tym razem pozwolił sobie na bez troskę. Nie, teraz należało zająć się innymi sprawami, mrocznymi i dziejącymi się po drugiej stronie ulicy. Ale zanim poświęci całą uwagę Lezennesowi, powinien napisać kilka pilnych listów, a pierwszy z nich do matki. Żywił bowiem niezłomne przekonanie, iż sprawy trudne lepiej załatwić jak najszybciej, i mieć je, przynajmniej po części, za sobą.

Pociągnął za sznur dzwonka i poprosił o ciepłą wodę. Anais mogła hartować się, kąpiąc w zimnej, ale on musi zgolić całodniowy zarost. Wyglądało też na to, że chłód, jaki zagościł w jego sercu, wystarczy mu na dłuższy czas.

* * *

Anais zwlekała, jak długo się dało, nim zeszła na śniadanie. Na dole oświetlona słońcem jadalnia pogrążona była w ciszy, jeśli nie liczyć rytmicznego tykania zegara na kominku. Tego ranka wydało jej się szczególnie głośnie.

Jak się spodziewała, Geoff już tam był, niebywale poważny w ciemnym porannym surducie z wysokim białym kołnierzykiem. Policzki miał świeżo ogolone, a wyraz twarzy nieodgadniony. Czytał jakiś list, popijając mocną czarną kawę.

Zawahała się na progu, lecz tylko na chwilę. Geoff zjadł już chyba śniadanie, gdyż jego naczynia uprzątnięto.

- Dzień dobry - powiedziała cicho, kiedy Petite odsunął dla niej krzesło.

Błede, podobne do wilczych oczy Geoffa pociemniały, kiedy obrzucił chłodnym spojrzeniem jej postać. Odłożył list i wstał, kłaniając się oficjalnie.

- Witaj, moja droga - powiedział. - Ufam, że spałaś dobrze tej nocy?

- Dziękuję, owszem. - Skinęła głową Petite'owi, by nalał jej kawy. - Dostałeś już dzisiaj list?

- Tak, od kontaktu van de Velde'a tutaj, w Brukseli
- odparł. - Wygląda na to, że spędzę większość dnia poza domem.
Poczuła, że zalewa ją fala ulgi.
- Ach tak. Czy coś się stało?
- Chce, abym spotkał się z emerytowanym urzędnikiem rządowym.
Facetem z Mechelen, który widział - albo i nie
- jak Lezennes daje łapówkę jednemu z jego współpracowników, i
który wie - albo i nie - za co mu płacił.
- Och, tyle niepewności w jednym zdaniu.
- Tak, zmarnuję tylko czas - odparł. - A nawet jeśli się czegoś dowiem,
zapewne w niczym nam to nie pomoże. Nie zależy mi szczególnie na
dobru francuskiego rządu, czy też belgijskiego, jeśli już o tym mowa.
Przyjechałem, by uratować dziecko.
- Z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo - zauważyła Anais
spokojnie. - Może dowiemy się o charakterze Lezen-nesa czegoś, co
będziemy mogli zaprezentować Charlotte?
- Właśnie. Pojadę zatem. I tak w tej chwili nie mogę zrobić nic więcej.
W drzwiach jadalni pojawił się kamerdyner.
- Powóz zajechał, proszę pana.
- Dziękuję, Bernardzie. - Geoff odłożył list zapisaną stroną w dół i
odepchnął się z krzesłem od stołu. - Jak tam twój flamandzki, Petite?
Dasz radę się porozumieć?
Lokaj drgnął zaskoczony.
- O, tak, proszę pana. Jest bardzo podobny do duńskiego.
- Pojedziesz zatem dziś ze mną, jeśli łaska - polecił.
- A teraz, czy mógłbyś zostawić nas na chwilę samych? Lokaj
wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Anais poczuła, że zaciska się jej
żołądek.
Geoff nie podniósł się z krzesła. Przeciągnął dłonią po włosach.
- Muszę ci o czymś powiedzieć, Anais. Dotyczy to ostatniej nocy -
zaczął.

- Tak... - Chrząknęła. - A ja tobie, Geoffie. Ta noc była... magiczna.

- Rzeczywiście - przyznał. - I, prawdę mówiąc, to nie musi się tak szybko zakończyć.

- Przeciwnie, Geoffie - wtrąciła, wstając. - Musi. I nie tylko to.

- Powinniśmy porozmawiać o tym dłużej, w bardziej sprzyjającej chwili, ale...

- Teraz - przerwała mu gwałtownie. - Teraz jest odpowiednia chwila. - Zaczęła przemierzać niespokojnie jadalnię, mijając kredens zastawiony potrawami, które nie zdołały pobudzić jej apetytu. - Ostatnia noc nie była może błędem...

- Miło mi to słyszeć.

- Postąpiliśmy jednak nierozsądnie. - Zatrzymała się przy kominku i odwróciła ku niemu, zacisnąwszy przed sobą dłonie. - Och, Geoffie, jesteś... jesteś cudowny, choć nawet to słowo nie oddaje całej prawdy. Sprawiasz, że brakuje mi tchu.

- Ale...? - Spochmurniał jeszcze bardziej.

- Ale to powinien być koniec - powiedziała, zmuszając się, by odejść od kominka. - Widzę oczami wyobraźni, jak przywiązuję się do ciebie coraz bardziej, komplikując życie nam obojgu. Jesteś taki przystojny. Tak uderzająco atrakcyjny. Tak... cóż, powiedzmy, utalentowany. I nie mam tu na myśli niczego metafizycznego.

- Dziękuję - odburknął sztywno. - Wybacz mi, ale jakoś nie dostrzegam, na czym polega problem.

- Chodzi o mnie - wyszeptała. - To ja stanowią problem. Sądziłam, że dam radę potraktować to lekko, ale...

- Lekko? - wykrztusił.

- Tak, ale ty... - Zamilkła i uśmiechnęła się smutno. - Nie należysz do mężczyzn, których kobiety mogą traktować lekko. Igram z ogniem. I jestem wystarczająco mądra, by wiedzieć, że lepiej wycofać się, póki czas. Mamy w Anglii zobowiązania, ty i ja.

Wykrzywił w gorzkim uśmiechu wargi.

- Mam być zatem ofiarą własnego sukcesu? O to chodzi?

Anais zmusiła się, by przybrać bardziej pogodny wyraz twarzy.

- Jeśli już trzeba być ofiarą czegoś, sukces nadaje się do tego równie dobrze - zauważyła.

- Bzdura - odpalił. - Wierutna bzdura i dobrze o tym wiesz. Poza tym to może nie zależeć tylko od nas.

Zachwiała się i oparła plecami o kominek.

- Słucham?

- Czasami, gdy dwoje ludzi zachowuje się nierozsądnie, a my postąpiliśmy tak kilka razy, przeznaczenie bierze sprawę w swoje ręce.

- Och. - Położyła odruchowo dłonie na brzuchu.

- Wszystko powinno być w porządku, Geoffie. Nie martw się. Pora miesiąca... cóż, nie powinno być kłopotów.

- Może i nie powinno - wykrztusił przez zaciśnięte zęby. - Ale nie możesz wiedzieć tego na pewno, prawda?

Skinęła głową, niezdolna oderwać od niego spojrzenia.

- Ale będzie w porządku - zapewniła. - Musi.

- Samo życzenie nie wystarczy - powiedział spokojnie.

- Lecz powinienem być ostrożniejszy. Wybacz mi. Jakoś zdobyła się na odwagę, podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- To ja powinnam prosić o wybaczenie - wyszeptała.

- Narzuciłam ci się. Lecz teraz się wycofuję. Wrócimy niedługo do Anglii i do naszego dawnego życia, marzeń oraz nadziei, które tam pozostawiliśmy. Musimy być wolni, aby podążać za nimi swobodnie, bez poczucia winy.

Przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Powiedz mi zatem - zaczął, nie patrząc na nią - czy chodzi o twego Pana Właściwego? I dlaczego podejrzewam, że ten facet ma nazwisko?

Anais zamknęła oczy.

- A czy nie każdy je ma? - odparła cicho. - Podobnie jak oczekiwania. Ośmielę się twierdzić, że twoja rodzina też ma ich kilka.

- Zatem chodzi o oczekiwania twojej rodziny? - Głos miał teraz zimny.
- Zaaranżowane małżeństwo?

- W pewnym sensie - wyszeptała. - Gdy byłam bardzo młoda, prababcia Sofia powiedziała...

Przerwał jej, wybuchając niespodziewanie gniewem.

- Oszczędź mi znów opowieści o prababce Sofii! - zawołał, zrywając się na równe nogi. - Powiedz mi, Anais, czy ta kobieta rządzi waszą rodziną nawet zza grobu?

- Słucham? - wyszeptała, przyciskając dłoń do piersi.

- Tak czy nie? - Uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały sztućce. - Wytrenowała cię do samobójczej misji jakbyś była mężczyzną, a przecież nim nie jesteś. A teraz zza grobu dyktuje ci, za kogo masz wyjść? Czy wszyscy musicie skakać, jak zagra wam ta wścibska staruszka? Bo ja, na Boga, nie będę,

Anais poczuła, że rośnie w niej złość.

- Obawiam się, że nadmierna duma nie pozwala ci myśleć rozsądnie, Geoffie - powiedziała drżącym głosem. - Nie możesz pójść ze mną do łóżka, a potem uznać mnie za swoją własność. I nawet tego nie chcesz.

- Rzeczywiście - odpalił - a to z uwagi na twój złośliwy język. Lecz jeśli zdarzy się najgorsze...

- Och, znowu do tego wracamy? - Wyrzuciła w górę ramiona i ruszyła ku drzwiom.

- Nie waż się wychodzić, gdy rozmawiamy.

- Skończyliśmy już z rozmowami - powiedziała, otwierając gwałtownym gestem drzwi. - I tak, Geoffie, jeśli zdarzy się najgorsze, pierwszy się o tym dowiesz. I niech Bóg ma mnie wtedy w opiece.

Zatrzęsnęła drzwi jadalni tak mocno, że jeden z pejzaży podskoczył, uderzając o ścianę. Sprawilo jej to wielką satysfakcję.

- Anais! - zawołał za nią Geoff. - Do licha, wracaj!

Jednak ona szła dalej - minęła biednego Petite'a który stał wyprostowany w korytarzu, udając, że nie słyszał krzyków i brzęku porcelany, oraz Bernarda, tkwiącego na posterunku w pobliżu drzwi. A potem wbiegła po schodach i zamknęła się w sypialni, gdzie rzuciła się na łóżko, walcząc ze Izami.

Do diabła z nim, nie będzie płakała.

Nie będzie.

* * *

Nie minęło pół godziny, a Geoff przyglądał się już, jak rogatki Brukseli znikają za oknami powozu, a przed jego oczami rozpościera się płaski flandryjski krajobraz. Zielone pola, tafla wody odbijająca chmury i niebo a od czasu do czasu kręcące się w słońcu skrzydła wiatraka - wszystko to zawsze wprawiało go w podziw Tego jednak ranka nawet cuda Flandrii nie były w stanie przykuć jego uwagi.

Zacisnął dłoń i uniósł ją, jakby chciał w coś uderzyć opanował się jednak i opuścił pięść z powrotem na udo'

Petit, który siedział na przeciwległej ławce, przeglądając tłumaczenia notatek, podniósł wzrok

- *Sir?*

Geoff odwrócił się z powrotem do okna.

- Nic, Petite, dziękuję.

Obserwował krajobraz, póki ostatnie promienie słońca nie uderzyły w okno, ukazując mu jego własne odbicie. Przesunął po nim bez emocji spojrzeniem.

Przypuszczał, że musi być przystojny. Kobiety zawsze mu to powtarzały. Dzięki Bogu, jeśli pominąć włosy, podobny był do matki. Gdyby przypominał ojca - lepiej tego w ogóle nie rozważać.

Był jednak Archardem z krwi i kości, gdyż jego matka to kuzynka lorda Bessetta. Ich małżeństwo zostało zaaranżowane przez dziadka dla celów politycznych Lord

Jessup chciał bowiem pozbyć się jedynej córki - i przyszłego wnuka - najszybciej, jak to możliwe. Powierzył ją zatem rodzinie zmarłej żony i zajął się zaspokajaniem swych ambicji.

Lecz Geoff wyrósł na prawdziwego Archarda, przynajmniej z wyglądu. Był wysoki i szczupły, miał też typowe dla tej rodziny oczy, choć jego były chłodne.

Może ciepły błękit pochodzi z wnętrza? - zastanawiał się. Choć kochanki szeptały mu ciągle, że jest przystojny, wszystkie co od jednej wykrzyczały w końcu, że jest też zimny. Ostatnia powiedziała nawet, że jego oczy przypominają bryłki lodu w mroźny lutowy poranek. Przyjrzał się znów swemu odbiciu w pofalowanym szkłe. Czy Ana-is też uważała, że jest przystojny? Przyznała to, ale nie wydawała się specjalnie poruszona. Może dla kobiety takiej jak ona wygląd nie ma szczególnego znaczenia. Nie to, żeby nie była piękna - bo była. Ale nie jak kwiat w zalanym słońcem ogrodzie, to rzecz pewna. Nie, Anais odznaczała się urodą chłodnego, mrocznego lasu.

I potrafiła być złośliwa. Nie skłamał, wytykając jej to.

Zacisnął znów dłoń. Poczuł przyływ tęsknoty - była to emocja, której nie spodziewał się zaznać, ani do końca jej nie rozumiał. Czy to miłość? A jeśli tak, czy przemienie? Obawiał się, że odpowiedzi brzmiały: „tak” i „nie”, w tej kolejności.

Żałował, iż nie może porozmawiać z ojcem. Spytałby go, jak to jest, odczuwać przez lata nieodwzajemnione uczucie. Czy zżera człowieka od środka? Czy do tego właśnie zmierzał? I czy nie można nic zrobić, miast cierpieć jedynie w milczeniu?

Albo czy można nagiąć kobietę do swojej woli?

Och, na to akurat pytanie odpowiedź znał bardzo dobrze.

Anais de Rohan nie ugnie się przed żadnym mężczyzną. Nie chciałby jej, gdyby było inaczej.

Rozdział 15

Spośród bliskich dowódcy członków armii

*nikt nie pozostaje z nim w większej
zażyłości niż tajny agent.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Zdaniem Anais kolacja w domu Lezennesa zaczęła się w napiętej atmosferze, a potem nie było wcale lepiej. Geoff wrócił akurat na czas, by się przebrać i przejść przez ulicę, odbywszy bezowocną wyprawę do Mechelen w poszukiwaniu człowieka, który najwyraźniej nie chciał być odnaleziony. Z nielicznych burknięć oraz półsłówki wywnioskowała, że jedyny efekt dnia spędzonego w podróży sprowadzał się do tego, iż dobrze poznali boczne drogi pomiędzy Brukselą a Mechelen.

Kiedy przybyli do Lezennesa, Charlotte powitała ich serdecznie, wicehrabia zaś z wystudiowaną uprzejmością. Podczas pierwszej części posiłku panowie nie mówili zbyt dużo, pozostawiając prowadzenie rozmowy Anais. Lezennesowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, mógł bowiem poświęcić całą uwagę Charlotte, nadskakując jej z chłodną nieustępliwością.

Anais robiła, co mogła, by wydać się dowcipną i roz-flirtowaną w beztroski sposób. Rozładowało to nieco atmosferę i pod koniec posiłku udało jej się nawet odciągnąć nieco uwagę gospodarza od Charlotte, umożliwiając kobiecie prowadzenie lekkiej, niezobowiązującej rozmowy z Geoffem.

Po kolacji Lezennes odmówił wypicia whisky, którą przyniósł Geoff, i zaproponował, by przeszli wraz z damami do salonu i zabawili się grą w karty.

Geoff z ochotą posłuchał.

- Zagramy w *bouillotte*? - zaproponowała Charlotte, wyjmując talię.

- Obawiam się, że nie znam tej gry - skłamała Anais.

- Wystarczy partyjka wista - powiedział wicehrabia zblazowanym tonem. - Anglicy go preferują, *nest-ce pa?*

Anais ujęła gospodarza pod ramię i nalegała, by grał z nią w parze, co prawdopodobnie i tak by się stało. Wicehrabia uśmiechnął się jednak z pobłażaniem i przystąpili do gry. Anais chichotała co rusz i otwarcie **flirtowała** podczas gdy Geoff przeciwnie, z każdą mijającą chwilą stawał się bardziej małomówny, a spojrzenie jego oczu chłodniejsze.

Podczas ostatniego rozdania Charlotte poruszyła temat wyjazdu na obiecane wakacje.

- Nie zgadniesz, Anais, co Lezennes zaplanował dla Giselle!

Anais rzuciła z miną męczennicy dwójkę na stoi.

- Och Charlotte, oczywiście, że nie - odparła, obrzucając Lezennesa rozmyślnie ciepłym spojrzeniem. - Zważywszy na doskonały gust dżentelmena, z pewnością jest to coś wspaniałego.

- Rzeczywiście - potwierdziła Charlotte, kiedy Lezennes położył na stół kartę z miną zwycięzcy. - Wynajął dla naszej trójki śliczny domek nad morzem, i to na całe dwa tygodnie.

- Cudownie! - wykrzyknęła Anais, kryjąc przerażenie. Odwróciła się do siedzącego obok Geoffa. - Możę i my moglibyśmy wyjechać, jeśli w Brukseli zrobi się zbyt nudno.

- Dlaczego miałyby być nudno? - zapytał Geoff lodowatym tonem. Widać od śniadania nastrój nie poprawił mu się ani odrobinę. - Bruksela bardzo mi odpowiada, poza tym wątpię, żeby było nas na to stac. Anais udała, że się dąsa.

- Proszę opowiedzieć nam o domku - zawołała śpiewnie. - Jest niezwykły i czarujący? Będziecie mieli morze i piasek tuż za progiem?

- Tak, i jeszcze raz tak - odparł wicehrabia, bardzo z siebie zadowolony. - Przynajmniej, o ile wiem. To coś więcej niż tylko domek. Wypożycza go nam nie kto inny, jak ambasador Francji.

- Widzisz, moja droga? - przerwał mu Geoff. - Le-zennes ma wpływy w rządzie. My nie możemy spodziewać się tak wyrafinowanych rozrywek. Będziesz musiała zadowolić się popołudniową przechadzką nad Senne.

Lezennes się roześmiał. Anais zmarszczyła nos.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytała. - Będzie mi was brakowało, ponieważ nie mamy w Brukseli innych znajomych.

- Pojutrze. - Charlotte uśmiechnęła się delikatnie do swego dobroczyńcy. - Tak się cieszę ze względu na Giselle! Nie była jeszcze nad morzem.

Geoff zgarnął pozostałe lewy i gra się zakończyła. On i Charlotte rozbili przeciwnika w proch i pył, lecz kiedy Anais zaczęła przeproszać i się usprawiedliwiać, Lezennes machnął tylko ręką, mówiąc, że to bez znaczenia.

Nie spuszczał przy tym Charlotte z oka, a kiedy karty powędrowały do szuflady, zaproponował, aby zagrała im coś na pianinie. Zgodziła się nieśmiało i poszła wybrać nuty.

Najwyższy czas działać, uświadomiła sobie Anais. Lepsza okazja może się już nie nadarzyć. Drżącą ze zdenerwowania dłonią wyjęła z włosów strategicznie umieszczoną szpilkę i podeszła do gospodyni.

- A niech to! - powiedziała. - Czy mogę poprosić, abyś wskazała mi miejsce, gdzie mogłabym upiąć włosy? Doprawdy, mam zapewne najbardziej nieudolną pokojówkę na świecie! Nie potrafi ułożyć fryzury tak, by się nie rozpadała.

Charlotte zerknęła, jak miała najwyraźniej w zwyczaju, na Lezennesa.

- Cóż, możesz chyba skorzystać z mojego pokoju - powiedziała z wahaniem. - Jest na piętrze, ostatnie drzwi po prawej.

- Dziękuję - odparła Anais.

Wymieniwszy szybkie, porozumiewawcze spojrzenie z Geoffem ruszyła ku schodom. Z salonu dobiegły pierwsze dźwięki walca Chopina. Na górze poszła prosto do pokoju Charlotte - małego, lecz wygodnie umeblowanego pomieszczenia z tyłu domu. U stóp łóżka stał otwarty podróżny kuferek. Z pewnością wkrótce zapelni się ubraniami.

Zamknęła szybko drzwi, odsunęła zamki w obu oknach - tak na wszelki wypadek - i podeszła do lustra, by upiąć włosy. Zajęło jej to nie więcej jak dwie minuty i mogła przystąpić do właściwego działania. Wymknęła się na korytarz, rozglądając się w obie strony.

Już miała otworzyć sąsiednie pomieszczenie, kiedy wyczuła czyjąś obecność. Ktoś nadchodził, lecz nie był to Lezenns. Odetchnęła z ulgą. Drzwi po przeciwnej stronie korytarza otwarły się, ukazując wnętrze większego,

o wiele bardziej luksusowo umeblowanego pokoju. Wyszedł stamtąd niewysoki, dobrze ubrany mężczyzna.

Dostrzegłszy Anais, zawahał się, a potem lekko uklonił.

- *Bonsoir, madame* - powiedział, mijając ją i kierując się ku schodom.

Lokaj Lezennesa, z pewnością. Świadczył o tym spuszczone wzrok i pośpieszny chód. Miał ukradkowe spojrzenie, a ona nie ufała nikomu. Gdy kroki lokaja ucichły w oddali, zaczerpnęła powietrza, by uspokoić nerwy,

i przystąpiła do wykonania tego, po co tu przyszła.

Pierwsze drzwi, jakie uchyliła, prowadziły do składziku pełnego pościeli oraz przedmiotów przydatnych w gospodarstwie. Następne do niewielkiej i najwidoczniej niezamieszkannej sypialni. Rozczarowana spojrzała w prawo, a potem w lewo, zastanawiając się, gdzie popeł-

nila błąd. Petite był przecież pewny, że okna pokoju Giselle wychodzą na ulicę.

Za klatką schodową korytarz ostro skręcał. Musiał tam być kolejny pokój.

Z dołu nadal dobiegały dźwięki utworu Chopina. Nie mogło upłynąć więcej jak trzy minuty. Anais zerknęła na schody, minęła je i skręciła za róg. Były tam tylko jedne drzwi. Pokój za nimi okazał się niewielki i wąski. Giselle leżała zwinięta w kłębek na małym żelaznym łóżku po lewej stronie pojedynczego okna. Obok parapetu stała ledwie rozpraszająca mrok lampa, a na wyściełanym krześle koszyk z robótką. Z poręczy zwisała pończocha, jakby ktoś, kto ją cerował, wyszedł tylko na chwilę.

To podobne do Lezennesa, nie zostawiać dziecka ani na chwilę samego.

Zerknęła w głąb pokoju i rzeczywiście, znajdowało się tam drugie łóżko, niewiele większe od dzieciennego. Zamknęła drzwi, odsunęła kotarę i otworzyła zamek w oknie, a potem się rozejrzała. W pobliżu kominka stał kosz z zabawkami. Podeszła do niego i zaczęła przerzucać zawartość, szukając czegoś małego, miękkiego i często używanego.

Pluszowy pies z oberwanym uchem i brakującym okiem wyglądał obiecująco, okazał się jednak trochę za duży, by mogła schować go do kieszeni. Pomyślała, że to dokładnie coś, co kochająca matka mogłaby podarować dziecku. Chwyciła zabawkę, po czym zadarła spódnice i wepchnęła pieska do nogawki pantalonów. Opadł i zatrzymał się z tyłu, w zgięciu kolana. Szybko przesunęła podwiązkę tak, by przytrzymała zarówno pończochę, jak i nogawkę. Lecz gdy się wyprostowała, poczuła, że jeżą się jej włosy na karku.

Zamarła. Zamknęła oczy i otworzyła się na przestrzeń wokół siebie. Wyczuwała czyjąś obecność. Coś przemieszczało się w domu. Było blisko. Coś... wrogiego. Z pewnością nie lokaj Lezennesa.

Nie było sensu się ukrywać. Wicehrabia widział, jak wchodzi po schodach. Będzie jej szukał, aż znajdzie. A tutaj, na odcinku korytarza, gdzie były tylko jedne drzwi...

Wyszarpnęła błyskawicznie chusteczkę z kieszeni i pomyślała o najsmutniejszych rzeczach, jakie tylko była w stanie sobie przypomnieć: o Giovannim leżącym w trumnie w wielkim salonie San Gimignano.

O Rafaelu stojącym w progu, z kapeluszem w rękach i błagalnym spojrzeniem brązowych oczu. Ledwie zdążyła zaczerpnąć oddechu, kiedy brutalnie chwycono ją za ramię i pociągnięto ku schodom.

- Jak pani śmie, *madame*...

Anais przerwała mu, pociągając żałośnie nosem. Lezennes zamilkł, ale nie puścił jej ramienia.

- *Nom de Dieul* - wycedził. - Co pani tu robi?

- Och, proszę mi wybaczyć! - zaszlochała w chusteczkę. - Wśliznęłam się tylko na chwilę, żeby choć raz rzucić okiem...

Opuścił rękę, lecz stał tak blisko, że czuła promieniejący od niego żar i gniew.

- Nie ma tu pani nic do roboty! - wysyczał. - Gdzie dziewczyna?

Anais otworzyła szerzej oczy i łza spłynęła jej po policzku.

- Ależ jest tam, milordzie! - zapewniła płaczkliwie. - Śpi we własnym łóżeczku. Nie obudziłam jej. W rzeczy samej, błagam, proszę zamknąć drzwi, zanim wyrwiemy ją ze snu! Dzieci muszą wypoczywać.

Lezennes poczerwieniał, lecz sięgnął posłusznie do klamki.

- Miałem na myśli służącą - wykrztusił przez zaciśnięte zęby i zamknął drzwi.

- Nie mam pojęcia - wyszeptała Anais. - Zajrzałam tylko, by popatrzeć na biedne maleństwo, i było całkiem samo.

- Dlaczego pani to zrobiła? - zapytał władczo, spoglądając na nią w półmroku oczami o zwężonych źrenicach.

Anais postarała się, by rysy jej twarzy złagodniały.

- Jak powiedziałam, chciałam tylko na nią popatrzeć

- szlochała - a to dlatego, że przypomina mi moją Jane, a ja tak bardzo się boję... Och, Boże, tak bardzo się boję, że nie będę mogła zatrzymać jej przy sobie...!

- Ostatnim słowem towarzyszył głośniejszy szloch. Przycisnęła do twarzy chusteczkę.

- *Mon Dieu, madame*, o czym pani mówi? Anais cała się trzęsła.

- Och, Boże! - wyszeptała. - Błagam, niech pan nie wspomina o tym mężowi!

- Mężowi pani? - Lezennes wydawał się na szczęście bardziej zirytowany niż rozgniewany. - Co mąż pani może mieć z tym wspólnego?

- Och, to doprawdy zbyt okropne! - zajęczała drżącym głosem, przytykając chusteczkę do oczu. - On jej nie kocha. I chyba w ogóle jej nie chce!

- Kto? - dopytywał się Lezennes. - O czym pani bredzi?

- Mówię o Jane, milordzie! Charlotte panu nie powiedziała? Ojciec zaaranżował moje małżeństwo, nie wspominając narzeczonemu o Jane. Ale jak można winić za to mnie? Lub małą Jane? A tymczasem pan... przyjął pan małą Giselle i pokochał jak własne dziecko!

- Dziecko, powiada pani? Ile lat ma to dziecko, *madame*? Z pewnością mniej niż Giselle?

Przez chwilę tylko się jej przyglądał, oceniając wiek.

- Jane ma zaledwie cztery latka, lecz... cóż, przypomina bardzo Giselle. - Zamilkła, aby osuszyć oczy. - A może smutek sprawia, że tak mi się tylko wydaje. Założę się jednak, że mąż mój ani trochę za nią nie tęskni!

Poczuła, że Lezennes się odpręży.

- Może z czasem nauczy się kochać małą.

- Zapewne, ale czy nie mógłby być choć trochę taki jak pan? - spytała.

- Tak dobry? Tak miły dla drogiej

Charlotte i jej aniołeczka? Proszę, jest pan na mnie zły, ale czy można czynić panu z tego zarzut? Pan kocha Giselle i ma na względzie jej dobro.

Gniew opuścił Lezennesa zupełnie.

W samą porę.

Anais wsparła się na nim i otoczyła ramieniem jego szyję.

- Jaka ona szczęśliwa, że ma pana! - wyszeptała. - Która biedna wdowa nie uważałaby się za szczęściarę, mogąc wesprzeć się na pańskim szerokim ramieniu?

Lezennes położył ostrożnie dłoń na plecach Anais, a potem poklepał ją pocieszająco między łopatkami.

- Jest pani nazbyt uprzejma, *madame* - powiedział. Anais odsunęła się, zapewniając mu możliwość zerknięcia na swój obnażony dekolt.

- Och, nie. Mówię to jako matka.

Zaległa niezręczna cisza. Wicehrabia otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz wyraźnie się rozmyślił. Anais otarła Izy.

- Teraz mogę już się pokazać. - Uśmiechnęła się słabo. - Zaprowadzi mnie pan do salonu, milordzie?

Lezennes podał jej ramię i ruszyli korytarzem.

- Może mogłaby pani uświadomić Charlotte, jaką jest szczęściarą? - zasugerował, kiedy znaleźli się u podnóża schodów. - Czasami martwię się o jej przyszłość. Nie jestem pewien, czy zdaje sobie w pełni sprawę, jak trudne może być życie wdowy.

- Oczywiście, że jej to uświadomię, i to z całą mocą

- zapewniła, udając smutek. - Och, co ze mnie za płaczliwe stworzenie - wyszeptała tuż przy drzwiach salonu.

- Gotów pan pomyśleć sobie coś złego o moim mężu, a to chyba dobry człowiek.

- Chyba? - Wicehrabia uniósł brew. Weszli ramię w ramię do salonu.

Od strony pianina dobiegło crescendo dźwięków. Geoff, który odwracał Charlotte strony nut, spojrział

z gniewem na Anais. Zerknęła na niego, nie dając po sobie poznać, czy misja zakończyła się sukcesem, a potem powiedziała, zwracając się znowu do Lezennesa:

- Prawda wygląda tak, że ledwie go znam - wyznała, przysuwając się na tyle blisko, by mógł zerkać do woli' na jej dekolt. - Małżeństwo zostało zaaranżowane, choć kiedy przedstawiłam mu Jane, poczerwieniał gwałtownie i pomyślałam nawet, że zechce odwołać ślub! Co też mój papa sobie myślał?

- Ja na pewno tego nie wiem - odparł wicehrabia. Jego spojrzenie złagodniało. - Dzieci to błogosławieństwo.

- Cały czas to powtarzam, *siñ* - wykrzyknęła cicho Anais. - Cóż, teraz już nic nie da się z tym zrobić. Obiecuję, że nie będę zakradać się więcej do Giselle, jeśli pan sobie tego nie życzy.

- Dziecko jest delikatne - powiedział wicehrabia, czuła jednak, że się jej przygląda. - I bardzo nerwowe. Obawiam się, że muszę...

-Tak...?

Oderwał wzrok od jej dekoltu.

- Eee... nalegać - zakończył. - Obawiam się, iż muszę nalegać.

- Doskonale. - Anais uśmiechnęła się wymownie. - Proszę jednak obiecać, że postara się pan zapewnić mi rozrywki, które złagodzą uczucie samotności.

- Doprawdy, *madame*? - Widać było, że Lezennes się zastanawia. - Jakiego rodzaju rozrywki miała pani na myśli?

- O, la, la, *sirl* ~ powiedziała bez tchu. - Nie potrafię określić. Może mógłby pan opowiedzieć mi coś ekscytującego o życiu w Paryżu? Albo o kilku swoich przygodach?

- Przygodach? - wymamrotał. Anais pochyliła się ku niemu.

- Z pewnością tak wyrafinowany dżentelmen jak pan musiał przeżyć wiele przygód?

- *Bien sur, madame.* - Wykrzywił w uśmiechu kącik ust. - Jedną czy dwie.

Zaśmiała się nieco zbyt głośno i Geoff obrzucił ją znów mrocznym spojrzeniem. Anais zignorowała go i przypomniała sobie, o co chodzi w tej grze. Zobowiązała się sprawić, by Lezennes nie wymusił na biednej Charlotte zgody na ślub lub nieco to odłożył. Musi go przekonać, że jest głupiutka i nieszkodliwa. Gdyby jej zaufał, mogłaby zbliżyć się choć trochę do Giselle, choć teraz wydawało się to nieprawdopodobne.

A może - tylko może - bawiło ją, że Geoff jest tak ewidentnie wściekły i zazdrosny?

Wolała nie zastanawiać się nad swoimi motywami zbyt głęboko.

Zamiast tego skinęła głową w kierunku pianina.

- Cóż, wydaje się, że jest im dobrze razem - powiedziała z kuszącym uśmiechem. - Może pospacerowalibyśmy trochę po ogrodzie? Uważam, że ciemność jest tak... odświeżająca. Macie tu niewielki ogródek, prawda? - Wiedziała od Petite'a, że tak nie jest.

Lezennes zaczynał spoglądać na nią niczym na smakowity kąsek.

- Obawiam się, *madame*, że nie - zamruczał, wskazując niewielką, mocno wyścielaną sofę. - Może usiedliby-śmy tam i opowiedziałbym pani kilka historyjek z czasów, kiedy służyłem we francuskiej armii?

Anais otworzyła szerzej oczy.

- Francuskiej armii? - powtórzyła, pociągając go ku sofie. - W którym regimencie? Och, na pewno w kawalerii! Zawsze powtarzam, że dla kobiety nie ma nic piękniejszego, niż podnieść wzrok i zobaczyć nad sobą mężczyznę... cóż, prawie nie ma.

Przez chwilę obawiała się, że przesadziła. Lecz kiedy Lezennes otrząsnął się z szoku, pożądanie wróciło, po trzykroć zwielokrotnione. Posadził Anais w fotelu i snuł przez

jakiś czas opowieści wojenne - tyle że wojny nie było w nich zbyt wiele, za to mnóstwo pompy i zadęcia.

A także śmiechu i coraz bardziej intymnych spojrzeń.

Od czasu do czasu wicehrabia zerkał jednak na Charlotte, jakby oceniał jej reakcję na to, iż kieruje swój wątpliwy czar ku innej kobiecie.

Jednak Charlotte nie zwracała na niego uwagi, a kiedy skończył się przydługi utwór i Geoff mógł odejść wreszcie od pianina, Lezennes trzymał już dłoń Anais w swojej i proponował, aby wybrali się następnego dnia na przejażdżkę do Waterloo, gdzie rozegrała się wielka bitwa.

Anais mogłaby się założyć, że nie dotarliby dalej, niż do pierwszego hotelu za rogatkami Brukseli.

Geoff zamierza! jednak dopilnować, aby nie wyruszyli w ogóle.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w grę - powiedział.

- Zamierzam szkicować jutro wewnątrz Kapellekerk. Możemy wybrać się tam wszyscy innego dnia.

Anais obrzuciła go zirytowanym spojrzeniem.

- Nie jestem ci potrzebna, kiedy rysujesz - zaprotestowała. - A Charlotte nie interesuje się militariami, prawda?

Charlotte przytaknęła.

- Chcę jednak, żebyś była przy mnie - stwierdził Geoff chłodno. - Cóż, będę nalegał.

Anais spuściła rzęsy i przygryzła dolną wargę, udając, że się dąsa i jest rozczarowana.

W spojrzeniu Lezennesa znowu pojawił się żar. Przez cały czas obserwował jednak Charlotte kątem oka i Anais uświadomiła sobie, że wicehrabia doskonale się bawi. Uzna! widać, że jeśli nie uda mu się wzbudzić w Charlotte zazdrości, przynajmniej czeka go dobry seks, i to bez specjalnych starań.

- Robi się późno - powiedział Geoff, nadal stojąc.

- Weź swój szal, Anais. Już zbyt długo zmuszaliśmy gospodarzy, aby się nami zajmowali.

Panie okryły się szalami i po serdecznym pożegnaniu przy drzwiach Geoff i Anais przeszli przez ulicę i zbliżyli się do swego domu. Czują, że Geoff ledwie panuje nad gniewem.

Niech się pomęczy, pomyślała. Weszła po stopniach i zaczęła szukać w torebce klucza. Lord wyjął z kieszeni swój i wepchnął go do zamka.

- Nie waż się więcej stosować takich sztuczek - powiedział głosem zimnym jak grób.

- Mam zadanie do wykonania - odparła, przepychając się obok niego przez drzwi. - I właśnie to miałam na względzie.

Weszła i rzuciła szal na stolik w *foyer*. Z tyłu dobiegło ją kliknięcie zamka, a potem wszystko nagle się rozmyło. Geoff chwycił ją za ramię, obrócił i przycisnął do drzwi.

Jego przystojną twarz wykrzywił grymas.

- Do diabła - wykrztusił chrapliwie. - Próbujesz doprowadzić mnie do szaleństwa?

Oczy Anais zabłyśły w półmroku.

- Czy to w ogóle możliwe? Sądziłam, że jesteś taki...

- Powiem ci, jaki jestem. Zmęczony patrzeniem, jak narzucasz się Lezennesowi. Powiedziałem ci, byś tego nie robiła. A pomyśl, żeby pojechać z nim powozem...

- Przyłapał mnie w pokoju Giselle, Geoffie - wyszeptwała. - Musiałam coś wymyślić. Poza tym wiedziałam, że za nic nie zgodziłbyś się na tę przejażdżkę, nie jestem też na tyle głupia, by dokądkolwiek z nim jechać. A teraz bądź tak miły i zabierz ręce z moich ramion.

Ale on nie zamierzał tego zrobić. W bladym świetle widziała jego oczy, zimniejsze i bardziej nieprzejednane niż kiedykolwiek przedtem. Przyciskał ją całym sobą do mocnych dębowych drzwi. Czują bijącą od niego mieszaninę zapachów: gniewu, żądz, cytrynowej wody toaletowej, słodkiego tytoniowego dymu i potu.

Podniosła wzrok i uświadomiła sobie, że Geoff zaraz ją pocałuje. Ona zaś - o wstydzie! - nie zamierzała protestować. Nie naprawdę i nie do końca.

Kto wie, może nawet nie zacznie...

Przechyliła nieco głowę, spuściła rzęsy i usłyszała, jak Geoff cicho klnie.

Przyglądał się jej i czuł, że z każdą chwilą bardziej się w niej zakochuje. Strach, gniew, frustracja i pożądanie toczyły w nim nieustającą walkę. Wsunął palce w miękkie włosy nad karkiem Anais, unieruchomił jej głowę i gwałtownie pocałował ją w usta.

Anais wydała z siebie głuchy, cichy jęk. Usłyszał jeszcze, jak szpilka do włosów upada z cichym stukiem na podłogę, a potem ścisnął dłoń jej biodro. Nie odsunął się. Nie był w stanie. Musiał ją skłonić, by zrozumiała, iż należy tylko do niego.

Zmagali się w pocałunku, jak przedtem w walce. A kiedy poczuł, iż zaraz zatone w pożądaniu, oderwał się od warg Anais i zaczął całować jej szyję. Szepcząc jej imię, smakował ciepłą skórę.

- Anais - zamruczał. - Och, kochanie, już na to za późno.

- Za późno?

- Nie możemy uciec od tego, co jest między nami. Płoną! dla tej kobiety, pragną! jej tak, jak nie pragnął

niczego w życiu. Przyglądanie się, jak Lezennes lubieżnie się na nią gapi, doprowadzało go do szaleństwa. Musiał być szalony, by robić to, co właśnie robił.

Wtulił twarz w zagłębienie szyi Anais i podniósł rękę, by zważyć w dłoni miękką półkulę jej piersi. Kobieta westchnęła. Wsunął kciuk za ozdobiony krezą dekolt jej sukni i pociągnął go w dół, póki nie uwolnił piersi.

Anais krzyknęła cicho i oparła głowę o drzwi.

Szaleństwo, bez wątpienia. Zadarł jej gwałtownym ruchem spódnice. Teraz. To musiało być teraz.

Później nie byt w stanie przypomnieć sobie, kiedy zaznał rozkoszy. Pamiętał jedynie przemożną potrzebę, by

znaleźć się w niej. Liczyło się tylko jedno - dzika żądza. Konieczność zawłaszczenia tej kobiety, przekonania, że należy tylko do niego.

Nie pytał o pozwolenie. Odszukał rozcięcie w jej pan-talonach, wsunął palce w jej wilgotne wnętrze i zadrżał.

- Noga - wykrztusił - obejmij mnie...

A potem już wbijał się w nią głęboko, ledwie zdając sobie sprawę, jak to się dzieje.

Anais zasługiwała na coś lepszego; kobieta, w której zakochiwał się bez pamięci.

Mimo to nie potrafił przestać.

Nie był też wcale pewny, czy Anais by tego chciała.

- Aach... - westchnęła. - Tak...

Utrzymywał ją w doskonałej równowadze, wsunawszy jej dłoń pod pośladek, z plecami przyciśniętym do drzwi. Anais objęła go w pasie nogą i uniosła się ku niemu z zapalem. W ramionach Geoffa czuła się lekka jak piórko, jakby była częścią niego. Jakby to, co robili, było czystą doskonałością, nie czymś nagannym.

- Tak... - szepnęła. - Właśnie tak... Geoffie, och, nie przestawaj...

Rozkosz nadeszła błyskawicznie, pośród żaru i pośpiechu. Geoff czuł, jak Anais przeszywa spazm, przyglądał się, jak jej głowa opada na drzwi, a na ślicznej szyi mocno odznacza się puls.

Wkrótce szczytował i on, wytryskując w nią za każdym pchnięciem z niebiańską przyjemnością. Jakby został wciągnięty duszą i ciałem w to cudowne białe światło. Minęło sporo czasu, nim uświadomił sobie, że coś słyszy: miarowe tykanie zegara stojącego na podeście schodów. Nadal trzymał Anais w ramionach, przyciśniętą do niego piersiami. Ich wilgotne od potu czoła lekko się stykały.

- Geoffie? - Oparła się o drzwi, chwytając oddech. - Czy ty... skończyłeś?

- Do diabła, nie - wymamrotał. - W żadnym razie.

Rozdział 16

Zwycięski wojownik najpierw wygrywa,

a potem rusza na wojnę,

podczas gdy przegrany najpierw idzie na wojnę,

a potem stara się odnieść zwycięstwo.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Brutalna prawda o tym, co zrobił, zaczęła wreszcie do niego docierać. Boże, wziął ją na progu niczym tanią dziwkę. W holu, gdzie w każdej chwili mógł ich zaskoczyć służący.

Dom pogrążony był jednak w ciszy. Służący udali się na spoczynek, jak im polecił. Zegar tykał jak zawsze. Z ulicy dobiegł turkot powozu jadącego Rue de l'Escalier.

A potem znowu zapadła cisza. Nikt się nie obudził.

Opuścił Anais delikatnie na podłogę, czując, jak jej noga zsuwa mu się z biodra.

- Och - powiedziała znowu.

Pocałował ją po raz ostatni, a potem podciągnął dekolt sukni i wziął Anais na rękę. Dopiero wtedy zauważył, że miała w nogawce majtek jakiś miękki przedmiot.

- Zabawka, pies - szepnęła. - Nie upuść go i się nie potknij.

Tego tylko było im trzeba - aby stoczyli się ze schodów w stroju mocno niekompletnym, a służba wybiegła z pokojów, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie.

Zaniósł Anais ostrożnie do jej sypialni. Otworzył łokciem drzwi i posadził ją na skraju łóżka, blisko miejsca, gdzie płonęła przyćmionym blaskiem lampa. Płomień zamigotał, pogrążając połowę ślicznej twarzy dziewczyny w cieniu.

- Zamierzam cię rozebrać - wyszeptał. - Zdjąć z ciebie wszystko, sztuka po sztuce, a potem położyć na łóżku i kochać jak należy.

Spojrzała na niego, nadal zaspokojona, i uśmiechnęła się zagadkowo.

- A mam w tej sprawie coś do powiedzenia?

- Cholernie mało - odparł, sięgając do guzików zielonej sukni. -
Przypuszczam, że mogłabyś powiedzieć: nie.

-A wtedy ty...?

Przesunął palcem wzdłuż wycięcia dekoltu, przyglądając się, jak twardnieją jej sutki.

- Przekonałbym cię, byś zmieniła zdanie - odparł chrapliwie, po czym opuścił stanik na tyle, że ukazały się szczyty jej ślicznych piersi. - Mam zacząć?

Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

- Geoffie, ja...

- Nic nie mów - scałował słowa z jej ust. - Nie marnuj ani jednej z nielicznych chwil, jakie dane nam będzie spędzić razem, kochanie. To przeznaczenie. Oszalejemy, jeśli spróbujemy mu się przeciwstawić.

Opuściła nieśmiało rzęsy i zorientował się, że cała drży.

Zamierza! sprawić, by zanim skończy się noc, poczuła coś więcej niż tylko ten marny dreszcz.

Uniosła powieki i spojrzała na niego nieśmiało.

- Nikt przedtem tak mnie nie rozbierał - wyszeptwała.

- Rozbierałbym cię tak co dzień, we wszystkie dni tygodnia - odparł, muskając dłonią jej łydkę.

Lecz było to czcze zapewnienie. Nie mógł tego robić. A przynajmniej niezbyt długo. Nie należała do niego i zapewne nigdy nie będzie.

Nie mógł dłużej czekać. Porwał ją w objęcia, pocałował mocno i rzucił na łóżko. Rozchyliła uda, aby go przyjąć.

- Wejdz we mnie, Geoffie - szepnęła.

Była taka śliczna. W chłodzie i ciszy sypialni poruszał się w niej, rozkoszując związanym z tym wysiłkiem. Wbi-

jał się w Anais wciąż od nowa, poddając się rytmowi jej ciała i przysłuchując chciwie westchnieniom, póki pot nie okrył jego ciała. Lecz nadal nie miał dość.

Nigdy nie będzie miał dość. Och, wsunie się w nią ten ostatni raz i wytryśnie w głębi jej łona. Tylko że teraz już mu to nie wystarczało.

Gdzieś z głębi jego trzewi dobył się dźwięk - ochrypli tryumfalny i niemal dziki.

Był to spazm przenikającej do kości, palącej rozkoszy. Jego ramiona zadrżały. A potem odrzucił w tył głowę, jęknął głucho i wszedł w nią po raz ostatni.

Opadł na nią i zatonął. Objęła go ramionami i wiedział już, że jest stracony.

* * *

Ocknął się, gdy zegar na podeście wybił drugą. Na ramieniu czuł ciężar głowy Anais. Spoczywała tam, odkąd zapadł w ten słodki, rozleniwiający letarg, jaki następuje nieuchronnie po cielesnej rozkoszy.

Przechylił w bok głowę i zobaczył, że dziewczyna wpatruje się weń otwartymi szeroko oczami

Ucałował czubek jej nosa.

- Zapomnieliśmy zgasić lampę - wymruczał.

- Zapomnieliśmy o wielu rzeczach. - Jej uśmiech zdawał się nieco wymuszony. - Ale ja lubię światło. Lubię na ciebie patrzeć.

Teraz to on się uśmiechnął.

- Naprawdę?

Opuściła powieki, wtoczyła się na Geoffa i przesunęła czubkiem języka po jego sutku. Aż wstrzymał oddech.

- O, tak - wyszeptała. - Masz piękną twarz, ale ta męska pierś jest po prostu wspaniała. Jestem pewna, że o tym wiesz.

Roześmiał się.

- Stale to powtarzasz - odparł. - Jakbyś spodziewała się po mnie wszystkiego najgorszego. Masz duże doświadczenie z przystojnymi, aroganckimi mężczyznami?

Opadła znów na poduszkę. Jej piersi wyglądały w blasku lampy jak dojrzałe, krągłe brzoskwinie.

- Wystarczające - powiedziała. - Masz jednak rację. Niefortunnie dobrałam słowa.

Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się z głębi serca.

- Och, do licha, Anais - powiedział. - Przecież spodziewasz się po mnie najgorszego. Prawda?

- Proszę, Geoffie, nie sprzecznajmy się. - Przysunęła się znowu i oparła mu czoło na torsie. - Cieszymy się tym, co mamy.

Wsunął palec pod brodę Anais i uniósł ku sobie jej twarz.

- To, co mamy, to poważna sprawa. Otworzyła szerzej oczy.

- Poważna sprawa? - powtórzyła. - Powiedz mi, na ile poważna? Uwzględniając moje uczucia i plany. Dano mi bowiem do zrozumienia, że ulokowałeś swoje oczekiwania gdzie indziej.

Poczuł przyływ irytacji.

- Skoro są moje, mogę lokować je, gdzie zechcę - zauważył. - A jeśli ktoś wścibski, powiedzmy, mój kumpel Lazonby, zasugerował coś innego, wkrótce mi za to odpowie.

Odwróciła głowę.

- Nie wolno ci obwiniać Lazonby'ego.

- Zatem, kto?

- Nieważne - powiedziała cicho. - Mam na myśli coś, co powiedziałeś tamtego dnia w bibliotece Towarzystwa Świętego Jakuba.

Przeciwnie, to bardzo ważne.

Powstrzymał cisnące się słowa i przebiegł myślami wszystko, o czym rozmawiali tamtego dnia. Nie był zachwycony, że przyjdzie mu podróżować z Anais sam

na sam, ponieważ już wtedy bardzo go pociągała. Bóg jeden wie, co mógł powiedzieć. Zapewne coś o tym, że jest gotów wypełnić zobowiązania, jakie nakłada na niego tytuł.

Najwidoczniej milczał zbyt długo.

Anais spojrzała bowiem na niego i przemówiła.

- Zapytam ponownie: czy ulokowałeś swoje oczekiwania gdzie indziej, Geoffie? - spytała. - I zważ, co odpowiesz, bardzo cię proszę.

Poczuł przyływ frustracji, a także smutku.

- Owszem, tak było - przyznał - lecz dałem to damie do zrozumienia w bardzo subtelny sposób.

- Ona mogła potraktować to inaczej - powiedziała cicho Anais.

Policzki Geoffa poczerwieniały. Poczuł się jak złajany uczeń.

- Poproszę damę o wybaczenie, gdy tylko wrócimy do miasta - powiedział. - Na pewno odetchnie z ulgą.

Spojrzenie Anais posmutniało.

- Nie możesz tego wiedzieć - zauważyła, przysuwając się bliżej. - Niech to będzie nasz sekret, Geoffie. Nie zniósłabym myśli, że przysporzyłam komuś cierpienia. A to coś, ten żar między nami, na pewno się wypali. Dobrze o tym wiesz. Nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

Coś ścisnęło go za gardło.

- Mogłabyś pokochać tak łatwo innego, Anais? - zapytał.

- Nie wiem. Wiem tylko, że obiecałam... rodzinie, iż wyjdę za kogoś ze swoich. I jeśli spotkam tego właściwego, tak właśnie się stanie.

- Lecz masz już dwadzieścia jeden lat - przypomniał jej delikatnie. - Spędziłaś większość życia w Toskanii i nie znalazłaś dotąd swojego księcia.

- Dzięki, że przypomniałeś mi, iż jestem tak wiekowa - powiedziała z odcieniem gorczy w głosie. - Nie chodzi tu jednak o mnie. Zostawiłeś w Londynie żelazko

na ogniu, dopilnuj zatem, by nikt się nie sparzył, zwłaszcza ktoś, kto na to nie zasługuje. Byłam w takiej sytuacji i wierz mi, to boli.

Uświadomił sobie, że Anais ma rację, nic jednak nie powiedział. W duchu przeklinał jednak własną niecierpliwość tamtego dnia w świątyni. Był zły na Rance'a i żał mu było lady Anishy. Wszedł zatem do gry. On, nie Rance. Zrobił coś, czego tamten by nie zrobił, i teraz tego żałował.

- Właściwie skończyłam już dwadzieścia dwa lata - powiedziała ze sztuczną radością w głosie, przerywając ciszę - W zeszłym tygodniu miałam urodziny.

- Podobnie jak ja - powiedział cicho. - I me jesteś wiekowa, kochanie. Jesteś w rozkwicie.

Zamilkł i przesunął czubkiem palca po biodrze dziewczyny w miejscu, gdzie znajdował się tatuaż, który określił jej los w taki sposób, jak i jego los zosta! określony.

_ Nie uwierzyłem do końca Lazonby'emu, kiedy powiedział, że nosisz znak - zamruczał. - Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że jakaś rodzina mogła oznakować w ten sposób kobietę. Zapewnił jednak, że go widział

- Jeśli tak właśnie powiedział, to kłamał - stwierdziła Anais obojętnie.
- Co? - spytała z niedowierzaniem

- Myślałeś, że świeciłam przed nim gołymi pośladkami?

- A nie świeciłaś?

Opuściła znów głowę na pierś Geoffa i położyła mu rękę na sercu, jakby chciała je ochronić.

- Cóż gdyby było trzeba, pewnie bym to zrobiła

- przyznała. - W końcu Lazonby widział zapewne w swoim bujnym życiu setki gołych pośladków.

- Och, bez wątpienia - zgodził się z mą Geoff.

- On też nie dowierzał, że mam na biodrze znak. Zasugerowałam, by wezwał służącą, to go jej pokażę. Wezwał gospodynię, wielką Szkotkę z akcentem tak ciężkim, że można było go kroić, i ona mnie obejrzała. Od razu wiedziała, co to takiego.

- Ach. - Zadziwiające, jak bardzo mu ulżyło.

Powiedziała jednak, że pokazałaby Lazonby'emu tatuaż, gdyby okazało się to niezbędne. Anais była posłuszna i obowiązkowa, czasem aż do przesady. I bardzo to w niej szanował. Tylko że teraz cecha ta stałą mu na przeszkodzie, niwecząc plany.

Nie można mieć jednak wszystkiego, prawda? Płocha, głupiotka kobietka byłaby na dłuższą metę nie do zniesienia. Anais nigdy taka nie będzie.

Domyślał się jednak, że jej lojalność nie została nagrodzona. Ktoś przyczynił się do tego, że w głosie dziewczyny dało się wyczuć gorycz. Ktoś pozostawił cię smutku i zniechęcenia w brązowych oczach o rzewnym spojrzeniu. Geoff zacisnął dłonie na prześcieradle, chociaż wolałby zacisnąć je na gardle tamtego.

- Chcesz o nim porozmawiać? - zapytał cicho. Anais zeszywniała w uścisku jego ramion.

- Sądziłam, że nie potrafisz odczytać moich myśli.

- Bo nie potrafię. I nie potrzebuję. Znam cię. I wiem, że nie zasługujesz na to, aby spotkało cię rozczarowanie.

Nareszcie udało mu się nieco ją rozbawić.

- Och, Geoffie, po tym, czego właśnie zaznałam, słowo rozczarowanie powinno zniknąć na dobre z mojego słownika. I nie, nie chcę o nim rozmawiać. Nie jest wart czasu, jaki musiałabym na to poświęcić. Zwłaszcza gdy jestem z tobą.

Znów ta aluzja do uciekającego czasu.

Niemal czuł, jak jego dni spędzone w czulej bliskości z Anais odchodzą w przeszłość, i rozpaczliwie pragnął je zatrzymać, spowolnić bieg wydarzeń, okiełznać je niczym stado dzikich koni. Ryzykowałby jednak życiem Charlotte oraz Giselle i zaprzepaścił szanse powodzenia misji.

- Jednak go kochałaś - powiedział, bardziej do siebie niż do niej. - Wierzyłaś, że jest tym jedynym. A ja... cóż, jestem bezsensownie zazdrosny.

Przez dłuższą chwilę leżała milcząco w jego ramionach i uznał już, że nie odpowie. W końcu westchnęła i powiedziała:

- To był mistrz fechtunku z Florencji. Ten, którego Vittorio zatrudnił, aby mnie uczył.

Geoff poczuł, że ogarnia go przygnębienie.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedemnaście - odparta. - Nie byłam naiwną gąską, Geoffie, powinnam była mieć się na baczności. Cóż mogę jednak powiedzieć? Rafaele wiedział, jak skłonić przeciwnika, by ten się odsłonił.

Geoff pomyślał, że siedemnaście lat to jednak niewiele.

- Uwiódł cię?

- Och, bez wątpienia! Po tym, jak zapewnił, że bardzo mnie kocha. Nie może beze mnie żyć. Chce mnie poślubić. Nie minęło kilka tygodni, a oczarował mnie urodą i wdziękiem.

- Kłamliwy łajdak.

- Łajdak, owszem - przytaknęła zamyślona - me sędzę jednak, by kłamał. Nie do końca. Teraz, gdy jestem starsza, spoglądam wstecz i myślę, że... że na swój sposób mnie kochał. Tak, jak może kochać mężczyzna zapatrzony w siebie.

- A ty byłaś w nim rozpaczliwie zadurzona?

- O, tak - wyszeptała. - W dramatyczny, łamiący serce sposób, w jaki zakochują się dziewczęta. Lecz kiedy teraz o tym myślę, zastanawiam się, czy nie byłam zakochana raczej w swoim wyobrażeniu o nim.

- Małżeństwo nie wchodziło w grę? Twoja rodzina była mu przeciwna?

- Z początku o niczym nie wiedzieli. Podobnie jak Vittorio. Rafaele twierdził, że powinniśmy utrzymać nasz związek w sekrecie, póki trochę nie podrosną. I że Vittorio pomyślałby o nim źle, gdyby okazało się, że przybył do San Gimignano i uwiódł mnie, zamiast uczyć.

- A ty się zgodziłaś?

Skinęła głową.

- Byłam głupia. I uwielbiałam go. Był starszy, miał dwadzieścia cztery lata, i, jak sądziłam, mądrzejszy. Uważałam, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie, skoro taki piękny mężczyzna chce się ze mną ożenić...

- To on miał szczęście, że cię zdobył i, ośmielę się twierdzić, zasłużył na to, by cię stracić.

- Tak, myślałam, że jest tym jedynym. Był taki przystojny, dowcipny i czarujący. A kiedy widziało się go z ra-pierem w dłoni... - Przystawiła do ust złączone palce w typowo włoskim geście. - Czysta poezja. Więc się w nim zakochałam. Przez cały czas czułam jednak, że to szczęście jest... nierealne. Kruche. I wreszcie dowiedziałam się dlaczego.

Poczuł, że ogarnia go chłód.

- Dlaczego?

Anais zamknęła oczy i westchnęła głośno.

- Rafaele nie mógł mnie poślubić. Nie wtedy.

- Uśmiechnęła się z goryczą. - Ponieważ miał już żonę

- wyszeptala. - Był żonaty od niespełna roku. Zaaranżowane małżeństwo. Vittorio nie wiedział, a Rafaele, cóż, uznał, że lepiej o tym nie wspominać.

- A to bękart - Geoff zacisnął dłoń w pięść. Anais parsknęła śmiechem.

- Tak właśnie nazwał go Vittorio - powiedziała.

- Tak, i jeszcze gorzej. Pochodził z rodziny związanej od pokoleń z Bractwem. Vittorio ufał tym ludziom. Zawierzyłby im życie.

- Boże Świąty - westchnął Geoff. - I co zrobił? Anais spojrzała na niego zdziwiona.

- Co zrobił? - powtórzyła. - Był Toskańczykiem. I sobą. Chwytał ulubiony rapier i rozciął twarz Rafaela niczym przejrzałą rzepę.

- Boże Świąty - powtórzył Geoff.

- Cóż, powiedzmy, że kiedy żona odzyskała Rafaela, nie był już taki piękny.

Geoff poczuł, że robi mu się niedobrze. Żonaty mężczyzna. A teraz przystojny, nieustępliwy rozpustnik przyrzeczony potajemnie innej kobiecie...

Nic dziwnego, że Anais mu nie wierzyła.

Jednak on to nie Rafaele. Nie jest żonaty ani nawet zaręczony. Zapytał jedynie, czy może adorować pewną damę. Co w jego świecie równoznaczne było niemal z oświadczeniami. Nie zamierzał prosić o rękę lady Ani-shy Stafford. Już nie. W żadnym razie. Lecz była drogą przyjaciółką... i piękną, wysoko urodzoną damą, której londyńskie towarzystwo nie powitało z przesadnym entuzjazmem, a to dlatego, że jej cera nie była zbyt jasna, a krew dostatecznie angielska. Nie zasłużyła na to, aby i on ją zranił.

Anais miała rację. Zostawił na ogniu żelazko. Bardzo rozgrzane.

Nagle uświadomił sobie, co musi zrobić - dla dobra ich wszystkich. Należało wyjaśnić lady Anishy sytuację osobiście, i to nie w liście. Napisanie do matki czy brata damy po prostu by nie wystarczyło. Poza tym Rutlweyn, podróżujący do Kalkuty, dostałby jego list po kilku miesiącach.

Westchnął głośno i przetoczył się na bok, by spojrzeć na Anais.

- Wyprostuję to, Anais - powiedział spokojnie. - To znaczy, sytuację. Dama jest po prostu przyjaciółką i życzymy sobie nawzajem jak najlepiej. Nie byliśmy zakochani. Byłoby to małżeństwo zawarte z rozsądku i dla wygody.

Anais potrząsnęła jednak tylko głową.

- Zabrzmiało to jak coś, co może powiedzieć mężczyzna, a nawet w to uwierzyć - wyszeptwała. - Proszę, nie mów nic więcej. Nie zniósłabym, gdybym stała się powodem...

- Ciii... - uciszył ją, przytykając palec do jej warg. - Nie będziesz.

Anais zacisnęła jednak tylko usta i posmutniała.

- Anais, kochanie, nie jestem Rafaelem. - Wyciągnął rękę i założył jej za ucho niesforny lok. - A jego już nie ma. Należy do przeszłości. Martwy i pogrzebany.

Zaśmiała się ostro.

- Och, bynajmniej. Jest uparty, muszę mu to przyznać. Wystarczyło, że umarł Vittorio, i poczuł się bezpieczny.

Geoffowi coś się przypomniało.

- Mówiłaś, że widziałaś się z nim podczas pogrzebu.

- Nie tylko wtedy. - Utkwiła spojrzenie w mroku spowijającym sypialnię. - Przyszedł do domu Vittoria. Przed pogrzebem.

- Bezczelny łajdak - wycedził Geoff. - Czego chciał?

- A jak sądzisz? - spytała Anais z goryczą. - Po prostu. Ale tego nie dostał. Rafaele nie należy do ludzi, którzy łatwo godzą się z tym, czego nie mogą zmienić. A nie jest w stanie sprawić, żebym zmieniła zdanie.

- Myślał, że zaczniecie po prostu tam, gdzie skończyliście? I że zgodzisz się dalej z nim cudzołożyć?

Anais zamilkła. Z jej twarzy niczego nie dało się wyczytać.

- Ona umarła - wyszeptała w końcu. - Żona Rafaela. Umarła. Podczas porodu. Tuż po tym, jak Vittorio odesłał go z podkulonym ogonem do Florencji. Więc kiedy umarł Vittorio, uznał...

Geoff nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Boże Święty - wykrztusił.

Anais spojrzała na niego niemal błagalnie.

- Świadczy to jedynie o tym, że sądził, iż dobrze mnie zna - wyszeptała. - Założył... cóż, nie wiem właściwie co. Że nadal umieram z miłości? Czekam? Prędzej oblałabym go olejem do lampy i podpaliła. Ale on tego nie wiedział, a to dlatego, że chociaż potrafił pięknie mówić, tak naprawdę wcale mnie nie znał.

- Rzeczywiście - stwierdził Geoff stanowczo. - Inaczej nie ośmieliłby się złamać ci serca i wrócić.

Anais zaśmiała się cicho, niemal bezgłośnie. A potem zaskoczyła Geoffa, przyciągając go do siebie i całując.

- Kochaj się ze mną znowu - wyszeptała. - Ten jeden raz nie będzie miał już znaczenia. Nie chcę mówić

O Rafaelu, o przeszłości, a nawet o przyszłości. Po prostu kochaj się ze mną i daj mi coś realnego i prawdziwego. Coś, co będę mogła wspominać, kiedy ta noc się skończy.

I Geoff posłuchał. Kochał się z nią nieśpiesznie, słodko, wykorzystując wszystkie swoje umiejętności, wszystkie męskie sztuczki, by się upewnić, że Anais będzie pożądać go tak, jak on pożądał jej.

* * *

Drzemał przez jakiś czas w jej ramionach, lecz mimo wywołanego spełnieniem letargu nie potrafił się odprężyć. Uświadomił sobie, że pora opuścić Brukselę. Tęsknił za domem^ Pragnął wrócić do Londynu, wyprostować swoje życie i zdobyć serce Anais. Wywieźć Charlotte i jej córkę bezpiecznie do Anglii i umieścić pod bacznym okiem oraz opieką Bractwa.

Tego wieczoru u Lezennesa czuł powiew zła. Krążyło po domu niczym zimny podmuch. I nie chodziło tu jedynie o banalną próbę uwiedzenia Anais, lecz o coś głębszego i bardziej złowrogięgo.

Spróbował znów usnąć, przytulając się do niej mocniej i wciągając w nozdrza jej zapach, na próżno jednak. Pochylił głowę i zanurzył twarz w jej włosach. Westchnęła z zadowoleniem i wtuliła się głębiej w poduszkę. Przesunął kilka razy palcami po włosach na skroni dziewczyny, rozmyślając o tym, że ta prosta przyjemność nigdy mu się nie znudzi.

Wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma sensu przewracać się z boku na bok i zakłócać snu Anais tak, jak zakłócił jej życie. Pora rozpocząć przygotowania do tego, co musi zostać zrobione.

Odsunął się delikatnie i usiadł na skraju łóżka, a potem wstał i jął zbierać rozrzucone po podłodze części garderoby. Kiedy pochylił się, by wziąć spodnie, zobaczył pluszowego pieska Giselle Moreau.

Podniósł go i wyśliznął się cicho z pokoju.

Rozdział 17

*Bądź nader nieuchwytny,
niemal bezkształtny.*

*Bądź nieskończenie tajemniczy,
prawie niezgłębiony.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Promień księżycyca padł na twarz Anais, wyrywając ją z głębokiego snu. Uniosła dłoń, by zakryć oczy, i uświadomiła sobie, że cała drży z zimna. I było coś jeszcze... czaiło się na obrzeżach jej umysłu. Coś posępnego, niby świadomość nadciągającej katastrofy. A może były to pozostałości snu.

Na wpół obudzona, odwróciła się, by ukryć twarz na piersi Geoffa. Wciągnęła jego zapach i przywołała wspomnienia pieszczących ją dłoni, kuszących ust. Lecz nawet one nie były w stanie odpędzić złych przeczuc. A chłód na plecach podpowiedział jej, że Geoffa od dawna przy niej nie ma.

Uniosła się na łokciu i rozejrzała po pokoju. Spoczywała naga na pościelonym łóżku. Zastony nie były zaciągnięte. Jej wieczorowa suknia oraz bielizna leżały rozrzucone na dywanie, wyglądając w blasku księżycyca niczym kałuże bieli i akwamaryny. Ubrania Geoffa zniknęły. Przeczesała dłonią włosy i spróbowała przypomnieć sobie, co też ją obudziło.

Dźwięk. To musiał być dźwięk. Wstała, narzuciła szlafrok, który Claire zostawiła przewieszony przez oparcie krzesła, po czym wyjęła ukryty pod poduszką sztylet i ruszyła bezgłośnie ku ubieralni. Była teraz w pełni przytomna, a jej zmysły stały się czujne.

Jest. Usłyszała to znowu. Cichy, niemal żałobny dźwięk. Niczym plusk podziemnej rzeki. Podeszła do drzwi sypialni Geoffa i otworzyła je, nie pukając.

Siedział na łóżku, owinięty do pasa prześcieradłem, spowity bladą, księżycową poświatą. Dźwięk rozbrzmiał znowu, posepny jak zawodzenie wiatru, zignorowała go jednak, skupiając uwagę na siedzącej postaci.

- Geoff? - Podbiegła spieszenie, wrzuciwszy nóż do kieszeni.

Wyciągnął nagłym ruchem ramię.

- Zatrzymaj się! - krzyknął chrapliwie. Lecz ona stała już przy łóżku.

- Co się dzieje? - spytała szeptem.

- To woda - wymamrotał ze wzrokiem utkwionym w mrok pokoju. - Woda. Nie widzisz jej'?

Śnił.

Przycupnęła na materacu, podwinąwszy pod siebie nogę.

- Obudź się, Geoffie. To tylko senny koszmar.

- Ciii... - wyszeptał, nadal powstrzymując ją gestem. - Tak, woda. Nie widzisz?

Powietrze w pokoju zafalowało, poruszone nagłym powiewem. Przyłożyła mu dłoń do policzka, zastanawiając się, czy powinna go obudzić.

- Tu nie ma wody.

- Ciemność - wykrztusił chrapliwie. - I piasek. Ma go w butach. - Tym razem chwycił Anais za ramię i przyciągnął do siebie, jakby nic nie ważyła. - Boże, dlaczego ona tego nie widzi?

Wylądowała mu ciężko na kolanach.

- Czego?

- Księżyc świeci tak jasno - powiedział. - Morze jest spokojne. Ona nie może... nie może...

Anais przyłożyła mu dłoń do policzka. Drżał, jakby było mu zimno, lecz skórę miał rozpaloną.

- Kto taki, Geoffie?

- Za późno - wykrztusił. - Za ciemno. Powiedz mu, że jest za ciemno. Przewstraszona, obróciła twarz Geoffa ku sobie i światłu księżyca.

Potem nie potrafiła określić chwili, kiedy uprzytomniła sobie, że panujący w pokoju chłód nie ma nic wspólnego z temperaturą za oknem. I że Geoff nie śpi, ale nawet go tam nie ma. Przynajmniej po części. Jego wilcze oczy płonęły, gdy na nią spoglądał, dzikie i niezgłębione w stopniu, jakiego sobie nawet nie wyobrażała. Ich źrenice zaś, zwężone pomimo mroku, błyszczały niczym kawałki onyksu.

Jakby patrzył czyimiś oczami.

Bo i tak właśnie było. Jezu...

- Geoffie? - powiedziała słabym głosem. - Wróć. Proszę. Nagle powietrze wokół nich zaczęło wirować, jakby

przepływał w nim niewidzialny prąd. Przejrzyste firanki, już i tak poruszane powiewem, zaczęły się unosić. Usłyszała cichy odgłos wiatru ryczącego w odległym tunelu, a po nim głośnie: Łup! Rozejrzała się i zobaczyła, że egzemplarz *L'art de la Guerre* spadł z blatu. Leżał na podłodze, a jego kartki falowały niczym łan zboża poruszany wiatrem. Papiery z biurka uniosły się i zaczęły wirować. Odwróciła głowę tak gwałtownie, że pasmo włosów opadło jej na twarz.

- Co się dzieje?! - krzyknęła, przywierając do niego. Ścisnął jej ramię jeszcze mocniej, choć wydawało się to niemożliwe.

- Ona umrze - wyszeptał. - Umrze. On ją wpycha. Przytrzymuje. Zabija ją.

- Kogo? - wykrzyknęła. - Charlotte? Na miłość boską, kogo...?

- Charlotte - wymamrotał. - Biedna Charlotte. Nie widzi...

Nagle poczuła, że uścisk słabnie. Geoff opadł na wezglowie, dysząc ciężko. Anais upadła wraz z nim.

Przez chwilę było tak, jakby czas się zatrzymał. Żadne nie oddychało. A potem ryk ucichł w oddali niczym łoskot odjeżdżającego pociągu. W pokoju zapadła śmiertelna cisza. Firanki opadły na parapet. Wir papieru znieruchomiał, a kartki oddzieliły się od siebie i opadły, uderzając o nogi mebli. Leżały teraz rozrzucone po dywanie niczym martwe liście.

- *Grazie o Dio!* - westchnęła, przyciskając czoło do ramienia Geoffa.

- Anais? - szepnął.

- Geoff? - wykrztusiła. - Jesteś... tutaj?

Przez chwilę, długą jak wieczność, nie odpowiadał. Czuła jednak, że wraca do przytomności. A potem, nadal oddychając z wysiłkiem, objął ją ciasno ramionami i już wiedziała, że wrócił.

Kiedy przemówił, było tak, jakby słowa wyciągano z niego siłą.

- To nastąpi wkrótce, Anais - powiedział. - Nie mamy już czasu.

Odsunęła się, a on jej pozwolił. W jego spojrzeniu, tym które знаła tak dobrze, widniał smutek.

- Nic ci nie jest? - wyszeptała, przyglądając mu się uważnie.

Jego oddech stopniowo się uspokajał.

- Nic - odparł po chwili. - Czuję się całkiem dobrze. Grzywa włosów opadła mu na oko. Odsunęła je delikatnie, z czułością.

- Co tu się wydarzyło? - wyszeptała. - Możesz mi powiedzieć? Potrafisz to wyjaśnić?

Potrząsnął głową i przyłożył dłoń do oczu.

- Nie do końca. - Głos miał ochryply. - Ja tylko... próbowałem zobaczyć. Przepraszam. Przestraszyłem cię?

- Ani trochę - skłamała Anais. - I ty nie próbowałeś, ale naprawdę coś zobaczyłeś. Wodę. Piasek. Pamiętasz?

Opuścił w geście rezygnacji dłoń.

- O, tak - wymamrotał. - Znalazłem zabawkę Giselle. A także chusteczkę. List, który dostarczył DuPont. Posłużyłem się tymi rzeczami.

- Spróbowałeś otworzyć drzwi. - Obrzuciła spojrzeniem panujący w pokoju bałagan. - I chyba ci się udało.

Potrząsnął znów głową.

- Nie od razu - powiedział cicho. - Sama widzisz, jak to wygląda. Jakbym miał atak szaleństwa. Nienawidzę tego. Przerazam ludzi.

Anais pomyślała, że chodzi chyba o coś więcej.

- Mnie nie przstraszyło. Parsknął ostrym śmiechem.

- Gdy byłem chłopcem, ukrywałem to przed matką

- powiedział. - Była przerażona. Lekarze... powiedzieli jej, że jestem umyślowo chory. I że w końcu będzie musiała gdzieś mnie umieścić.

- Boże - westchnęła Anais. - Chyba ich nie posłuchała? Milczał przez chwilę.

- Nie, zabrała mnie do kogoś, kto nie był lekarzem

- odparł w końcu - lecz kimś w rodzaju guwernantki wykształconej w Paryżu. Zajmowała się dziećmi uznanymi za... Wariatami.

Przycisnęła mu palec do ust.

- Przestań używać tego słowa.

Geoff przyglądał się jej przez chwilę. Jego oczy, zimne zazwyczaj jak lód, przywodziły teraz na myśl gładką tafłę błękitnej wody.

- Twoja matka - powiedział cicho - jest siostrą lorda Treyherna. Sutherland mi powiedział.

Anais opuściła dłoń.

- Owszem - mruknęła. - A co? Spuścił wzrok.

- To była jego żona. To ona była guwernantką.

- Ciocia Helenę? - spytała Anais zaskoczona. - Ale... są małżeństwem od wieków.

- Moja matka nie wiedziała, że się pobrali - wyjaśnił. - Sądziła, że zdoła podkupić ją od lorda. Zaoferować więcej pieniędzy. Musisz zrozumieć, że była zdesperowana. Sądziła, że albo to, albo zakład.

Anais się roześmiała.

- Chciałabym być podczas tej rozmowy muchą na ścianie. Ale Helenę rzeczywiście ma talent do zajmowania się dziećmi, i sporą porcję zdrowego rozsądku.

- To właśnie on mnie ocalił - wyjaśnił Geoff. - Powiedziała mojej matce, że jestem absolutnie zdrowy na umyśle. Niech zostawi mnie w spokoju i zapomni o lekarzach.

Coś się jej przypomniało.

- A potem znalazłeś swego mentora. W Szkocji? Uśmiechnął się z tęsknotą.

- To długa historia - powiedział. - Kolejna opowieść na kolejną noc.

Anais nie była jednak pewna, ile mają ich jeszcze przed sobą. Odsunęła czym prędzej tę myśl.

- Cóż, posiadasz Dar - powiedziała. - I liczy się tylko to, że nauczyłeś się nad nim panować.

- Tak - powiedział z twarzą bez wyrazu. - Przychodzi, kiedy go potrzebuję, i czuję się wtedy tak, jakbym przywoływał diabła. Lecz diabeł nie pomagałby Charlotte, prawda?

Przeczesła mu znów dłonią włosy.

- Powiedz mi zatem - zachęciła go. - Opowiedz, co dokładnie wydarzyło się tej nocy. Wziąłeś pieska i pozostałe rzeczy. Co potem?

Wzruszył ramionami.

- Nic się nie wydarzyło - powiedział. - Widziałem jedynie tę straszną ciemność. Prześladowuje mnie, odkąd się tu wprowadziliśmy. Nic nie zobaczyłem, spróbowałem więc zasnąć. Czasami wizje przychodzą, gdy umysł osuwa się w sen...

- A ty zapadasz w tę szczelinę pomiędzy jawą a snem, prawda? Myślę, że każdy z nas to odczuwa, tylko w róż-

nym stopniu. Dla ciebie to jest... cóż, sam wiesz najlepiej. Teraz już wszystko w porządku?

- Ze mną tak, lecz nie z Charlotte - odparł, chwytając Anais za ramiona. - Zastanów się. Kiedy wyjeżdżają na te wakacje?

- Pojutrze - odparła pośpiesznie. - Bo co? Geoff zamknął oczy.

- Lezennes zamierza ją utopić - wyszeptał. - Chce wywabić ją z domu, proponując spacer brzegiem morza przy księżycu, i poprosić po raz ostatni o rękę.

Anais wyprostowała się gwałtownie.

- Och, Geoffie. Nie.

Lecz on zdawał się jej nie słyszeć.

- Ona... odmówi - kontynuował. -1 Lezennes dobrze o tym wie. Jest przygotowany. To dlatego wywozi ją z miasta. Z dala od domu i służby. Jej spowiednika. I, prawdopodobnie, ciebie.

- Boże, to byłoby takie łatwe! - wyszeptała Anais.

- W ciemności, ubrana w suknię z krynoliną nie miałyby w wodzie szans.

- On powie, że się potknęła - Geoff mówił dalej.

- I zabrała ją fala, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Brodzili i nie zdołał jej pomóc.

Anais przycisnęła dłoń do ust.

- Romantyczny spacer, ramię przy ramieniu. - Oczy miał nadal zamknięte. - On... przytrzymuje ją pod wodą. Fala przyływu zamyka im się nad głowami. To nie trwa długo. - Zamilkł i przełknął mocno. - Ona jest drobna i zmęczona. Po tym, przez co musiała przejść, me zostało jej już wiele chęci do walki.

- Ale... to potworne! - krzyknęła Anais. - Musimy powiedzieć...

Zegar na klatce schodowej wybił żałobnym tonem godzinę czwartą.

Anais zacisnęła powieki.

- Och, Geoffie! - wyszeptała. - Już mamy piątek! Wyjeżdżają jutro!'
- Właśnie. Trzeba przygotować się do wyjazdu. Będziemy musieli zabrać je ze sobą tej nocy. To jedyny spo-
- Tak. - Anais podeszła do okna i spojrzała na dom Lezennesa. - Tak, jedyny. Lecz najpierw muszę tam pojsc i ją ostrzec.
- Ale czy ci uwierzy? Anais odwróciła się.
- Postaram się, by tak się stało - odparła z determinacją. - Już wiem: poproszę ją, by poszła ze mną rano do spowiedzi. Nie uzna tego za dziwne. A kiedy dotrzemy do kościoła, opowiem jej wszystko. Mogę nawet pokazać tatuaż, jeśli zajdzie potrzeba.
- Tak, z pewnością go rozpozna - powiedział Geoff podnosząc się z łóżka. - To może się udać. A jeśli nie raczej me powie Lezennesowi, co knujemy. Musisz ją jednak przekonać, że z nami będzie bezpieczniejsza niż z mm. Choć nadal mi się to nie podoba. Nie zdobyłem jeszcze jej zaufania... i ty też chyba nie.
- Zostają nam zatem drabiny i laudanum - stwierdziła Anais ponuro.
- Udało ci się otworzyć zamki w oknach?
- Tak, we wszystkich.
- Dobra dziewczynka - powiedział, chwytając spodnie. J J^
- Och! - westchnęła cicho. - Chciałabym... Zastygł i spojrzał na nią przez pokój.
- Co takiego?
- Chciałabym, żebyś nie musiał znów ich zakładać - wypaliła, a potem przygryzła wargę. - Ale nie mamy na to czasu, prawda?
- Geoff uśmiechnął się kątem ust.
- Niestety, musimy się spieszyć, kochanie - powiedział, wkładając stopę w nogawkę. - Obudź służbę.

Chcę, by przed południem wszystko było spakowane, załadowane i w drodze do Ostendy. Petite pojedzie z bagażami i uprzedzi kapitana Thibeau. Popłyniemy do Anglii jutro.

* * *

Punktualnie o wpół do jedenastej Anais stała na progu domu Lezennesa w najskromniejszej ze swych sukienek, z modlitewnikiem wyglądającym z przewieszzonego przez ramię koszyka. Z początku wyglądało na to, że nikt nie usłyszał jej pukania.

Wreszcie zjawiała się dziewczyna ubrana w szary uniform, zapewne jedna z pokojówek. Dygnęła, lecz nie otworzyła drzwi szerzej. A kiedy Anais wyjaśniła, że chciałyby zobaczyć się z jej panią, służąca potrząsnęła głową.

- Przepraszam bardzo - powiedziała łamaną angielszczyzną. - Lecz madame Moreau jest *mai de... de...*

- Chora? - podsunęła Anais zaniepokojona.

- *Oui, merci*. Chora i nie przyjmuje.

- To okropne. Wieczorem wydawała się całkiem zdrowa. Pokojówka dygnęła znowu i spuściła wzrok.

- *Desole, madame* - powtórzyła. - To było... Jak wy to mówicie? Nagłe. Jest nadzieja, że szybko poczuje się lepiej.

Wykonała gest, jakby chciała odejść, lecz Anais nie cofnęła stopy, co więcej, udało jej się wsunąć niepostrzeżenie pomiędzy drzwi a framugę łokieć.

- Ach, gdybym mogła zobaczyć się z nią choć na chwilę - powiedziała błagalnie. - Tylko po to, żeby się upewnić, że to nie moja wina. Och, to po prostu straszne. Zatrzymaliśmy ją do późna, żeby zabawiała nas grą na pianinie, ot co! Ależ byliśmy bezmyślni. Czuję się okropnie.

- *Non, madame* - powiedziała dziewczyna trochę mniej pewnie. - To Jego Lordowska Mość polecił, by *madame* nie przeszkadzano.

Anais wsunęła za drzwi drugą stopę, a także koszyk. Tak jak się spodziewała, dziewczyna wreszcie się cofnęła.

- Może wicehrabia zechciałby ze mną porozmawiać? - zasugerowała, nie mając wyjścia. - Tylko po to, bym mogła się upewnić..?

Dziewczyna zerknęła na Anais, skinęła głową i po chwili wahania otworzyła szerzej.

- *Bien sur, madame* - powiedziała. - Zechce pani usiąść?

Anais usiadła na krześle, które jej wskazano, i zaczęła rozglądać się po holu, odnotowując szczegóły wyposażenia. Zegar u podnóża schodów. Parasolka przy drzwiach. Bardzo piękny dywan. Wszystko wyglądało absolutnie normalnie. Zamknęła na chwilę oczy i wyobraziła sobie, że wędruje w ciemności po domu. Nie pierwszy raz to robiła. A mogło zdarzyć się tak, iż będzie musiała poruszać się po nim jeszcze tej nocy.

Spróbowała się odprężyć. Może coś przyjdzie do niej, kiedy spróbuje otworzyć się na pustkę. Jakiś znak, przeblýsk tego, co myśli Lezennes.

Nic takiego jednak nie nastąpiło - zresztą, wcale się tego nie spodziewała.

Dziewczyna szybko wróciła i nie podnosząc wzroku, wskazała Anais, by poszła za nią. Ta wstała i ruszyła za pokojówką, starając się zapamiętać takie szczegóły jak ilość kroków dzielących drzwi wejściowe od schodów czy liczbę stopni. Dwa kroki na podeście. I jeszcze sześć.

Lezennes powita! ją na piętrze. Białą koszulę okrywał haftowany indyjski szlafrok. Podwinięte rękawy ukazywały czarną podszewkę z satyny. Nie nosił krawata.

- A więc wróciła pani - powiedział, przyglądając się Anais uważnie. Może w świetle dnia - i na trzeźwo - jej działania z poprzedniego wieczoru jednak wydały mu się podejrzan.

- Och, Wasza Lordowska Mość! - powiedziała, opierając mu dłoń na ramieniu. - Proszę powiedzieć, jak też

się miewa biedna Charlotte! Wyrzucam sobie, że za bardzo zmęczyliśmy ją wczorajszego wieczoru! Lezennes uśmiechnął się chłodno.

- Niepotrzebnie, *madame* - powiedział. - Proszę się uspokoić. To nic takiego, zwykły ból głowy. Poradziłem jej, by odpoczęła. .

- Bogu dzięki - westchnęła Anais. - Miałam nadzieję, że będzie mogła wybrać się ze mną do kościoła.

- To raczej nie wchodzi w grę. Postarała się wyglądać możliwie niewinnie.

- Mogłabym się z nią zobaczyć? - spytała błagalnie. - Choć na chwilę? Może chciałaby, abym jej coś przyniosła? Trochę galaretki z nówek?

Zawahał się, a potem uśmiechnął z zadowoleniem i skinął lekko głową.

- Jest pani bardzo uprzejma, *madame*. Krotka rozmowa chyba jej nie zaszkodzi. Przekona się pani, że wszystko w porządku. Proszę za mną.

Już miała powiedzieć, że wie, gdzie znajduje się pokój Charlotte, uświadomiła sobie jednak, że wicehrabia nie zamierza spuścić jej z oka.

Domysły okazały się słuszne. Minęli pokój Charlotte i podeszli do drzwi na końcu korytarza. Za nimi znajdował się niewielki, elegancko umeblowany salonik z drzwiami w bocznych ścianach - prowadzącymi, jak się domyślała, do obu sypialni: Lezennesa i Charlotte. Ten człowiek nie ma za grosz wstydu, uznała.

Charlotte spoczywała na sofie w pobliżu okna. Drzwi do jej sypialni stały otworem.

- Nie Louiso, czerwone buty - powiedziała, skinąwszy na kogoś, kto znajdował się poza polem widzenia Anais.

- Spójrz, *ma petite*, kogo ci przyprowadziłem - odezwał się Lezennes, wchodząc.

Charlotte odwróciła z wolna głowę.

- Anais! - zawołała, wykonując ruch, jakby chciała się podnieść.

- Nie, nie wstawaj! - powstrzymała ją Anais. - Wiem ze źle się czujesz, toteż zostanę tylko przez chwilę.

Cień trudnej do odczytania emocji przemknął przez twarz Charlotte.

- Lezennes chce, bym wypoczęła - powiedziała. - Jutro czeka nas podróż. Miło cię widzieć, Anais. Usiądź proszę. '

- Tylko na chwilę - powtórzyła i spoglądając na Le-zennesa, dodała: - Może wicehrabia zechce się do nas przyłączyć? Obiecujemy nie rozmawiać wyłącznie o wstążkach i kapeluszach. Przekona się pan, że zamierzam dotrzymać słowa. Nie zostanę długo.

Z twarzy Lezennesa znikł wyraz podejrzliwości. Wicehrabia zajął miejsce tuż obok Anais - dokładnie tak, jak się spodziewała.

- A przy okazji, dziękuję wam obojgu za cudowny wieczór - powiedziała, wygładzając fałdy spódnicy. - To był najlepszy posiłek, jaki jedliśmy od wieków, milordzie. Może twoja kucharka, Charlotte, da się namówić i zdradzi przepis na suflet pani Janssen?

- Dopilnuję, by tak się stało, nim wyjedziemy - zapewniła Charlotte. Wydawała się jednak niespokojna i wyczerpana.

Dopiero teraz Anais uświadomiła sobie, że w drzwiach prowadzących do sypialni stoi pokojówka z naręczem ubrań.

- Tak, wszystkie, Louiso - powiedziała Charlotte - Dziękuję. Jesteś bardzo uprzejma.

- Och, pakujesz się! - zauważyła odkrywczo Anais.

- Tak. Cóż, właściwie robi to za mnie Louisa. Anais pokiwała w powietrzu palcem.

- Jeśli zamierzacie jechać pociągiem, bądź ostrożna!

- Ostrożna? Dlaczego? - zdziwiła się Charlotte.

- Zapakuj wszystkie ważne rzeczy do małej torby i miej ją przez cały czas przy sobie. Zwłaszcza te mające wartość sentymentalną. Kiedyś ukradziono mi w pociągu

cały bagaż. I to gdzie? W Gloucestershire! Jechałam do babki i moje kufry zniknęły! Możesz w to uwierzyć?

- Ależ to okropne!

- Rzeczywiście - przytaknęła Anais z zapalem. - Na szczęście mamusia okazała się przewidująca i zapakowała upominki oraz zmianę bielizny do bagażu podręcznego, inaczej nie miałabym po przyjeździe nawet pary czystych majtek... Och, przepraszam, milordzie!

Lezennes uniósł brew.

- Nie ma za co, madame MacLachlan - stwierdził chłodno. - Wszyscy je nosimy, czyż nie?

Anais zachichotała.

- Z pewnością!

Rozmawiali przez jakiś czas o urokach pobytu nad morzem i wymieniali wspomnienia z dzieciństwa. Anais nie miała tak naprawdę żadnych, gdyż jej rodzina była zbyt zajęta prowadzeniem za granicą winnic i farm - a ona sama nieustannym podróżowaniem do Toskanii. Nie przyznała się jednak do tego, lecz snuła opowieści, które miały na celu umocnić w słuchaczach przekonanie, iż wywodzi się z burżuazji. Opowiedziała nawet zabawną historyjkę, jak to jej siostra spadła kiedyś głową w dół z molo w Lyme Regis - a jeśli ktoś zauważył, że opowieść tylko nieznacznie różni się od tej, jaką przytacza w jednej ze swych powieści pani Austen, to o tym nie wspomniał. W wypadku ucierpiały jedynie duma i halki nieistniejącej siostry Anais, a rodzinne wakacje pozostały niezagrożone.

Charlotte zaczęła opowiadać o planach na czas pobytu nad morzem i o rozrywkach, jakie zaplanowała dla Giselle: budowaniu zamków z piasku i poszukiwaniu na plaży muszelek. Lezennes zerwał się z krzesła, jakby temat wprowadził go w zakłopotanie.

- Charlotte, moja droga, powinnaś zdecydowanie odpocząć, skoro mamy jutro wyruszyć.

Anais wiedziała, że pora zakończyć wizytę.

- Jego Lordowska Mość ma, oczywiście, rację - rzekła, wstając pospiesznie. - Nie, Charlotte, leż, proszę. Pobiegnę teraz do domu i przyślę podkuchenną z miseczką domowej galaretki z nówek. Trzeba ją zagrzać i jeść potem łyżką. A, jeszcze książka... mam książkę, która mogłaby ci się spodobać.

- To jedna z tych pani oryginalnych powieści? - zapytał wicehrabia, marszcząc nieznacznie nos.

Anais jakoś udało się zarumienić.

- Och, nie, milordzie, to tylko tomik poezji Coleridge'a - wyjaśniła. - Myślę, że doskonale nada się na podróż.

- Dziękuję - wtrąciła szybko Charlotte. - Jestem pewna, że przy lekturze czas szybciej minie.

Anais ukloniła się i wyszła z pokoju, licząc kroki i wypatrując przeszkód, o które można byłoby potknąć się w ciemności.

Lezennes pożegnał ją na podeście, życząc miłego dnia, i wrócił do pokoju Charlotte. Anais obserwowała go, wdzięczna głęboko, iż nie posiada daru Geoffa. Lepiej nie wiedzieć - a już na pewno nie czuć - jakie zło czai się w zakamarkach umysłu tego człowieka. Nie trzeba było szczególnych zdolności, by się zorientować, że Lezenens pilnuje Charlotte niczym jastrzęb i nie zamierza przestać, póki nie będzie zaręczona lub martwa.

Anais przyrzekła sobie w duchu, iż do żadnej z tych ewentualności nie dopuści. Zamyślona i zmartwiona wróciła na drugą stronę ulicy i weszła do domu. Odstawiła koszyk i ruszyła ku pokojom na parterze. Zerknęła przez jedno z okien wychodzących na tyły domu i zobaczyła na końcu znajdującej się tam alejki furgon. Geoff, ubrany w wysokie buty i obcisłe bryczesy, pomagał Petite'owi umocować bagaże.

Podziwiała przez chwilę widok, a potem zaciągnęła storę i weszła na piętro do swojej sypialni, a stamtąd do pokoju Geoffa. Należący do niego tomik poezji Cole-

ridge'a nadal spoczywał pomiędzy schludnie ułożonymi książkami. Przejrzała go, aby się upewnić, czy jest tam wiersz, o który jej chodzi, i czy na stronie tytułowej nie ma sentymentalnej dedykacji, po czym wróciła z książką do siebie. Rzuciła tomik na łóżko, otworzyła szkatułkę prababki Sofii i wyjęła z talii jedną kartę. // *Cavaliere di Spade*. Księcia Mieczy.

Zamknęła na chwilę oczy i przycisnęła kartę do piersi.

Wiedziała, iż może więcej jej nie zobaczyć. Przez blisko dwa stulecia talia była przekazywana w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie - w całości. Jeśli jedna z kart przepadnie, będzie to jej wina, a talia stanie się bezużyteczna.

Na samą myśl o tym coś ścisnęło ją za gardło.

Przynajmniej nie była to jej karta. Nie *le Re di Dischi*.

Dziwne, ale tym razem jakoś nie miała ochoty wyjmować jej z pudełka. Jej dziewczęca fantazja - i przepowiednia babki - zdawały się należeć do przeszłości. Teraz czuła w piersi tęsknotę, która nie miała nic wspólnego z głupią talią kart.

Nagle uświadomiła sobie z całą mocą, że czas upływa. A także to, że jest znużona czekaniem. Nie wiedzieć czemu wydało jej się to niemądre. Pragnęła żyć, mieć męża i dzieci, które mogłaby kochać. Nie dbała już o to, czyjej piękny tokański książę się pojawi.

Prawdę mówiąc, wolałaby, żeby tak się nie stało. Wolałaby...

Ach, ale to nie było możliwe.

Mimo szacunku dla prababki, nie mogła zamykać dłużej oczu na fakt, że coś w niej się zmieniło. Zaczynała powątpiewać, czy wyczekiwanie na właściwego mężczyznę jest aby na pewno rozsądne. W rzeczy samej, cała ta przepowiednia wydawała jej się tak nedorzeczna, że zastanawiała się, czy kiedykolwiek naprawdę w nią wierzyła. Poza Marią nikt też o niej nie wiedział. Historia była zbyt dziwaczna, żeby ją opowiadać.

Jednak prababka ciągle ją powtarzała - a przynajmniej robiły to karty. Przez cały czas pokazywały to samo: jej przeznaczeniem jest poślubić Króla Pentakli.

Lecz gdyby wyrzuciła na cztery wiatry *le Re di Dischi* i nie udało jej się odzyskać karty, którą zamierzała dać Charlotte, czy miałyby to znaczenie? Nie chciała już wróżyć z kart. Radzić się ich w ważnej sprawie. To, co musiała powiedzieć Charlotte, nadal ją niepokoiło. Nie chciała posiadać Daru właściwego kobietom z jej rodu, nawet w tej słabej, rozwodnionej wersji. Wszystko to sprawiło, że wróciła myślami do Geoffa: chłopca, jakim był kiedyś, przerażonego i błędzącego w ciemności, których nikt nie potrafił rozjaśnić.

I nagle uderzyła ją dziwna myśl.

Właściwie dlaczego nie było przy nim nikogo takiego?

Dlaczego matka Geoffa nie potrafiła rozpoznać Daru? Geoff musiał odziedziczyć go po niej albo po ojcu. Jedno z rodziców powinno rozpoznać zatem sygnały, a skoro tak, wiedziałoby, że Geoff potrzebuje pomocy - i takową by otrzymał. Od opiekuna, kapłana, mentora, w którego żyłach płynęłaby ta sama krew - kogokolwiek, na miłość boską! W ten właśnie sposób strzeżono Daru od stuleci.

Zamiast tego matka zabrała Geoffa do lekarza. Bala się, że syn traci rozum. Uderzyło ją, jak dalece nie miało to sensu. Nic dziwnego, że Geoff tak bardzo przejął się losem Giselle - a także Charlotte. Doskonale rozumiał, jak niepewna i przestraszona musiała czuć się jako matka i nie chciał jej zranić, zabierając dziecko. Prawdopodobnie tak właśnie próbowali postąpić z nim kiedyś lekarze.

Tymczasem Charlotte wiedziała, że Giselle posiada Dar. O ileż trudniejsze byłoby jej życie, gdyby nie miała pojęcia, co dzieje się z jej córką! Anais nie była w stanie sobie wyobrazić, jaki niepokój mogłoby wzbudzać takie dziwne, niespełna rozumu dziecko w sercu nieświadomej niczego matki.

Rozwikłanie zagadki dzieciństwa Geoffa musiało zostać odłożone - być może na zawsze, ponieważ zarówno jego przeszłość, jak i

przyszłość wkrótce nie będą już jej sprawą. Na dobre czy złe, ich wspólne dni dobiegną niedługo kresu. Nie mogła przestać się zastanawiać, czy kiedy Geoff wróci znowu do Anglii - do Bractwa i swojej prawie-narzeczonej - nie sprawi mu ulgi fakt, że się pozbył jej, Anais.

Nie chciała o tym myśleć, a jej żalosne rozczulanie się nad sobą z pewnością nie pomoże Charlotte. Wzięła do rąk książkę oraz kartę, zeskoczyła z łóżka, podeszła do biurka przy drzwiach i wysunęła szufladę, szukając ołówka. Odwróciła kartę do światła i przesunęła czubkiem palca wzdłuż pochylonej głowy księcia i miecza. Z tyłu widać było fragment opustoszałego, pozbawionego koloru krajobrazu.

Puste życie. Porzucenie. Wojownik bez wroga, z którym mógłby się zmierzyć.

Jakież to podobne do życia Strażniczki, której odmówiono wstępu do Bractwa, pomyślała.

Zamknęła energicznie szufladę i przystąpiła do dzieła. Na wąskim marginesie u dołu karty napisała kilka słów: *Dziś w nocy. Bądź przygotowana.*

Odłożyła ołówek i spojrzała na swoje dzieło.

Napis był ledwie widoczny, lecz to musiało wystarczyć. Na pierwszy rzut oka karta sprawiała wrażenie starej, wetkniętej w książkę w charakterze zakładki i zapomnianej. Podniszczonej i trochę niezwyklej, ale i tak większość ludzi nie uznałaby jej za godną bliższego przyjrzenia się.

Większość, lecz nie Charlotte. To właśnie ta karta sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu. Kiedy ją znowu zobaczy, być może weźmie kartonik do ręki i przyjrzy mu się dokładniej, szukając odniesień, choćby najmniejszych, do swego ojca. Ojca, któremu ani się śniło umierać i który gorąco pragnął odzyskać córkę.

Przerzuciła szybko strony, szukając ulubionego wiersza *Mróz o północy*. Poeta pisał w nim o tęsknocie za domem rodzinnym pośród angielskiego krajobrazu.

Zakreśliła kilka wersów:

*Wiedziony przecuciem spoglądałem na kraty Obserwując
trzepoczącego skrzydłami przybysza I częstokroć z otwartymi oczami
śniłem O słodkim domu rodzinnym*

Mało prawdopodobne, by ktoś przyglądał się zakreślonym wersom. Prawie wszyscy zaznaczali fragmenty wierszy lub prozy, żeby studiować je albo łatwiej zapamiętać. Niestety, mogło się zdarzyć, że Charlotte także nie zwróci uwagi na wiersz. Nie otworzy tego wieczoru książki.

Anais zaklęła cicho. Nie, Charlotte zapewne wetknie tomik pomiędzy swoje rzeczy - być może do bagażu podręcznego, który Anais poradziła jej zabrać.

Westchnęła ciężko. Kobieta mogła nie posłuchać rady i zapakować po prostu książkę do głównego bagażu, nie zajrzawszy do niej, a potem narobić w nocy hałasu wrzeszcząc, że ją mordują. A gdyby Anais udało się jakimś cudem uspokoić ją i przekonać, zapewne chciałyby się ubrać, spakować, odszukać ulubioną wstążkę czy buty... słowem, zrobić wszystkie te niemądre rzeczy, przy których kobiety upierają się, zanim opuszczą dom.

Potem musieliby ominąć jakoś pokojówkę Lezennesa i zabrać Giselle.

Boże, to nie do wykonania.

Poczuła, że opadają jej ręce. Lecz jaki mieli wybór? Sądząc po stroju, Lezennes nie zamierzał najwidoczniej wychodzić, a już na pewno nie pozwoli porozmawiać Charlotte z Anais na osobności.

Usłyszała pukanie i do sypialni wszedł, stąpając ciężko, Geoff. W dłoni trzymał harap. Anais odwróciła się na krześle i spojrzała na niego. W dopasowanym surdu

cie oraz obcisłych bryczesach, z odrzuconymi do tyłu, rozwianymi wiosennym powiewem włosami wydał się jej niezwykle przystojny.

Spojrzenie miał jednak poważne i pytające.

-1? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Jest podejrzliwy - odparła. - Twierdzi, że Charlotte źle się czuje.

- Nie widziałas się z nią - stwierdził rozczarowany.

- Przeciwnie, udało mi się do niej przedrzeć, choć wymagało to nieco zachodu.

Geoff usiadł na skraju łóżka.

- Dobra dziewczynka - powiedział, uśmiechając się leciutko. -1 sprytna.

- Lezennes nie zostawił nas ani na sekundę - kontynuowała. - Pokojówka pakuje rzeczy. Wyjadą rano pociągiem.

- Przynajmniej tyle wiemy.

Anais pokazała mu książkę i kartę, po czym objaśniła swój plan.

- I co sądzisz? - spytała, przysiadając obok niego na łóżku. - Zbyt ryzykowne?

Geoff uniósł brew i przeczytał uważnie zaznaczony fragment.

- Cóż, strofa sama w sobie niczego nie zdradza - zauważył. - Zazaczyłem ich w książkach dziesiątki. Co zaś się tyczy karty, jest stara, podniszczona, a słowa niemal wtapiają się w deseń. Trzeba uważnie się przyjrzeć, żeby je dostrzec. Nie, do licha, plan jest błyskotliwy.

Anais pojaśniała z dumy, lecz zaraz mina jej zrzędła.

- Och, Geoffie, jakie są szanse, by Charlotte zajrzała do książki jeszcze tego wieczoru? A jeśli naprawdę boli ją głowa? Zapewne po prostu odłoży tomik.

Lecz Geoff chwycił ją za ramiona i ścisnął.

- Pomysł jest dobry, Anais - stwierdził stanowczo. - Poza tym, nic innego nie mamy. A jeśli nie zadziała...

cóż, pozostanie nam się modlić, żeby Charlotte nie zaczęła krzyczeć i nie obudziła całego domu, zanim nie zdołamy jej przekonać, by z nami uciekła. Anais spojrzała na niego ze smutkiem.

- Och, z pewnością uda się przekonać Charlotte - powiedziała cicho. - Powinieneś być widzieć ją dzisiaj. Wyglądała na przestraszoną. Myślę, że ona wie. Czy to możliwe, by Giselle - sama nie wiem - coś zobaczyła?

Geoff wstał i zaczął przemierzać pokój.

- Trudno powiedzieć. Rodzice i dzieci z reguły nie potrafią czytać w swoich umysłach.

- Prababka potrafiła wyczytać moją przyszłość z kart. Geoff zastanawiał się przez chwilę.

- Ale dzieliły was trzy pokolenia. Krew była już rozrzedzona - powiedział, opierając się o framugę. - Zatem, kto wie? Dar przejawia się na dziwne sposoby, zwłaszcza kiedy jest silny. To prawdopodobne, że Giselle potrafi czytać w myślach Lezennesa albo przynajmniej wyczuć kryjące się w nim zło. Do diabła, ja nie potrzebowałem nawet dotykać bękarta, by wiedzieć, ile jest wart. Wybacz mi słownictwo, lecz jestem zdenerwowany.

- Nie przejmuj się - westchnęła Anais. - Uważam, że Charlotte wie, iż Lezennes planuje oświadczyć się jej po raz ostatni. I zamierza dać mu kosza.

- Już samo to mogłoby skłonić ją do ucieczki. Obyśmy wydostali Charlotte i dziecko i zawieźli je bezpiecznie do Anglii. A jeśli będę musiał przebić przy tym Lezennesowi serce szpadą, niech i tak będzie.

Jak uświadomiła sobie później, właśnie w tamtej chwili zakochała się beznadziejnie, po uszy w zazwyczaj tak chłodnym i zdystansowanym lordzie Bessett, a śniady, uderzająco przystojny tokański książę zamienił się miejscami z praktycznie myślącym, spokojnie bezlitosnym Anglikiem o oczach barwy arktycznego lodu i włosach muśniętych słońcem. Uświadomiła też sobie, iż marze-

nie prababki niekoniecznie musi być jej własnym, przeznaczenie zaś można zmienić, jeśli bardzo się tego chce. Oczywiście, że to możliwe.

Czyż nie tego właśnie próbowali tutaj dokonać? Ocalić Charlotte przed strasznym losem. Odebrać Giselle człowiekowi, który chciał wykorzystać w złych celach jej Dar. Nic z tego nie zostało wyryte w kamieniu - bo jeśli tak, po co by się tu znaleźli? I jaki byłby pożytek z Daru?

Rzeczywistość i możliwości, jakie stwarzała, zaparły jej dech w piersi.

Babka Sofia odeszła i podążanie za jej marzeniem me wróci Anais zmarłej. Nie będzie od tego mniej martwa, chociaż nie musi wcale stracić na znaczeniu. Miała przecież rację w wielu sprawach... cóż, prawdę mówiąc, we

wszystkich.

Z wyjątkiem tej jednej.

W tej kwestii się pomyliła, przynajmniej taką nadzieję miała Anais.

Podeszła do Geoffa. Przyłożyła mu dłoń do policzka, wspięła się na palce i leciutko go pocałowała.

- Czy ktokolwiek mówił ci już, Geoffreyu Archardzie, że jesteś absolutnie zadziwiający?

Chłód zniknął na chwilę z jego spojrzenia.

- Tak? Co chcesz przez to powiedzieć? Odsunęła się, lecz nie cofnęła dłoni.

- Nie jestem pewna - przyznała. - Powiem ci, kiedy to rozpracuję.

Odrzucił w tył głowę i się roześmiał. Anais także się uśmiechnęła, a potem podeszła do łóżka i ściągnęła przykrycie.

Geoff opuścił założone na piersi ramiona i zmarszczył brwi.

- Co robisz?

Anais zarzuciła sobie kapę na ramię,

- Nie sądzę, by monsieur Michel długo opłakiwał stratę narzuty, kiedy odzyska wreszcie dom - powiedziała.

- Podobnie jak stratę kilku starych rapierów, które trzyma na poddaszu.

- Rapierów? - Geoff otworzył szerzej oczy. - Chcesz je owinąć i zabrać, tak?

- Tylko te ostre - powiedziała, mijając go i całując przelotnie. - W końcu, powiadają, że jeśli chce się jeść zupę z diabłem, lepiej mieć długą łyżkę.

- Tak, rzeczywiście. - Wyszedł za nią z pokoju. - A jaki ma to związek...?

Odwróciła się ku niemu.

- Cóż, może się zdarzyć, że jedno z nas będzie musiało dzgnąć Lezennesa - stwierdziła. - Wolałabym mieć wtedy przy sobie długą i mocną klingę.

Rozdział 18

Tajne operacje są podczas wojny

*niezwykle ważne;
od ich wyniku zależy każdy ruch armii.*
Sun Tzu Sztuka wojny

Podobnie jak większość wielkich miast, także Bruksela nigdy nie zasypiała. Do trzeciej nad ranem ruch na głównych arteriach niewiele się zmniejszył. Geoff, ukryty w cieniu, przykucnął za płotem rezydencji Lezennesa. Od pozostawania w nieruchomej pozycji mocno zdrętwiała mu nogi. Od czasu do czasu zza gromadzących się chmur wyglądał księżyc, ale nawet wtedy ledwie można było dostrzec podwórze. Stały tam: ubikacja, coś w rodzaju ogrodowego szałasu i szopa przylegająca do ściany domu. Daleko w alejce zniecierpliwione konie przestępowały z nogi na nogę, podzwaniając cicho uprzężą.

Uznał, że nie będą musieli czekać długo. Za kilka minut okaże się, czy im się udało, czy też ponieśli całkowitą klęskę. Poruszył w milczeniu głową, aby przyciągnąć uwagę Anais, i wskazał szopę. Anais pokazała na migi, że ocenia jej wysokość na trzy metry. Przytaknął i jął rozważać, jakie mają możliwości. Przedtem - jak się zdawało, wieki temu - odrzucił sugestię Anais, by wejść do domu przez okno. Lecz żadne z nich nie umiało otwierać zamków, a nawet gdyby im się udało, przekradanie się przez uśpiony dom, a potem wymknięcie tylnymi drzwiami byłoby zdecydowanie bardziej ryzykowne niż bezszelestne wślizgnięcie się przez okno i powrót tą

samą drogą. Jak zapewnił Petite, pokoje służby znajdowały S1? zwykle w pobliżu frontowego holu. Zatem postanowione: wejdą przez okno. Wiele będzie zależało od tego na ile odważna okaże się Charlotte. Dziecko

- zakładając, że jest tak zdyscyplinowane, jak przypuszczał - można będzie po prostu podać. Charlotte będzie musiała zejść sama.

Spojrzał znów na Anais, zaskoczony jej przemianą. Włosy związała ciasno na czubku głowy, by zmieścić się na nich kapelusz. Nie miała na sobie nic poza miękkimi butami, luźną koszulą, kamizelką i spodniami brata

Zaledwie przed godziną patrzył, jak się przygotowuje - noz, przywiązany do nadgarstka, drugi w bucie, i długa lina owinięta wokół talii. Ubierała się, zachowując całkowity spokój, a odkąd wyszli z domu, reagowała na każdy jego znak, ewidentnie rozumiejąc, że muszą poruszać się i działać jak jedno. Zabrali także dwa małe pistolety, kilka sztuk białej broni, pudełko stearynowych zapalek, ogarek świeczki i buteleczkę eteru - Althausen zamówił ją, nim wyruszyli z Angin. Teraz Geoff pomodlił się w duchu, by eter okazał się niepotrzebny. Spojrzał jeszcze raz na okno i podjął decyzję. Przysunął się blisko do Anais i zapytał szeptem - Potrafisz powiedzieć, czy ktoś tam jeszcze czuwa? Podchwyciła jego spojrzenie i skinęła nieznacznie głową. Wysliznęła się zza krzaków i pomknęła przez podwórze, stąpając cicho, trzymając się cienia i stawiając ostrożnie jedną stopę przed drugą. Pomyślał, że naprawdę porusza się w ciemności jak kot. Podążał za nią oddalony niespełna o metr. Dotarli do budynku, gdzie Anais zatrzymała się na chwilę, a potem zaczęła przesuwając ostrożnie wzdłuż ściany, przystając pod każdym oknem. Kiedy znaleźli się przy szopie, uklękła i położyła dłonie na murze.

- Ktoś chrapie w kuchni - szepnęła. - Poza tym wszędzie spokój.

Skinął głową, wstał i zaczął wspinać się na dach szopy. Postawił jedną stopę na obudowie rynny, a drugą na framudze drzwi, podciągnął się i już był na górze. Opuścił ramię i pomógł wejść Anais. Zrobiła to zgrabnie i w absolutnej ciszy. Uzgodnili, że to ona wejdzie do pokoju Charlotte jako pierwsza, choć Geoff nie był tym zachwycony. Lecz jeśli Charlotte się obudzi, prędzej rozpozna głos Anais. Obecność mężczyzny w pokoju mogłaby ją śmiertelnie wystraszyć.

Teraz chwyciła za wyższą część rynny i pociągnęła. Rynna ani drgnęła, Anais odwróciła się więc i zaczęła wspinać, wykorzystując szpary pomiędzy kamieniarką, klamry podtrzymujące rynnę i wszystko, czego była w stanie się uchwycić.

Obserwowanie, jak zbliża się ku niebezpieczeństwu, podczas gdy on stoi ukryty bezpiecznie w cieniu, było jednym z natrudniejszych wyzwań, jakich Geoff musiał kiedykolwiek doświadczyć. Przekonała go jednak, że to najlepszy sposób. Podąży za nią i tylko wtedy, jeśli uda jej się otworzyć okno.

Nie było to łatwe. Podniesienie okna jedną ręką, gdy trzeba przytrzymać się framugi, to zadanie nie lada, lecz jakoś się jej udało. Modliła się tylko, by nie obudzić przedwcześnie Charlotte. Geoff podążył w ślad za nią, gdy tylko wśliznęła się do środka. Nim dotarł na górę i zerknął do środka przez cienkie na szczęście firanki, Anais przykucnęła już przy wielkim białym obiekcie - łóżku.

Przyłożyła dwa palce do oczu, a potem poruszyła wskazującym w lewo i w prawo. Pokiwał głową na znak, że rozumie. Lampka nocna, a po drugiej stronie krzesło. Uważając, by nie potrącić żadnego z tych przedmiotów, przeskoczył cicho przez parapet i wśliznął się do sypialni.

Charlotte leżała na boku, odwrócona do nich plecami i skulona pod kołdrą. Anais wstała i zakryła jej usta dłonią. Geoff wyczuł natychmiast, kiedy kobieta się obudziła. Przez pokój przepłynęła bowiem fala panicznego strachu.

- Ciii... To ja, Anais. Tylko ja. Na miłość boską, nie krzyknij. Skiń głową, jeśli zrozumiałaś.

Geoff usłyszał szelest włosów na poduszce.

- Bogu dzięki - powiedziała Anais, cofając dłoń. Charlotte odwróciła się i wsparła na łokciu.

- Anais, co ty, na miłość boską...?

- Nie mamy czasu, Charlotte. Grozi ci niebezpieczeństwo. Myślę, że o tym wiesz.

- Tt-tak - odparła drżącym głosem kobieta, siadając na łóżku.

- Musimy wydostać Giselle - wyszeptała Anais. - Domyślasz się chyba dlaczego. Przysłał nas francuski oddział Fraternitas Aureae Crucis. A konkretnie, mężczyzna nazwiskiem DuPont. Znasz go?

Charlotte potrząsnęła głową i podciągnęła wyżej kołdrę.

- Jak mogłabym ci zaufać? - wyszeptała. - Skąd mam wiedzieć...?

- Nie ma czasu wszystkiego ci teraz wyjaśniać - przerwała jej Anais. - Poza tym, nie masz za bardzo wyboru. Wiemy o twoim mężu. Francuzi z Bractwa sądzą, że Le-zennes go zabił.

- Boże... ja... uważam podobnie. - Zabrzmiało to tak, jakby miała się rozpłakać.

- Nie czas na to, Charlotte - stwierdziła stanowczo Anais. - Mam na ciele znak Bractwa, podobnie jak Geoff.

Mężczyzna wysunął się z cienia, a Charlotte westchnęła głośno, zaskoczona.

- Wiesz, co oznacza tatuaż - mówiła dalej Anais. - Pokażę ci go, gdy tylko zrobi się trochę jaśniej. Będziesz mogła zdecydować, komu wolisz zaufać: mnie czy Lezenesowi.

- Tobie - odparła Charlotte z drżeniem. - Każdemu, tylko nie jemu.

- Dobrze. Wstań zatem i spakuj torbę. Jedną. Nie mamy czasu na ubieranie.

- Już ją spakowałam - odparła Charlotte. - Jedną, jak powiedziałaś. Ta karta w książce... zastanawiałam się...

- Doskonale. Znajdź torbę, uważaj tylko, by się me potknąć. Resztę twoich rzeczy zabierzemy później, jesh okaże się to możliwe.

Charlotte musiała być z najwyższym stopniu przerażona, nie zaprotestowała bowiem.

'- Torba stoi na krześle - wyszeptała.

Geoff podszedł do krzesła, wziął torbę, przywiązał ją do liny i opuścił na dach szopy. Zachrobotąła lekko, uderzając o gonty, ale poza tym nie rozległ się żaden dźwięk. Charlotte wstała i włożyła buty.

A potem okazało się, że dopisało im szczęście.

- Idę po Giselle - powiedziała Anais. - Czy mała mocno śpi? , ,

- Giselle jest tutaj - wyszeptała Charlotte, wskazując wałek na łóżku, który nie był wcale wałkiem. - Bała się czegoś i to od wielu dni. Lezennes na ogół me pozwala jej spać poza własnym pokojem, lecz dziś, nie wiedzieć

czemu, ustąpił. .

Dreszcz przebiegł Geoffowi po karku. Wiedział dokładnie, czego dziewczynka się bała i dlaczego Lezennes ustąpił. Łajdak wierzył głęboko, że Giselle już wkrótce będzie całkiem w jego mocy, a Charlotte zginie.

- Obudź małą - poleciła Anais. - Opuścimy ją jako pierwszą.

- Przez okno? - Charlotte przyłożyła dłoń do ust.

- Nie możemy ryzykować, że obudzimy któregoś z lokajów - odparła Anais nagłaco. - Nic jej się nie stanie. Robimy to przez cały czas.

- Przez cały czas?

- Przez cały czas - powtórzyła Anais.

A potem wyłożyła pospiesznie ich plan. Charlotte drżała tak bardzo, iż Geoff uznał, że kobieta znajduje się na skraju hysterii. Należało działać szybko.

Anais też to rozumiała.

- Obudź ją, Charlotte - rozkazała. - I powiedz, jasno i spokojnie, co ma zrobić.

Kobieta skinęła głową, a potem zbudziła delikatnie córkę i zaczęła wyjaśniać jej coś po francusku. Mówiła tak szybko, że Geoff nie zdołał rozróżnić słów. Lecz już po chwili dziewczynka, aczkolwiek mocno zaspana wykonywała polecenia matki. Tak jak się spodziewał, robiła bez oporu wszystko, co jej kazano, chociaż nie odezwała się przy tym ani słowem. Zupełnie jakby wiedziała, dlaczego przyszli - a może wyczuwała po prostu że matce grozi niebezpieczeństwo.

Czymkolwiek się kierowała, był to ciężar ponad siły każdego dziecka. Serce ścisnęło mu się ze współczucia. Nie miał jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Anais obwiązała małą w talii i pod pachami sznurem wykonując węzły, jakich nie powstydziliby się doświadczony żeglarz. Geoff wyszedł przez okno i zsunął się na dach szopy. Anais opuszczała dziewczynkę cal po calu wprost w jego ramiona. Giselle przytrzymała się raz czy dwa rynnny, lecz nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku. Gdy Geoff ją pochwycił, otoczyła mu szyję ramionami, lecz nadal milczała.

Wkrótce w oknie pojawiła się Charlotte okryta ciężką wełnianą peleryną, spod której wyglądała, wybrzuszając się na wietrze, biała nocna koszula. Chociaż Anais przewiązała ją pod pachami liną, kobieta schodziła głównie o własnych siłach. Noga omsknęła jej się tylko raz. Krzyknęła wtedy co prawda cicho, lecz uczepiła się rynnny i nie spadła. Anais ściągnęła mocniej linę i Charlotte przestała się kołysać. Stała na dachu szopy, trzęsąc się z szoku. Będzemy mieli szczęście, jeśli nikt nie usłyszał krzyku, pomyślał Geoff. Po chwili stali już wszyscy na solidnym gruncie. Geoff przerzucił sobie dziecko na biodro. Dziewczynka nie puszczała wszakże jego szyi przywarłszy doń tak, jakby od tego zależało jej życie.

- Chodźmy - Anais chwyciła torbę Charlotte, a potem zamarła.

- Co jest? - zapytał Geoff bezgłośnie, samymi tylko wargami.

Anais nasłuchiwała przez chwilę.

- Ktoś się obudził - wyszeptała. - Ktoś w domu. Charlotte otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz Anais

natychmiast zakryła je dłonią.

- Ruszajmy - ponaglił je Geoff. - Alejką. Pobiegnęła z sercem w gardle, podtrzymując i niemal

ciągnąc za sobą Charlotte. Jak do tej pory, wszystko szło zgodnie z planem, nie była jednak pewna, jak długo nerwy nieszczęsnej kobiety wytrzymają napięcie.

Za to stangret van de Velde'a, Dieric, musiał mieć nerwy ze stali. Z niewzruszonym spokojem otworzył drzwiczki powozu i pomógł wsiąść Charlotte oraz Giselle, a potem wskoczył błyskawicznie na kozioł, jakby wykonywał podobne wyprawy w środku nocy co najmniej dwa razy na tydzień.

Geoff odwiązał wierzchowca, zaciągnął Anais za powóz i szybko pocałował.

- Dobra robota, kochanie - powiedział cicho. - Wolałbym jednak nie przyglądać się więcej, jak ryzykujesz.

Anais przysunęła się bliżej, by oddać pocałunek, gdy nagle włosy zjeżyły się jej na karku. Z zamierającym sercem zerknęła szybko przez ramię, na dom.

Ktoś zapalił lampę w pokoju Charlotte.

Zakłęła pod nosem.

- Ucieczka została odkryta - zauważył. - Wskakuj na koń, święty Jerzy. Smok się obudził.

Ruszyli, z początku wolno, aby nie wzbudzać podejrzeń. Przyspieszyli dopiero, kiedy minęli śródmieście. Anais zaciągnęła zasłony i zapaliła lampę, a potem pomogła ubrać się uciekinierkom. Wcześniej poprosiła przezornie panią Janssen, by wyszukała dla niej kilka dodatko-

wych sztuk odzieży, lecz okazało się, że Charlotte spakowała do małej torby wszystko, co mogło być im potrzebne.

- Widzę, że wzięłaś sobie do serca moją radę - powiedziała Anais, uśmiechając się.

- Tak, zobaczyłam też napis na karcie - przyznała Charlotte, owijając Giselle ciasno peleryną. - Wydawał się jednak stary i wyblakły. Dlatego zastanawiałam się...

Anais patrzyła, jak Charlotte z czułością opatula córkę. Czowała podziw, ale i odrobinę zazdrości. Giselle była uroczym, chociaż nieśmiałym dzieckiem i najwidoczniej o wiele bardziej normalnym, niż sugerował Lezennes.

- Nie śmiałam napisać nic więcej - wyjaśniła. - Lezennes stał się zbyt podejrzliwy.

- Och! - Charlotte odwróciła się i zaczęła przerzucać zawartość torby. Wyjęła książkę, a z niej kartę i podała ją Anais.

Anais przyjęła ją z mieszanymi uczuciami i wsunęła do kieszeni płaszcza, który narzuciła na brokatową kamizelkę należącą kiedyś do jej brata. Teraz uznała, że najrozsądniej będzie pozostać w męskim stroju, póki nie dotrą bezpiecznie do Ostendy. Była pewna, że pierwsze, co zrobi Lezennes, kiedy przeszuka już cały dom, to uda się na drugą stronę ulicy i zażąda, by wyciągnięto nowych znajomych z łóżek. Zastanie jednak tylko pusty budynek, bez służby, która znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Nie jest głupi, wyciągnie zatem właściwe wnioski. Jeśli odgadnie, dokąd się udali, i zdecyduje się ich ścigać - a było to wielce prawdopodobne - będzie rozpytywał o dwie damy i dziecko, nie damę i młodego mężczyznę.

Zapewne nie uda mu się jednak ich dogonić. Drogi były przejezdne, a lekki i dobrze resorowany powóz ciągnęła czwórka mocnych koni. Nie mieli prawie bagażu. Petite pojechał przodem i zamówił dla nich konie na zmianę. Jeśli dopisze im szczęście, dotrą na wybrzeże następnego dnia po południu.

Jednak Lezennesa będzie napędzał gniew. To zaś jest czynnik, którego nie wolno nie doceniać. Może zrezygnować z wygodnej podróży powozem i wysłać swych zauszników wierzchem. Albo, przekonany, iż odkrył, dokąd uciekinierki się kierują, zaczeka, aż ruszą pociągi, i dotrze do Ostendy, nim będą mieli szansę odpłynąć. Żadna z tych możliwości nie była bardziej niż inne prawdopodobna, a wszystkie możliwe - dyskutowali o tym z Geoffem wiele godzin.

Musiała wierzyć, iż dobrze ocenili sytuację. Zaufać Geoffowi.

Charlotte siedziała, wpatrując się w okno, za którym znikwały właśnie roгатki Brukseli.

- Dokąd jedziemy, Anais? - wyszeptała, wyraźnie przestraszona. - Kto teraz się nami opiekuje? Francuzi? Bractwo? Kto...?

Anais chwyciła Charlotte za ramię i mocno ścisnęła.

- Bractwo, nieodmiennie. Tylko że tym razem w Anglii. Tam jest spokojniej. No i trzeba znaleźć nowego Strażnika, który przejmie opiekę nad Giselle.

- Twój mąż?

Anais poczuła, że się rumieni.

- Nie, poza tym Geoff nie jest moim mężem - przyznała. - To była jedynie mistyfikacja.

- Nie jest...? - powtórzyła Charlotte oszołomiona. - Kim zatem jest pan MacLachlan?

- Nie jesteśmy małżeństwem. A jeśli chodzi o nazwisko... cóż, mniejsza z tym.

Charlotte zbladła gwałtownie.

- A karty? - wyszeptała. - Czy to też było oszustwo?

- Nie, choć prawie tego żałuję - zapewniła cicho Anais. - Tak czy inaczej, Konfederacja Galijska poprosiła nas, byśmy roztoczyli opiekę nad Giselle, póki nie osiągnie dorosłości. Bractwo ma w Essex dobrych ludzi. Z pewnością jeden z nich opiekuje się Giselle.

- W Essex? - Charlotte otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Tak. - Anais pogrzebała chwilę w torbie i wyjęła list od Sutherlanda.
- Nasz kapłan wybrał się do Colchester i uzgodnił wszystko z twoją rodziną - powiedziała, podając list Charlotte.

Charlotte rozłożyła arkusz i przysunęła bliżej lampy. Potem kartka zadrżała, a policzki Charlotte odzyskały nieco kolor.

- On pisze tu o moim ojcu - wyszeptała, przebiegając wzrokiem linijki tekstu. - Na Boga! Rozmawiał z tatu-siem! Czy tak? Będę mogła wrócić do domu? Naprawdę?

Wreszcie odezwała się też Giselle. Powiedziała zaledwie kilka słów, lecz widać było, że jest wielce podekscytowana:

- *Maman! Nous allons a l'Angleterre!* Charlotte objęła córkę i mocno ją uścisnęła.

- Tak, *ma petite* - wyszeptała z twarzą wtuloną w jej włosy. - Tak sądzę. Jedziemy wreszcie do Anglii.

Anais pochyliła się i ujęła dziewczynkę pod brodę.

- Czeka nas jednak długa podróż - powiedziała na pozór bez troski. - I poznasz w Anglii swego dziadka. Dlatego dobrze byłoby, gdybyś się teraz przespała.

Charlotte zacisnęła zdecydowanie wargi i poklepała się po kolanie.

- Dobra rada - powiedziała. - Połóż tu głowę i odpocznij.

Giselle usłuchała. Charlotte przesunęła czułym gestem dłonią po włosach córki i spojrzała znów na Anais.

- Od początku wiedziałam, że coś jest nie tak - oznajmiła niemal oskarżycielskim tonem. - Od pierwszej chwili, kiedy poznałam cię w kościele. Było coś... coś w twoich oczach, co nie zgadzało się z bez troskim zachowaniem. A potem powróżyłaś mi z kart i wtedy... po prostu wiedziałam, że coś ważnego musi wkrótce się wydarzyć.

I o mało się nie wydarzyło, pomyślała Anais ponuro. Lezennes zamierzał utopić ją w morzu. Gdyby nie wizja Geoffa - i jego zdecydowanie - Charlotte mogła zgi-

nać, zanim ten dzień dobiegnie kresu. Spostrzegła, że kobieta z trudem powstrzymuje łzy - tym razem jednak, jak sądziła, łzy radości. Nie było sensu uświadamiać jej, jakiego losu uniknęła.

Milczały obie przez dłuższy czas. Giselle drzemała, kiedy jechali przez płaski flamandzki krajobraz, nie zasnęła jednak mocno, póki nie skręcili na główną drogę do Gandawy.

- Zmierzamy na wybrzeże, prawda? - spytała wtedy Charlotte. - Do Ostendy? A Lezennes podąży tam za nami.

- W rzeczy samej - odparła Anais. - W porcie czeka statek. I tak, obawiam się, że Lezennes będzie następował nam na pięty.

Charlotte przycisnęła palce do ust. Anais wyjaśniła jej szybko, co zobaczyła, nim wyruszyli, i wyłożyła powody, dla których zdecydowali się jechać powozem, zamiast czekać na poranny pociąg, gdzie każdy mógłby ich zobaczyć. Modliła się przy tym w duchu, aby decyzja okazała się słuszna.

- A z Ostendy?

- Prosto do Harwich - odparła Anais. - Nasz wielbny przebywa tam nadal u rodziny. Geoff wysłał przodem umyślnego. Przy odrobinie szczęścia krewni będą czekali na was w porcie.

Jednak Charlotte spuściła wzrok.

- To zbyt wiele. Nie ośmielę się mieć nadziei... Minęło tyle lat, odkąd widziała się z rodziną, że Anais doskonale rozumiała, co kobieta czuje.

- Powiedz mi - wyszeptwała - czy wiesz, co Lezennes zaplanował dla Giselle?

Oczy Charlotte wypełniły się bólem.

- Z początku byłam na tyle głupia, że nie zorientowałam się, co zamierza ani że zdaje sobie sprawę, iż Giselle ma Dar - przyznała. - Jaka matka może być tak ograniczona?

Zdesperowana, pomyślała Anais. -Ale on wiedział — stwierdziła stanowczo — i chciał sprawować nad małą kontrolę. Wiesz właściwie, dlaczego?

- Myślę, że chciał wychować ją jak własne dziecko

- odparła Charlotte. - Mieć nad nią absolutną władzę. Zmuszać, by używała Daru do przepowiadania przyszłości, a potem wykorzystać uzyskaną w ten sposób wiedzę dla własnych celów - politycznych i ekonomicznych - lub po to, aby po prostu tę przyszłość zmienić.

- Wiesz, dla kogo pracuje?

- Zakładałam, że dla francuskiego rządu, lecz pewnej nocy...

- Tak? - ponagliła ją Anais.

Charlotte zakryła na chwilę dłonią usta, a potem wyszeptała:

- Do domu przyszedł mężczyzna. Ktoś, kogo znałam z Paryża. Podobno to agent pracujący dla Burbonów. Musisz wiedzieć, że pośród francuskiej szlachty jest wielu takich, którzy nigdy nie zaprzestaną prób przywrócenia im tronu. Chcieliby cofnąć historię o sześćdziesiąt lat! Stara monarchia. Stare niegodziwości. Wiem, że Le-zennes jest jednym z nich. Musiałam się upewnić, przystawiłam więc ucho do drzwi. Odtąd wiedziałam już, że za niego nie wyjdę i że musimy uciec.

Było więc tak, jak podejrzewał Geoff. Nagle Anais coś przyszło do głowy.

- Co wicehrabia wie o twojej rodzinie, Charlotte?

- spytała. - Wie, skąd pochodzisz?

- Nie - wyszeptała. - Powiedziałam mu to, co wszystkim, że nie mam rodziny. Wydawało się to łatwiejsze, niż mówić prawdę. Przyznać, że zostałam wydziedziczona.

Anais pomyślała, że dopisało im szczęście, i spróbowała się odprężyć.

Plan Geoffa zakładał, iż będą podróżowali nieprzerwanie, zmieniając co jakiś czas konie. A kiedy przybędą do portu, rozpuści pogłoskę, że „Jolie Marie” kieruje się

do Dover. Dla Lezennesa będzie to miało sens. A jeśli ośmieli się dalej ich ścigać, popłynie w złym kierunku. Zresztą, może po prostu zrezygnuje.

Nie sądził jednak, by tak się stało.

Teraz nic więcej nie dało się zrobić. Lezennes nie był w stanie dogonić ich na drodze. Mimo to Anais nie mogła się powstrzymać, by nie wyjąć z futerału pistoletów pana van de Velde'a i nie sprawdzić ich po raz chyba piąty, podczas gdy Charlotte przyglądała się temu szeroko otwartymi oczami.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Anais.
- Jeszcze dwa, trzy dni i znajdziesz się w domu.
- Potrafiłabyś się tym posłużyć? - spytała Charlotte.
- Gdybym musiała, owszem - odparła Anais łagodnie.
- Ale do tego nie dojdzie. A teraz spróbuj trochę odpocząć.

Charlotte przytaknęła, oparła głowę o ścianę powozu i zamknęła oczy.

Anais schowała pistolety i usiadła wygodniej. A potem pozwoliła, by ruch powozu ukołysał ją prawie do snu. Jej zmysły pozostały jednak czujne, a kiedy na chwilę zasnęła, śniła o Geoffie. O Geoffie w ciemnym, wilgotnym zaułku, wytrącającym śmiało nóż z ręki osobnika, który próbował ją zranić. Uwięziona pomiędzy jawą a snem, uśmiechnęła się w duchu, czując się zaskakująco bezpieczna i w dobrym nastroju.

Rozdział 19

Niezwykłe ważne jest,

*by wykryć w porę agentów wroga,
przybyłych z zamiarem szpiegowania.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Geoff przepychał się przez portowy tłum, dźwigając na biodrze Giselle. Dziewczynka otaczała ramionami jego szyję, przywierając do niego, jakby zdawała sobie sprawę, co ma się wydarzyć. Tego ranka, gdy podczas jednego z postojów wysadził ją z powozu, zaczęła mówić coś szeptem do matki po francusku. Brzmiało to tak, jakby dodawała jej otuchy.

Modlił się w duchu, by dziecko wiedziało coś, czego nie wiedział on, gdyż nerwy miał napięte niczym postronki.

Za nim podążały Anais oraz Charlotte, blada i wyczerpana. Anais nadal miała na sobie męski strój. Włosy ukryła pod kapeluszem. Gdyby ktoś przyjrzał się jej uważnie, odkryłby bez trudu, jakiej naprawdę jest płci. Nikt nie pofatygował się jednak, aby do zrobić. Dla postronnych byli po prostu jeszcze jedną młodą rodziną, która wybiera się w podróż.

Przed nimi pasażerowie kłębili się wokół promu odpływającego do Dover. Geoff przepchnął się do kasy, podsadził Giselle do okienka, po czym najbardziej tubalnym głosem, jaki był w stanie z siebie wydobyć, zażądał biletów dla czterech osób. Potem wmieszali się znowu w tłum i wyłonili po drugiej stronie.

Pod rządami nowego belgijskiego monarchy port był nieustająco modernizowany. Poszerzano kanały i wszę-

dzie stały rusztowania, wzmagając wrażenie ciasnoty. Kapitan Thibeaux cumował w pobliżu basenu dla statków handlowych. Załoga dostała wcześniej wolne, lecz teraz wszyscy byli już na statku. Od strony

Morza Północnego nadciągała lekka bryza, a nad głowami podróżnych krążyły głośno krzyczące mewy.

Pomimo że na północy gromadziły się złowrózne chmury, Geoff postanowił uznać to za dobry omen.

Thibeaux zobaczył przybyłych i natychmiast ku nim pospieszył. .

- *Bonjour! Bonjour!* - Zatrzymał się jedynie na chwilę, by uszczyptać Giselle w policzek, po czym skinął na chłopca okrętowego. - *Etienne* - zawołał - *viens tct!*

Chłopak zeskoczył ze stosu lin, którymi się zajmował, i podbiegł. Tymczasem kapitan, zerknąwszy z powątpiewaniem na męski strój Anais wygnieciony po nocy, skinął głową na powitanie jej i Charlotte.

- Mój bratanek Etienne zaprowadzi panie na dół, by mogły się odświeżyć - powiedział. - Co zaś się tyczy pana, panie MacLachlan, zechce pan udać się ze mną na obchód statku?

Geoff chwycił Anais za nadgarstek i odwrócił ku sobie. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że zdążyła wyjąć dyskretnie nóż z pochwy i trzyma go w dłoni, ukrywszy ostrze w rękawie. Widać ona też czuła niepokój.

- Zatrzymaj je na dole, póki nie wyjdziemy w morze - powiedział, ścisząc głos. - Zbyt wiele osób widziało, jak wchodziliśmy na pokład.

Anais skinęła głową, przesunęła spojrzeniem po nabrzeżu i cofnęła się o krok, puszczając Charlotte i Giselle przodem. Geoff zwrócił się zaś do kapitana:

- Nie mamy czasu do stracenia, Thibeaux - powiedział. - Ruszajmy najszybciej, jak się da.

Kapitan skinął głową.

- *Oui*, stawiamy właśnie żagle - rzekł. - Monsieur Petite powiedział, że popłyniemy do Harwich, czy tak?

- Tak, i to pod pełnymi żaglami - odparł Geoff ponuro. - Obawiam się, że Lezennes następuje nam na pięty.

- Niestety, *monsieur*, wiatr niezbyt nam sprzyja. Ale możemy oddalić się przynajmniej od belgijskiego wy-Drzcził.

Geoff nie był w stanie się odprężyć. Przemierzał niespokojnie pokład, gdy załoga stawiała pospiesznie żagle. Zbliżało się popołudnie i tłum - taki sam, jaki widywał we wszystkich portach na kontynencie - gęstniał. Bednarze i robotnicy portowi. Prostytutki i sprzedawcy pasztecików. A takie wszechobecni urzędnicy, biegający tam i z powrotem w długich, ciemnych surdutach, z głowami pochylonymi nad księgami.

Przyglądał się wszystkim uważnie, szukając znajomej twarzy. Nie znalazłszy takowej, oderwał wzrok od nabrzeża i jął przyglądać się zacumowanym w pobliżu statkom. Nie zauważył nic niezwykłego - nic poza smukłą trzymasztową barkentyną. Była to niewielka jednostka, mewymagająca licznej załogi i bardzo szybka. Na maszcie me było flagi. Popychana najłżejszym choćby wiatrem, barkentyną prześcignęłaby każdą z cumujących w porcie łajb, a jej załogę można było określić w najlepszym razie jako barwną zbieraninę. Geoff skinął na jednego z marynarzy.

- Co wiecie o tym statku? - zapytał, wskazując ruchem głowy barkentynę.

Francuz prychnął w typowo galijski sposób.

- Phi, to tylko przemytnicy.

- Przemytnicy? - zdziwił się Geoff. - W Ostendzie? Francuz poklepał się po nosie.

-*J'ai du flair* - powiedział z wszystkowiedzącą miną. - Cumują tu od dwóch dni i nie robią nic poza piciem i zabawianiem się z dziewczynkami. Marokańczycy, Hiszpanie i kilku Bretończyków. Nie rozmawiają z nikim. Nie zadają pytań. Kim zatem mogliby być?

W rzeczy samej, kim?

- Pod jaką banderą pływają? - rzucił w ślad za odchodzącym mężczyzną.

Francuz odwrócił się i uśmiechnął.

- *Vive la France* - powiedział, mrugając porozumiewawczo. - Teraz jesteśmy wszyscy sobie równi.

Geoff nie potrafił pozbyć się złych przeczuć. A może nie były to wyłącznie przeczucia. Nie miał pewności. Zszedł na dół, zapukał do drzwi kabiny i wywołał Anais. Włosy, zaplecione w warkocz, opadały jej na plecy. Zdążyła pozbyć się surduta i pomiętego krawata, a w dłoni trzymała kubek z parującym płynem.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Anais uśmiechnęła się, wyglądała jednak na zmęczoną.

- Giselle papele jak sroka - powiedziała. - A młody Etienne przygotował mi napar z imbiru i Bóg wie z czego jeszcze. Zapewnia jednak, że bez opium.

Geoffowi jakoś udało się uśmiechnąć.

- Jeśli tylko pomoże przewyciężyć nudności...

- Przysięga, że tak. - Nie wydawała się jednak przekonana. - Jak sprawy na pokładzie?

Wzruszył ramionami i oparł się o drzwi.

- Obok nas cumuje francuska barkentyna - powiedział zamyślony. - Nie podoba mi się jej wygląd.

Żrenice Anais rozszerzyły się.

- Sądysz, że czeka na Lezennesa? Geoff potrząsnął głową.

- Nie wiem, jak byłoby to możliwe - wymamrotał. - Dręczą mnie jednak złe przeczucia.

- Nie wolno nam ich zignorować. Co mam robić? Wzruszył ramionami.

- Nic szczególnego - odparł. - Drugi oficer Thibeaux powiada, że to przemytnicy odpoczywający po rejsie, i ma zapewne rację.

- Być może, ale kogóż łatwiej byłoby zwerbować niżli gromadę nudzących się przemytników? - zauważyła Anais.

Geoff rozważył to. Nagle poczuł, że bardzo się cieszy iż Anais jest tu z nim na dole. Zaniepokoiło go jedynie że nauczył się aż tak na niej polegać. Ufać jej. Był dziwnie spokojny o to, że potrafi zapewnić Charlotte i jej córce bezpieczeństwo, póki nie wypłyną.

Przezcesał palcami włosy.

- Powinniśmy byli zatrzymać pistolety powozowe van de Velde'a - rzekł.

- Mam swój mały pistolet - odparła Anais. - Zostań więc na pokładzie i nie martw się o nas.

Geoff skinął głową i odepchnął się od drzwi.

- Dobrze. Zamierzam jednak wejść na pokład tej barkentyny. Może... może uda mi się coś wyczuć

Już miał się oddalić, kiedy chwyciła go za rękaw i spojrzała mu w oczy.

- Geoffie, ja... Przechylił w bok głowę

- Tak?

Spuściła wzrok.

- Bądź, proszę, ostrożny - wyszeptała.

* * *

Po chwili kroczył już jak gdyby nigdy nic nabrzeżem mijając trap wiodący na pokład podejrzanej barkentyny' Przeszedł jeszcze pięćdziesiąt metrów, po czym zawrócił' W zanikającym świetle późnego popołudnia na burcie statku: pysznił się wymalowany jaskrawą farbą napis: *Le iigre Dore*.

„Złoty Tygrys”.

Mężczyzna, będący zapewne bosmanem, stał, balansując z wprawą ciałem, na nadburciu, i wykrzykiwał rozkazy do członka załogi, który wspinał się po takielunku by przybić coś do rei. Poddając się impulsowi, Geoff wszedł na trap. Pół tuzina mężczyzn zaprzestało tego, co akurat robili, i zaczęło gniewnie mu się przyglądać Bos-

man, osiłek w zatłuszczonym skórzanym kaftanie, zeskoczył z burty i burknął coś do Geoffa mieszaniną francuskiego oraz duńskiego.

- Szukam kapitana Renarda - odparł Geoff łamaną francuszczyzną. - To mój przyjaciel. Jest na pokładzie?

Twarz bosmana pociemniała jeszcze bardziej, przerzucił się jednak natychmiast na angielski.

- Pomyliłeś się, *mon ami* - powiedział z krzywym uśmiechem. - Musisz stąd odejść.

Geoff uniósł brwi, skupiając się na mężczyźnie i na otaczających go emocjach. Wyczuwał wrogość. Podejrzliwość. Ocenili go - i nie spodobało im się to, co zobaczyli.

Chudy mężczyzna z twarzą poznaczoną śladami po ospie sięgnął za pazuchę, jakby chciał dobyć broń.

- Hej, Sabot - zawołał *-puis-je t'aider?*

- *Non*, Navarre - odparł bosman, unosząc dłoń. - Poradzę sobie. Nasz przyjaciel właśnie odchodzi, *oui?*

Twarz Navarre'a wyrażała głębokie rozczarowanie. Geoff zmusił się, by się odprężyć, wydać przyjacielski i trochę nierozgarnięty.

- Przepraszam, monsieur Sabot - wymamrotał. - To nie statek Renarda? „Srebrny Tygrys”?

-*Non* - burknął bosman, wskazując kciukiem na rufę.

- Nie ten statek, *mon ami*. To ja jestem kapitanem. A teraz zabieraj się stąd.

Geoff cofnął się o krok.

- Przepraszam, *sir*. Mój francuski... nie jest za dobry.

- Wyciągnął rękę, próbując napotkać spojrzenie kapitana. Otworzyć umysł i się skupić. - Życzę zatem miłego dnia.

- Uhu - mruknął osiłek, który wcale nie wyglądał na kapitana. Wyciągnął jednak rękę i uściśnął niedbale podaną sobie dłoń. Natychmiast coś w umyśle Geoffa zabłysło. Strzępki myśli, migoczące niczym plamy słońca, przenikającego przez listowie. Nie był jednak w stanie

niczego z nich wyczytać, poza dziwnym uczuciem, przebłyskiem czegoś przypominającego nieco ból.

- *Merci, monsieur* - wykrztusił.

Uniósł dłoń, jakby chciał osłonić oczy przed słońcem po czym odwrócił się, zszedł po trapie i ruszył z udawaną nonszalancją w kierunku przeciwnym do tego gdzie cumowała „Jolie Marie”.

* * *

Nie udało im się wydostać szybko na Morze Północne gdyż w kanale panował duży ruch, a wiatr nadal niezbyt im sprzyjał. Gdy wypłynęli w końcu na otwarte wody Thibeaux obrał kurs na północ-północny zachód. Warstwa wysokich chmur szybko gasiła resztki dziennego światła. b

Anais stała na pokładzie rufowym, przeklinając pech i siedząc wzrokiem linię horyzontu. Choć Belgia bardzo jej się z początku podobała, teraz nie mogła się wręcz doczekać, by stamtąd uciec. Modliła się w duchu by mocniej powiało. Przynajmniej nie było jej niedobrze Na razie.

A może młody Etienne wiedział jednak, co robi?

Geoff stał poniżej i przystawiwszy do oczu lunetę kapitana, przeczesywał wzrokiem nabrzeże. Jego brązowe włosy rozwiewał wiatr. Uświadomiła sobie, że coraz bardziej się martwi, i nie bez powodu.

Ledwie odbili od brzegu, na pokład podejrzanego barkentyny wszedł mężczyzna w ciemnym surducie i wdał się w gorącą dyskusję z członkiem załogi, który mienił się być kapitanem. Po chwili obaj zeszli pod pokład. Wyłonili się po dziesięciu minutach i uścisnęli sobie dłonie. Nie minęło wiele czasu, a barkentyna była gotowa do wypłynięcia.

Załoga „Złotego Tygrysa” z pewnością dokądś się wybierała. Anais miała w związku z tym złe przeczucia.

Zeskoczyła na dolny pokład i stanęła obok Geoffa. Opuściła lunetę i otoczył ją w talii ramieniem.

- Dobrze się czujesz? - zapyta! cicho.

- Cóż, na razie nie mam ataku morskiej choroby - przyznała. - Jednak te chmury i brak wiatru mocno mnie niepokoją. Obawiam się, że popełniliśmy w Ostendzie błąd.

- Tak? Jaki?

- Może powinniśmy byli sprowadzić Charlotte, żeby przyjrzała się mężczyźnie, który wszedł na pokład „Złotego Tygrysa”. A jeśli był to jeden z ludzi Lezennesa?

Geoff potrząsnął głową, mrużąc oczy w promieniach zachodzącego słońca.

- Zbyt ryzykowne - powiedział spokojnie. - Mógłby ją zobaczyć. Co prawda, jeśli ktoś mocno się postara, w końcu zdoła dowiedzieć się, na jakim statku odpłynęliśmy. Zajmie mu to jednak trochę czasu.

- Zatem czekamy.

- Owszem - odparł, a potem rozejrzał się i musnął wargami jej policzek.

- O czym myślisz? - spytała cicho. Zaśmiał się szorstko.

- Ze jestem zmęczony czekaniem - odparł. - Poważnie, z jednej strony chciałbym, żebyś była już bezpieczna w swoim domu w Anglii, z drugiej cholernie się cieszę, że jesteś tutaj.

- A ja cieszę się, że ty tu jesteś. Bardzo.

Błysnął uśmiechem, założył jej za ucho kosmyk włosów i cofnął ramię. Podniósł do oczu lunetę i zaczął znowu lustrować nabrzeże.

Nie musieli długo czekać. Ledwie słońce schowało się za horyzontem, kiedy marynarz w bocianim gnieździe zakrzyknął:

- Francuski statek na sterburcie, *sir!*

Geoff zaklął pod nosem i wyregulował ostrość w lunecie.

Chłopak zsunął się na pokład i rozmawiał przez chwilę z kapitanem. Kiedy skończyli, Thibeaux podszedł do Anais i Geoffa.

- To może być francuska barkentyna - rzekł. - Wkrótce zrobi się za ciemno, by to potwierdzić.

Geoff złożył lunetę i schował ją do kieszeni.

- Mamy szansę im uciec?

- *Non, monsieur* - odparł Thibeaux ponuro. - Jednak wiatr prawie zupełnie ucichł, co oznacza, że dogonienie nas zajmie im trochę czasu. Jak pan sądzi, co wtedy zrobią?

- Jeśli spiknęli się z Lezennelem, spróbują wejść na pokład - odparł Geoff spokojnie. - Chcą zabrać dziecko. Nie zrobią nic, co mogłoby zagrozić małej... i my również.

- Nie chcesz, żeby załadowano działa? - Anais spojrzała na dwa niewielkie działka zamontowane na rufie.

Geoff zacisnął wargi.

- Zbyt ryzykowne - powiedział. - Poza tym pływają pod francuską banderą. Thibeaux mógłby zapłacić za zaatakowanie francuskiego statku wysoką cenę; zakładając, że ktoś z nas by przeżył. Nie, spróbujmy raczej zyskać na czasie.

- To przemytnicy, *monsieur* - powiedział kapitan.

- Co oznacza, że są równie chciwi co przekupni - zauważył Geoff. - Chcą jedynie uprowadzić dziecko, i może madame Moreau. Musimy jak najbardziej im to utrudnić, a wtedy szybko sobie uświadomią, że nie mają dość odwagi, by z nami zadzierać.

- Bardzo rozsądnie, *monsieur* - zgodził się z nim kapitan, któremu ewidentnie ulżyło.

Geoff wpatrywał się w morze, jakby opracowywał w duchu strategię.

- Jak duża załoga może znajdować się na barkenty-nie?

Thibeaux podrapał się po szczęce.

- Sądzę, że nieliczna - powiedział z namysłem. - Góra dwudziestu ludzi, a poradziłyby sobie i dziesiątka. Przez ostatnie dwa dni nie widziałem ich tam więcej jak sześciu czy ośmiu.

- A ilu pan ma ludzi?

- Czternastu, nie licząc Etienne - odparł kapitan. - Wszyscy sprawni i chętni bić się za Fraternitas.

- Dziękuję, Thibeaux - powiedział Geoff. - Na północy gromadzą się chmury. Może zmrok zadziała na naszą korzyść? .

- Nie będą mogli zaatakować czegoś, czego nie będą widzieli - zauważył kapitan. - Nie zapalimy dziś na pokładzie lamp.

Geoff uśmiechnął się wreszcie, choć tylko kątem ust. Wydawał się tak spięty i znużony, że Anais przypomniała sobie po raz kolejny, iż spędził noc i większość dnia w siodle, podczas gdy ona podrzemywała - co prawda, niezbyt wygodnie - w powozie.

- Z drugiej strony - dodał poniewczasie Thibeaux - jeśli już nas znajdą, nie zdołamy ich wypatrzeć, nim zaatakują.

Anais westchnęła w duchu. Thibeaux miał rację. Wyglądało na to, iż nikt na statku nie będzie tej nocy spał. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Oderwała, acz niechętnie, wzrok od twarzy Geoffa i spojrzała na morze. W zapadającym zmierzchu niewiele jednak dało się zobaczyć.

- Wezwij wszystkich - polecił Geoff. - Niech stawiają się z bronią. Anais zejdzie na dół i będzie strzegła kabiny na rufie.

Kapitan obrzucił Anais - nie po raz pierwszy tego dnia - dziwnym spojrzeniem, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego tak odpowiedzialne zadanie zostaje powierzone kobiecie. Na szczęście nadal miała na sobie wysokie buty oraz bryczesy. Podeszła zatem szybko do luku i bardziej się zsunęła, niż zeszła po drabince. W sukni byłoby to niemożliwe.

Charlotte i Giselle spały. Etienne nadal przebywał w kajucie. Rozkładał przy świetle pojedynczej latarni pościel na dwóch pozostałych kojach. Anais oszacowała go spojrzeniem: był bystry, szybki i całkiem wysoki.

- Etienne, *viens ici* - wyszeptała.

- *Oui, madame?* - zapytał podchodząc.

Anais podciągnęła nogawkę bryczesów i wyjęła z buta niewielki pistolet.

- Wiesz, jak się tym posłużyć?

Chłopak skinął głową i chociaż mu uwierzyła, to jej nie wystarczyło. Pokazała mu, jak posługiwać się bronią, a potem zademonstrowała to jeszcze kilka razy. Ćwiczyli, póki się nie upewniła, że chłopak podoła zadaniu.

- Doskonale - powiedziała. - Zamierzam zająć stanowisko na drabince i bronić luku. Zbliża się jakiś statek należący zapewne do przemysłowców, nie sądzę jednak, by przysporzyli nam zbyt wielu problemów.

Chłopiec uśmiechnął się, cokolwiek oszołomiony.

-*Non, madame* - powiedział. - Wuj ma dzielną załogę. Lecz pani... *pardon, madame*, jest przecież kobietą. Nie wolałaby pani, żebym to ja strzegł luku?

Wyglądało na to, iż mężczyźni są wszędzie tacy sami.

- Chyba dam sobie radę - odparła, przyglądając się niewielkiemu krzesłu. - Kiedy wyjdę, weź to krzeselko i podeprzyj nim klamkę. Nie otwieraj nikomu, póki nie rozpoznasz głosu: mojego, pana MacLachlana lub kogoś z załogi.

- *Oui, madame* - przytaknął.

Pochyliła się i wsunęła mu palec pod brodę.

- A teraz najtrudniejsze - powiedziała. - Jeśli ktokolwiek spróbuje sforsować drzwi, będziesz musiał...

- ...go zastrzelić - dokończył chłopak.

- Zanim otworzy - powiedziała z naciskiem Anais, demonstrując po raz kolejny działanie broni. - Jeden strzał, ostrzegawczy, przez drzwi. Drugi tylko jeśli bę-

dziesz musiał. Oprzyj się przy tym plecami o ścianę, inaczej odrzut cię przewróci i nie zdołasz strzelić ponownie.

- *Oui, madame* - przytaknął chłopak poważnie. - Wuj mnie nauczył. Dam sobie radę.

- Na pewno - zgodziła się z nim Anais, podchodząc do niewielkiego stosu bagaży.

Wyjęła narzutę monsieur Michela, wsunęła ją sobie wraz z zawartością pod ramię i wyszła, zatrzymując się jedynie po to, aby posłuchać, jak Etienne wsuwa krzesło pod drzwi.

-*Alors, madame* - zawołał. - Morze jest dziś bardzo spokojne. Chorowała już pani?

Anais zatrzymała się, przycisnęła wolną dłoń do brzucha i uśmiechnęła się. Czowała się... dobrze. Absolutnie normalnie. A jeśli przeszłe doświadczenia mogłyby o czymś świadczyć, nie miało to wiele wspólnego z brakiem fal. Nie pora była jednak się nad tym zastanawiać.

- Nie, Etienne - odparła spokojnie. -*Merci*.

Rozdział 20

*Sztuka wojenna uczy nas,
że lepiej nie liczyć na to,
iż wróg się nie pojawi,
lecz przygotować się,
by móc odeprzeć atak.*
Sun Tzu, Sztuka wojny

Geoffowi zawsze zdawało się, że noc na morzu zapada błyskawicznie. Tym razem było podobnie. Przyglądał się, jak ludzie Thibeaux wtapiają się w otoczenie, aż w końcu nie był w stanie dostrzec nikogo poza marynarzem stojącym niedaleko po prawej. Wkrótce jego też skryła ciemność i tylko miękki plusk fal oraz poskrzypywanie takielunku dotrzymywały Geoffowi towarzystwa.

Już zaczął martwić się o Anais, kiedy wyczuł płynącą od niej falę ciepła.

- Proszę - wyszeptała nieco ochryple. - Przyniosłam ci jeden z rapierów.

- Dzięki. - Wymacał w ciemności rękojeść i nie mając gdzie schować broni, wbił ostrze pomiędzy deski pokładu.

- Boże, ależ tu ciemno - wyszeptała. - Jak dobrze, że jesteś tam, gdzie cię zostawiłam.

Objął palcami gardę rapiera, nadal ciepłą od dotyku jej dłoni.

- Tak, jestem - wyszeptał.

I zawsze będę, jeśli tylko mnie zechcesz, dodał w myśli.

Nie powiedział jednak nic na głos. Nie pora była teraz na to, i nie miejsce.

Z drugiej strony, żyli w świecie, w którym nie było nic pewnego. Kiedy nastanie zatem właściwy czas? I gdzie?

W przestrzeni? W jej sercu? Boże, ależ był zmęczony czekaniem. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Poddając się impulsowi - głupiemu i niebezpiecznemu - przyciągnął Anias do siebie i pocałował w nieprzeniknionej ciemności.

Westchnęła cicho i rozchyliła wargi, przyjmując pocałunek i go odwzajemniając. Na mgnienie oka wszelka myśl o misji wywietrzała Geoffowi z głowy, zastąpiona przemożną potrzebą, by wiedzieć.

Jak na ironię, zdawał sobie doskonale sprawę, że w takiej chwili żarliwej namiętności i nagłej rozpacz, oddałby wszystko, co ma i kim jest, żeby móc zrobić to, czego tak nienawidził - zajrzeć w przyszłość. Ich przyszłość.

Lecz to Anais przerwała pocałunek. Przesunęła dłonie z piersi Geoffia niżej i powiedziała, cokolwiek zdyszana, muskając prowokująco wybrzuszenie w jego spodniach:

- A więc to prawda, co mówią: nigdy nie wiadomo, jakież to niebezpieczne stwory czają się w ciemnościach.

Przycisnęła dziewczynę mocniej.

- Do diabła z ciemnością - wyszeptał chrapliwie. - Przysięgam, że kiedy wydostaniemy się z tych tarapatów, będę kochał się z tobą w blasku dnia - od rana do wieczora - a ty mi pozwolisz. Słyszałaś?

- Uhu - wymamrotała, próbując się odsunąć. Lecz Geoff nie zamierzał jej puścić.

- Powiedz to, Anais - rozkazał. - Powiedz, że mi wierzysz. Powiedz: tak.

Zaśmiała się z cicha, cofnęła dłoń i odsunęła się.

- Jeśli złożę taką obietnicę, ta noc wyda mi się podwójnie długa - wyszeptała.

Tym razem ją puścił, choć bardzo nie miał na to ochoty.

- Tak - wykrztusił przez zaciśnięte zęby - a będzie jeszcze dłuższa, jeśli Lezennes nas dogoni. Ośmielę się twierdzić, że niezaspokojone pożądanie będzie wtedy najmniejszym z moich problemów.

Wyczuł jej niepewność. Wahanie.

- A dogoni? - spytała po chwili. - Jak ci się zdaje?

Wiedział, o co naprawdę go pyta. I co zobaczył, choć były to jedynie przebłyski. Nic, a zarazem wszystko. Świadomość tego nadal mu ciążyła.

- Jest coraz bliżej - powiedział. - Nie tyle to widzę, ile... wyczuwam.

-I nadal jest tak ciemno, że nie widać czubka własnego nosa.

- Thibeaux rozkazał, by trzymano lampy w pogotowiu. Zostaną zapalone, gdy usłyszemy podejrzane skrzypnięcie lub stukot.

- To powinno zadziałać - odparła zdecydowanie. - Zważywszy że nie ma wiatru, nic nie będzie ich zagłuszać. Jakie łodzie mają na „Złotym Tygrysie”?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Tylko jedną, mniej więcej dwudziestostopową.

- Zatem podpłyną pewnie z boku, bardzo powoli, byśmy nie usłyszeli wioseł. A tak przy okazji, zostawiłam obok luku na rufie kilka rapierów. To nie najlepsza broń do walki w ciasnej przestrzeni, ale...

Nagle to poczuli. Delikatny ruch, jakby statek uderzył o nabrzeże.

Lub w inną małą jednostkę. Geoff chwyci! Anais za ramiona.

- Proszę, zejść na dół. Zadbaj o swoje bezpieczeństwo. Odsunęła się gwałtownie. Usłyszał w mroku tupot jej

stóp. Wiedział, że nie ucieknie. Zostanie i będzie walczyła jak mężczyzna - a może i lepiej. Jego uszu dobiegł kolejny dźwięk, coś jakby skrzypnięcie, a potem Thibeaux wykrzyknął rozkaz. Ledwie zapłonęła pierwsza latarnia, gdy hak uderzył o nadburcie, a za nim kolejne trzy.' Wszystko zdawało się dziać jednocześnie. Mężczyźni przechodzili przez burtę i zeskakiwali na pokład.

Powitali ich ludzie Thibeaux, uzbrojeni w pistolety. Jeden przemytnik krzyknął, chwycił się za ramię i spadł do wody. Geoff zamierzył się na śniadego hultaja z brodą. Wycelował w udo, lecz chybił. Szpada uderzyła o drewno, rozpryskując dokoła drzazgi. Któraś musiała trafić przemytnika w twarz, upadł bowiem na pokład, trzymając się za oko.

Napastnicy szarżowali jeden po drugim. Buty stukwały o pokład, a ostrza połyskiwały złowróźnie w świetle latarni. Załoga Thibeaux zyskiwała przewagę. Atakujący wycofywali się, zaskoczeni nagłą powodzią światła.

Pistolety nie na wiele się zdały, toteż zostały niemal natychmiast odrzucone. Sięgnięto po broń białą i metal zadźwięczał o metal. Geoff, zajęty walką, dostrzegł kątem oka błysk stali. Odskoczył w lewo i rzucony z wprawą kord świsnął mu koło ucha.

- *Alors, mon ami* - zadźwięczał donośnie głęboki głos.

- Znowu się spotykamy!

Kapitan „Złotego Tygrysa”. Mięsiasta, spalona słońcem twarz Sabota zajaśniała w mroku.

Geoff zamarkował pchnięcie w prawo, a potem w lewo, parując ciosy szpadą Anais.

- To nie twoja walka, Sabot - powiedział, atakując błyskawicznie. - Wycofaj się, póki możesz.

Sabot uśmiechnął się szerzej.

- Dane słowo zobowiązuje. - Uderzył znowu, a potem jeszcze raz. Poruszał się dość ociężale, lecz walczył dobrze.

Ostrze szpady Geoffa zatańczyło wokół czubka broni przeciwnika.

- Słowo Lezennesa warte jest tyle, co but pełen szczyń

- powiedział. - Weź jego pieniądze i zapomnij o umowie.

Lecz Sabot tylko się roześmiał. Zepsute przednie zęby wyglądały w jego ustach jak ciemne szczeliny. Przez jakiś czas walczyli niepomiernie tego, co dzieje się dookoła. Geoff starał się nie myśleć o Anais - martwy na nic by się jej nie przydał. Zamiast tego atakował z furją, przypierając Sabota do relingu. Przemysłownik chrząkał z wysiłku, ale nie ustępował.

Wszędzie dookoła widać było walczących. Dwóch zrezygnowało i wyskoczyło za burtę, lecz Sabot nie dał się

zniechęcić. Zaśmiał się szyderczo i zamachnął kordem, o włos mijając gardło Geoffa.

- I jak, *mon ami* - wydyszał. - Jesteś gotów umrzeć?

- Tylko twoi ludzie zginą - wykrztusił Geoff przez zaciśnięte zęby, zmuszając ponownie kapitana do wycofania się. - Lezennes cię okłamał, Sabot. Wprowadził wprost w pułapkę.

Jednakże w tej właśnie chwili żaglomistrz Thibeaux wepchnął pomiędzy nich cofającego się przemytnika. Geoff stracił równowagę i choć udało mu się trafić Sabota w krtani, było to jedynie draśnięcie. Marynarz Sabota potknął się i nadział wprost na kord kapitana, którego ten nie zdążył cofnąć. Ostrze przebiło mu ramię. Upadł, krwawiąc i pojękując. Geoff i Sabot stali nad rannym, dysząc ciężko. Geoff odczekał chwilę, po czym uderzył, zmuszając Sabota, by znów się wycofał.

Kapitanowi udało się jednak odeprzeć cios. Geoff za-markował pchnięcie, a potem rzucił się w przód i uderzył, trafiając w bok kordu. Broń wypadła przemytnikowi z rąk, uderzając z brzękiem o pokład. Geoff przyparł Sabota do masztu i przystawił mu ostrze do krwawiącego gardła.

- Nie udało wam się nikogo zaskoczyć - powiedział, chwytając z wysiłkiem powietrze. - I przewyższamy was liczebnie. Twoi ludzie wiedzą o tym, nawet jeśli ty nie zauważyłeś.

I była to prawda. Co więcej, nie poczuwali się do lojalności względem Lezennesa; widać to było po ich twarzach, bladych w chwiejnym świetle lamp. Sabot zaklął, niezdecydowany. Bez wątpienia powiedziano mu, że będzie mógł wejść bez kłopotu statek i porwać dziecko, zanim ktokolwiek podniesie alarm. Gdzieś po lewej stronie, za Geoffem, trwała jeszcze potyczka, poza tym na statku panowała cisza.

- Każ ludziom się wycofać, Sabot - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Natychmiast!

Kapitan zawahał się, lecz tylko na chwilę.

- *Anet!* - krzyknął. Jego głos niósł się przez pokład. - Przestańcie! Nie mamy tu już nic do roboty!

Lecz Geoff nie cofnął rapiera. Przemysłowcy zaczęli znikać, przeskakując nad burtą równie cicho, jak się zjawili.

- Lezennes to większy łotr, niż cała twoja załoga razem wzięta - powiedział. - Chcę dostać tego bękarta, Sabot. I to już.

Sabot wykrzywił znów wargi w leniwym uśmiechu.

- *Et voild* - powiedział, wskazując głową luk. - Możesz sobie go wziąć, *mon ami* - o ile będzie co zbierać po tym, jak ta kobieta z nim skończy.

Dopiero teraz Geoff odwrócił się i spojrzał na to, czemu reszta przyglądała się od dobrej chwili.

Anais przyparła Lezennesa niemal do forkasztelu. W jednej ręce trzymała krótką szpadę, w drugiej ulubiony rapier. Odparowywała z łatwością kolejne ciosy, wymachując szpadą jedynie dla zachowania równowagi. Geoff ruszył ku niej, lecz niemal natychmiast się zatrzymał, choć była to najtrudniejsza decyzja, jaką podjął w życiu.

Gdyby się zbliżył, mógłby jedynie zakłócić jej koncentrację, spowodować, że odwróciłaby niepotrzebnie wzrok. Poza tym nie potrzebowała pomocy. Lezennes twarz miał ściągniętą z wysiłku, zęby obnażone jak u wściekłego psa. Wyglądał, jakby nie dowierzał własnym oczom.

Od czasu do czasu szarżował z zapamiętaniem, uderzając klingą o klingę rapieru Anais. Ta jednak trzymała go na odległość, jaka była dla niej wygodna, cofając się z wdziękiem - niemal szyderczo - a potem wyprowadzając czyste pchnięcie, skierowane w gardło lub bok Lezennesa i nie doprowadzając ciosu do końca. Bawiła się nim jak kot myszą.

- *Stupide petasse!* - zaklął, szarżując niemądrze. Anais odparowała ze śmiechem cios, okrążyła czubkiem rapiera kilkakrotnie wierzchołek jego szpady, a potem odrzuciła przeciwnika w tył, omal nie pozbawiając go równowa-

gi. Obserwujący ich marynarze cofnęli się. Tu, na pokładzie, brak przestrzeni nie stanowił już przeszkody i mogła posługiwać się swobodnie bronią o długiej klindze Gdzieś za plecami Geoffa ostatni z ludzi Sabota opuszczali się na linach, uciekając, póki było to jeszcze możliwe.

Lezennes nie miał jednakże tyle szczęścia. Nikt nie zamierzał puszczać go wolno. Bez wątpienia rozpoczął pojedynek z wielką pewnością siebie, a skończy go zalany krwią. J

Nikt nie ruszył Anais z pomocą, a Thibeaux nie wydał takiego rozkazu. Wiedzieli, podobnie jak Geoff, że nie ma potrzeby udzielać Anais wsparcia. Jeszcze przez chwilę bawiła się przeciwnikiem, to dopuszczając go bliżej siebie, to odrzucając, aż wreszcie rozwścieczony zaatakował. Odparła atak, a Lezennes zamachał dziko szpadą, przecinając czubkiem klingi kilka zwisających w pobliżu lin. Gdzieś ponad ich głowami żagiel wydał się, a potem opadł i zawisł tuż za Lezenesem niczym kurtyna podczas taniego przedstawienia.

Anais skoczyła do przodu, po czym dziabnęła Lezenesa zgrabnie - i rozmyślnie - w skroń.

Lezennes wrzasną! rozwścieczony. Wyraz twarzy miał szalony, po policzku ciekła mu krew.

- Ty angielska dziwko! - wrzasną!. - Jak śmiesz!

- Zasłużyłeś na to, Lezennes - odparła spokojnie, zmuszając go, żeby przez cały czas się cofał. - Chciałeś zabić Charlotte, więc teraz ja powinnam zabić ciebie.

Lezenens spanikował. Zaatakował z furią, lecz na nic się to nie zdało. Zmuszała go, by cofał się dalej, aż dotarł wreszcie do burty, gdzie wskoczył na stos poskładanego płótna. Robiąc to, popełnił fatalny błąd. Poręcz nadburcia uderzyła go mocno w tylną część ud. Zamachał gwałtownie rękami, starając się odzyskać równowagę. Broń wypadła mu z ręki i zadźwięczała, uderzając o deski pokładu. Próbował jeszcze się ratować, lecz było za późno. Stracił równowagę i runął za burte.

Po chwili panującą na pokładzie ciszę zakłócił głośny plusk.

Dopiero wtedy Geoff uświadomił sobie, że niemal drży z napięcia. Ludzie Thibeaux zaczęli wznosić triumfalne okrzyki. Jeden z marynarzy odwrócił się, gotów uścisnąć dłoń Anais, gdy nagle spod pokładu dobiegło głośnie bum! Dźwięk przetoczył się po statku, jakby coś wybuchło w jego wnętrzu.

Geoff, nadal z sercem w gardle, rzucił się ku lukowi i zsunął raczej niżli zszedł po drabince. Na dole pognał od razu w stronę kabiny na rufie. Anais następowała mu na pięty.

Minął bezanmaszt i zatrzymał się gwałtownie. Ospowaty przemytnik, Navarre, leżał z rozpostartymi szeroko ramionami w wąskim przejściu, pokryty drzazgami, z wykręconą nienaturalnie nogą. W drzwiach kabiny ziała dziura wielkości piłki do krykieta.

Anais przeskoczyła nad ciałem.

- Etienne! - zawołała, sięgając przez dziurę do wnętrza i odsuwając coś po drugiej stronie. Przedmiot uderzył z głuchym łoskotem o podłogę i drzwi stanęły otworem. Etienne Thibeaux stał oparty o ścianę, ściskając w dłoniach pistolet i wpatrując się w nich szeroko otwartymi oczami.

Zobaczył Anais i rzucił natychmiast broń.

- *Bonjour, madame* - powiedział. - *C'est fini.*

Geoff oderwał wzrok od powalonego przemytnika i spojrzał w głąb kabiny. Charlotte klęczała, wciśnięta w kąt najwyższej koi, osłaniając sobą córkę. Ujrzawszy Anais, opadła na kolę i przycisnęła dłoń do serca.

- Och, dzięki ci, Boże! - zaszlochała. - Dzięki! Geoff ukląkł i przyłożył dwa palce do szyi Navarre'a.

Etienne podszedł i stanął, zaciekawiony, nad ciałem.

- Czy on nie żyje, *monsieur*? - zapytał spokojnie.

- Nie - odparł Geoff, szukając rany. - Chyba tylko uderzył się w głowę.

- Och - westchnął Etienne, rozczarowany. - *Tant pis!*

Rozdział 21

Przydzielaj nagrody niewymagalne prawem;

egzekwuj rządowe rozkazy.

Dowodź masami Trzech Armii tak,

jak dowodziłbyś jednym człowiekiem.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Wielebny pan Sutherland był przede wszystkim człowiekiem wiary. Przysięgły tradycjonalista, wierzył, iż rękę Boga można dostrzec w wielu rzeczach, których człowiekowi nie dane jest w tym życiu zrozumieć i do nich zaliczał Bractwo. Oznaczało to, iż wierzył mocno w Bractwo i rozumiał, że od czasu do czasu któryś z jego członków musi poświęcić się dla wyższego celu. Zaś w rzadkich przypadkach, kiedy to przekonanie kolidowało z jego sumieniem, odczuwał niepokój.

Tak właśnie działo się teraz, kiedy stał obok jednej z ceglanych wieżyczek dworca w Colchester, przyglądając się, jak ostatnie sztuki bagażu wyładowywane z powozu Charlotte Moreau - lub raczej powozu jej ojca - lądują na krawężniku. A potem stangret zaciął konie i mały orszak, złożony z podróżnej bryki oraz wozu na bagaż, odjechał, turkocząc kołami po mokrej od deszczu jezdni.

Charlotte machała do nich, póki powóz nie skręcił na główną drogę. Lecz nawet wtedy widział Giselle, spoglądającą ku nim przez tylną szybę. Stopniowo jej blada twarzyczka stawała się coraz mniejsza, lecz nim zniknęła zupełnie, dziewczynka uniosła jeszcze dłoń i przycisnęła ją - podobnie jak nos - do szyby. Potem Sutherland nie widział już nic więcej - z powodu deszczu czy mgiełki, jaka, nie wiedzieć czemu, zasnuła mu wzrok.

Tymczasem Geoff i panna de Rohan podbiegli do budynku dworca, by schronić się przed deszczem. Stanęli pod występem dachu i strzepnęli energicznie parasole. Odziani w ciemne, niemal oficjalnie wyglądające

stroje - on w eleganckim czarnym surducie z oślepiąco białą krawatką, a ona w satynowej sukni koloru oberżyny - wyglądali jak młoda para w lekkiej żałobie.

Lord spojrzał w ślad za powozem.

- Ciekawe - powiedział niemal do siebie - czy dadzą sobie radę bez nas?

Sutherland uśmiechnął się zadowolony.

- Nie jesteś jedynym Strażnikiem, zdolnym zająć się tym dzieckiem, chłopcze. Nieważne, jak bardzo zdążyliście się do siebie przez tych kilka dni przywiązać.

Geoff tylko się roześmiał.

- Pan Henfield będzie dla niej odpowiedni, Geofreyu - Sutherland położył pocieszającym gestem dłoń na ramieniu przyjaciela. - Jest dobrym Strażnikiem, a Charlotte chyba go polubiła. Ty i panna de Rohan wykonaliście Boże dzieło. Niewątpliwie ma On względem tego dziecka swoje zamysły, chociaż nie wiemy na razie

- Przepowiedziała już upadek jednej monarchii - zauważył Geoff, zmartwiony. - Wzdragam się myśleć, co może jeszcze powiedzieć.

- Właśnie - wtrącił cicho wielebny. - Teraz będzie jednak bezpieczna, póki nie nauczy się rozumieć, czym jest Dar. Być może nie zechce w przyszłości w ogóle z niego korzystać, ale przynajmniej będzie miała wybór. I ten akurat dar, możliwość wyboru, zawdzięcza wam.

Co się tyczy deszczu, to wybrał sobie akurat ten moment, aby rozpadać się jeszcze bardziej. Ciężkie krople uderzały z wielką siłą o chodnik, odskakując niczym kamienie.

- Chodźcie - powiedział Geoff, kierując Anais ku drzwiom. - Wejźmy do budynku.

W sali dworca panowie zajęli się kupnem biletów i nadawaniem bagażu. Dołączyli do czekającej przy wejściu Anais w chwili, kiedy na peron wjechał, pogwizdując i posapując, pociąg.

- Cóż - rzekł Sutherland, przekrzykując hałas - tutaj chyba się rozdzielimy. Panno de Rohan, czy jest pani całkowicie pewna, że nie wolałaby pojechać ze mną? Siostra ma doskonałą kucharkę, wygodny dom i chętnie powita towarzystwo.

Anais potrząsnęła głową, trzeci raz od śniadania.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała. - Stęskniłam się jednak za własnym domem.

- Skoro tak, z chęcią wynajmę dla pani powóz i to jeszcze dziś - nalegał ksiądz.

- O co ci tak naprawdę chodzi, Sutherland? - zapytał Geoff. - Pociągi do Londynu i z Londynu kursują przez cały dzień.

Kapłan zacisnął wargi.

- Cóż, Geoffreyu, nie sądzisz, że nawet w dzisiejszych czasach nie uchodzi, by młoda dama podróżowała w jednym przedziale, sam na sam, z dżentelmenem, który nie jest jej mężem?

Geoff spojrzał spod oka na Anais.

- Proszę się nie niepokoić, *sir* - powiedział z lekkim napięciem w głosie. - Zamierzam zmienić ten stan rzeczy, gdy tylko porozmawiam z ojcem damy.

Pan Sutherland uniósł krzaczaste brwi.

- Doprawdy?

- Tak, na Boga. Nie żeby był to czyjkolwiek inte...

- Przestańcie, obaj! - przerwała mu Anais. Minę miała pochmurną. - Nie sądzisz, Geoffie, że twoja deklaracja jest cokolwiek przedwczesna? Wróć do domu i zdejmij żelazko z ognia, jeśli będziesz w stanie. Co zaś się tyczy pana, panie Sutherland, przebywam w towarzystwie Geoffa od wielu dni - w służbie Bractwa, jeśli wolno dodać Po-

dróż do Londynu nie sprawi wielkiej różnicy. Za późno już chyba martwić się o moją reputację, nie sądzi pan?

Właśnie tego dotyczyły rozterki Sutherlanda. Można było poświęcać się dla sprawy, jeśli było się członkiem Bractwa... i dżentelmenem, chronionym przed reperkusjami ze strony towarzystwa. Co innego, jeśli poświęcająca się osoba była damą, na dodatek taką, której odmówiono członkostwa, a która mimo to zrobiła więcej, niżli nakazywało poczucie obowiązku.

Lecz teraz za późno już było zmagać się z wątpliwościami natury etycznej. Albo poczuciem winy. Mimo to czuł się winny. Na dodatek z każdą chwilą niezachwiane dotąd przekonanie, iż mężczyźni stanowią silniejszą płęć, zaczynało coraz bardziej się chwiać. Podobnie jak wiara w to, iż dla kobiet nie ma we Fraternitas miejsca. Jeśli choć połowa z tego, co usłyszał, była prawdą, młoda dama wykazała się bezprzykładną odwagą.

Lokomotywa zagwizdała po raz kolejny, wypuszczając z sykiem parę, i pasażerowie zaczęli kierować się masowo ku drzwiom. Widać było, że nastrój Anais de Rohan nie poprawił się ani odrobinę.

Nagle, pod wpływem impulsu - a może nie kierował nim impuls, ale właściwy osąd - wielebny zdjął kapelusz, położył go na torbie podróźnej i powiedział:

- Podaj mi rękę, moja droga.

Anais spojrzała na niego zaskoczona, wsunęła jednak chłodne palce w jego dłoń.

- A teraz - polecił - wypowiedz słowa. Tylko szybko, proszę.

- Słowa? - zmarszczyła brwi.

Sutherland pomachał wolną dłonią. Lokomotywa zagwizdała ponaglająco.

- Pokornie proszę, aby przyjęto mnie... *et cetera, et cetera* - podsunął.

- Chodzi o Bractwo? - Spojrzała na niego oszołomiona.

- Tak, tak, to tylko formalność - odparł. - Lazonby wypowiedział już swoją część.

Geoff obrzucił go mrocznym spojrzeniem.

- Na miłość boską, Sutherland - syknął. - Na dworcu?

Lecz panna de Rohan wypowiadała już słowa prośby, głosem czystym i spokojnym, doskonałą łaciną.

- Pokornie proszę, aby przyjęto mnie w szeregi Bractwa. Zapracowałam na to swoim Oddaniem, Siłą i moją Krwią. Przysięgam na honor, że będę broniła Daru i mojej Wiary, Bractwa i jego Podopiecznych słowem i mieczem, dopóki starczy mi tchu.

Sutherland położył jej na ramieniu drugą dłoń.

- Zatem niech twoje ramię, siostró, będzie niczym prawa ręka Boga - powiedział. - A twoje dni poświęcone Fraternitas Aurae Crucis i służbie Jemu.

- I twoje także - odparła.

Sutherland opuścił dłonie i lekko się skłonił.

- Już - powiedział. - Zrobione.

Panna de Rohan nadal wydawała się oszołomiona.

- I... to wszystko? - spytała. - Tak po prostu... zrobione?

- Cóż, możemy dokończyć oficjalną ceremonię, kiedy wrócimy wszyscy do Londynu - zaproponował Sutherland. - Jeśli będzie pani chciała.

- Dziękuję, nie - odparła Anais stanowczo. - Zresztą wyrzuciłam już szatę.

- Zatem, tak. To wszystko.

- Cóż, chyba musi odbyć się głosowanie - powiedział Geoff z wahaniem. - W Towarzystwie Świętego Jakuba. Członkowie...

Przyszpiliła go spojrzeniem. - I jak będziesz głosował? Jego spojrzenie złagodniało.

- Wiesz, jak - odparł.

- A ja wiem, jak zagłosują inni - wtrącił Sutherland, chwytając kapelusz i wciskając go na głowę. - Inaczej będą musieli poszukać sobie nowego kapłana.

Geoff ujął dłoń Sutherlanda i mocno ją uściskał.

- Spodziewam się zatem jednogłośniego werdyktu

- powiedział, a potem dodał, zwracając się z czułym uśmiechem do Anais: - Gratulacje, moja droga, w pełni na to zasłużyłaś.

- Cóż - przerwał mu Sutherland, chrząkając donośnie

- tak czy inaczej, oczekuję, że rozwiążecie kwestię wspólnej przyszłości równie szybko - powiedział, a potem uniósł lekko kapelusz, kłaniając się Anais. Lokomotywa zagwizdała po raz kolejny. - To chyba mój pociąg do Ipswich. Pozwólcie, że podziękuję wam raz jeszcze za bezprzykładną służbę dla Bractwa.

Co powiedziawszy, przewiesił sobie parasol przez ramię, podniósł torbę i ruszył na peron.

Anais spoglądała za nim przez chwilę, czując się dziwnie skrępowana. W głowie kręciło jej się od tego, co stało się przed chwilą. Po wszystkim, co się niedawno wydarzyło, było to dosyć dezorientujące. Czowała się tak, jakby wystrzelono ją z działa.

Ona i Geoff spędzili w Essex trzy dni, przekazując informacje Sutherlandowi i panu Henfieldowi, pomagając Charlotte połączyć się znów z rodzicami i załatwiając sprawy, związane z przyszłą opieką nad Giselle. A teraz misja się skończyła. Napięcie opadło. I nagle wszystko pomiędzy nimi się zmieniło.

A potem Geoff ujął jej dłoń, mocno ją uściskał i to, co jak sądziła, się zmieniło, wróciło na swoje miejsce.

- Chodź, kochanie - wyszeptał. - Wracajmy do domu. Przed nimi kolejna lokomotywa wjeżdżała właśnie

na peron, sypiąc iskrami i wypuszczając obłoki pary. Zatrzymała się gwałtownie i pasażerowie ruszyli, tym razem głównie wsiadając. Wsunęła Geoffowi rękę pod ramię,

a on chwycił w drugą obie ich torby i podniósł je, jakby nic nie ważyły.

Ulokowanie się w przedziale zajęło im ledwie chwilę. Wzdłuż peronu dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi. Daleko w przodzie lokomotywa zagwizdała dwa razy, a potem wagonem gwałtownie szarpnęło. Anais o mało nie spadła z siedzenia. Przez kilka ostatnich dni żyła w stanie permanentnego napięcia i teraz nie była w stanie się odprężyć.

Geoff wyciągnął rękę i położył na jej złożonych dłoniach.

- Czasami, gdy misja dobiega końca, tak właśnie się dzieje - powiedział, jakby czytał jej w myślach. - Wkrótce będziemy w Londynie i nasze życie wróci do normalności.

Tego właśnie się obawiała. Nie chciała, by wrócili do tego, co zostawili, i stali się na powrót jedynie znajomymi, żyjącymi każde dla siebie. Bała się, że dni spędzone z Geoffem były jedynie niezwykle interludium poza czasem i miejscem, bez odniesienia do rzeczywistości, w której nie było dla nich przyszłości. Że pożądanie Geoffa było niczym więcej jak żądzą, jej nowo uzyskana świadomość zaś, jasność przekonań dotyczących życia, miłości i marzeń, które powinny zostać zarzucone, będzie bladła z każdą dzielącą ich od Brukseli milą.

Wątpliwości narastały w niej także dlatego, iż odkąd opuścili dom Lezennesa, nie mieli dla siebie ani chwili, jeśli nie liczyć namiętnego pocałunku na pokładzie „Jolie Marie”. Tymczasem podczas minionych kilku tygodni bardzo się do siebie zbliżyli i nauczyli się sobie ufać. Pracować, choć nie bez zgrzytów, dla osiągnięcia wspólnego celu. I zostali kochankami, których połączyła gorączkowa, nader silna namiętność.

A potem - równie nagle jak się zaczęło - wszystko to się skończyło. Życie poza czasem, solidarność, wszystko. Namiętność często się wypala, wiedziała o tym aż za dobrze.

A przecież czuła się teraz zupełnie inną osobą. Wiele z tego, co sądziła na swój temat, zmieniło się, burząc jej uporządkowany świat. Osiągnęła też niespodziewanie coś, na co pracowała od tylu lat - przyjęcie w poczet członków Bractwa Dłaczego nie czuje więc entuzjazmu?

Pociąg szarpnął, koła zazgrzytały, a potem zaczęły toczyć się po torach. Ruszyli. Anais przyglądała się, jak pustoszejący peron oddala się stopniowo spowity kłębamii pary i dymu. Odwróciła się od okna i spostrzegła, że Geoff wyciąga do niej rękę.

- Chodź tutaj - powiedział łagodnie, a zarazem stanowczo.

Anais nie była w nastroju, by się sprzeczać. Wstała ze swego miejsca naprzeciw Geoffa i usiadła obok niego. Pociąg nabrał szybkości i krajobraz za oknami błyskawicznie jął się zmieniać.

Geoff objął ukochaną i skłonił, by położyła mu głowę na ramieniu.

- Anais de Rohan - powiedział cicho - kocham cię. Zesztywniała w jego objęciach.

- No co? - zapytał. - Nie sądziłaś chyba, że to się zmieniło? Wyglądasz jak więzień prowadzony na stracenie.

Spojrzała mu w oczy i powiedziała otwarcie:

- Spędziliśmy ze sobą kilka niezwykłych tygodni, a teraz musimy wrócić do dawnego życia.

Nie odezwał się, lecz utkwiał wzrok w krajobrazie za oknem. A kiedy wreszcie przemówił, powiedział:

- Nie sądzę, żebym był w stanie wrócić do dawnego życia bez ciebie. Lecz jeśli nie czujesz tak samo, pogodzę się z tym.

- Doprawdy?

- Tak - potwierdził. - Lecz po to jedynie, aby ubiegać się jak należy o twoje względy. Kupuję sobie czas, Anais. Wracam do domu, by zrobić to, o co mnie poprosiłaś. A potem zamierzam bardzo się postarać i zdobyć twoje serce, oblegając je i nie przyjmując odmowy.

- Geoffie, to nie była odmowa. Nie tego rodzaju. Postaraj się jednak, proszę, zrozumieć poczucie winy, z jakim musiałabym żyć...

Uciszył ją, przyciskając palec do ust.

- Wiem. Dlatego zamierzam porozmawiać z damą, o której mowa, jak tylko dojedziemy. Wyjaśnię jej wszystko osobiście. Nim zajdzie słońce, będzie po sprawie, a dama odczuje jedynie ulgę, zapewniam.

Anais nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pragnęła Geoffa, ale czy aż tak bardzo, żeby odebrać go innej? Musiała przyznać ze wstydem, że tak się właśnie rzeczy mają. Odwróciła wzrok i mocno przełknęła. Musi wierzyć, iż dobrze oceniła sytuację, a Geoff wie, co mówi. Zaś jej prababka... cóż, pomyliła się.

Była pewna, że kocha Geoffa i że dokonała właściwego wyboru. Musi żyć odtąd własnym życiem, chwycić okazję obiema rękami i mocno trzymać, gdyż Geoff wart był tego, by przy nim pozostać.

Siedzieli przez dłuższy czas w milczeniu. Wreszcie pociąg wjechał na kolejną stację i na peronie zaczął się zwykły w takich chwilach ruch. A potem zatrzaśnięto drzwi przedziałów i lokomotywa ruszyła, pogwizdując i wypuszczając z sykiem parę.

Natychmiast przycisnął usta do skroni Anais.

- Obawiam się, że do następnej stacji mamy kawał drogi - powiedział.

- Och - odparła Anais. - Brzmi obiecująco.

- Tak? - Uniósł głowę i spojrzał na nią rozbawiony. - A to dlaczego?

- Ponieważ właśnie się zastanawiałam - odparła spokojnie - jak by to było, kochać się w pędzącym pociągu...

* * *

Po południu ciężkie chmury, zalegające dotąd nad Londynem, rozwiały się w niemal cudowny sposób,

odslaniając lazurowe niebo i słońce tak jaskrawe, że damy, buszujące po sklepach na St. James, musiały pootwierać parasolki, by ustrzec się przed piegami.

Rance Welham, lord Lazonby schodził właśnie po stopniach siedziby Towarzystwa Świętego Jakuba - nie poświęciwszy swej cerze ani jednej myśli - gdy zza zakrętu wyjechał czarny faeton o rubinowych kołach. Przyśpieszył, rozchlapując pozostałe po rannej ulewie kałuże, i zatrzymał się ledwie metr przed Lazonbym. Zgrabne, starannie dobrane konie o czarnym umaszczeniu przestępowały z nogi na nogę, podrzucając z niecierpliwością głowami, lecz powożący w pełni nad nimi panował.

- Dzień dobry, Rance! - zawołała lady Anisha. - Cóż za miła niespodzianka.

Przygląda! się, cokolwiek oszołomiony, jak kobieta wysiada, rzucając wodze lokajowi Belkadich, który zbiegi właśnie ze schodów. Ukłonił się damie i zaszurał uniżenie stopą.

- No, no, Nish! - powiedział Lazonby, podpierając się laseczką z mosiężną gałką. - To teraz sama powozisz?

- Życie jest ciężkie. - Lady Anisha uśmiechnęła się, zdjęła rękawice i zeszła na chodnik. - Podoba ci się?

- Cóż, z pewnością rzuca się w oczy - powiedział Lazonby. - Nie jestem tylko pewien, czy jest naprawdę twój.

- Cóż, może powinien...? - odparła dama tajemniczo. Lazonby musiał przyznać, że jest co podziwiać. Powo-

zik był wysoki, lecz nieprzesadnie, a także doskonale resorowany. Przednie koła, sięgające lady Anishy do ramienia, pomalowano na kolor jaskrawoczerwony. Wyglądały jak onyks wysadzany rubinem. Z pewnością żaden modny młodzieniec nie zrezygnowałby dobrowolnie z takiego pojazdu - i tylko niewiele kobiet potrafiłoby nim powozić.

- Tak czy inaczej, można powiedzieć, że przechowuję go dla mojego brata Lucana - wyjaśniła lady Anisha.

- Szczeniak ma znowu szlaban, co? Uśmiech damy zbladł.

- Tak jakby - powiedziała. - Tym razem chodzi o ba-karata. Lucan właśnie się uczy, i to w bolesny sposób, że jeśli chce, bym mu pomogła, musi za to zapłacić. Ceną był faeton. Przyznaję, że nawet mi się spodobał. Nie jestem wcale pewna, czy mu go oddam.

Lazonby przeniósł uwagę z pojazdu na piękną kobietę u swego boku.

- Przyjechałaś spotkać się znów z Sutherlandem?

- zapytał. - Nie wrócił jeszcze z głuszy Esseksu.

- Cóż, trudno oczekiwać, żeby przedsięwziął tak długą podróż i nie odwiedził przy okazji siostry, prawda?

- zauważyła. - Przyjechałam jednak do Safii. Zamierzam ją namówić, żeby wybrała się ze mną do parku.

Lazonby cofnął się o krok.

- Powodzenia.

- Wiem. - Anisha skrzywiła się. - Zapewne odmówi. A co z tobą? Złożyłbyś swoje życie w moje ręce?

- Nie przychodzi mi na myśl wiele osób, którym powierzyłbym je z równą chęcią - odparł Lazonby szczerze.

- Wybierałem się jednak na drugą stronę ulicy, do klubu Quartermaine'a.

- Ależ, Rance! - powiedziała z naganą. - Nie zacząłeś chyba znów grać?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie u Neda, to pewne - odparł. - Nie pozwoliliby zasiąść przy stoliku nikomu z Towarzystwa Świętego Jakuba.

- Ciekawe dlaczego? Posłuchaj, wejdź ze mną przynajmniej na chwilę do biblioteki. Muszę coś ci powiedzieć, a wolałabym nie stać zbyt długo na ulicy.

Lazonby skinął niechętnie głową i podał Anishy ramię.

Nie minęły dwie minuty, a siedzieli już na długich skórzanych sofach w prywatnej bibliotece Towarzystwa, spoglądając na siebie z konsternacją ponad stolikiem do kawy. Lazonby żywił nadzieję, iż lady Anisha zapo-

niała już o ostatnim razie, kiedy natknęła się na niego w tym pomieszczeniu.

Znajdował się wtedy w okropnym stanie, gotując się od tłumionego gniewu i uczuć, w które wolał zbytnio się nie zagłębiać. A wszystko dlatego, że został przyłapany przez brata Nish w sytuacji, która z pewnością mogła wydawać się dwuznaczna i kompromitująca - i to z kim? Z tym małym śmierzdziałem Jackiem Coldwaterem. Co gorsza, Nish towarzyszyła wtedy Ruthveynowi. Mógł tylko się łudzić, że nie widziała zbyt wiele z tego... cóż, z tego, co działo się w bibliotece. Jej brat z pewnością to widział - i nieźle zmył mu potem głowę. Nie dlatego, że skłonny był oceniać innych, bo to nieprawda. Dostało mu się z powodu Nish. Nish, która była chyba najpiękniejszą kobietą, jaką Rance widział w życiu.

Rozmyślając, przyglądał się jej błyszczącym ciemnym oczom, drobnym piersiom, obciśniętym czarnym jedwabiem spacerowej sukni, szyi, długiej i smukłej jak u łabędzia, i było mu trochę żal, że tak szybko zrezygnował z niej na rzecz Bessetta. Nie, żeby Nish można było w ten sposób potraktować. Już nie. I dziś wydało mu się to szczególnie widoczne.

Lady Anisha przerwała moment niezręcznej ciszy, wyjmując szpilkę z zawadiackiego kapelusika i odkładając obie te rzeczy na bok.

- Nareszcie - powiedziała. - Kłóła mnie. A teraz, Rance, zachowałeś się bardzo niegrzecznie, porzucając mnie tamtego popołudnia w Whitehall. Co ty sobie myślałeś?

Zerwał się z krzesła.

- Nie porzuciłem cię - zaprotestował. - Zostawiłem ci mój powóz, woźnicę oraz stangreta, a także instrukcje, żeby dowieźli cię bezpiecznie na Grosvenor Street. Uznałem, że lepiej będzie, jak pójdę piechotą, gdyż byłem wściekły i nie nadawałem się na towarzysza damy.

- Zostawiłeś mnie - powiedziała, podchodząc za nim do okna. - Szczerze mówiąc, Rance, nie wiem, co się

z tobą dzieje, i to od kilku miesięcy. Zachowujesz się bardzo dziwnie.

Lazonby stał wpatrzony w wejście do klubu Ouarter-mainea, przyglądając się, jak jeden z wykidajłów, Pinkie Ringgold, wychodzi, aby otworzyć drzwi czekającego powozu. 6 F

Zmusił się, by się odwrócić i na nią spojrzeć.

- Przepraszam - powiedział chrapliwym głosem. - Co takiego chciałaś mi powiedzieć, Nish?

Obrzuciła go szybkim, aprobującym spojrzeniem.

- Dwie rzeczy - odparła. - Po pierwsze, chciałam zapytać, co wiesz o Roydenie Napierze?

Lazonby wzruszył ramionami.

- Nic, poza tym, że jest synem Wieszającego Nicka Napiera.

- Chryste, Rance, cóż to za język! - Przewróciła wymownie oczami. - Tak czy inaczej, lady Madeleine powiedziała mi wczoraj podczas kolacji coś interesującego.

Lazonby się uśmiechnął.

- Zaprzyżądniamy się z przyszłą teściową, co? Ciemne oczy Nish zabłyśły z gniewu.

- Bądź cicho i słuchaj - wycodziła. - Przed kilkoma miesiącami, gdy Napier ruszy! do łóża umierającego wuja...

- Tak, słyszałem, że podróżował do Birmingham - wtrącił Lazonby. - Jego wuj to zapewne jakiś złotnik. I co z tego?

- Cóż, to nie było Birmingham. - Lady Anisha ściszyła głos. - Belkadi musiał źle zrozumieć. Chodziło o Burlinga.

Przez chwilę wpatrywał się w nią zaskoczony.

- Pojechał do lorda Hepplewooda?

- Cóż, Hepplewood nie żyje, prawda? Przynajmniej tak twierdzi lady Madeleine. - Nish machnęła lekceważąco dłonią. - Przyznaję: nie wiem nic o tych ludziach. Uważam jednak, że to dziwne, iż Napier jest spokrew

niony z parem, i to tak ustosunkowanym. Mającym takie koligacje.

- Koligacje po stronie lady Hepplewood.

- Lady Madeleine twierdzi, że nic podobnego - odparowała Nish. - Zastanawiam się, czy jest nieślubnym synem.

- On nie, ale jego ojciec, stary Nick, mógł być. - Wzruszył znów ramionami. - Nie obchodzi mnie, kim jest. Chcę tylko, by ruszył tyłek i robił, co do niego należy.

Lady Anisha spojrzała na niego zza firanki długich, czarnych rzęs.

- Co prowadzi do następnego punktu - powiedziała, a on uświadomił sobie nagle z całą mocą, jak bardzo seksowny ma głos. Poczuł, że zasycha mu w ustach.

- Mianowicie?

- Przekonałam Roydena Napiera, aby pozwolił mi przejrzeć dokumenty ze sprawy Peverila.

- Co takiego? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Pokaże mi materiały ze śledztwa - powtórzyła.

- Oczywiście, nie będę mogła wynieść ich z biura. Nie są jednak objęte tajemnicą - no, prawie - i dlatego zgodził się mi je udostępnić. Zeznania świadków, tego rodzaju rzeczy. Co zatem chcesz wiedzieć?

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Ja... dobry Boże... wszystko! - wykrztusił wreszcie.

- Wszystko, czego zdołasz się dowiedzieć. Ale jak...?

- Znasz to powiedzenie, że więcej much łapie się na miód niż na ocet, Rance? Myślę, że powinieneś zostawić odtąd Napiera mnie; zwłaszcza że nie potrafisz pohamować języka.

- Dziękuję, Nish - wyszeptał. - Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale... dziękuję.

Jej śniada, niezwykle piękna twarz miała nieodgad-niony wyraz, brązowoczarne oczy były niczym głębokie, niezbadane jeziora. Czasami, gdy na nią patrzył, wprost zapierało mu dech w piersi. To nie była miłość. Ani nawet pożądanie.

- Proszę bardzo - odparia cicho. Nagle - kiedy tak stali przy otwartym oknie, zza którego dobiegał turkot kół powozów i gruchanie gołębi na dachu, wydało mu się najbardziej naturalną rzeczą na świecie, aby przyciągnąć Nish do siebie i pocałować.

Westchnęła i oparła się o niego. Ich usta się spotkały. Całował ją z początku delikatnie, ledwie dotykając wargami jej warg i wdychając zapach jej skóry: mroczną egzotyczną woń drzewa sandałowego, magnolii oraz zapachu czystego kobiecego ciała; mieszanka, która mogłaby poruszyć umarłego.

Nish oddała pocałunek, wznosząc się na palce, gdyż ledwie sięgała mu głową do piersi. Pogłębił pocałunek wsuwając jej język w usta. Poczul, że kurczy mu się żołądek, a członek sztywnieje. Jęknęła cicho. Uświadomił sobie, że mógłby jej pożądać. Zabrać ją do łóżka i zagubić się w jej małym, zmysłowym ciele. Dać Nish niezwykłą rozkosz, a może nawet radość. Być może ukoiłoby to ów głęboki brak satysfakcji, jak zdawał się przeżerać go od środka - przynajmniej na chwilę.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na to, by ją pokochać. Nish zasługiwała na kogoś lepszego niż on, o wiele epszego. Lady Anisha Stafford była niczym egzotyczny klejnot - wytrenowany ponoć przez radżpuckie kobiety by zadowolić mężczyznę na tysiąc i jeden sposobów. Zasługiwała na kogoś, kto w pełni to doceni. A tym kimś nie mógł być on. Za wiele już widział. Zbyt wielu rzeczy próbował. Jego kubki smakowe obumarły z powodu nadużycia.

Oderwał nieco brutalnie wargi od ust Nish i odsunął ją od siebie. Oddychał ciężko, chrapliwie. Jego ciało błagało, by pozwolił mu zaspokoić żądzę.

- Przepraszam - powiedział, opuszczając ramiona - Boże, wybacz mi, Nish.

Spuściła wzrok i odsunęła się nieco, sprawiając wrażenie zażenowanej. Żadne nie zauważyło osoby, która stanęła na chwilę w drzwiach, a potem się wycofała.

Wyciągnął ku niej instynktownie ramiona.

- Zaczekaj.

- Nie - odparła, cofając się jeszcze o krok. - To coś pomiędzy nami... nie będzie trwało wiecznie, prawda, Rance?

Potrząsnął głową.

- Nie. Mógłbym kochać się z tobą, Nish. Mógłbym. I chcę. Lecz Rutlweyn by mnie zabił. No i jest jeszcze Bessett. Boże, co ja sobie myślałem?

Podniosła wreszcie wzrok i spojrzała na niego. Twarz jej płonęła.

- Pytanie powinno brzmieć raczej: co ja sobie myślałam?

- Powinnaś za niego wyjść, Nish - powiedział. - To dobry człowiek. Zapewni tobie i dzieciom stare, godne szacunku, niezbrukane nazwisko, czego ja nie mógłbym wam dać. I będzie cudownym ojcem dla twoich chłopców. Powinnaś go poślubić.

Odwróciła wzrok.

- Wiem.

- I zrobisz to? - wyszeptał chrapliwie. - Mam nadzieję, że tak.

Umknęła ponownie spojrzeniem.

- Być może - odparła po chwili. - Jeśli poprosi mnie o rękę, a dotąd tego nie zrobił, wtedy, ze względu na chłopców, powinnam wyrazić zgodę.

Lazonby poczuł przyływ ulgi. Krew w jego ciele przemieściła się i wróciła tam, gdzie być powinna.

- To dobrze - powiedział spokojnie. - Nie będziesz żałować.

Przygwoździła go spojrzeniem.

- A ty? Nie będziesz żałował, gdy tak się stanie? Zacisnął wargi i odwrócił spojrzenie.

- Nie kochasz mnie, Nish - powiedział cicho.

Na dłuższą chwilę w bibliotece zapadła brzemienna oczekiwaniem cisza. A potem Nish powiedziała zadziwiająco mocnym głosem:

- Nie, nie kocham. Budzisz we mnie od czasu do czasu pożądanie, ponieważ należysz... cóż, do mężczyzn którzy wydobywają z kobiet to, co w nich najgorsze. A może najlepsze. Ale nie, nie kocham cię.

Wpatrywał się w nią zaskoczony, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Jest coś jeszcze? - spytała obojętnie. - Zanim udam się do Whitehall? Nie wiem, ile razy uda mi się tam wejść, nim Napier straci cierpliwość.

Było coś. Coś ważnego. Lazonby poczuł, że płonie mu twarz. Czuł, że to nie najlepszy moment, by prosić Nish o przysługę. Lecz był zdesperowany, i to od dawna.

- Owszem - powiedział w końcu. - Jest jedna rzecz

- Podszedł do niewielkiego biurka przy drzwiach i wyjął papeterię ze znakiem klubu. Nabazgrał coś na kawałku papieru i podał jej. Nazwisko.

- John Coldwater - rzekła, a potem spojrzała na niego niemal zirytowana.

- Albo Jack - uzupełnił Lazonby zduszonym głosem

- Jack Coldwater.

- Wiem, kim on jest - odparła chłodno.

- Interesuje mnie każda wzmianka na temat tego nazwiska lub kogokolwiek, kto mógłby być z nim związany.

- A skąd miałabym to wiedzieć? - spytała szorstko.

- Właśnie dlatego wybieram się do Neda Quarterma-ine'a. Zamierzam opłacić któregoś z jego informatorów aby wygrzebał co się da na temat tego faceta. Skąd pochodzi, kim są jego krewni i temu podobne.

- Po co? - Nish zacisnęła z dezaprobatą usta. - Można by pomyśleć, że jeśli chodzi o niego, dostałaś wystarczającą naukę.

Nie śmiał spytać, co chciała przez to powiedzieć.

- Coldwater uczeplił się mnie nie bez powodu, Nish

- odparł. - Nie chodzi tylko o artykuł w „Chronicie”, bo to już przebrzmiała sprawa. Nie, to musi być coś osobistego.

- Osobistego - powtórzyła lady Anisha, chowając kartkę z nazwiskiem do kieszeni. - Powiem ci, co o tym myślę, Rance. Uważam, że twoja obsesja na punkcie Jacka Coldwatera ma charakter aż nadto osobisty.

- Doprawdy? - zapytał cokolwiek zjadliwie.

- Tak - odparowała. - I wykazujesz w tej kwestii zadziwiający brak rozsądku.

Zawahał się, nie wiedząc, czy posłać ją do diabła, czy zamknąć jej usta pocałunkiem. W końcu nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego. Stchórzył i powiedział:

- Wybacz, lecz jestem umówiony.

A potem odwrócił się na pięcie, wymaszerował z biblioteki i skierował się ku schodom po to jedynie, by wpaść niemal natychmiast na Bessetta. Lord stał tuż poza zasięgiem słuchu, wsparty o ścianę, ściskając palcami grzbiet nosa.

Lazonby wyrzucił w górę ramiona.

- Jezu Chryste! - wyjąkał. - Skąd się tu...

Zbyt późno uświadomił sobie, że Bessett przykłada palec do ust.

- Na miłość boską, Rance - powiedział głosem zduszonym przez śmiech, a może gniew - każ zrobić coś z tymi drzwiami, jeśli zamierzasz całować za nimi osoby, których całować nie powinienes.

- Ty! - powtórzył Lazonby, zaciskając dłonie w pięści.

- Co tu, u diabła, robisz?

- Wygląda na to, że mógłbym zadać ci to samo pytanie, staruszku - wykrztusił Geoff. - Co zaś się ryczy mnie... Cóż, przyszedłem zdjąć żelazko z ognia. Higgenthorpe powiedział, że mogę złapać tu Nish.

- Żelazko z ognia?

- Owszem - potwierdził Bessett, ewidentnie rozbawiony. - Choć szczerze mówiąc, chłopie, wyglądało na to, że mnie wyręczasz.

* * *

O siódmej Maria Vittorio zaciągała właśnie zasłony w przestronnych pokojach domu przy Wellclose Square. Obcasy jej bucików stuknęły na wypolerowanych deskach podłogi. Nieraz zwracała Anais uwagę, że przydałyby im się dywany, żadnego jednak na razie nie zakupiono, ponieważ Anais zbytnio to nie interesowało. Woląca zostawić pokoje tak, jak wyglądały za życia jej babki.

Tylko że wtedy nie zapełniały ich wyściełane krzesła oraz długie, pasujące do nich sofy, ale masywne biurka i komody, zaś urzędnicy kręcili się dookoła niczym pracowite pszczoły: imperium Sofii, przeniesione do domu, kiedy nie była już w stanie z niego wychodzić. Prawda wyglądała tak, że firma Castelli & Company rozrosła się na długo przed śmiercią starej damy i dom był dla niej za mały. Musieli jednak jakoś sobie radzić.

Teraz pokoje, pozbawione niemal mebli, wydawały się bardziej eleganckie: długie, przestronne pomieszczenia, skąpo umeblowane i rzadko używane, ponieważ dom był duży, a mieszkwały w nim tylko dwie osoby, nawykłe zajmować się własnymi sprawami i nieprzyjmujące nikogo poza najbliższą rodziną. Nie potrzebowały zatem wielu pomieszczeń, by chronić się w nich przed gośćmi.

Teraz jednakże Maria rozejrzała się po szerokim pomieszczeniu o wysokim suficie, zastanawiając się z macierzyńską troską, czy wkrótce nie zajdą tu kolejne zmiany. Bo choć nie była, dosłownie rzecz ujmując, matką, Bóg wynagrodził jej to, dając w zamian Nate'a, Anais 'i Armanda oraz całą listę innych, którzy jej potrzebowali.

Nie była tylko pewna, czy Anais ciągle to dotyczy - nie w ten sam sposób co dawniej, ponieważ wróciła do domu

z masą kufków oraz pudeł na kapelusze jako zupełnie inna osoba. Odmieniona w sposób, który Maria знаła aż za dobrze: milcząca, z

błyszczącymi oczami, lecz smutkiem w sercu. A za tym milczeniem skrywał się nieodmiennie mężczyzna.

Zaciągała właśnie ostatnią z grubych zasłon, gdy usłyszała, że ktoś puka do drzwi wejściowych. Ponieważ nie uważała, by otwieranie ich uwłaczało jej godności, odstawiła tyczkę służącą do zaciągania stor, otworzyła drzwi i zobaczyła bardzo wysokiego, smukłego mężczyznę w ciemnoniebieskim surducie i bobrowym kapeluszu, wartym małą fortunę.

Natychmiast go rozpoznała.

Cóż, widać Anais niczego się jednak nie nauczyła.

- // *beWuomo* - wymamrotała pod nosem, ani trochę niezaskoczona.

- Dziękuję - powiedział mężczyzna, zdejmując kapelusz. - Jestem Geoffrey Archard. Zastałem pannę de Rohan? - Podał Marii kremową wizytówkę, a ona ją przyjęła. Nazwisko na karcie było jednak inne.

- *Si* - odparła. - Proszę wejść, milordzie.

* * *

Anais siedziała w saloniku, przeglądając korespondencję, która nagromadziła się podczas jej nieobecności, kiedy uświadomiła sobie, że poza nią i Marią w domu jest ktoś jeszcze. Mężczyzna, ale nie Nate. Ani nie Armand. Zaczepnęła głęboko oddechu, by uspokoić nerwy.

Nie musiała czekać długo. Już po chwili usłyszała kroki Marii, zmierzającej ku salonikowi dębową klatką schodową. Za nią postępował ktoś, czyje kroki były cięższe, bardziej zdecydowane. Odłożyła rachunek od rzeźnika, wstała i wygładziła nerwowo fałdy ciemnoniebieskiej domowej sukni: starej i wygodnej, lecz niezbyt eleganckiej. Nagle poczuła się niestosownie ubrana - wie-

działa bowiem bez cienia wątpliwości, kto wejdzie za Marią do pokoju.

Och, spodziewała się, że Geoff ją odwiedzi, należał bowiem do mężczyzn, którzy zawsze robią to, co należy. Tylko że teraz, gdy wrócił już do Londynu i normalnego życia, kto wie, co wyda mu się słuszne i właściwe?

Z pewnością nie spodziewała się go tak szybko. Nie tego samego dnia, kiedy rozstali się na dworcu Bishopsgate, wsiadając do dwóch różnych dorożek. Z trudem powstrzymywała wtedy łzy.

I nagle już tu był, jego szerokie ramiona niemal wypełniały framugę drzwi. W dłoniach trzymał kapelusz i spoglądał posepnie na Anais.

- Masz gościa, *bella* - powiedziała Maria z nutką ostrzeżenia w głosie.
- Zostawię was, lecz nie odejdę daleko.

Geoff rzucił kapelusz na krzesło, porwał Anais w ramiona i całował, aż zabrakło jej tchu.

- Och, Anais, to zbyt długo - wymamrotał, muskając wargami jej ucho.
- Nie da się nic zrobić z tym „nie odejdę daleko“?

Anais odsunęła się, spojrzała mu w twarz, ale nie doszukała się tam niczego, poza szczerością. I po raz pierwszy, odkąd wyjechali z Brukseli, poczuła coś jakby pewność.

- Dlaczego? - wyszeptała. - Tęskniłeś za mną? Pocałował ją znowu, szybko i mocno.

- To było najdłuższe pięć godzin mojego życia - powiedział. - Poproś, bym usiadł. I nalej mi, proszę, brandy. Mam za sobą piekielne popołudnie.

Wskazała mu sofę pod oknem, za którym zapadał szybko zmierzch, i podeszła do kredensu.

- Gdzie byłeś? - spytała, starając się, aby zabrzmiało to obojętnie.
- Tam, gdzie powiedziałem - odparł, przeciągając dłońmi po włosach.
- Robiąc to, co zapowiedziałem. Wyszło trochę... dziwnie, lecz już po wszystkim.

Anais nalala brandy także dla siebie, uznając, iż może potrzebować wkrótce wzmocnienia. Usiadła obok na sofie i podała mu trunek. Upił ledwie łyk, a potem odstawił kieliszek i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Chodź do mnie - powiedział, otwierając szeroko ramiona.

Posłuchała i przysunęła się bliżej, wtulając twarz w jego ramię. Wciągnęła w nozdrza znajomy, kojący zapach i poczuła się tak, jakby dotarła wreszcie do domu.

- Anais - zamruczał, przytulając ją mocniej - Kocham cię rozpaczliwie. Przyszedłem, żeby cię ostrzec: zamierzam zdobyć twoje serce. Sprawić, byś zapomniała o Rafaelu i wszystkich innych, tych, którzy byli lub tylko mogli być. Dotąd zawsze udawało mi się osiągnąć wszystko, co zamierzyłem, a nic nie miało większego znaczenia niż to.

Anais uniosła głowę i przycisnęła usta do policzka Geoffa.

- Możesz oszczędzić sobie zachodu - powiedziała. - Kocham cię do szaleństwa. I to się nigdy nie zmieni.

Utwił w Anais spojrzenie lodowato błękitnych oczu, uniósł jej brodę palcem i pocałował lekko w usta.

- Mam nadzieję - powiedział cicho. - Jesteś dla mnie wszystkim, Anais. Lecz muszę o czymś ci powiedzieć. O czymś ważnym.

Poczuła, że oddech więźnie jej w piersi.

- Co to takiego? - spytała cicho, wpatrując się w niego. - Dotyczy damy, o której względy się starałeś? Och, Geoffie, nie mów, proszę, że ona...

- Wszystko z nią w porządku. - Zamilkł na chwilę, a potem potrząsnął z żalem głową. - Och, nadal potrzebuje męża, głównie ze względu na dzieci. Uświadomiłem sobie jednak, że nie mogę rozwiązać za nią tego problemu, nieważne, jak bardzo bym chciał. Sądziłem, że mogę spróbować, lecz tak mi się tylko zdawało. A ona to rozumie. Prawdę mówiąc, odetchnęła chyba z ulgą.

Anais zamknęła oczy. Ją także zalała fala ulgi.

- O czym chciałeś więc ze mną rozmawiać? - wykrztusiła.

- O czymś zupełnie innym - odparł i wyglądało na to, że mówi poważnie. Lecz powściągliwość wróciła, rysy jego twarzy stwardniały i pomyślała, że wygląda znowu jak wtedy, kiedy spotkała się z nim w bibliotece Towarzystwa. Był człowiekiem upartym i melancholijnym, ale i dobrym. A także dżentelmenem w każdym calu.

Cokolwiek go martwiło, miało z tym związek. I nie zaczęło się wczoraj. Chrząknął głośno.

- Myślę, że kiedy byliśmy w Brukseli, zdawałaś sobie sprawę, jak bardzo martwiłem się o Giselle Moreau - powiedział. - Od samego początku jej bezpieczeństwo i przyszłość były dla mnie niezwykle ważne.

- Współczułeś jej - przyznała Anais - w stopniu, jaki nie do końca rozumiem. Nie wiem jednakże, jak to jest dźwigać ciężar, który ludzie tacy jak ty i Giselle dźwigacie, i jestem wdzięczna, że mnie nim nie obarczono.

Po chwili nakrył dłoń Anais swoją i zacisnął palce wokół jej palców.

- Moje dzieciństwo bardzo przypominało to, jakie przypadło w udziale Giselle - powiedział. - A raczej, jakie mogłoby przypaść. Do dwunastego roku życia nie miałem do kogo się zwrócić. Nie było nikogo, kto by mi pomógł.

- Tak - powiedziała Anais z wolna. - Przyznam, że sporo o tym myślałam.

Uśmiechnął się niemal gorzko.

- Matka obwinia siebie - powiedział. - Niesłusznie jednak. Gdy mnie poczęła, miała zaledwie siedemnaście lat. Była więc bardzo młoda i nie mogła wiedzieć, czego się spodziewać.

- Tego właśnie nie rozumiem - przyznała, podnosząc wzrok, by pochwycić jego spojrzenie. - Czyż nie była kuzynką lorda Bessetta? Dar przenosi się przez pokrewieństwo. Każdy, kto go posiada, o tym wie.

- Matka była rzeczywiście prawniczką czwartego lorda Bessett - powiedział. - Lecz jej małżeństwo z kuzynem zostało zaaranżowane, to znaczy, że było wygodne dla wszystkich prócz niej. I mnie. A także...

Zachęciła go spojrzeniem, by mówił dalej.

- A także..?

Wahał się przez chwilę, a potem dokończył:

- Dla mojego prawdziwego ojca.

Anais potrzebowała chwili, aby przetrwać to, co właśnie usłyszała.

- Ach, tak - powiedziała w końcu - zaczynam chyba rozumieć.

Uśmiech Geoffa nie był już gorzki, ale ponury.

- Jestem pewien, że nie muszę tłumaczyć ci, co to oznacza - powiedział. - Implikacje są oczywiste.

- Geoff, to nie ma dla mnie znaczenia - zapewniła pośpiesznie, przykładając mu dłoń do policzka. - Przykro mi z powodu twojej matki. Począć dziecko w tak młodym wieku, i to nieślubne, musiało być czymś niewypowiedzianym strasznym. Lecz nie obchodzi mnie ani trochę, kto był twoim ojcem. Musisz w to uwierzyć. Musisz.

Położył dłoń na dłoni, którą tuliła do jego policzka.

- Nigdy w to nie wątpiłem - powiedział cicho. - Nie jesteś płochą kobietką przywiązującą wagę do spraw takich jak pochodzenie czy zasady poprawności. A ja nie wstydzę się tego, kim jestem.

- Nie szanowałabym cię tak, gdyby było inaczej. Wtulił twarz w dłoń Anais i całował nieśpiesznie jej

wnętrze, a potem splótł palce z jej palcami i położył sobie ich złączone dłonie na kolanach, jakby chciał baczniej się im przyjrzeć.

- Nie wstydzilem się też swojego pochodzenia - powiedział spokojnie.

- Zostałem poczęty przez dwoje kochających się ludzi, którzy bardzo chcieli mieć dziecko. A stało się to po ślubie albo najwyżej dzień lub dwa przed nim. I tu zaczynają się komplikacje.

Anais otworzyła szerzej oczy.

- No myślę - wymruczała. - Chcesz mi o nich opowiedzieć?

Wzruszył ramionami i westchnął.

- Kilka tygodni po tym, jak zaczął się jej pierwszy w życiu sezon, matka uciekła z pewnym Szkotem bez grosza i poślubiła go w Gretna Green - powiedział. - Jej ojciec był jednak człowiekiem okrutnym i bezlitosnym. Odszukał młodą parę wkrótce potem i przekonał moją matkę za pomocą podrobionych dokumentów, że ojciec poślubił ją dla majątku - a był on znaczny - i że zgodził się anulować małżeństwo. Za sporą sumę, oczywiście. Pokazał jej nawet odpowiedni dokument.

- Och! - westchnęła Anais, unosząc dłoń do ust. - To okropne!

- Był wpływowym politykiem - powiedział Geoff. - Zaaranżował dla niej politycznie korzystne małżeństwo, które miało jeszcze wzmocnić jego wpływy. Sądził, że zdoła ukryć fakt ucieczki i zastraszyć córkę, nie wziął jednak pod uwagę, iż może ona być już przy nadziei. Czym innym jest nakłonić młodego człowieka podstępem, aby poślubił dziewczynę, która nie jest dziewicą, a czym innym wcisnąć mu narzeczoną, która spodziewa się dziecka. Nawet lord Jessup - mój dziadek - nie ośmielił się tego spróbować. Matka stała się jednak dla niego bezużyteczna.

-Ale... nie odesłał jej do twojego ojca? Geoff potrząsnął głową.

- Był na to o wiele za mściwy. I dumny. Kazał pobić ojca i zostawić go, by umarł. Matka uznała, że została porzucona, skorzystał zatem z okazji i wydał ją pośpiesznie za kuzyna - ojca Alvina - ponieważ Alvin potrzebował matki, a Bessett był zanadto pogrążony w studiowaniu historycznych dzieł, by trudzić się wychowywaniem syna.

- Musiał być egoistą.

- Raczej kimś bardzo zaabsorbowanym sobą. Był przyzwoitym człowiekiem i na swój sposób troszczył się o mnie i o Alvina, a także o

moją matkę. Musiało tak być, skoro poślubi! ją, wiedząc, iż jest w ciąży. Pocięszam się tą myślą, gdy noc wydaje mi się szczególnie długa.

Anais rozważała przez chwilę to, czego się dowiedziała. Smutną i straszną prawdę o wydarzeniach sprzed lat.

- Zostałeś wychowany przez Bessetta jak własne dziecko, chociaż byliście kuzynami drugiego stopnia

- powiedziała. - A Dar... twoja matka nic o nim nie wiedziała?

- Prawie nie znała mojego ojca - odparł Geoff. - Wiedziała, że jest Szkotem i ma artystyczny temperament. I że szaleńczo się w nim zakochała. Mieszkała jednak przez całe życie w Yorkshire. Przebywała w Londynie zaledwie od dwóch miesięcy, zanim uciekła. A kiedy wyszła za Bessetta - choć trudno chyba nazwać ten związek małżeństwem - wyjechali na kilka lat za granicę. Nie wiedziała, że mój ojciec mieszka w Londynie, póki nie pojechała tam ze mną, aby zasięgnąć rady twojej ciotki.

- I wtedy go odnalazła? Geoff uśmiechnął się smutno.

- O tak - powiedział. - Odnalazła go przez przypadek. I miłość rozgorzała na nowo. A kiedy ojciec uświadomił sobie, że jestem jego synem, wpadł w furję.

- Boże! - westchnęła Anais, wpatrując się w niego. - I co zrobił?

- Chwycił mnie za kark niczym kociaka, wrzucił do swego powozu i wywiózł do Szkocji, zanim ktokolwiek zdążył choćby mrugnąć. A ja dziękuję Bogu, że tak się stało. Bo widzisz, pojął od razu, że lady Treyhern ma rację: z moją głową nie działo się nic złego.

- Ależ to zadziwiające! - wykrzyknęła cicho Anais.

- Twoja biedna matka! Co zrobiła?

- Pojechała z nami - odparł Geoff. - Ojciec nie zostawił jej wyboru. Nadal miał w kieszeni świadectwo ślubu.

A ja... cóż, spędziłem kilka następnych lat z babką, blisko powiązaną z Bractwem w Szkocji. To były dobre lata. Uczyniły ze mnie tego, kim teraz jestem. Wiem, że Charlotte rozumie, choć tylko do pewnego stopnia, kim jest Giselle. Ale to nie wystarczy, Anais. Dziecko potrzebuje mentora z prawdziwego zdarzenia, a w Essex jej takiego zapewnią.

- Ale co stało się z twoją matką? - spytała. - Ojcem? Jak im się ułożyło?

- Po jakimś czasie wzięli ponownie cichy ślub. Nie dlatego, że go potrzebowali, lecz by podtrzymać iluzję o tym, kto był moim ojcem i uchronić matkę przed oskarżeniem o bigamię.

- Och, Boże - westchnęła Anais. - Nie pomyślałam o tym.

- Cóż, ja pomyślałem - odparł Geoff ponuro. - Nie dopuściłbym, by stała się tematem plotek. Za nic.

- Czyli twój ojczym nie jest tak naprawdę ojczymem.

- Nagle się uśmiechnęła. - Co oznacza, że podpisałeś mój portret w parku w Brukseli swoim prawdziwym nazwiskiem?

- Zapewne - potwierdził, uśmiechając się mgliście.

- Jednak nazwisko, którego używam dzisiaj też jest prawdziwe. - Posmutniał trochę. - Matka chciała je zmienić, gdy wyszła za męża, lecz ojciec powiedział, że to bez znaczenia. Wie, kim jestem, ja wiem, kim jest on, a reszta świata niech się powiesi.

- A ja wiem teraz, po kim odziedziczyłeś niezależny charakter - powiedziała. - Chyba postąpiłeś słusznie.

Wzruszył ramionami.

- To było nazwisko, które dzieliłem z Alvinem - powiedział. - Nie dbam ani trochę o tytuł i chętnie oddałbym go Alwinowi, lecz on nie żyje, a ja nie bardzo mogę się teraz wycofać.

- Pochodzisz jednak przecież z Archardów - zauważyła Anais. - Choć tytuł nie mógłby zostać zapewne prze-

kazany w linii żeńskiej, przez twoją matkę... A może by mógł?

Utkwił spojrzenie w pełnym cieni salonie.

- Mama twierdzi, że najstarszy tytuł oraz włości mogłyby - powiedział.

- Ma to związek ze sposobem, w jaki zostały kiedyś nadane. Tytułu lorda nie mogłaby jednak odziedziczyć kobieta.

- Masz może innych kuzynów? Kogoś, komu...

- Komu wykradłem tytuł? - Podniósł dłoń i, jak często to robił, wsunął Anais za ucho niesforny lok. - Nie, Alvin był ostatni z linii. Lordowie Bessett nie płodzili wielu synów - domyślam się, że bardziej pasjonowała ich nauka - zatem moja matka mogłaby być teraz baronową jakąś tam, a ja dziedzicem tytułu. Nie wiem i wcale o to nie dbam. Będę nazywał siebie lordem Bessett i prędzej umrę, niżli dopuszczę, by matka cierpiała z powodu upokorzenia i wstydu.

- Boże, ależ to wszystko skomplikowane - skomentowała Anais, opierając się plecami o sofę. - Nie ma jednak wpływu na to, co do ciebie czuję, Geoffie. Nie musiałeś nawet mi tego mówić.

- Czułem, że powinienem - odparł spokojnie. - Jednak z innego, niż ci się zdaje, powodu.

Po raz trzeci tego dnia niepokój ścisnął jej serce.

- Zatem, cóż to był za powód?

Obrócił się na małej sofie - była to nie lada sztuka, zważywszy jak długie miał nogi - i ujął dłonie Anais w swoje.

- Mówię ci o tym, ponieważ sądzę, że kobieta powinna sięgać po to, czego pragnie - zaczął. - Moja matka tak nie postąpiła. Była młoda, potulna i zastraszona przez ojca. Najgorsze było jednak to, iż nie wierzyła w siebie. W to, że potrafi dokonać mądrego wyboru, że wie, czego naprawdę chce, i może po to sięgnąć. Wszyscy za to zapłaciliśmy.

- Lecz jaki ma to związek ze mną?

- Nie bądź nigdy bojaźliwa, Anais - powiedział. - Sądzę, że jesteś prawdopodobnie ostatnią kobietą na ziemi, której trzeba byłoby mówić coś takiego, muszę jednak to zrobić. Sięgaj śmiało po wszystko, czego pragniesz. Zamierzam się postarać, bym to ja był twym pragnieniem. Lecz jeśli uznasz, że bardziej potrzebny będzie ci Rafaele albo ktoś taki jak on, daj mi kosza. Lecz tylko dlatego, że będziesz tego chciała. Ty, nie babka, która umyśliła sobie to czy tamto, albo rodzina mająca własne oczekiwania. Oczekiwania rodziny doprowadziły moją matkę niemal na skraj grobu, i gdyby nie miała mnie, pewnie szybko by w nim spoczęła.

Jego słowa były tak szczerze, świadczyły o tak wielkiej wrażliwości, że Anais spuściła głowę.

- Wiem, czego chcę, Geoffie - odparła spokojnie. - Poza tym, to była tylko niemądra przepowiednia. Coś, co babka Sofia wbiła sobie do głowy, a karty odzwierciedliły po prostu jej pragnienia.

- Karty? - zapytał, skonfundowany.

Anais uniosła szybko głowę, uświadamiając sobie poniewczasie, że nie wspomniała Geoffowi o przepowiedni.

- Och, nieważne! - powiedziała, zażenowana. - To już nie ma znaczenia. Wiem, czego chcę, przynajmniej po części: ciebie.

Wpatrywał się w Anais przez dłuższy czas, sięgając spojrzeniem w głąb jej serca, jakby się chciał w coś upewnić. A potem się odprężył, puścił lewą dłoń ukochanej, zsunął się z sofy, przyklęknął i powiedział:

- Trzymam cię zatem za słowo. Anais de Rohan, czy uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Anais zamknęła oczy i odrzuciła precz przynajmniej część niemądrych rojeń babki.

- Tak - wyszeptała. - Tak, Geoffreyu. Kocham cię. Wyjdę za ciebie i będę uważała się za nie lada szczęściarę.

Ucałował jej dłoń i wstał.

- Zatem, dzięki Bogu, ustalone - powiedział, siadając znów obok. - Trochę się bałem, iż możesz pognać do Toskanii, aby poszukać tam po raz ostatni Pana Właściwego.

- Uznałam, że to ty nim jesteś - odparła cicho, dotykając czubkami palców serca.

- Och, Anais, od początku o tym wiedziałem - stwierdził Geoff z przekonaniem. - Nie byłem tylko pewny, czy i ty zdajesz sobie z tego sprawę. A teraz powiedz mi, kiedy wraca twój ojciec. Będę musiał z nim porozmawiać.

- Najdalej za kilka tygodni - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. - On chce tylko, żebym była szczęśliwa. Nie wie nic o dziwacznym przepowiedniach babki. Nie martw się.

- Jak mógłbym się nie martwić? Jesteś teraz dla mnie wszystkim - odparł, utkwivszy w niej gorące spojrzenie.

Uświadomiła sobie, że ma oczy pełne łez.

- Och! - westchnęła cicho. - Tak bardzo cię kocham, Geoffie! A ta opowieść o twoim ojcu i matce jest po prostu tragiczna. Obiecuj, że nie dopuścimy, by przydarzyło się nam coś podobnego. Nigdy.

- Nigdy, przenigdy. - Mówiąc, scałowywał jej łzy. - Mam w zanadrzu inną, ze szczęśliwym zakończeniem.

- To dobrze - powiedziała słabym głosem. - Posłuchajmy jej.

- Dawno, dawno temu - wyszeptał, muskając wargami jej ucho - żył sobie lord, który nie był tak naprawdę lordem. Zakochał się w dziwnej, szalonej dziewczynie o wijących się, kruczoczarnych włosach i jeszcze dziwniejszym imieniu. Pobrali się, przełamali klątwę Bessettów dotyczącą potomstwa i mieli mnóstwo dzieci. A potem żyli długo i szczęśliwie. W Yorkshire. Albo w Londynie, jeśli takie zakończenie bardziej ci się podoba.

- Wszystko mi jedno, gdzie zamieszkali - odparła, opierając mu głowę na ramieniu. - Ale owszem, ta opowieść podoba mi się zdecydowanie bardziej.

Epilog

Niebiosa zawierają w sobie yin i yang

chłód i żar,

a także ograniczenia wynikłe z pór roku.

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

Anais Sofia Castelli de Rohan wyszła za mąż w wiosenny dzień, ubrana w śmiałą czerwoną suknię. Ślub odbył się w ogrodach domu przy Wellclose Square pod świecącym jaskrawo słońcem i w wirze opadających kwiatów jabłoni, które znaczyły bielą i różem czerwoną kamizelkę Geoffa, pasującą do sukni panny młodej i zbierały się niczym płatki śniegu na rondzie jego kape-usza. Nie był to może najmodniejszy adres jak na wesele w Londynie, Anais uznała jednak, że skoro nie podążyła za marzeniem babki, powinna uhonorować ją przynajmniej w ten sposób.

Wielebny Reid Sutherland pobłogosławił z błyskiem w oku parę młodą, a potem ogłosił ich mężem i żoną czemu przyglądała się gromadka najbliższych krewnych oraz połowa Towarzystwa Świętego Jakuba. Po ceremonii udali się do olbrzymich pokoi recepcyjnych, aby podziwiać nowe orientalne dywany Marii, pogryzać zakąski i raczyć się *Vino Nobile di Montepulciano*, wznosząc toasty za zdrowie, bogactwo i płodność państwa młodych poki lord Lazonby nie zaczął spoglądać przesadnie łakomym okiem na jedną z pokojówek.

Pan Sutherland zażyczył sobie natychmiast, by podstawiono powóz - zanim to jednak nastąpiło, Lazonby wdał się w barwną opowieść o tym, jak to poznał pana młode-

go w marokańskim burdelu. Lady Madeleine westchnęła zgorziona i zakryła córce uszy. Wielebny chwycił Lazonby'ego dosyć brutalnie za rękaw i wyprowadził, unosząc na znak pożegnania kapelusz.

Wkrótce pozostali goście zaczęli także się żegnać. Przynoszono szale, wzywano powozy, wymieniano pożegnalne uściski. Nowy lord i jego dama mieli razem kilkoro rodzeństwa, w tym Nate'a, więc aby zawieźć ich wszystkich do Westminsteru potrzeba było aż trzech powozów. Kolejne dziesięć zabrało pozostałych gości, wyściskanych i pożegnanych energicznym machaniem. W końcu zostali już tylko rodzice Geoffa.

Na progu lady Madeleine porwała Anais w objęcia po raz już chyba szósty w ciągu tyluż godzin.

- Och, kochana dziewczyno - powiedziała, wyraźnie wzruszona. - Wydaje mi się, że dopiero wczoraj trzymałam Geoffa po raz pierwszy na rękach, przerażona i zatrwożona, iż nie dożyje on tego szczęśliwego dnia. Lecz tak się stało, i jestem bardzo szczęśliwa, Anais. Tak bardzo się cieszę, że spotkał ciebie.

- Jest pani bardzo uprzejma, lady Madeleine - powiedziała Anais odsuwając się, lecz nie puszczając dłoni teściowej. - Ale dlaczego tak się pani bała? Był słabowitym dzieckiem?

Lady Madeleine wzruszyła ramionami, a potem się zarumieniła.

- Och, nie, lecz byłam tak młoda! - odparła. - I czułam się taka samotna, tak niezdolna sprostać temu, co się działo. Musiałam zemdleć z wyczerpania, a gdy się ocknęłam, usłyszałam, jak położne szepczą jedna do drugiej: *che carino bambino...* a może odwrotnie? Pamiętam tylko, że z tego strachu aż się rozplakałam.

Geoff roześmiał się i ucałował policzek matki.

- Co za gąska z ciebie, mamó! Myślę, że po prostu zachwyciły się dzieckiem.

Obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem.

- Nie waż się ze mnie śmiać, młody człowieku! Byłam ledwie przytomna i nie mówiłam słowa w ich języku! - Odwróciła się do męża z oczami pełnymi łez. - Jakoś tak mi się wydało, że one mówią coś zupełnie innego- że me nosiłam pod sercem dziecka. Teraz wydaje się to niemądre, pomyślałam wtedy jednak, że dziecko przepadło. Ze popełniono okropny błąd. A może tylko je sobie wyobraziłam.

- Och, mamó - napomniał ją Geoff łagodnie. - Żyłaś w wielkim napięciu, i to przez dłuższy czas.

- Tak, tak, Maggie - przytaknął jej mąż, otwierając ramiona i przytulając żonę do piersi. - Nie mogłaś wiedzieć, kochanie.

Wyglądało jednak na to, iż napięcie związane ze ślubem wytrąciło lady Madeleine z równowagi.

- Merricku, myślałam, że zrobiłam coś źle! - wykrzyknęła, szlochając z twarzą wtuloną w jego krawatę. - Zanim go umyli i przynieśli, byłam już niemal chora z rozpacz. Przez dwa dni sprawdzałam na okrągło, ile ma paluszków, i bałam się zasnąć z obawy, iż może umrzeć! A teraz, pomyśl tylko! Jest żonaty!

- No i ma trzydzieści lat - uzupełnił pan MacLachlan z ledwie wyczuwalną nutką sarkazmu w głosie. - Spełniłaś swój obowiązek, kochanie. Teraz to do Anais będzie należało sprawdzanie, ile jej mąż ma paluszków.

Żadne nie zauważyło, że Anais zbladła gwałtownie. Geoff wyszedł na chwilę do pokoju recepcyjnego obok by nalać matce trochę brandy. Gdy wrócił, lady Madeleine upiła z wdzięcznością łyk, przeprosiła po raz kolejny za to, że tak się rozkleiła, a potem ucałowała nowożeńców i wyszła.

Pan MacLachlan sprowadził ją po frontowych schodach z wielką troską i ostrożnością, jakby była delikatnym kwiatem, a potem umieścił w powoziku tak eleganckim, że połowa mieszkańców placu wychyliła się z okien by go podziwiać. Na koniec pomachał młodej parze

na pożegnanie, wdrapał się do pojazdu i dał znak stangretowi, by ruszał.

Anais stała na najwyższym stopniu, trzymając dłoń Geoffa w swojej, gdy jej teściowie okrążali plac.

- Powiedz mi - poprosiła, ledwie powozik zniknął im z widoku - gdzie dokładnie się urodziłeś?

- W Rzymie - odparł, wchodząc za nią do wnętrza i zamykając drzwi. - Lub gdzieś w pobliżu. W miejscu, zwanym Lazio. Znasz je?

Anais wpatrywała się w niego, ściągnąwszy w zadumie brwi.

- Tak, lecz Lazio to prowincja. Całkiem spora.

- I ponoć piękna, choć ja jej nie pamiętam. W rok po moim urodzeniu wyjechaliśmy do Kampanii. A stamtąd do Grecji. Jak powiedziałem, Bessett był uczonym, zajmował się starożytnymi cywilizacjami. Kiedy się urodziłem, badał jakieś ruiny w pobliżu jeziora na północ od Rzymu.

Anais wzięła kieliszek, który wcisnął jej do ręki.

- Etruskie ruiny? Wzruszył ramionami.

- To możliwe - odparł. - Nie dzieliłem z nim tej pasji. Był niezwykle inteligentny, lecz nie zdziwiłem się, gdy powiedziano mi, że nie jest moim ojcem.

- Jaka to była wioska, Geoffie? - spytała, wyraźnie podekscytowana.

Spojrzał na nią, podnosząc wzrok znad kieliszka, który napełniał właśnie przy kredensie.

- Wioska?

- Ta, w której się urodziłeś.

Odstawił z głośnym stukiem butelkę i zmarszczył brwi.

- Niech pomyślę... Miała czarującą nazwę... mama nazywała ją Piggly-Wiggly coś tam.

- Pitigliano? - spytała bez tchu, siadając na sofie. Twarz Geoffa pojaśniała.

- Tak, rzeczywiście. - Przysiadł tuż obok niej. - Piti-gliano. Niewielka miejscowość, dlatego położone sprowadzono aż z Rzymu - chyba były to zakonnice - żeby przyuczyły kilka miejscowych kobiet. Wioska leżała niedaleko jeziora, gdzie pracował Bessett, wynajął tam więc dla żony dom.

- *Dio mio!* - wyszeptała, odstawiając gwałtownym gestem kieliszek. Geoff pochylił się i ucałował czubek jej nosa.

- O co chodzi? Czy to ważne? Mówiłem ci, że spędziłem dzieciństwo za granicą.

Odwróciła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Boże, Geoff, to zadziwiające!

- Zadziwiające? - przechylił głowę, by móc lepiej się jej przyjrzeć. - W jakim sensie?

- Co prawda, lord Bessett mógł kopać w całym Lazio

- odparła. - Wiem wszakże jedno, Pitigliano leży w Toskanii.

Spojrzał na nią, zaciekawiony.

- Jesteś pewna?

- Cóż... tak. - Położyła sobie rękę na sercu. - W pobliżu granicy, lecz wioska zawsze była częścią księstwa Toskanii.

- No proszę. - Błysnął dobrze jej znanym uśmiechem i uniósł keliszek.

- Kolejna dotycząca mnie informacja, której nie znałem, choć trochę mniej szokująca niż kwestia mojego pochodzenia.

Jednak Anais opadła bez słowa na oparcie sofy i utkwiała wzrok w czerwonej kamizelce Geoffa, do której przylgnął malutki, różowy płatek jabłoni.

Geoff odstawił kieliszek i przyciągnął ją do siebie.

- Coś się stało, Anais?

- *Le Re di Dischi* - szepnął do siebie - w szkarłatnym płaszczu. Nie uwierzysz w to, co ci zaraz powiem...

Przesunął ciepłą dłoń o długich palcach artysty po jej policzku i Anais zalala natychmiast fala gorąca.

- Nie, nie uwierzę - wyszeptał, wpatrując się w nią
- zwłaszcza jeśli nie dokończysz zdania. Doprawdy, trochę
zbladłaś. Powiedziałem coś nie tak?

Oderwała wzrok od kamizelki Geoffa i spojrzała na niego.

- Nie, nie, chodzi tylko o to, że byłeś Tym Jedynym

- powiedziała. - Przez cały czas...

Geoff odrzucił w tył głowę i roześmiał się, aż pojaśniały mu oczy.

- Och, Anais, zawsze o tym wiedziałem - powtórzył.

- Nie byłem tylko pewny, czy ty wiesz.

Nic pozostało jej nic innego, jak pocałować swego tokańskiego
księcia.

Jej przystojnego księcia o złotobrazowych włosach i oczach
niebieskich jak niebo w Toskanii.